

Matthew Reilly

Siedem cudów starożytności

Dla Natalie



W starożytności szczyt piramidy Cheopsa w Gizie zdobiła olbrzymia kopuła wykonana ze złota.  
Zniknęła nagle w zamierzchłych czasach.

## KOLEKCJA CUDÓW ŚWIATA

Tytuł zbioru dokumentów, zebranych przez Kallimacha z Cyreny bibliotekarza Biblioteki Aleksandryjskiej, zaginionych w 48 r p.n.e., kiedy biblioteka została zniszczona.

SKULCIE SIĘ ZE STRACHU, KRZYCZCIE Z ROZPACZY,  
ŻAŁOŚNI ŚMIERTELNICY,  
GDYŻ TEN, KTÓRY DAŁ WIELKĄ MOC,  
TERAZ JĄ ODBIERZE.  
JEŚLI BENBEN NIE ZOSTANIE UMIESZCZONY W ŚWIĘTYM  
MIEJSCU  
NA ŚWIĘTEJ ZIEMI, NA ŚWIĘTEJ WYSOKOŚCI,  
W CIĄGU SIĘDMIU WSCHODÓW SŁOŃCA OD PRZYBYCIA  
PROROKA BOGA RE,  
SIÓDMEGO DNIA W SAMO POŁUDNIE,  
OGNIE NIEPRZEJEDNANEGO NISZCZYCIELA RE POCHŁONĄ NAS  
WSZYSTKICH.

Licząca 4500 lat inskrypcja, odnaleziona na szczycie piramidy Cheopsa w Gizie, w miejscu, gdzie znajdowała się złota kopuła.

POSIADŁEM WŁADZĘ I WIDZIAŁEM JEJ MOC.  
TERAZ WIEM JEDNO.  
PROWADZI DO SZALEŃSTWA.

Aleksander Wielki

# MISJA PIERWSZA

## KOŁOS



SUDAN

14 MARCA 2006

6 DNI PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU

## NAJWIĘKSZY POSĄG W DZIEJACH

Górował niczym bóstwo nad wejściem do portu Mandraki, największego na wyspie Rodos, tak jak dzisiaj Statua Wolności góruje nad Nowym Jorkiem.

Ukończony w dwieście osiemdziesiątym drugim roku przed naszą erą po dwunastu latach budowy, był największym wykonanym z brązu posągiem, jaki kiedykolwiek powstał. Wysoki na ponad trzydzieści metrów, przyćmiewał swym ogromem nawet największe okręty, które koło niego przepływały.

Posąg przybrał postać greckiego boga słońca, Heliosa - muskularnego, potężnego, z wieńcem laurowym na głowie i naszyjnikiem z wielkim złotym wisiorem na szyi. W wysoko uniesionej prawej ręce trzymał płonąca pochodnię.

Specjaliści wciąż się spierają czy wielka statua stała okrakiem nad wejściem do portu, czy na końcu długiego falochronu, który stanowiłby wówczas jej fundament. Tak czy inaczej widok posągu musiał w owych czasach robić ogromne wrażenie.

Co ciekawe, obywatele Rodos budowali go dla uczczenia zwycięstwa nad Antygonidami (którzy oblegali wyspę Rodos przez równy rok), ale za budowę posągu płacił Egipt, a konkretnie dwaj faraonowie: Ptolemeusz I i jego syn Ptolemeusz II.

Ludziom wykonanie tej rzeźby zajęło dwanaście lat, a natura potrzebowała sześćdziesięciu sześciu, by obrócić posąg w ruinę.

Kiedy w dwieście dwudziestym szóstym roku przed naszą erą trzęsienie ziemi poważnie uszkodziło statwę, to znowu Egipt, a konkretnie następny faraon Ptolemeusz III zaoferował pomoc w odbudowie. Wyglądało to tak, jakby Egipcjanom bardziej zależało na kolosie niż mieszkańcom Rodos.

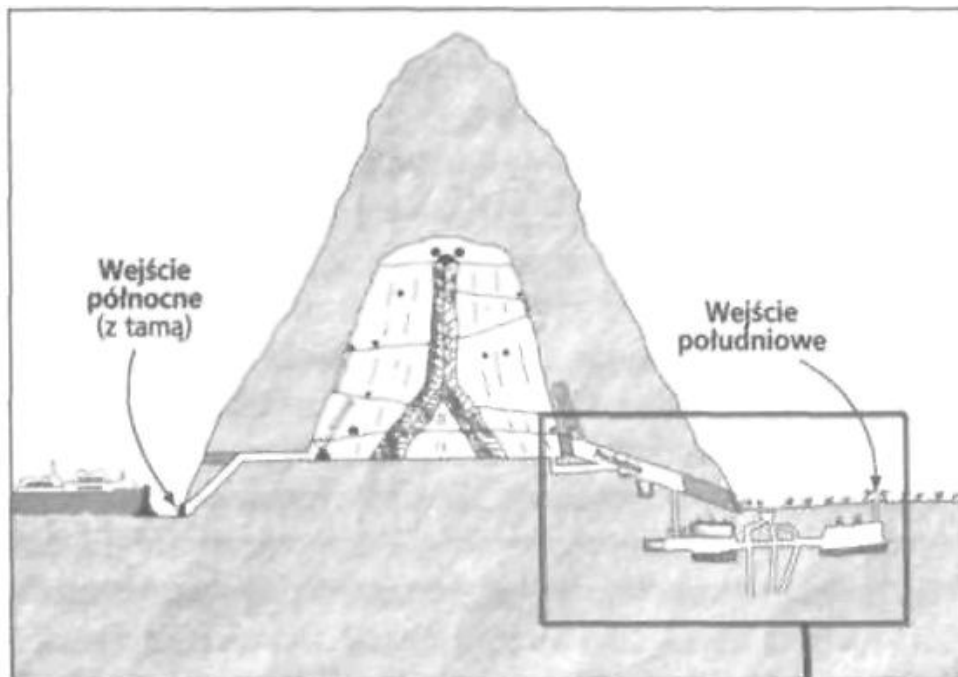
W obawie przed bogami, którzy powalili kolosa, obywatele Rodos odrzucili ofertę Ptolemeusza III. Fragmenty budowli pozostały ruiną przez następne dziewięćset lat, do roku 654 n.e., kiedy to arabscy najeźdźcy zburzyli ją do końca i rozprzedali w kawałkach.

Pozostaje jedna, tajemnicza kwestia.

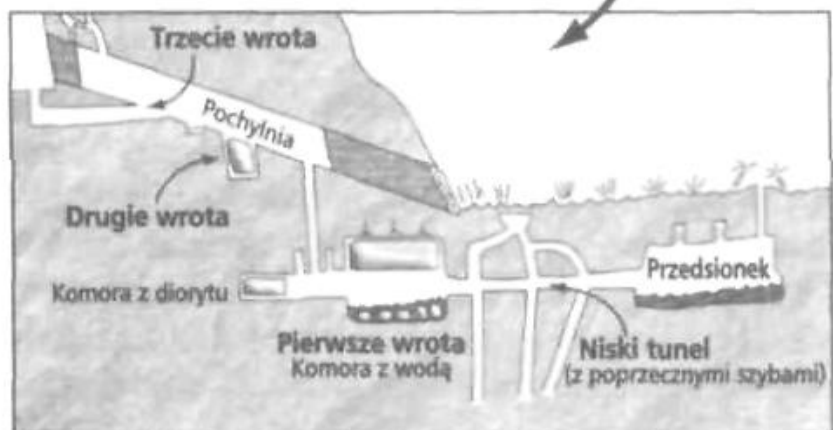
Tydzień po tym, jak Rodyjczycy odrzucili ofertę Ptolemeusza III odbudowy posągu, zniknęła głowa powalonego kolosa, a miała pięć metrów wysokości.

Rodyjczycy podejrzewali, że została zabrana przez egipski statek, który w tym czasie wypłynął z portu.

Głowy kolosa z Rodos nigdy już nie odnaleziono.



## WEJŚCIE POŁUDNIOWE



## MOKRADŁA ANGAREB

PODNÓŻE GÓR W ETIOPII

PROWINCJA KASALA, WSCHODNI SUDAN

14 MARCA 2006, GODZINA 16.55

6 DNI PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU

Dziewięć pochylnych postaci pędziło biegiem przez rojące się od krokodyli bagno.

Właściwie nie mieli żadnych szans.

Przeciwników było ponad dwustu.

Ich tylko dziewięcioro.

Wróg miał potężne zaplecze techniczne i wsparcie logistyczne: śmigłowce, reflektory do pracy w nocy i wszelkiego rodzaju łodzie - kanonierki, barki mieszkalne, trzy olbrzymie pogłębiarki; należy również wspomnieć o prowizorycznej tamie, którą zdołali wybudować.

Dziewięciu ludzi dysponowało tylko kilkoma rzeczami niezbędnymi w kopalni.

Na dodatek odkryli właśnie, że pojawiła się trzecia siła. Kolejni rywale, jeszcze liczniejsi i bardziej bezwzględni, już zbliżali się do wzgórza, byli tuż za nimi.

Jakkolwiek na to patrzeć, nie mieli szans. Beznadziejna sprawa. Wrogowie przed nimi, wrogowie za plecami.

Mimo to biegli dalej.

Musieli.

Musieli podjąć ostatnią rozpaczliwą próbę.

Ostatni rzut kośćmi.

Ostatnia nadzieja małej grupki narodów, które reprezentowali.

Ich bezpośredni przeciwnicy - koalicja narodów europejskich - natrafili na północne wejście do kopalni dwa dni temu i szybko posuwali się naprzód systemem podziemnych korytarzy.

Podśluchany godzinę wcześniej przekaz radiowy ujawnił, że siły paneuropejskie - francuscy żołnierze, niemieccy inżynierowie i włoski szef misji - dotarły właśnie do ostatniego syfonu po ich stronie kopalni, ostatniej przeszkody dzielącej ich od celu. Kiedy go pokonają, znajdą się w samej Wielkiej Grocie.

Szybko posuwali się naprzód.

Znaczyło to, że wiedzieli, jakie trudności mogą napotkać w kopalni, i dobrze się przygotowali.

Koszmarne trudności - syfony.

Nie obeszło się bez ofiar - trzech członków zespołu zginęło w makabrycznych okolicznościach, już pierwszego dnia wpadając w pułapkę. Mimo to szef europejskiej ekspedycji - przysłany przez Watykan jezuita

Francisco del Piero nie pozwolił, by ich śmierć spowodowała zwolnienie tempa prac.

Zdeterminowany, kompletnie pozbawiony współczucia del Piero popędzał swoich ludzi. Jeśli wziąć pod uwagę stawkę, ofiary były wkalkulowane w to przedsięwzięcie.

Dziewięcioro ludzi pędziło przez mokradła ku południowej stronie wzgórza. Głowy chowali w ramionach, chroniąc się przed zacinającym deszczem, nogami ubijali grząski grunt.

Biegli jak żołnierze, pochylone tułowia, szybkie tempo, jeden za drugim, gęsiego. Miarowo i z determinacją. Omijali zwieszające się gałęzie, przeskakiwali błotniste bajora.

W rękach trzymali broń: MP - 7, M - 16, Steyry - AUG. W przytwierdzonych do ud kaburach - wszelkiego rodzaju broń krótką. Na plecach nieśli różnych rozmiarów pakunki, zwoje lin, sprzęt wspinaczkowy, stalowe rozpórki.

Nad ich głowami, ponad linią drzew z wdziękiem szybował niewielki ptak.

Siedmiu z nich było prawdziwymi żołnierzami. Elitarne jednostki. Siły specjalne. Każdy z innego kraju.

Pozostałe dwie osoby to cywile. Starszy to długobrody profesor Maximilian T. Epper, pseudonim Mistrz.

Pseudonimy wojskowych brzmiały nieco groźniej: Myśliwy, Szaman, Łucznik, Krwawa Mary, Saladyn, Matador, Bandyta.

Co ciekawe, podczas tej misji otrzymali zupełnie nowe pseudonimy: Drwal, Miś Kędzierzawy, Długi, Księżniczka Zoe, Kubuś Puchatek, Noddy, Wielkouchy.

Tak nazwał ich dziewiąty członek zespołu - dziesięcioletnia dziewczynka.



Wzgórze, do którego się zbliżali, było ostatnim wzniesieniem długiego pasma ciągnącego się aż do granicy sudańsko - etiopskiej.

Z tych gór w Etiopii płynęła do Sudanu rzeka Angareb. Na okolicznych mokradłach jej wody zwolniły bieg, by ruszyć dalej przez terytorium Sudanu i ostatecznie zasilić nurty Nilu.

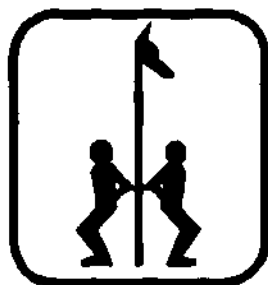
Stałym mieszkańcem tych mokradeł był cieszący się złą sławą krokodyl nilowy. Osiągający długość sześciu metrów, krokodyl nilowy jest znany ze swej przebiegłości i zacieklej ataków. To najbardziej rozsmakowany w ludzkim mięsie gatunek krokodyli. Rocznie zabija ponad trzysta osób.

Podczas gdy dziewięcioro ludzi zbliżało się do wzgórza od południa, ich rywale z Unii Europejskiej założyli na północy bazę, która wyglądała jak pływające miasto. Okręty dowodzenia, pływające kantyny, łodzie - baraki, łodzie zabezpieczenia naszpikowane bronią, cała ta flotylla była połączona siecią mostów pontonowych. Dzioby wszystkich łodzi zwrócone były w kierunku centralnego punktu ich operacji: potężnej kasetonowej tamy, zbudowanej na północnym zboczu góry.

Był to, trzeba przyznać, szczyt mistrzostwa - sto metrów długości, dwanaście wysokości, lekko zaokrąglona tama retencyjna zatrzymywała wodę z mokradeł, aby odsłonić kwadratowe, wykute w skale wejście u podstawy wzgórza, dwanaście metrów poniżej linii wody.

Artyzm, z jakim wykonano kamienne wejście, zapierał dech w piersiach.

Egipskie hieroglify pokrywały każdy centymetr kwadratowy jego obramowania, ale szczególną uwagę przykuwał kamień nadproża, zwieńczający portal. Zdobił go glif często znajdujący w grobowcach faraonów.



Dwie postacie ze skrzepowanymi z tyłu rękami, przywiązane do laski zwieńczonej głową Anubisa, egipskiego boga podziemi. Oto co świat zmarłych oferował rabusiom - związanie się z Anubisem po wsze czasy. Niezbyt miły sposób na spędzenie wieczności.

Przekaz był czytelny: nie wchodzić.

Budowla wewnątrz góry była starą kopalnią, sięgającą czasów Ptolemeusza I, czyli około roku 300 p.n.e.

W czasach świetności Egiptu Sudan był znany jako Nubia, to słowo pochodziło z egipskiego określenia złota: nub.

Nubia - Złota Kraina.

I taka rzeczywiście była. To właśnie z Nubii starożytni Egipcjanie czerpali złoto na budowę swoich świątyń i skarbców.

Ze źródeł odnalezionych w Aleksandrii wynika, że w tej kopalni złoża złota wyczerpały się w ciągu siedemdziesięciu lat od ich odkrycia. Wkrótce przeistoczyła się w miejsce wydobywania rzadkiej kopaliny - diorytu. Kiedy i dioryt się skończył, faraon Ptolemeusz III postanowił przeznaczyć ją do bardzo specyficznego celu.

Wysłał swojego najlepszego architekta, Imhotepa V, wraz z grupą około dwóch tysięcy ludzi.

Trzy lata pracowali nad tym projektem w absolutnej tajemnicy.

Północne wejście było wejściem głównym.

Z początku znajdowało się na tym samym poziomie co linia wody na mokradłach. We wnętrzu wzgórza wydrążono poziomy tunel, którym na barkach wywożono urobek złota i diorytu.

Kiedy na miejscu pojawił się Imhotep V, przebudował kopalnię. Używając tymczasowej tamy, całkiem podobnej do tej, której dzisiaj używały siły europejskie, jego ludzie zatrzymali wody mokradeł, a inżynierowie wykuli nowe wejście dwanaście metrów niżej. Dotychczasowe zabudowano kamiennymi głazami i pokryto warstwą ziemi.

Następnie Imhotep rozebrał tamę i pozwolił, by wody z bagien zalały nowe wejście, skrywając je przed światem na ponad dwa tysiące lat.

Aż do dzisiaj.

Do kopalni można się było dostać jeszcze inną drogą od południowego stoku góry.

To było tylne wejście, koniec pochylni używanej do wyrzucania odpadów z urobku. Tu też dokonano przebudowy.

To tego właśnie wejścia poszukiwało dziewięcioro ludzi.

Prowadzeni przez wysokiego białobrodego Mistrza, trzymającego w jednym ręku bardzo stary zwój papirusu, a w drugiej bardzo współczesny sonograf, zatrzymali się nieoczekiwanie około osiemdziesięciu metrów od podnóża góry na niewielkim błotnistym pagórku, osłoniętym przez cztery rosnące tu krzewy głożyny.

- Tutaj! - zawołał starszy mężczyzna, dostrzegłszy coś na pagórku. - Och, Boże! Chłopcy ze wsi już tu byli!

Pośrodku, na samym szczycie, znajdował się niewielki kwadratowy otwór, tak wąski, że z trudem mieścił się w nim człowiek. Jego brzegi okalało cuchnące brązowe błoto.

Ktoś, kto nie szukał tego wejścia, z pewnością by go nie dostrzegł. Tak się jednak składało, że profesor Max T. Epper chciał je odnaleźć.

Szybko przeczytał słowa zapisane na zwoju papirusu:

Na nubijskich mokradłach, na wschód od kopalni Sotera, Pośród sług Sobka,

Odnajdziesz cztery symbole podziemnego królestwa. Tu właśnie są wrota trudniejszego szlaku.

Epper podniósł wzrok na swoich towarzyszy.

- Cztery krzewy głożyny, roślina ta była symbolem podziemnego królestwa. Sługi Sobka to krokodyle, sam Sobek był egipskim bogiem krokodyli. Na mokradłach na wschód od kopalni Sotera - Soter to przydomek Ptolemeusza Pierwszego.

Jesteśmy na miejscu!

Obok zięjącej jamy leżał przewrócony mały wiklinowy koszyk. Takich koszy używali na co dzień wieśniacy w Sudanie.

- Głupi smarkacz. - Mistrz kopnął koszyk.

Idąc tutaj, Dziewiątka natknęła się po drodze na małą wioskę. Mieszkańcy skarżyli się, że zaledwie kilka dni wcześniej, czterech młodych mężczyzn zaciekawionych nagłym najazdem obcych w te okolice ruszyło na mokradła w poszukiwaniu skarbów. Wrócił tylko jeden. Opowiadał, że pozostali zniknęli w jakiejś jamie w ziemi i więcej nie wrócili.

Dowódca dziewięcioosobowego oddziału podszedł i zajrzał do otworu.

Reszta czekała na to, co powie.

O dowódcy wiadano niewiele. Jego przeszłość była okryta mgłą tajemnicy. Pewne było tylko, że nazywa się West. Jack West junior.

Pseudonim: Myśliwy.

Miał trzydzieści siedem lat i stanowił rzadki przykład połączenia kariery wojskowej z naukową. Z jednej strony był członkiem najbardziej elitarnej jednostki sił specjalnych na świecie, z drugiej - studiował historię starożytną w Trinity College w Dublinie u profesora Maksa Eppera.

Kiedy w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku Pentagon sporządził listę rankingową najlepszych żołnierzy świata, tylko on jeden z pierwszej dziesiątki nie pochodził ze Stanów. Jack West znalazł się na czwartej pozycji.

Ale później, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku West nagle zapadł się pod ziemię. Właśnie tak. Nie brał udziału w manewrach czy jakiegokolwiek misji - nawet w inwazji na Irak w dwa tysiące trzecim, choć wcześniej, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym, był wśród żołnierzy, którzy rozpoczęli operację Pustynna Burza. Mówiło się, że porzucił wojskę i odszedł do rezerwy. Przez ponad dziesięć lat ani widu, ani słyhu...

Aż do dzisiaj...

Pojawił się na nowo.

Doskonale zbudowany, o ciemnych włosach i przenikliwym spojrzeniu brązowych, wiecznie przymrużonych oczu. Wyjątkowo ujmujący uśmiech rzadko gościł na jego twarzy.

Jego dzisiejszy strój był zdecydowanie cywilny: prosta kurtka z grubego płótna koloru karmelu, ubrudzone spodnie i buty wspinaczkowe Salomona, które nosiły liczne ślady wcześniejszych przygód.

Na dłoniach miał rękawiczki, a spod lewego mankietu kurtki połyskiwała srebrzyście stal. Całe lewe przedramię i dłoń były protezą. Niewielu ludzi wiedziało, jak do tego doszło, ale jedno jest pewne - Max Epper wiedział doskonale.

Dzięki świetnemu wyszkoleniu wojskowemu i odebraniu historycznego wykształcenia - a przy tym zdecydowany za wszelką cenę zapewnić bezpieczeństwo dziewczynce, którą się opiekował - był jedyną osobą, która mogła wykonać tę skrajnie trudną misję.

Nieoczekiwanie mały brązowy sokół wędrowny z głośnym skrzykiem zapikował sponad drzew i łagodnie wylądował na ramieniu Westa. Rozglądał się wokół, a jego spojrzenie było władcze i opiekuńcze zarazem. Nazywał się Horus.

West zdawał się nie zauważać ptaka. Głęboko zamyślony stał na krawędzi otworu ze wzrokiem wbitym w mroczną otchłań.

Odgarnął z brzegu nieco błota i jego oczom ukazał się glif.



- Znowu się spotykamy - powiedział do siebie. Odwrócił się.

- Dajcie flare.

Wziął ją do ręki, zgiął i kiedy rozbłysła światłem, wrzucił do czeluści.

Spadała ze dwadzieścia metrów, oświetlając kamienny szyb i nagle - plum!  
- znalazła się w wodzie. W jej blasku zobaczył, że tam na dole roiło się od krokodyli nilowych - kłapiących paszczami, splątanych, wydających złowieszcze odgłosy, ocierających się o siebie nawzajem.

- Słudzy Sobka - rzekł zamyślony. - No ładnie.

Ich łącznościowiec, wysoki Jamajczyk z dreadami na głowie, ospowatą twarzą i rękami wielkimi jak konary drzewa, wcisnął głębiej w ucho miniaturową słuchawkę. Naprawdę nazywał się V. J. Weatherly, miał pseudonim Szaman, ale wszyscy mówili na niego Kędzierzawy.

- Myśliwy! - zwrócił się do Westa. - Europejczycy przekroczyli Trzecie Wrota. Są już w Wielkiej Jaskini. Teraz ściągają tam coś w rodzaju dźwigu, żeby ominąć niższe poziomy.

- Cholera...

- I jeszcze jedna zła wiadomość. Amerykanie właśnie przekroczyli granicę. Szybko się do nas zbliżają. Potężne siły: czterystu ludzi, śmigłowce, broń, wsparcie myśliwców. Wiesz, co to za oddział? CIEF.

Ta wiadomość wzbudziła zainteresowanie Westa. CIEF - Commander - in - Chief in Extremis Force - to była najlepsza jednostka do zadań specjalnych, a właściwie nadzwyczajnych, jaką dysponowały Stany Zjednoczone. Podlegała bezpośrednio prezydentowi i miała de facto licencję na zabijanie. West dobrze wiedział z własnego doświadczenia, że lepiej schodzić im z drogi.

Wyprostował się.

- Kto dowodzi?

- Judah - odparł Kędzierzawy grobowym tonem.

- Nie sądziłem, że będzie osobiście dowodził. Psiakrew. Lepiej się pospieszmy.

West zwrócił się do swoich ludzi.

- Dobra, Noddy, obejmiesz wartę. Pozostali... Odczepił od paska dziwaczny hełm i włożył go na głowę.

- ...czas na rock and rolla.

Wkroczyli w strefę mroku.

Bez ociągania.

Nad wylotem szybu umieścili stalowy trójnóg i jeden po drugim spuścili się po linie doczepionej do stelaża.

Tylko jeden człowiek, ciemnowłosy hiszpański komandos znany niegdyś jako Matador, a teraz Noddy - jak bohater kreskówek - pozostał na górze, by strzec wejścia do szybu.

Szyb wejściowy

West zsuwał się po spuszczonej linie, mijając po drodze trzy stromo opadające poprzeczne szyby, przecinające ten główny - pionowy.

Jego sokół skrył się bezpiecznie w torbie przewieszanej przez pierś. West miał na głowie podniszczony hełm strażacki z plaketką „Straż Pożarna Nowego Jorku. Posterunek 17”. Podniszczony hełm miał plastikową osłonę na twarz, a po lewej stronie małą, ale mocną latarkę ołówkową. Reszta jego drużyny włożyła podobne hełmy, niektóre wyposażone w latarki, osłony i kamery.

West, ześlizgując się w dół, zaglądał do poprzecznych korytarzy. Zdawał sobie sprawę, jakie czyhają w nich niebezpieczeństwa.

- Uwaga, wszyscy! Zwolnijcie! Nie dotykać, powtarzam, pod żadnym pozorem nie dotykać ścian szybu!

On nie dotknął. Pozostali też.

Bezpiecznie dotarł do końca liny.

Przedsiónek

West wynurzył się z otworu w suficie dużego pomieszczenia, którego ściany zbudowano z kamiennych bloków, i zawisł na linie dwa i pół metra nad podłogą.

W upiornym, żółtym świetle flary jego oczom ukazała się prostokątna sala długości około trzydziestu metrów. Podłogę pokrywała płytka warstwa bagnistej wody, w której roiło się od krokodyli.

Bezpośrednio pod stopami Westa wystawały z wody opuchnięte, na wpół pożarte ciała dwóch dwudziestokilkuletnich Sudańczyków. Zwłoki poruszały się, gdy trzy wielkie gady rozszarpały je na strzępy.

- Wielkouchy! - rzucił do mikrofonu West. - Mamy tu na dole coś, czego dzieci nie powinny oglądać. Przekaż Lily, że ma nie patrzeć w dół, kiedy zjedziecie.

- Tak jest, szefie - odpowiedział z irlandzkim akcentem głos w słuchawkach.

West wrzucił w głąb sali bursztynową flarę.

I nagle całe pomieszczenie ożyło.

Ukazały się rzędy głęboko wyrytych w ścianie hieroglifów. Tysiące hieroglifów.

Na końcu sali West dostrzegł to, czego się tu spodziewał: niski otwór w kształcie trapezu, znajdujący się kilkanaście centymetrów nad powierzchnią wody.

Upiorne światło flary ukazało jeszcze jeden istotny szczegół - sklepienie.

Tkwiał w nim rząd uchwyty, prowadzących prosto do odległego otworu w ścianie. Ale każdy z uchwyty był zamocowany w ciemnym kwadratowym otworze w sklepieniu.

- Mistrzu! - powiedział West. - Mamy tu uchwyty w suficie.

- Inskrypcja z grobowca Imhotepa Piątego mówi, że musimy wystrzegać się trzeciego i ósmego uchwytu - odparł Mistrz. - Dotknięcie spowoduje uwięzienie w klatce. Pozostałe są bezpieczne.

- Rozumiem.

Cała ósemka szybko przemierzyła salę, chwytając się wystających poręczy prócz dwóch wskazanych przez Mistrza i wymachując nogami nad paszczami krokodyli.

Lily, poruszająca się w środku grupy, pokonała całą drogę uwieszona szyi największego i najsilniejszego członka zespołu.

### Niski tunel

Długi niski tunel prowadził z przedsionka w głąb wzgórza.

West i jego ludzie biegli naprzód. Horus, nareszcie uwolniony, szybował na przedzie. Jedyne Lily biegła wyprostowana.

Z niskiego kamiennego sklepienia skapywały krople wody, spływając po hełmach strażackich na ich zgarbione plecy.

Tunel miał idealnie kwadratowy przekrój - metr trzydzieści na metr trzydzieści. Co ciekawe, dokładnie takie same wymiary miały korytarze wewnątrz piramidy Cheopsa w Gizie.

Podobnie jak wcześniej szyb wejściowy, także ten poziomy tunel przecinały trzy poprzeczne korytarze, tyle że pionowe i zajmujące całą szerokość tunelu. O ich obecności świadczyły otwory w podłodze i sklepieniu.

W pewnym momencie opiekun Lily, olbrzym, zwany Wielkouchym, biorąc rozpęd przed skokiem nad takim otworem, potknął się i wylądował na kamieniu - dźwigni.

Szybko zrozumiał swój błąd i zatrzymał się na skraju przepaści.

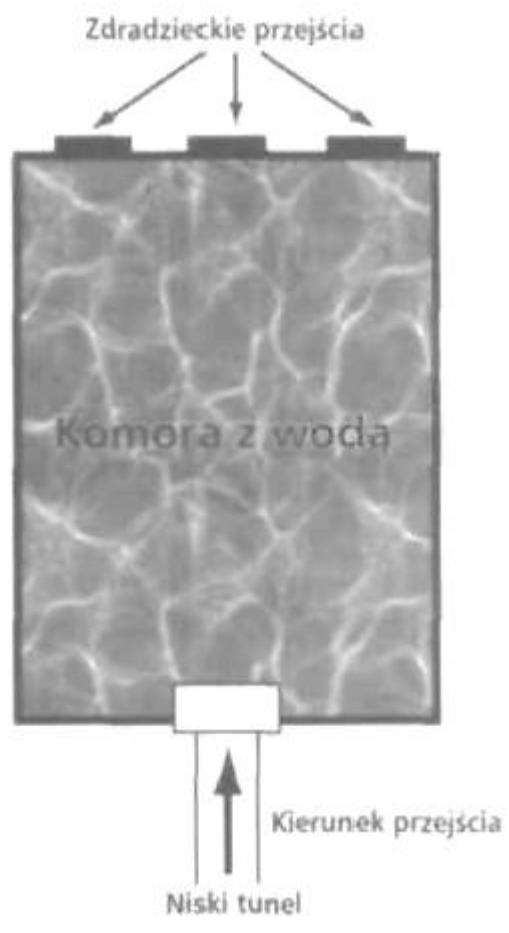
I wtedy z górnego otworu z głośnym hukiem chlusnął potok brudnej, zamulonej wody, zasłaniając przejście i niknąc w czeluści dolnego otworu.

Gdyby w tym momencie Wielkouchy próbował przeskoczyć, strumień wody porwałby jego i Lily w głąb otchłani.

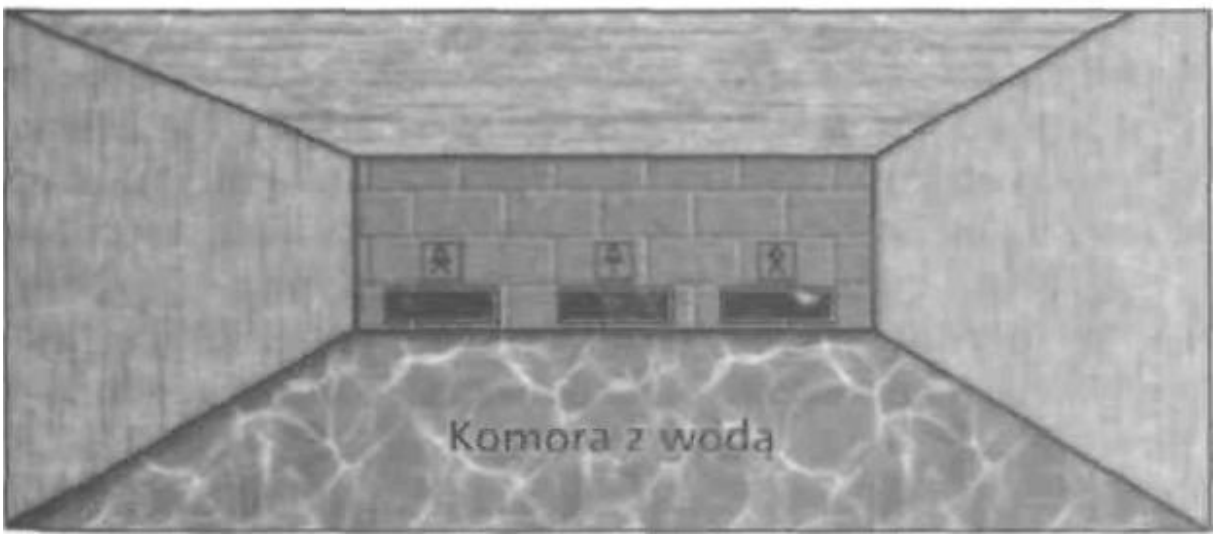
- Ostrożnie, najdroższy braciszku - powiedział jeden z członków zespołu idący z przodu. Była to jedyna w tym towarzystwie kobieta, a zarazem członek elitarniej irlandzkiej jednostki komandosów - Sciathan Fhianoglach an Airm. Dotychczasowy pseudonim - Krwawa Mary, nowy - Księżniczka Zoe. Jej brat, Wielkouchy, także był członkiem SFA.

Wyciągnęła rękę, złapała Wielkouchego i pomogła mu przeskoczyć nad przepaścią. Wzięli Lily pomiędzy siebie i ruszyli za pozostałymi.





**KOMORA Z WODĄ**



### Komora z wodą (Pierwsze wrota)

Tunel kończył się komorą wielkości małej kaplicy. Podłoga pomieszczenia wyglądała osobliwie - był to bujny kobierzec zielonej trawy.

Tyle tylko, że to nie była trawa, ale glony, a pod nimi - woda - prostokątna, idealnie płaska tafla nieruchomej wody.

Żadnych krokodyli. Ani jednego.

Na końcu sali, tuż nad linią wody, znajdowały się trzy prostokątne otwory niknące w ścianie, każdy wielkości trumny.

Coś nieokreślonego pływało na powierzchni, tuż przy wejściu do komory. West niemalże natychmiast zorientował się, co to jest.

Zwłoki. Trzeci, i ostatni, Sudańczyk.

Obok Westa pojawił się zdyszany Mistrz.

- Aha, pierwsze wrota. Chryste, jakie to proste. Zdradliwa podłoga, taka, jaką widzieliśmy pod wulkanem w Ugandzie. Ach ten Imhotep. Uwielbiał klasyczne pułapki...

- Max... - zaczął West.

- Aha, i w dodatku salomonowy wybór: trzy przejścia, tylko jedno bezpieczne. To taki rodzaj bramy. Założę się, że sufit jest na rolkach...

- Max? Później napiszesz o tym książkę. Co z wodą?

- Mhmm, tak, przepraszam... - Mistrz wyjął pasek testera z zestawu do badania wody i zanurzył go w pokrytym glonami zbiorniku. Jego koniec błyskawicznie zabarwił się na czerwono.

Mistrz zmarszczył brwi.

- Wyjątkowo wysokie zagęszczenie przywry Mansona. Uważaj, przyjacielu, ta woda nie podpada pod żadną klasę czystości. Pełno w niej przywr.

- Co to takiego? - zapytał stojący za nimi Wielkouchy.

- Robak, który przenika przez skórę i otwory anatomiczne i składa jajeczka w układzie krwionośnym - odpowiedział West.

Mistrz dodał:

- Zakażenie prowadzi do zapalenia rdzenia kręgowego, paraliżu dolnej połowy ciała, a w końcu do tętniaka mózgu i śmierci. Starożytni rabusie grobowców po odwiedzeniu takiego miejsca jak to popadli w obłąd. Winą obarczano rozgniewane bóstwa i rzucane przez nie klątwy, ale jest więcej niż pewne, że przyczyną była przywra Mansona. Ale w takim stężeniu? Rety! Ta woda zabiłaby cię w ciągu kilku minut. Rób, co chcesz, Jack, ale nie wpadnij do niej.

- Okay - rzekł West. - No to teraz układ kamieni...

- Racja, racja... - Starszy pan w pośpiechu wyciągnął z kieszeni marynarki notatnik i zaczął przerzucać kartki.

Komnatę ze zdradziecką podłogą powszechnie stosowano w starożytnym Egipcie - bardzo łatwo budowało się taką pułapkę, no i była wyjątkowo skuteczna. Składała się z kamieni, po których można było bezpiecznie przejść, a

po między nimi znajdowały się fałszywe, stworzone z ruchomych piasków, błotnistej mazi, smoły bądź, najczęściej, skażonej bakteriami wody.

Komnatę taką można było przejść tylko wtedy, gdy znało się położenie właściwych kamieni.

Mistrz odszukał wreszcie w notesie właściwą stronę.

- Okay. Mam. Kopalnia Sotera. Nubia. Pierwsze wrota. Komora z wodą. Aha. Kratka pięć na pięć. Właściwe kamienie to: jeden, trzy, cztery, jeden, trzy.

- Jeden, trzy, cztery, jeden, trzy - powtórzył West. - A które wejście? Nie ma czasu na wybór.

- Klucz życia - powiedział Mistrz, zerkając do notatnika.

- Dzięki. Horus, do torby. - Na to polecenie sokół wślizgnął się do torby na piersiach Westa.

West odwrócił się do grupki zgromadzonej za swoimi plecami.

- No dobrze, posłuchajcie. Macie iść za mną krok w krok. Jeśli nasz przyjaciel Imhotep V postąpił w typowy dla siebie sposób, kiedy stanę na pierwszym kamieniu, wydarzenia potoczą się z oszałamiającą prędkością. Nie odstępujcie mnie na krok. Będziemy mieli bardzo mało czasu.

West odwrócił się i przyglądał spokojnej powierzchni pokrytej glonami wody. Zagryzł wargi, po czym wziął głęboki oddech.

Następnie skoczył na miejsce w lewym narożniku.

To był długi skok - nie zrobiłby tak długiego kroku.

Patrząc na to, Mistrz wydał stłumiony okrzyk.

Ale West, zamiast pogrążyć się w skażonej wodzie, wylądował lekko na płaskiej powierzchni zbiornika.

Jego buty na grubej podeszwie zanurzyły się raptem na centymetr. Stał na czymś w rodzaju kamiennej kolumny, ukrytej pod warstwą glonów.

Mistrz odetchnął głęboko.

West również.

Ale ulgę poczuli tylko przez krótką chwilę, gdyż w tym samym momencie uruchomił się z głośnym zgrzytem ukryty mechanizm.

Sufit zaczął się obniżać!

Całe sklepienie sali, pojedynczy kamienny blok, zaczęło z łoskotem sunąć w dół, prosto ku zielonkawej podłodze!

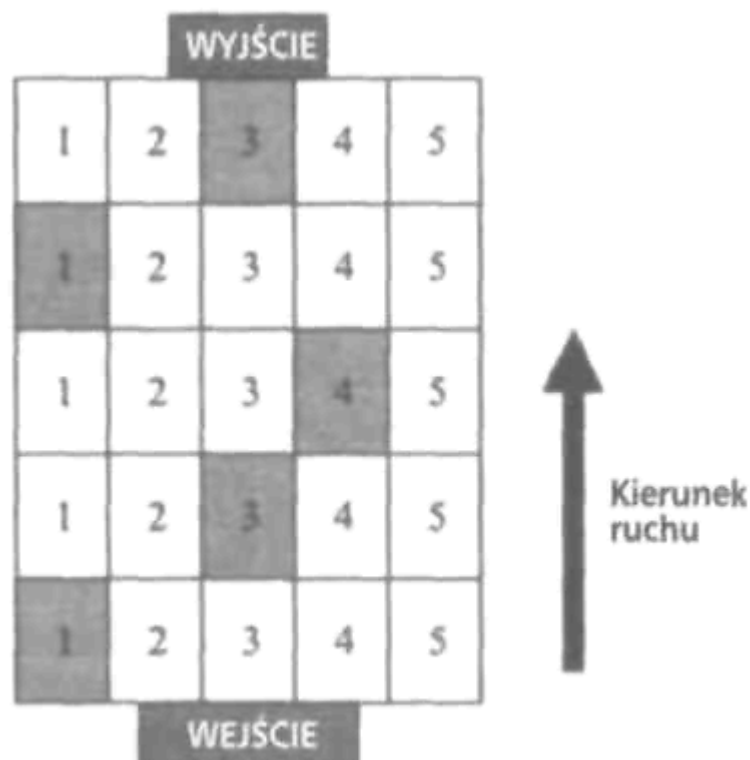
Nie było żadnej wątpliwości, co teraz nastąpi - za jakieś dwadzieścia sekund sklepienie dotrze do powierzchni wody i zablokuje wejście do wszystkich trzech prostokątnych otworów znajdujących się w końcu sali.

Należało przebiec przez wszystkie ukryte kamienie i dotrzeć do właściwego otworu, zanim kamienny sufit zetknie się z linią wody.

- Jazda! Biegiem za mną! - zawołał West.

Słyszając nad głową głośno obniżające się sklepienie, przeskakiwał wielkimi susami z kamienia na kamień, rozpryskując wokół krople trującej cieczy. Gdyby choć raz źle wyliczył długość skoku, znalazłby się w wodzie i nastąpiłby koniec.

Poruszał się zgodnie ze wskazówkami Mistrza - kamień pierwszy, trzeci, czwarty, pierwszy i trzeci, w szachownicy pięć na pięć. Wyglądało to w sposób następujący:



Wreszcie West dotarł do ściany komnaty, a cała ekipa za nim. Sufit nad ich głowami zniżał się coraz bardziej.

Wpatrywał się w trzy prostokątne otwory wykute w skalnej ścianie pomieszczenia. Widział już wcześniej takie otwory - to były przejścia z pułapkami w postaci wysuwających się z sufitu ostrych prętów.

Tylko jeden otwór gwarantował bezpieczne przejście i prowadził do następnego poziomu labiryntu. W pozostałych dwóch na nieostrożnego podróżnika czyhała śmierć.

Nad każdym z otworów wyryto w skale następujące symbole:



Jak tu wybrać właściwe przejście, kiedy sufit obniża się i za chwilę wepchnie całą jego drużynę do wody.

- Spokojnie, Jack - powiedział do siebie. - Klucz życia, klucz życia...

Popatrzył na symbol nad lewym otworem:



Blisko, ale to nie to. Ten hieroglif oznaczał magię. Imhotep V starał się zmylić zdenerwowanego, spanikowanego odkrywcę, który znalazłby się w tak stresującej sytuacji i nie przyjrzał uważnie inskrypcjom.

- No i jak, Jack? - Za jego plecami, na ostatnim kamieniu, pojawił się Wielkouchy z dziewczynką.

Sklepienie komnaty było już o połowę niżej niż początkowo i nadal się obniżało. Nie było już czasu na powrót. Musiał wybrać właściwe przejście.

- West... - ktoś z tyłu próbował go ponaglić.

Zachował zimną krew, spojrzał na symbol nad środkowym otworem...



...i rozpoznał w nim hieroglif anch, inaczej „długie życie”, znany starożytnym Egipcjanom jako „klucz życia”.

- To ten! - krzyknął.

Był tylko jeden sposób, aby przekonać się, czy miał rację.

Wyciągnął sokoła z torby i wręczył go dziewczynce.

- Trzymaj skarbie. Dbaj o Horsa, gdybym się jednak pomylił.

Odwrócił się i przykucnąwszy, rzucił się do środka. Zamknął na chwilę oczy, czekając, aż przebiją go zardzewiałe ostrza, spadające z góry.

Nic się nie wydarzyło.

Wybrał właściwy otwór. Faktycznie, jego oczom ukazał się wąski okrągły korytarz, prowadzący stromo w górę.

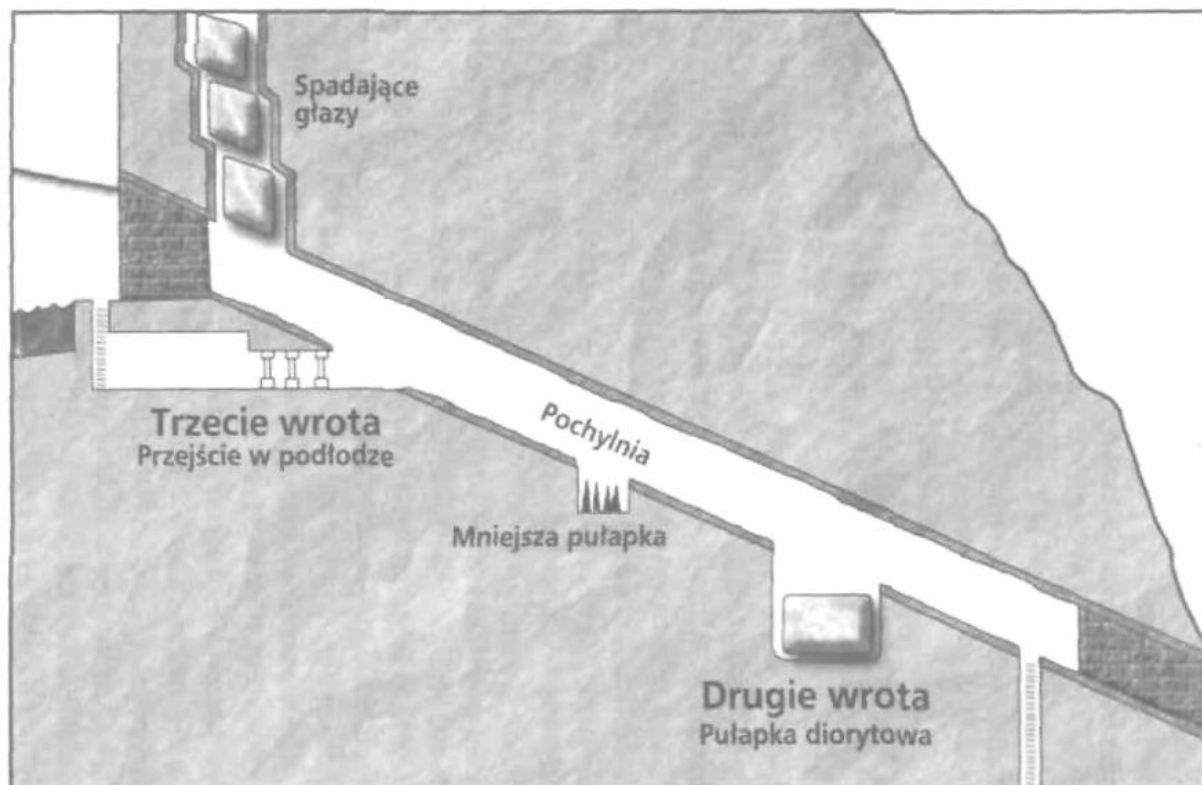
- Tędy! - krzyknął i zaczął wciągać członków zespołu, jednego po drugim, w wąskie przejście.

Pierwsi w środku wylądowali Wielkouchy i Lily, następnie Mistrz.

Sufit od powierzchni wody dzieliło nieco ponad metr.

Po chwili dołączyli do nich Kędzierzawy i Zoe.

Kiedy ostatni dwaj członkowie grupy Westa znaleźli się w środku, on sam wtoczył się w chwili, gdy kamienne sklepienie z łoskotem uderzyło w powierzchnię wody.



**WEJŚCIE POŁUDNIOWE**

## Pochylnia i drugie wrota

Ciasny pionowy korytarz miał około piętnastu metrów długości. Dalej znajdował się tunel, wznoszący się w górę i prowadzący w głąb wzgórze.

West rzucił przed siebie kolejną flarę.

Tunel był starą pochylnią. Miał szerokość samochodu, środkiem biegły schody, a po bokach powierzchnia była kamienna, idealnie gładka i służyła niegdyś do transportowania olbrzymich pojemników z urobkiem.

- Kędzierzawy? Jaka długość? - zapytał West, badawczo przyglądając się tunelowi.

Kędzierzawy skierował laserowy dalmierz w ciemność przed nimi. Kiedy mierzył odległość, West dostroił radio:

- Noddy, melduj.

- Amerykanów jeszcze tu nie ma - rozległ się głos Noddy'ego - ale szybko się zbliżają. Satelita namierzył ich śmigłowce pięćdziesiąt kilometrów stąd. Pospieszcie się.

- Robimy, co możemy - odparł West.

Wtrącił się Mistrz:

- Nie zapomnij powiedzieć Noddy'emu, że kiedy włączymy warblery, nie będziemy mieli łączności.

- Słyszałeś?

- Słyszałem. Bez odbioru.

Zapisał dalmierz Kędzierzawego.

- Pusta przestrzeń na dystansie... stu pięćdziesięciu metrów. West skrzywił się.

- Mam wrażenie, że wcale nie taka pusta.

Przecucie go nie myliło.

Wznosząca się pochylnia zawierała kilka pułapek: spadające nieoczekiwanie z pionowych szybów kaskady wody i kilka wilczych dołów, w których można było połamać nogi.

Cała ósemka biegła tunelem, omijając pułapki. W połowie długości tunelu dotarli do drugich wrót.

Drugie wrota nie były skomplikowane: trzymetrowej głębokości jama wykuta w diorytowej skale, a dalej pochylnia wznosząca się na odcinku długości pięciu metrów.

Na dole, w jamie brakowało bocznych ścian. W ich miejscu ziały dwa, szerokie na ponad dwa metry otwory. Kto wie, co się w nich kryje...

- Nisza wykuta w diorycie. Z diorytem poradzi sobie tylko jeszcze twardszy materiał - diolit. Nie użyjesz kilofa, żeby się stąd wydostać.

- Ostrożnie - powiedział Mistrz. - Tekst Kallimacha wspomina, że te wrota są połączone z następnymi. Kiedy je przekroczymy, uruchomimy mechanizm zabezpieczający trzecich wrót. Będziemy musieli szybko biec.

- W porządku - odparł West. - Jak dotąd nieźle nam to wychodzi.

Wywiercili w skalnym sklepieniu otwory, wkręcili w nie stalowe haki i przymocowali do nich uchwyty.

Ale kiedy West wylądował na skalnej półce po drugiej stronie jamy, zorientował się, że kamień, na którym stanął, uruchomił jakiś mechanizm. Pod naciskiem potężny kamienny blok obniżył się o dobre kilka centymetrów i nagle...

...bum! Ziemia się zatrzęsała. Gdzieś w oddali, przed nimi, w ciemnym tunelu, upadło coś ciężkiego i usłyszeli złowieszcze dudnienie.

- Cholera! - wykrzyknął West. - Następne wrota!

- Dzban przekleństw... - powiedziała Lily.

- Masz rację - rzekł West. - Biegniemy! Wielkouchy, bierz ją i szybko za mną.

Trzecie wrota

Biegli w górę pochylni po schodkach wykutych w skalnym podłożu.

W dalszym ciągu słychać było gdzieś w ciemności przed nimi złowieszcze dudnienie.

Tylko raz przystanęli, kiedy na swojej drodze napotkali półtorametrowej długości jamę, wypełnioną ostrymi szpikulcami. Lecz o dziwo, po obu stronach, pod ścianami można było swobodnie przejść.

West odpalił kolejną flarę i wtedy zobaczyli, z czym muszą się zmierzyć.

- Spadające głazy! - krzyknął Mistrz. - One strzegą trzecich wrót!

Olbrzymi kwadratowy granitowy głaz, wypełniający całą przestrzeń pochylni, najeżony przerażającymi kolcami, sunął w dół pochylni wprost na nich!

Sposób działania był prosty - jeśli głaz nie wepchnie ich do jamy, gdzie nadzieją się na ostre szpikulce, to zepchnie ich dalej w dół, do jamy wykutej w diorytowej skale i zmiążdży swoim ciężarem.

Jezu!

W połowie drogi pomiędzy ześlizgującym się głazem a biegnącymi ludźmi w podłożu znajdowało się wejście do poziomego korytarza.

Trzecie i ostatnie wrota.

Rzucili się biegiem do przodu.

Kamienny blok, sunąc w dół pochylni, dzięki sile grawitacji i własnej masie nabierał cały czas prędkości.

To był prawdziwy wyścig.

West, Wielkouchy i dziewczynka dobiegli do wejścia do korytarza i schronili się w nim.

Następny zjawił się Mistrz, a za nim Kędzierzawy i Księżniczka Zoe.

Granitowy głaz był już nad ich głowami, kiedy pozostali dwaj członkowie zespołu dotarli do wejścia.

- Długi! Puchatek! Prędzej! - zawołał West.



Wysoki i szczupły Długi dał nura, wślizgując się pod sunącym kamieniem do korytarza, o ułamki sekundy wcześniej, nim gładz całkowicie zasłonił przejście.

Drugi mężczyzna nie zdążył.

Był najtęższy w całej grupie. Miał oliwkową cerę i bujną brodę, co upodobało go do arabskiego szejka. We własnym kraju znany był pod pseudonimem Saladyn, ale tutaj...

- Kubuś Puchatek! Nie! Nieeee! - krzyknęła dziewczynka.

Kamień prześlizgnął się nad wejściem do korytarza i mimo ostatniej, desperackiej próby rzucenia się w mroczny otwór przejścia Kubuś Puchatek nie zdążył; pozostał w pochylni zdany na łaskę granitowego bloku.

- Nieeee! - krzyknął West, kopiąc z bezsilną złością kamień, który porwał bezbronnego Puchatka.

- Biedny Zahir... - wyszeptał Mistrz.

Na moment zapadła cisza.

Pozostała siódemka członków zespołu stała w milczeniu. Lily zaczęła cicho szlochać.

Nagle West zamrugał, coś popychało go do działania.

- Chodźcie. Mamy zadanie do wykonania, a żeby je wykonać, musimy iść naprzód. Wiedzieliśmy od początku, że nie będzie to łatwe. A przecież, do cholery, dopiero zaczynamy...

Odwrócił się i wbił wzrok w rozciągający się przed nimi poziomy korytarz.

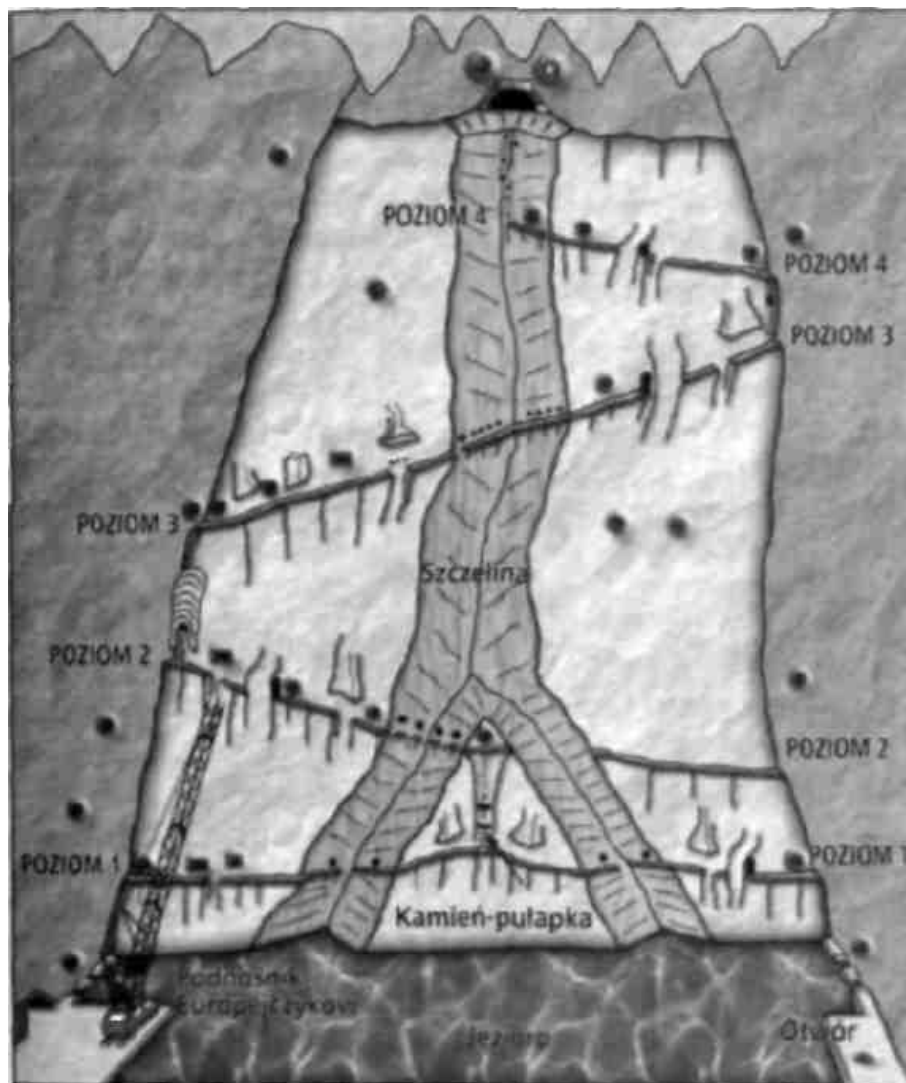
Na jego końcu wykuto w skale stopnie prowadzące pionowo w górę do otworu w sklepieniu.

Z tego otworu sączyło się białe, ostre światło.

Światło elektryczne.

Światło, które było dziełem człowieka.

- ...a będzie jeszcze trudniej. Właśnie dogoniliśmy Europejczyków.



WIELKA GROTA

Wielka grot

West wychylił głowę z otworu i jego oczom ukazał się widok zapierający dech w piersiach.

Znajdował się na samym dnie gigantycznej jaskini ukrytej we wnętrzu wzgórza, której wysokość przekraczała sto metrów, a kształt przypominał stożek o szerokiej podstawie.

Niegdyś znajdował się tu kamieniołom.

West był na południowym skraju groty, a dobre sto metrów od niego, na północnym krańcu, rozłożyli się Europejczycy ze swoim sprzętem - reflektorami i... montowanym właśnie podnośnikiem.

Bez wątpienia największe wrażenie robiła diorytowa ściana skalna koloru antracytu. Wyrastała u podstawy i ciągnąc się przez całą wysokość groty, ginęła w mroku u jej szczytu, tam dokąd nie docierało już światło reflektorów. Olbrzymia czarna ściana.

Starożytni Egipcjanie eksploatowali tu złoża diorytu - wykuli w pionowej skale cztery wąskie półki skalne, tak że wyglądała ona teraz jak trzydziestopiętrowy biurowiec, podzielony na cztery poziomy. Każda z półek skalnych biegła przez całą szerokość ściany, a były tak wąskie, że z trudem mogłyby się na nich minąć dwie osoby.

Jakby tego było mało, Imhotep V zamienił tę niezwykłą budowlę w cud inżynierii obronnej.

Krótko mówiąc, umieścił tu setki pułapek.

Cztery wąskie półki to obniżały swój bieg, to się wznosiły.

Każda z nich kończyła się wykutą w skale drabiną, prowadzącą na wyższy poziom.

Jedyny wyjątek stanowiła drabina pomiędzy pierwszym a drugim poziomem - ta była umiejscowiona dokładnie pośrodku jaskini, w równej odległości zarówno od północnego, jak i południowego wejścia. Tak jakby Imhotep V przewidział wyścig dwóch rywali, dążących do tego samego celu.

Skalne półki wycięto w litej diorytowej skale, więc użycie bosaków do podciągnięcia się na wyższy poziom nie wchodziło w rachubę - nawet by nie zarysowały twardej, czarnej skały. Aby dotrzeć na szczyt, należało przejść każdy poziom i strzec się zastawionych pułapek.

A było ich tu niemało!

W ścianie widniały setki otworów wielkości piłki do koszykówki, zawierających Bóg jeden wie jaką substancję. Tam gdzie widocznie nie udało się wywiercić otworów, zwisały jak węże długie kamienne rynny, z których na nieostrożnego intruza mógłby popłynąć jakiś cuchnący płyn.

West, przyglądając się otworom w ścianie, wyczuł w powietrzu charakterystyczny zapach ropy naftowej, co pozwoliło mu się domyślić, jaka ciecz może z nich wypłynąć.

Pozostała jeszcze jedna rzecz.

Szczelina.

Wielka, nieregularna szczelina wyłobiona w skalnej ścianie, biegnąca w dół, przecinająca skalne półki. Wyglądała jak suche koryto rzeki, tyle że biegnące pionowo, a nie poziomo.

U szczytu jaskini była to pojedyncza wąska szczelina, im bliżej dna groty, tym szersza, aż w pewnym momencie rozszczepiała się na dwie mniejsze.

Z niewidocznego stąd źródła, bijącego gdzieś u szczytu wzgórza, ściekała nią niewielka strużka wody.

Aby przedostać się przez szczelinę na którymkolwiek z poziomów, trzeba było przejść na palcach wąską na trzydzieści centymetrów półką albo skoczyć nad przepaścią. W obu wypadkach nie dało się uniknąć zbliżenia do tajemniczych otworów w ścianie ani ukrytych w mroku zakamarków.

Woda spływająca szczeliną zasilala rozległe jezioro, znajdujące się u podstawy skalnej ściany. Właśnie to jezioro oddzielało teraz Westa i jego zespół od sił Europejczyków. W wodzie z chłopotem pływało około sześćdziesięciu krokodyli. Na samym szczycie olbrzymiej ściany znajdował się niewielki otwór wykuty w skale, prowadzący do legendarnego skarbu - głowy jednego z cudów świata.

Wystawiwszy głowę znad krawędzi wjazdu, West przyglądał się na wpół gotowemu dźwigowi Europejczyków.

Dziesiątki mężczyzn donosiły do jaskini kolejne elementy, które pod kontrolą inżynierów były natychmiast montowane.

W samym środku tego zamieszania West dostrzegł przywódcę Europejczyków, jezuitę del Piera. Stał wyprostowany, z rękoma założonymi do tyłu. Del Piero miał sześćdziesiąt osiem lat, rzadziej czarne, proste włosy, szare oczy o złowrogim spojrzeniu, głębokie zmarszczki na twarzy i ten rzadki wyraz twarzy człowieka wiecznie niezadowolonego z innych.

Uwagę Westa przykuła inna postać, drobna, stojąca u boku del Piera.

Chłopiec.

Czarnowłosa i czarnooki.

Oczy Westa się rozszerzyły. Widział już kiedyś tego chłopca. Dziesięć lat temu...

Chłopiec stał obok del Piera i naśladował wyniosłą postawę starego jezuitę, również założył ręce do tyłu.

Musiał mieć mniej więcej tyle lat co Lily.

Nie, poprawił się West. Miał dokładnie tyle samo lat co Lily.

West przeniósł wzrok ponownie na dźwig.

To był świetny pomysł.

Kiedy dźwig będzie gotowy, wyniesie Europejczyków bezpośrednio na drugą półkę.

Unikną dzięki temu około dziesięciu pułapek, a przede wszystkim jednej, najbardziej niebezpiecznej w tej jaskini - Wielkich Sideł.

West dowiedział się o nich z tekstu Kallimacha, którego watykańską kopię znał z pewnością także del Piero i Europejczycy. Wspominały o nich także inne starożytne pisma poświęcone Imhotepowi V.

Każdy z Imhotepów miał swój sposób zakładania pułapek; Imhotep V był twórcą Wielkich Sidel - pułapki, która uruchamiała się, nim poszukiwacz dotarł do najbardziej ukrytego skarbcza. I wtedy, na tym ostatnim etapie podróży, zaczynał się wyścig z czasem. Mistrz zwykł o tym mawiać: Pokonywanie głupich pułapek to jedno, ale pokonywanie ich na czas to zupełnie inna sprawa.

Wielkie Sidła nie były tak prymitywne, by zniszczyć cały system pułapek: jak większość konstrukcji Imhotepa V można ich było użyć ponownie.

Na ogół Wielkie Sidła stawiały człowieka przed wyborem - działaj albo zginiesz. Jeśli się wykazał, nagrodą był skarb, jeśli nie - umierał.

Tekst Kallimacha informował, że kamień uruchamiający mechanizm Wielkich Sidel znajdował się dokładnie pośrodku pierwszej półki skalnej, u podstawy drabiny.

Z otworu obok Westa wychylił się Mistrz i rozejrzał naokoło.

- Aha, dźwig. Dzięki niemu del Piero uniknie ryzyka uruchomienia Wielkich Sidel i będzie miał więcej czasu w świętym świętych. Bardzo sprytnie.

- Nie, to nie jest sprytnie - cicho odparł West.

- To wbrew regułom.

- Regułom?

- Tak, regułom. To jest przecież prowadzony od czterech tysięcy lat wyścig pomiędzy egipskimi architektami a rabusiami grobów. W tym wyścigu obowiązują zasady honorowe - my atakujemy, Imhotep Piąty się broni. Omijając kamień uruchamiający mechanizm, del Piero oszukuje. I pokazuje swoją słabość.

- To znaczy?

- To znaczy, że nie wierzy, by mógł pokonać Wielkie Sidła. - West uśmiechnął się. - A my pokonamy.

West zszedł po drabinie i zwrócił się do swoich towarzyszy.

- Dobra, dzieciaki. Do tego się przygotowaliśmy. Idzie my gęsiego, pamiętacie swoje miejsca w szeregu. Lily, ty idziesz ze mną w środku kolumny. Kędzierzawy, ty idziesz pierwszy i unieszkodliwiasz. Dalej Wielkouchy, Zoe i Długi. Mistrzu, ty zastąpisz Puchatka, który miał ubezpieczać piątkę. Ja uruchamiam Wielkie Sidła.

Wszyscy przytaknęli; gra się zaczęła.

West odwrócił się do Mistrza.

- Profesorze, twoje warblery są gotowe? Europejczycy na pewno zaczną do nas strzelać.

- Gotowe - odparł Mistrz, unosząc trzymane w ręku urządzenie, które przypominało ręczny granatnik M - 203. - Miną jakieś cztery sekundy, nim to zacznie działać.

- Daję ci trzy.

Stanęli w kręgu, złożyli razem dłonie do środka, zawołali Kamaté! i ruszyli do boju. Na czele wspinał się po drabinie Mistrz.

Mistrz wychylił się z otworu z uniesionym granatnikiem. Wystrzelił trzykrotnie, czemu towarzyszył głośny i przypominający przekłucie balonu dźwięk.

Pociski, które wylatywały z lufy, przypominały granaty, ale nimi nie były. Masywne, okrągłe, srebrne pofrunęły do trzech narożników wielkiej groty.

Europejczycy usłyszeli pierwszy strzał, a przy trzecim udało im się zlokalizować Mistrza.

Francuski snajper, siedzący w kabinie dźwigu, zwrócił karabin w jego stronę, wymierzył prosto w głowę i nacisnął spust.

Pocisk sfiksował.

Niemal w tej samej chwili, gdy opuścił lufę karabinu, zaczął spadać pionowo w dół i trafił w pechowego krokodyla, zabijając go na miejscu.

Warblery działają.

Te trzy srebrne pociski, które wystrzelił Mistrz, znane są jako destabilizatory pola elektromagnetycznego, działają w zamkniętych przestrzeniach, a popularnie określa się je mianem „śpiewak”.

Był to wyjątkowy wynalazek Mistrza. Warblery wytwarzały pole magnetyczne, które zakłócało ruch metalowych przedmiotów poruszających się z prędkością bliską dźwięku, a więc pocisków niestanowiących dzięki temu zagrożenia.

Mistrz, jeden z najwybitniejszych specjalistów w dziedzinie elektromagnetyzmu, sprzedał tę rewolucyjną technologię firmie Raytheon w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym za dwadzieścia pięć milionów dolarów, których większość musiał oddać nowojorskiej firmie zajmującej się obrotem kapitałem wysokiego ryzyka i finansującej jego badania. Pozostały mu w kieszeni tylko dwa miliony i Mistrz obiecał sobie, że już nigdy nie będzie współpracował z takimi firmami.

Jak na ironię, armia, która zawsze wie wszystko lepiej, zleciła firmie Raytheon wprowadzenie zmian do wynalazku, co spowodowało masę problemów i opóźniło cały program o ponad piętnaście lat. Dopiero w tej chwili urządzenie miało znaleźć się na wyposażeniu wojska.

Mistrz był Kanadyjczykiem, nie Amerykaninem, i zostawił sobie kilka działających prototypów, z których trzech właśnie użył.

Siedmioro ludzi, jeden po drugim, wyskoczyło szybko z włazu i skierowało ku najbliższej drabinie wiodącej na pierwszą skalną półkę.

Biegący w środku grupy West wypuścił Horusa i teraz mały sokół skrzeczał głośno nad ich głowami.

Jamajczyk Kędzierzawy biegł na przedzie, lawirując na wąskiej kamiennej ścieżce ciągnącej się wzdłuż skalnej ściany groty. Wystarczył jeden nieostrożny ruch; przy brzegu ścieżki kłębiło się całe stado krokodyli.

Kędzierzawy dzierżył w dłoniach wykonany z lekkiego tytanowego stopu pręt zespawany w literę X.

W połowie swojej długości ścieżka nieoczekiwanie się urywała. Z wyrwy wyłaniał się ledwie na centymetr ponad poziom wody spory głaz.

Tuż nad nim, wykuty w kamiennej ścianie, ział mroczny otwór o średnicy około metra.

Kędzierzawy nie zwolnił.

Skoczył bez zastanowienia na wystający głaz i ...

...nagle z otworu dało się słyszeć szum płynącej wody, któremu wtórował głośny pomruk pływających nieopodal krokodyli.

W tej samej chwili wcisnął krzyżak do otworu i nacisnął niewidoczny przycisk.

Metalowe pręty poruszone potężną sprężyną rozszerzyły się i zaklinowały w okrągłym ujściu otworu.

W ostatniej chwili. Sekundę później z otworu chlusnęła struga wody, a wraz z nią wielki krokodyl, który zatrzymał się z rozwartą paszczą na metalowym krzyżaku.

Krokodyl zaryczał wściekle z bezsilności, bo jego potężne szczęki uwięzły pomiędzy prętami. Strugi wody zalały Kędzierzawego, ale nie zdołały go przewrócić.

- Pierwsza pułapka zabezpieczona! - wrzasnął.

Pozostali już byli przy nim i podczas gdy on nie spuszczał oka ze skręcającego się krokodyla, bezpiecznie przeskakiwali po kamieniu - pułapce na ścieżkę.

Teraz grupie przewodził Wielkouchy, który biegł naprzód, by unieszkodliwić następną pułapkę. Cała siódemka zmierzała w kierunku drabiny u podstawy skalnego urwiska.

Europejczykom pozostawało patrzeć w bezbrzeżnym zdumieniu na biegnących przeciwników.

Tylko Francisco del Piero, który uważnie się przyglądał, wypatrzył wśród nich Westa trzymającego za rękę Lily.

- Proszę, proszę - powiedział jezuita. - Kogo my tu mamy? Kapitan West...?

Dotarli do podstawy skalnej ściany.

Nad ich głowami piętrzyła się czarna jak noc, wysoka jak budynek skała.

Wielkouchy wykonał swoje zadanie, unieszkodliwiając w połowie drabiny dwie pułapki, które mogły komuś nieostrożnemu odrąbać ręce.

Teraz na czele stała Księżniczka Zoe. Poruszała się równie sprawnie jak mężczyźni. Zoe miała około trzydziestu lat, jasne, długie do ramion włosy, piegi i błyszczące oczy tak niebieskie, jakie tylko można spotkać u Irlandki.

Kiedy znalazła się na pierwszej półce, sięgnęła po puszki, które miała przy sobie, i wypełniła dwa otwory w ścianie szybko zwiększając swoją objętość



pianką. Jeśli kryło się w tych otworach jakieś diabelstwo, zostało teraz uwięzione w środku i unieszkodliwione.

W tym momencie na czoło ekipy wyszedł siódmy członek grupy, wysoki, szczupły żołnierz, zwany Długim. Wcześniej nazywano go Łucznikiem. Miał pociągłą twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, twarz, z której tchnął optymizm. Wywodził się z elitarnego izraelskiego oddziału snajperów, Sajaret Matkal.

Długi dotarł do prawego boku szczeliny i z bezpiecznej odległości uruchomił kolejną śmiertelną pułapkę - klatkę wykonaną z brązu, która spadła gdzieś z góry i wylądowała w jeziorze.

Gdyby w tej chwili ktokolwiek z grupy szedł wąską w tym miejscu ścieżką, zostałyby schwytany i pociągnięty w dół, pod wodę, gdzie już czekały krokodyle.

Nadszedł czas, by przewodnictwo objął West i Lily. Przeszli ścieżką obok szczeliny i zatrzymali się dokładnie pośrodku pierwszej półki skalnej.

Tutaj, w miejscu gdzie wykuta w skale drabina prowadziła ku drugiemu poziomowi, znajdował się kamień uruchamiający mechanizm Wielkich Sidel. West miał właśnie postawić na nim nogę, kiedy usłyszał za sobą głos:

- Kapitanie West!

Mężczyzna zamarł z uniesioną nogą, po czym się odwrócił.

Del Piero i jego ludzie stali obok na wpół ukończonego dźwigu i patrzyli na niego, trzymając uniesioną, bezużyteczną w tej chwili broń.

- Niech pan się dobrze zastanowi, kapitanie, zanim pan to zrobi! - zawołał del Piero. - Czy to jest rzeczywiście potrzebne? Nawet jeśli uruchomi pan Wielkie Sidła, i tak odroczy pan tylko to, co nieuniknione. Choćby jakimś cudem udało wam się dotrzeć do skarbu, zabijemy was, kiedy będziecie stąd wychodzić. A jeśli nie, zaczekamy, aż Wielkie Sidła powrócą do stanu pierwotnego, dotrzemy na górę i znajdziemy głowę kolosa oraz kawałek czapy piramidy. Tak czy inaczej to my zdobędziemy skarb.

West zmrużył oczy, lecz nie odezwał się ani słowem.

Del Piero spróbował przemówić do rozsądku Mistrzowi.

- Max, stary druhu, przyjacielu. Proszę, przekonaj swojego nierozważnego młodego protegowanego.

Mistrz tylko potrząsnął głową.

- Już dawno temu nasze drogi się rozeszły, Francisco. Ty działasz po swojemu, my po swojemu. Jack. Uruchamiaj mechanizm.

West ze spokojem spoglądał z góry na jezuیتę.

- Z przyjemnością - odparł w końcu i postawił nogę na kamieniu, uruchamiając Wielkie Sidła.

Uruchomieniu Wielkich Sidel towarzyszyło niezwykle widowisko.

Z setek otworów znajdujących się w ścianach groty wytrysnęły strumienie czarnej ropy.

Dziesiątki wodospadów spływały teraz po ścianach, pokonując cztery kolejne półki skalne. Z bocznych ścian czarna ciecz spadała kaskadami z wysokości sześćdziesięciu metrów wprost do jeziora pełnego krokodyli.

Zwierzęta wpadły w szal, przeskakiwały jedne nad drugimi, usiłując wydostać się z pułapki - zniknąć w którymś z licznych niewielkich otworów w ścianach lub wyjść na brzeg jeziora. W kilku miejscach ropa pod olbrzymim ciśnieniem rozsadziła skałę i wytryskiwała z nowo powstałych szczelin.

Najgorsze było to, że głównym korytem Wielkiej Szczeliny zaczęła właściwie już płynąć rzeka czarnej cieczy, zastępując ciekącą dotychczas niewielką stróżkę wody.

Nagle, z wielu stron, ich uszu dobiegły dziwne trzaski. To uruchomiły się zamontowane nad otworami mechanizmy wykonane z krzemienia.

Miały do wykonania proste zadanie - skrzesać ogień.

W pewnej chwili jedna z iskier gdzieś wysoko na bocznej ścianie zetknęła się z wypływającą z otworu ropą.

Rezultat był oszalamiający.

Cienka stróżka płynącej ropy zamieniła się w ciekłą stróżkę ognia, i kiedy ten płonący wodospad zetknął się z powierzchnią jeziora, cała grotka rozświetliła się oślepiającym żółtym blaskiem.

Jezioro stanęło w ogniu.

Słychać było ryk krokodyli, usiłujących wydostać się z płonącej pułapki.

Po kolei w ogniu stawały kolejne stróżki ropy - najpierw na bocznych ścianach grotki, potem na ścianie frontowej, aż wreszcie zapalił się potok rwący Wielką Szczeliną. Grotka, rozjarzona dziesiątkami ognistych wodospadów, przypominała teraz piekło.

Ciężkie czarne obłoki dymu, nie mogąc znaleźć ujścia, zasnuły całą jaskinię.

To było kolejne mistrzowskie posunięcie Imhotepa.

Jeśli udało się uniknąć śmierci w płomieniach, jeśli ominęło się rozliczne pułapki, to dym gromadzący się w górnej części jaskini powinien dokończyć dzieła.

- Głupcy! - szalał ze złości del Piero. - Co tak stoicie?! Montujcie dźwig! Ma być gotowy, zanim dotrą na drugi poziom!

Ekipa Westa jeszcze bardziej przyspieszyła pośród wszechogarniającego morza ognia. Wspinali się, robiąc uniki przed płynnym ogniem i omijając pułapki czyhające w sklepionych łukowato wylotach wąskich korytarzy.

Wszędzie wokół spadały ogniste krople, które rozbryzgiwały się na stalowych powierzchniach hełmów strażackich.

Wreszcie cała grupa minęła nieukończony jeszcze ramię dźwigu Europejczyków i po raz pierwszy tego dnia znalazła się na czele wyścigu.

Z poziomu drugiego przebiegli, ominawszy szczęśliwie pułapki, na poziom trzeci i zbliżyli się teraz do płonącej Wielkiej Szczeliny. West rozpiął i umocował do ściany specjalną aluminiową osłonę, która zakryła płonąca ropę.

Rozpięta zasłona pozwoliła im przejść wąską ścieżkę prowadzącą tuż przy szczelinie.

Kiedy do pokonania pozostała im już tylko ostatnia drabina prowadząca na czwarty, najwyższy poziom, z góry zaczęło spadać sześć dziesięciotonowych głazów. Wielkie bloki skalne z hukiem uderzyły w diorytową skalną półkę poziomu czwartego i zaczęły toczyć się dalej w dół.

- Z drabiny! - wrzasnął West do pozostałych. - Bo was zmiotą!

Za późno.

W chwili gdy West wykrzykiwał swoje ostrzeżenie, jeden z głazów trafił w ostatniego na drabinie Kędzierzawego i stracił go w dół. Wielki Jamajczyk w jednej chwili znalazł się na trzecim poziomie. Lądując, uruchomił mechanizm, który sprawił, że ze ściany niczym miotacz płomieni trysnął gejzer płonącej ropy. W ostatniej chwili udało mu się przeturlać w bok, dzięki czemu nie dosięgły go jęzory ognia. Jeszcze jeden obrót i kolejny głaz minął jego głowę ledwie o centymetry. Kędzierzawy stoczył się z półki, lecz w ostatniej chwili uczeplił się palcami jej brzegów, unikając upadku na poziom drugi.

Ostatnia drabina prowadziła środkiem szczeliny i była teraz z dwóch stron otoczona płonącymi wodospadami.

Mistrz rozpiął nad ścieżką prowadzącą do drabiny kolejną osłonę, dzięki czemu West i Lily zdołali do niej dotrzeć.

- Pamiętajcie - powiedział Mistrz - jeśli nie będziecie mogli zabrać ze sobą fragmentu czapy, przepiszcie przynajmniej inskrypcję, która się na niej znajduje.

- Jasne - odparł West, odwracając się do Lily. - Teraz idziemy już tylko my.

Płonące krople spadały na ich głowy, rozpryskując się na hełmach. Przy co drugim lub trzecim uchwycie drabiny znajdowały się tajemnicze otwory, które West zatykał na wszelki wypadek pianką montażową.

- Jack! Uważaj! Spadają kamienie! - krzyknął Mistrz.

West zadarł głowę.

- O psiakrew...!

Wielki głaz pokryty płonąca ropą z hukiem zmierzał w kierunku drabiny, na której właśnie się znajdowali.

- Dzban przekleństw... - napomniała Westa Lily.

- Wybacz.

West sięgnął bez zastanowienia po dziwnie wyglądający pistolet - przypominał raketnicę, miał olbrzymią lufę i w rzeczywistości był ręcznym granatnikiem.

Wycelował w zbliżający się nieuchronnie kamień i nacisnął spust.

Granat poszybował w górę.

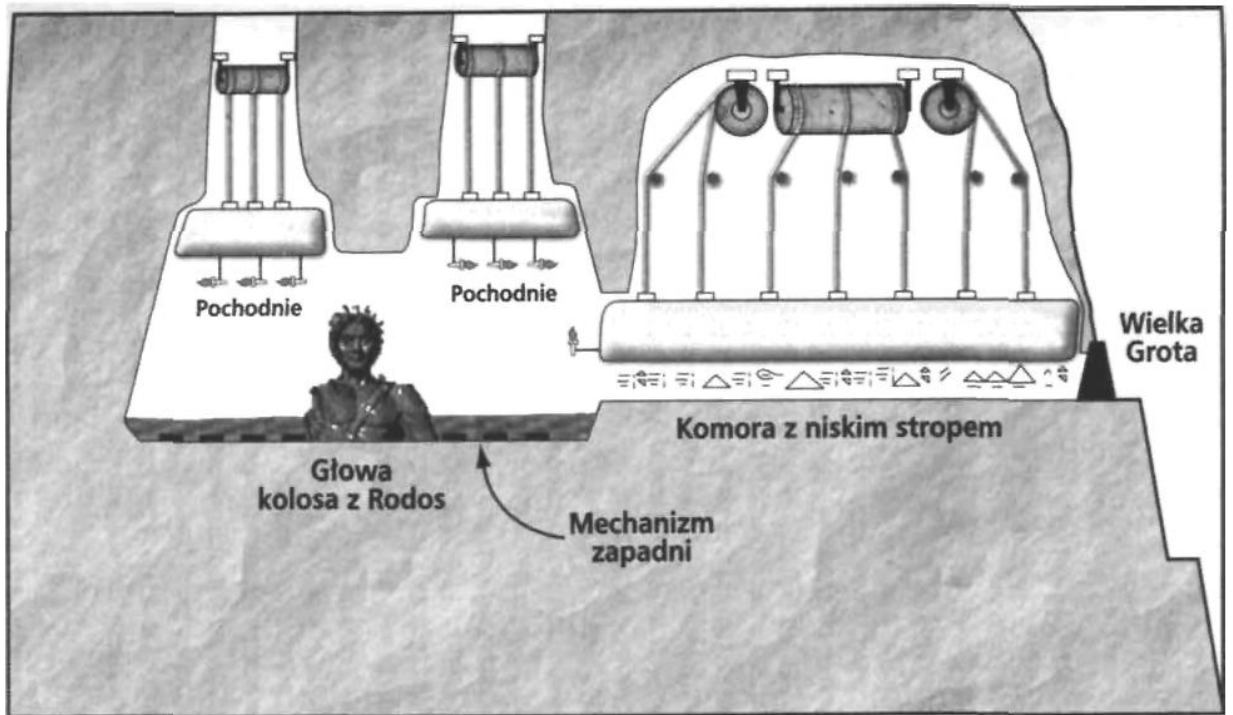
Trafiony głaz eksplodował deszczem tysięcy odłamków skalnych i kamyków, które spadały teraz tuż obok znajdujących się na drabinie Lily i Westa. Szybko pokonali pozostały odcinek i nareszcie stanęli na samym szczycie olbrzymiej ściany skalnej, przed trapezoidalnymi drzwiami prowadzącymi w głąb.

- No dobrze, szkrabie - powiedział West. - Pamiętasz wszystko z tego, co ćwiczyliśmy?

Lily uwielbiała, kiedy mówił do niej „szkrabie”.

- Tak jest! - odparła.

Skinęli do siebie głowami i weszli do świętego wnętrza upiornego labiryntu Imhotepa.



**WNĘTRZE JASKINI**

Wnętrze jaskini

W środku czekały na nich kolejne pułapki.

Stali w sali, której strop znajdował się na wysokości dwóch metrów i w dodatku się obniżał. Sala miała około trzydziestu metrów szerokości. Strop był wyciosany z jednego kamiennego bloku i sunął teraz powoli niczym olbrzymia prasa hydrauliczna.

Gdyby mieli czas, żeby się rozejrzeć, dostrzegliby, że ściany są pokryte wyobrażeniami piramidy Cheopsa - na większości z nich przeszytej promieniem światła słonecznego.

Ale uwagę Westa i Lily przykuło coś, co znajdowało się dalej, za salą, w której aktualnie przebywali.

Tam gdzie kończyła się szeroka, niska sala, stała olbrzymia, pokryta błotem głowa. Miała co najmniej pięć metrów wysokości i była trzykrotnie wyższa od Westa.

Mimo pokrywającej ją warstwy błota widać było olśniewające piękno rysów klasycznej greckiej twarzy, władcze oczy i wspaniałą złotą koronę umieszczoną nad czołem.

Tak, to była głowa posągu z brązu.

Najsłynniejszego posągu w dziejach.

Głowa kolosa z Rodos.

Posąg ze wszystkich stron otaczała fosa wypełniona ropą.

Wielka, boskich rozmiarów głowa wyrastała z oleistego jeziora jak jakieś stworzenie wyłaniające się z pierwotnego szlamu. Nie było tu żadnego postumentu, żadnej wyspy, na której można by odprawiać obrzędy.

Kiedy spojrzeli w górę, zrozumieli, że pojawił się kolejny problem: nad głową kolosa wisiał szereg płonących pochodni, zapalonych przez jakiś ukryty krzemienisty mechanizm i przymocowanych do obniżającego się cały czas stropu. Oznaczało to, że wkrótce pochodnie dotrą do jeziora wypełnionego ropą i zapalą ją, skutecznie odcinając dostęp do głowy.

- Nie mamy czasu, biegniemy - powiedział West.

- Jasne! - odparła Lily.

Ruszyli biegiem przez szeroką salę.

Z zewnątrz do sali docierały obłoki gryzącego w gardło dymu. Dotarli wreszcie do fosy wypełnionej ropą.

- Jeśli Kallimach się nie mylił, nie powinno tu być zbyt głęboko - rzekł West i bez wahania wskoczył do jeziora, zanurzając się po pas w gęstej cieczy. - Skacz! - krzyknął do Lily, a ta, niewiele myśląc, wpadła mu wprost w ramiona.

Brodzili w oleistej mazi, West trzymał Lily cały czas na rękach, a pochodnie wraz z całym stropem stopniowo się obniżały.

Powoli zamykała się ich droga ucieczki. Jack West dotarł wreszcie w pobliże głowy posągu, która górowała nad nim dumna, niewzruszona, pokryta

blotem nagromadzonym przez stulecia. Oko posągu było tej samej wielkości co Lily. Spod warstwy błota połyskiwała złota korona, a trzy złote wisiory zwieszały się z grubego łańcucha na szyi.

Wisiory.

Każdy z nich był wielkości opasłego tomu i miał kształt trapezu. Dokładnie pośrodku każdego wisiora znajdował się wielki, przypominający diament kamień.

Na ukośnych bokach wryto misternie ciąg tajemniczych symboli, przypominających nieco jakąś formę pisma klinowego.

To było starożytne pismo, znane tylko nielicznym.

West przyglądał się z uwagą wisiorom.

Jeden z nich był Drugim Kawałkiem złotej czapy - miniaturowej piramidy, zdobiącej niegdyś wierzchołek piramidy Cheopsa. Składająca się z siedmiu części złota czapa była zapewne największym archeologicznym skarbem wszech czasów, a od miesiąca także obiektem największej akcji poszukiwawczej. Znajdujący się tu fragment, Drugi Kawałek, był częścią złotej czapy i pierwotnie znajdował się poniżej Pierwszego Kawałka, legendarnego pinakla wieńczącego piramidę.

Trzy wisiory. I tylko jeden jest tym właściwym.

Właściwy wybór był kwestią życia lub śmierci, a tego wyboru mogła dokonać jedynie Lily.

Aby dotrzeć do wisiorów, West musiał zrobić jeszcze jeden krok naprzód, krok, który oznaczał uruchomienie ukrytego w podłodze mechanizmu ostatniej już pułapki.

- No dobrze, szkrabie. Jesteś gotowa? Na miłość boską, mam nadzieję, że tak.

- Jestem gotowa - odparła z determinacją Lily.

West postąpił krok naprzód i mechanizm ukryty pod warstwą ropy zacisnął się szczelnie wokół jego nóg, unieruchamiając go.

West nie mógł się poruszyć, ale za to wisiory znalazły się w zasięgu jego rąk.

- Lily - zwrócił się do dziewczynki. - Wybieraj. I odsuń się ode mnie, na wypadek gdybyś się pomyliła.

Zeskoczyła z jego ramion na zanurzony do połowy obojczyk posągu i wtedy olbrzymi dziesięcotonowy głaz nad głową Westa rozświetlił się blaskiem pochodni i zakołysał na podtrzymujących go łańcuchach.

Ostatnia pułapka Imhotepa V była nagrodą. Jeśli dokona się właściwego wyboru, Drugi Kawałek należy do znalazcy. Rozświetlony pochodniami głaz pozostanie na swoim miejscu, uchwytów wiążących nogi ustąpią. Ale gdyby ktoś nieopatrznie wybrał nieodpowiedni wisior, wówczas głaz spadłby, miażdżąc intruza i zapalając ropę.

Lily przyglądała się uważnie dziwacznym napisom na wszystkich wisiorach. Zdumiewający był widok małej dziewczynki odcyfrowującej starożytne symbole.

West patrzył na nią w napięciu, wyczekująco... i z niepokojem.

- Możesz je odczytać? - zapytał.

- Wyglądają inaczej niż inskrypcje, które wcześniej czytałam - odparła strapiona.

- Co takiego?! - West zbladł.

Nagle w oczach Lily pojawił się błysk zrozumienia.

- Ach, mam! Niektóre słowa są napisane pionowo!

Zmrużyła oczy, które zapłonęły dziwnym blaskiem, i skupiła spojrzenie na inskrypcji.

Wyglądało to tak, jakby wpadła w swoisty rodzaj transu.

W pewnej chwili głaz nad jego głową wydał dziwny dźwięk. West zadarł głowę.

Strop z podwieszonymi pod nim pochodniami cały czas się obniżał.

Z głównej sali jaskini napływały kłęby dymu.

West obrócił się za siebie i patrzył, jak pomieszczenie, z którego przyszli, staje się coraz mniejsze, coraz niższe.

Lily nie odrywała wzroku od napisów.

- Lily?

- Chwileczkę.

- Nie mamy już czasu, kochanie. - Patrzył, jak zamyka się ich droga odwrotu. Dym gęstniał.

Nagle jedna z pochodni przymocowanych do obniżającego się sklepienia odpadła i zaczęła spadać.

Dokładnie w to miejsce, gdzie stał bezradny, unieruchomiony West!

- Och, Boże! Nie! - zdążył tylko wyszeptać.

Kiedy pochodnia już miała się zetknąć z powierzchnią łatwopalnej cieczy, nieoczekiwanie ukazał się zarys lecącego lotem nurkowym Horusa.

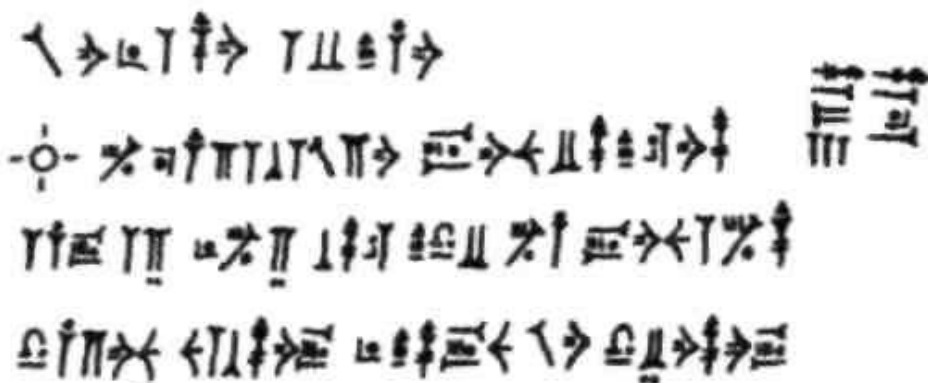
Sokół złapał szponami pochodnię i rzucił ją na ziemię w sali, z której przyszli.

- Nie rób tego w ostatniej chwili, ptaszku - rzekł West.

Horus zwrócił głowę w jego stronę, jakby chciał powiedzieć: Dlaczego nie przestajesz się pakować w kłopoty, człowieku?

W oczach Lily pojawił się błysk, kiedy zatrzymała wzrok na inskrypcji wyrytej na prawym wisiorze.





Lily zaczęła czytać ściszym głosem:

*Strzeż się. Odpokutuj.  
Nadszedł nieprzejednany Niszczyciel  
boga Re.  
Wszyscy zapłaczą w rozpacz  
Jeśli nie zostaną wypowiedziane święte  
słowa.*

Lily zamrugała powiekami i wróciła do rzeczywistości.

- To ten! - wykrzyknęła, wskazując ręką wisior.

- Zaczekaj, jesteś pewna?

Lily, nie zwlekając, wyjęła wisior z płytkiego zagłębienia na szyi kolosa.

Zakołysał się kamienny głaz nad ich głowami.

West spojrział w górę i wzdrygnął się, oczekując finału.

Ale kamień nie spadł. W tej samej chwili zgrzytnął mechanizm pod powierzchnią ropy i nogi Westa zostały uwolnione.

Lily dokonała właściwego wyboru.

Wskoczyła radośnie w jego wyciągnięte ramiona, przyciskając do piersi czule jak niemowlę ciężką trapezoidalną bryłę złota. Jej twarz rozjaśnił triumfalny uśmiech.

- Czułam się upiornie.

- Bo to wyglądało upiornie - odparł West. - Dobra robota, szkrabie. Zwiewajmy stąd.

Atak

Wracali.

West był zanurzony do pasa w oleistym bajorze, które utrudniało ruchy. Sufit cały czas się obniżał. Kiedy znaleźli się wreszcie w szerokiej sali, przedsionku tego piekła, strop był na wysokości nie więcej niż siedemdziesięciu centymetrów.

Napływający cały czas z Wielkiej Groty dym był gęsty i duszący.

Lily na czworakach przemierzała pomieszczenie, a Horus lotem ślizgowym przedzierał się przez kłęby dymu.

West poruszał się najwolniej, również na czworakach, jego buty oblepione ropą naftową ślizgały się na gładkiej powierzchni podłogi. Gdy był blisko wyjścia, strop znajdował się już tak nisko, że musiał położyć się płasko na brzuchu i przeczołgać się ostatnie cztery metry. Ułamek sekundy po tym, jak wydostał się na zewnątrz, kamienne sklepienie z głuchym hukem uderzyło o podłogę, zamykając dostęp do sali z kolosem.

Mistrz czekał na nich na czwartym poziomie.

- Pospieszcie się. Ludzie del Piera już prawie ukończyli budowę dźwigu. Za chwilę będą na drugim poziomie.

Poziom 4

Pozostali członkowie zespołu: Wielkouchy, Długi i Księżniczka Zoe także czekali na czwartym poziomie, pilnując, by nie uruchomiły się ponownie pierwsze trzy pułapki.

Kiedy West dobiegł do nich, wręczył bezcenną złotą bryłę Wielkouchemu, który natychmiast umieścił ją w swoim plecaku.

Schodzili teraz w takim samym szyku, w jakim wcześniej wspinali się na szczyt. Ześlizgiwali się po drabinie, omijając wszystkie pułapki, płonące strugi ropy i wystrzegając się ognistego deszczu. Cały czas z góry, z kłębów dymu, zebranych pod sklepieniem jaskini, spadały kolejne głązy.

Poziom 3

Kiedy dotarli na trzeci poziom, West podniósł leżącego Kędzierzawego.

- Chodź, stary przyjacielu - powiedział, przewieszając wielkiego Jamajczyka przez ramię.

Biegli krętą półką skalną, zasłaniając usta przed gryzącym dymem.

Dźwig Europejczyków był już prawie gotowy. Otaczała go grupka uzbrojonych mężczyzn, czekających na zamontowanie ostatniego elementu. Za chwilę będą mogli dostać się na drugi poziom i odetną w ten sposób drogę ucieczki Westowi i jego ekipie.

Ostatni element został dokręcony.

Europejczycy ruszyli.

## Poziom 2

Na czele biegł teraz West, zeskoczył na drugi poziom i wylądował na skalnej półce jak kot. Tutaj stanął oko w oko z francuskim spadochroniarzem zaopatrzoną w kuszę, pierwszym z ekipy europejskiej, którego dźwig wyniósł w górę. Z szybkością rewolwerowca West wyszarpnął z kabury glocka, wymierzył i strzelił z bliska.

Z jakiegoś powodu jego kula nie poddała się działaniu urządzenia Mistrza i utkwiała w piersi Francuza.

Nie trysnęła krew.

Żołnierz nie zginął. Pocisk był gumowy.

West wystrzelił kolejny gumowy pocisk - taki, jakich używa policja do rozpędzania tłumów - w kierunku kolejnego francuskiego spadochroniarza, znajdującego się na wierzchołku ramienia dźwigu, który zdążył jeszcze wypuścić z kuszy strzałę.

West zrobił unik i strzała przeleciała wysoko nad jego głową, tymczasem wystrzelony przez niego pocisk trafił Francuza, który spadł z dźwigu wprost do jeziora wciąż pełnego przerażonych krokodyli.

Rozległy się krzyki, chłopot, chrzęst, pojawiła się krew.

- Jazda! - krzyknął West do załogi. - Zanim się zorientują, że gumowe kule trafiają w cel.

Wszyscy członkowie ekipy Westa odbezpieczyli broń i przebiegając obok ramienia dźwigu, otworzyli ogień do ponad dwudziestu francuskich spadochroniarzy, próbujących dostać się na drugi poziom.

Mimo to, kiedy minęli ramię dźwigu, około piętnastu Francuzów zdołało dotrzeć na skalną półkę i pognało w kierunku poziomu pierwszego.

## Poziom 1

Na poziomie pierwszym ekipa europejska próbowała przeciąć im drogę.

Na dole, na poziomie ziemi, ekipa inżynierów armii niemieckiej kończyła właśnie budowę tymczasowego mostu pontonowego, który pozwoliłby dotrzeć przed grupą Westa - ponad jeziorem pełnym krokodyli - do miejsca, gdzie znajdował się właz prowadzący do podziemi.

Pozostały im do zamontowania dwa segmenty mostu, które właśnie w tej chwili były transportowane na miejsce.

- Prędko! Prędko! Prędko! - wrzeszczał West.

W płonącej jaskini, pełnej dymu, ognia i spadających gładów, słychać teraz było świst wypuszczanych strzał i wystrzeliwanych gumowych pocisków.

Wykonane z aluminium strzały także poddawały się działaniu urządzenia skonstruowanego przez Mistrza. Raz wystrzelone leciały na oślep, choć z odległości paru metrów były groźne.

Grupa Westa biegła półką pierwszego poziomu, usiłując wyprzedzić budowniczych mostu.

Wielkouchy niósł Lily. West pomagał Kędzierzawemu. Księżniczka Zoe i Długi strzelali do spadochroniarzy depczących im po piętach, a Mistrz, kaszląc z powodu gryzącego dymu, biegł na przedzie, unieszkodliwiając kolejne napotykaną pułapki. Nad ich głowami, w obłokach czarnego dymu szybował Horus.

Dotarli właśnie do drabiny umiejscowionej na prawym krańcu pierwszego poziomu, kiedy zabłąkana francuska strzała ugodziła Wielkouchego w łopatkę, zwalając go z nóg. Przewracając się jak długi, wypuścił z ramion Lily, która poszybowała nad skrajem skalnej półki.

Spadła w dół.

Dziewięć metrów.

Wprost do oleistej wody, tuż przy podstawie drabiny, blisko ścieżki wijącej się przy pionowej ścianie jaskini.

Dzięki zbiegowi okoliczności wpadła do wody w miejscu, gdzie nie było ani krokodyli, ani ognia.

Ale krokodyle znajdowały się w pobliżu i chwilę po tym, jak Lily wpadła do wody, jeden z nich zauważył ją i ruszył w jej kierunku.

Wielkouchy wisiał bezradnie na skraju przepaści wprost nad głową Lily.

- Nie mogę się do niej dostać!

- Ja mogę! - odpowiedział jakiś głos.

To był West.

On nigdy nie tracił hartu ducha.

Podbiegł pochylony do krawędzi półki, odbił się i poszybował z ciałem wygiętym w łuk w dół, ku taflowi wody, w której roiło się od krokodyli.

Olbrzymi krokodyl, sunący w kierunku Lily, nie zauważył Westa. Jack wylądował okrakiem na jego grzbiecie, tylko o kilkadziesiąt centymetrów od Lily. Mężczyzna i krokodyl z głośnym pluskiem zniknęli pod czarną powierzchnią wody.

Chwilę później wypłynęli - krokodyl szamocząc się zaciekle i West siedzący na nim okrakiem, trzymający w silnym uścisku jego pysk.

Krokodyl wydawał głośne pomruki, ale West jednym gwałtownym ruchem skrzył mu kark. Ciało krokodyla zwiotczało. West zeskoczył z martwego ciała i wyciągnął Lily z wody wprost na ścieżkę biegnącą wzdłuż jeziora, akurat w chwili gdy sześć kolejnych krokodyli rzuciło się na swojego martwego towarzysza.

- Dzięki - wydyszała Lily, ścierając z twarzy resztki ropy naftowej i wciąż jeszcze drżąc.

- Polecam się, szkrabie.

Powierzchnia ziemi

Reszta zespołu dołączyła do Westa i Lily na dole.

Teraz mieli już dwóch rannych: Kędzierzawego i Wielkouchego. Na szczęście mogli się sami poruszać, wspierani przez Zoe i Mistrza, podczas gdy Westa i Lily osłaniał Długi.

Przeskakiwali z kamienia na kamień, ominęli łukiem otwór w ścianie zatkany metalowym krzyżakiem, gdzie w dalszym ciągu tkwił krokodyl, aż wreszcie dotarli do włazu, akurat w chwili gdy niemieccy inżynierowie zakończyli konstruowanie mostu.

Czterdziestu niemieckich żołnierzy stało w gotowości, czekając, aż most będzie gotowy. Niektórzy próbowali wystrzelić strzały w kierunku przeciwników, inni ładowali magazynki pistoletów maszynowych MP - 7 gumowymi kulami.

West i Lily dotarli do włazu. Weszli do środka. Za nimi we wnętrzu pojawili się pozostali, osłaniani przez Długiego. Wielkouchy, potem Kędzierzawy, Mistrz, Zoe i...

Ostatni segment mostu znalazł się na swoim miejscu.

W tej samej chwili Długi wskoczył przez wąż do środka, a oddział niemieckich żołnierzy ruszył biegiem w ich kierunku. Rozpoczął się pościg w podziemiach.

## Komora wewnętrzna

Bieg na końcu wycofującego się oddziału jest wyczerpujący. Osłaniasz tyły, po piętach depczą ci prześladowcy, i choćbyś miał w drużynie najlepszych kumpli, zawsze istnieje ryzyko, że cię zostawią samego.

W chwili gdy wysoki i tyczkowaty Długi wpadł przez właz do podziemnej komory, pozostali już przechodzili do pochylni.

- Długi! Pospiesz się! - wrzasnął West stojący w przejściu. - Zoe już pobiegła, żeby uruchomić kolejny spadający kamień. To da nam trochę czasu.

Jakby na potwierdzenie jego słów dał się słyszeć znajomy odgłos spadającego głazu, odbijający się echem od ścian pochylni, a następnie rumor, jaki wydawał kamień, zjeżdżając w dół po pochylni.

Długi popędził w stronę pochylni, a za jego plecami przez właz wskoczył do pomieszczenia tuzin wyglądających jak zjawy postaci.

Odgłos wystrzałów.

Ogień z broni maszynowej.

Tu, gdzie urządzenia Mistrza nie działały, Europejczycy postanowili użyć ostrej amunicji.

Już po nim.

Dzieliło go raptem pięć kroków od bezpiecznej pochylni, kiedy kilku pierwszych Niemców siedzących mu na karku padło pod gradem kul.

Ktoś strzelał do goniących go żołnierzy, ktoś stojący teraz w przejściu do pochylni.

Kubuś Puchatek.

Z karabinem szturmowym Steyr - AUG w ręku.

Brodaty Arab, którego ostatnio widzieli, gdy zmiotł go olbrzymi głaz sunący po pochylni, kiwał teraz w jego kierunku wyciągniętą ręką.

- Biegiem, Izraelczyku! - warknął Puchatek. - Bo cię tu zostawię!

Długi przebiegł zakosami ostatnie kilka kroków i zniknął w przejściu akurat w chwili, gdy w skałę uderzyły pociski.

- Myślałem, że nie żyjesz - wydyszał Długi.

- Proszę! Nie wystarczy jeden kamień, żeby załatwić Zahirę al - Anzara al - Abbasa - powiedział Kubuś szorstkim tonem. - Może jestem grubasem, ale potrafię jeszcze biegać. Zdążyłem schować się przed kamieniem w tej norze najeżonej szpikulcami. Kamień przeleciał nade mną. A teraz wiejmy!

## Pochylnia

Biegli pochylnią w dół, wymięli jamę ze szpikulcami i wpadli do komory wykutej w diorytowej skale, komory, która była drugimi wrotami. Za sobą słyszeli rumor zsuwającego się w dół głazu. Przy wejściu do drugich wrót leżały okruchy pierwszego kamienia, który o mały włos zabiłby Kubusia Puchatka.

Pokonali diorytową salę, chwytając się zaczepów, które wcześniej sami zamontowali w sklepieniu.

- Noddy! - wrzasnął do mikrofonu West, kiedy znaleźli się już bezpiecznie na drugim końcu sali. - Słyszysz mnie?

Noddy, który pilnował wyjścia na mokradłach, nie odpowiadał.

- To nie wina warblerów, ktoś nas zakłóca! - krzyknął Mistrz.

Transmisja została przerwana, gdy sześciu Niemców wpadło do pochylni i zaczęło gonić Mistrza. W tej samej chwili pojawił się za nimi olbrzymi głaz i zaczął się zsuwać w dół. Szóstka Niemców biegła co sił pochylnią, uciekając przed nabierającym prędkości głazem.

Kiedy byli na wysokości jamy, jeden z nich wpadł w panikę, stracił równowagę i runął do środka, nadziewając się na ostre szpikulce.

Pozostali zbyt późno dotarli do diorytowej komory.

Dwaj zdołali złapać uchwyty zamocowane w suficie, lecz po chwili cała piątka bądź została zgnieciona przez zsuwający się głaz, bądź wpadła do wody.

Ekipa Westa biegła naprzód. Spadający kamień dał im przewagę, której tak bardzo potrzebowali. Reszta niemieckich żołnierzy chwilowo nie zapuszczała się dalej, tylko ostrożnie badała teren.

West z przyjaciółmi zwiększał swoją przewagę.

Zsunęli się pionowym szybem do pomieszczenia, gdzie wcześniej West właściwie odgadł symbol klucza życia. Sklepienie, które wówczas się obniżało, teraz było znowu na swoim miejscu.

Z Noddym nadal nie mieli kontaktu.

W komorze z wodą, tak jak poprzednio, kamienie pokrywała warstwa glonów.

Noddy wciąż nie odpowiadał.

W kucki pokonali niski tunel, przeskakując nad pionowymi szybami.

W końcu dotarli do sali, w której roiło się od krokodyli. W suficie nadal tkwiły uchwyty, a na końcu pomieszczenia widniał pionowy szyb prowadzący do wyjścia.

- Noddy?! Jesteś tam?! - zawołał West przez radio. - Powtarzam. Noddy. Słyszysz mnie?!

W końcu doczekał się odpowiedzi.

- Myśliwy! Pospieszcie się! - Głos z hiszpańskim akcentem zabrzmiał w słuchawce głośno i wyraźnie. - Wychodźcie! Prędko! Amerykanie już tu są!

Dwie minuty później West wy dostał się z pionowego szybu wejściowego i stanął ponownie na błotnistym pagórku pośród mokradeł.

Noddy czekał na niego, wyraźnie wstrząśnięty, nerwowo zerkając na zachód.

- Szybciej, szybciej! - mówił. - Zbliżają się...

Pah!

Głowa Noddy'ego eksplodowała jak roztrzaskana dynia, gdy trafił w nią pocisk kalibru .50. Jego ciało zamarło na chwilę bez ruchu, a następnie runęło na ziemię.

West pośpiesznie spojrział na zachód.

I wtedy ich dostrzegł.

Ujrzał dwa tuziny szybkich ślizgaczy wypływających z trzciny jakieś trzysta metrów od niego. Z powietrza łodzie były osłaniane przez dwa śmigłowce Apache. Na każdym ślizgaczu znajdowało się około dziesięciu żołnierzy sił specjalnych elitarniej jednostki CIEF.

Na jednej z łodzi błysnęła lufa karabinu snajperskiego.

West zrobił unik i w ułamek sekundy później kula świsnęła tuż przy jego uchu.

- Dajcie tu Długiego na górę! - krzyknął do wychodzących właśnie z otworu ludzi.

W wylocie wjazdu pojawił się Długi.

- Mamy snajpera, zajmij się nim - powiedział West. - Musimy się stąd jakoś wydostać.

Długi ściągnął z pleców groźnie wyglądający karabin Barrett M82A1A, przyklęknął i strzelił w stronę amerykańskiej łodzi.

Rozległ się głuchy trzask i dwieście metrów dalej amerykański snajper padł na pokład, a wokół jego odrzuconej do tyłu głowy pojawiła się kałuża krwi.

Cała załoga wyszła już na zewnątrz i stała na niewielkim pagórku.

- W porządku - powiedział West. - Kierujemy się w stronę naszych łodzi.

Ośmioro ludzi biegło przez mokradła, przemierzając ponownie błotnistą drogę.

W końcu dotarli do swoich ślizgaczy ukrytych na maleńkiej polanie, osłoniętych dla kamuflażu siatką maskującą. Ich dwie łodzie miały płaskie dno, płytkie zanurzenie, a na rufie znajdowało się potężne śmigło. Taka konstrukcja umożliwiała rozwinięcie dużej prędkości na bagnie, którego głębokość była zupełnie nieprzewidywalna.

West biegł na przedzie. Wskoczył na pokład i pomógł wsiąść pozostałym.

Kiedy wszyscy znaleźli się na pokładzie, obrócił się, by włączyć silnik.

- Nie ruszaj tego - rozkazał ktoś lodowatym tonem.

West zamarł.

Wyłonili się spomiędzy trzciny cicho jak duchy, z bronią gotową do strzału.



Osiemnastu doskonale wyszkolonych żołnierzy CIEF z twarzami umazanymi dla kamuflażu błotem, w rękach ściskali karabiny szturmowe - lżejszą i poręczniejszą wersję M - 16.

West się skrzywił.

No jasne, Amerykanie wysłali drugą drużynę od południa, ot tak na wszelki wypadek. Cholera, nie. Zlokalizowali łodzie Westa z satelity, wysłali oddział i czekali.

- Psiakrew - mruknął.

Dowódca oddziału CIEF zrobił kilka kroków naprzód.

- Patrzcie, patrzcie. Czy to nie jest przypadkiem Jack West? - odezwał się.  
- Ostatnio widziałem cię w Iraku w dziewięćdziesiątym pierwszym. Wiesz co, West? Moi przełożeni do tej pory zastanawiają się, jak zdołałeś zwać z tej bazy SCUD - ów koło Basry. Było tam ze trzystu żołnierzy Gwardii Republikańskiej, a tobie udało się uciec i na dodatek zniszczyć wszystkie wyrzutnie.

- Po prostu mam fart, Cal - odpowiedział spokojnie West.

Dowódcą oddziału był sierżant Cal Kallis - najgorszy gatunek żołnierza sił specjalnych: zawodowy morderca, który lubi swoją pracę. Wcześniej służył w oddziale Delta i był stuprocentowym psycholem, choć nie takim jak Judah, co dawało Westowi cień nadziei, że wyjdzie z tego żywy.

Kallis zupełnie zignorował komentarz Westa. Wyszeptał za to do mikrofonu umieszczonego przy krtani:

- Dowództwo? Tu Sweeper dwa - sześć. Jesteśmy na południe od wzgórza. Mamy ich. Podaję naszą pozycję.

Następnie odwrócił się do Westa i kontynuował rozmowę jakby nigdy nic.

- Wcale nie masz farta - wycedził. Kallis miał czarne, zimne oczy, oczy, w których próżno by szukać żalu lub jakichkolwiek emocji. - Mam rozkaz zabijać, West. Nie zostawiać żadnych ciał. Żadnych świadków. A teraz dawaj to coś, co wygląda jak kawałek złota, bardzo cenny kawałek złota. No już.

- Wiesz, Cal, kiedy pracowaliśmy razem, zawsze uważałem cię za rozsądnego faceta...

Kallis przyłożył lufę karabinu do głowy Księżniczki Zoe.

- Ty tak nie uważałeś, a ja taki nie jestem. Uważałeś mnie za zimnokrwistego psychopatę. Pokazali mi raport, który napisałeś. Złoto, West, albo nauczę jej mózg latania.

- Wielkouchy - powiedział West. - Daj mu to.

Wielkouchy zdjął plecak i rzucił go w błoto u stóp Kallisa.

Dowódca nogą rozchylił plecak i ujrzał w środku błyszczący złoty przedmiot. Uśmiechnął się.

- Dowództwo. Tu Sweeper dwa - sześć. Mam łup. Powtarzam, mamy łup - zameldował do mikrofonu.

W tej samej chwili, jak na zawołanie, nad ich głowami zawisły dwa amerykańskie śmigłowce.

Powietrze zawirowało. Otaczające ich trzciny położyły się płasko na ziemi.

Z jednego z helikopterów spuszczone linę, podczas gdy drugi zapewniał osłonę.

Kallis przymocował plecak z wisiosem do liny, którą natychmiast wciągnięto na pokład, i śmigłowiec z łupem błyskawicznie odleciał.

Kallis przycisnął słuchawkę do ucha, słuchając przez radio instrukcji. Odwrócił się do Westa i wyszczerzył zęby w złowieszczym uśmiechu.

- Masz pozdrowienia od pułkownika Judaha. Wygląda na to, że chce z tobą zamienić słowo. Dostałem rozkaz doprowadzenia cię do niego. Niestety, pozostali muszą umrzeć.

Błyskawicznie wycelował w Księżniczkę Zoe i nacisnął spust - akurat w chwili, gdy drugi śmigłowiec w wyniku eksplozji zamienił się w ognistą kulę i runął w dół, trafiony pociskiem Hellfire...

Pociskiem wystrzelonym przez Europejczyków.

Osmalone szczątki helikoptera runęły na ziemię tuż za plecami żołnierzy CIEF, z głośnym pluskiem wpadając do mokradła. Żołnierze poszli w rozsypkę, niektórzy rzucili się do wody.

Śmigłowiec Europejczyków bez ociągania ruszył w pościg za apache'em, który miał na pokładzie cenną zdobycz.

Niespodziewany atak Europejczyków wykorzystał natychmiast West.

Zoe wyrwała się Kallisowi i padła na dno łodzi. West w tym samym czasie uruchomił silnik i krzyknął:

- Uciekać! Prędko!

Nie trzeba było tego nikomu powtarzać.

Żołnierze amerykańscy podnosili się z ziemi i próbowali do nich strzelać, ale obie łodzie Westa już ruszyły i z wielką prędkością zniknęły w gęstwinie wysokich trzciny.

Kallis i jego ludzie wskoczyli do stojących nieopodal czterech łodzi i włączyli silniki.

Kallis dostroił radio i zameldował swoim dowódcom o całym zdarzeniu. Zakończył pytaniem?

- Co z Westem?

Głos w słuchawce zabrzmiał twardo i zimno, a rozkaz wydawał się co najmniej dziwny:

- Ze wszystkimi możecie zrobić, co chcecie, sierżancie, ale Westowi i dziewczynce masz pozwolić uciec.

- Uciec? - Kallis zmarszczył brwi.

- Tak, sierżancie. Uciec. Czy to jasne?

- Tak jest. Rozkaz - odparł Kallis.

Ich łodzie ruszyły naprzód.

Napędzane potężnymi silnikami łodzie Westa pokonywały bagno z niewyobrażalną prędkością, przechylając się na boki.

West prowadził pierwszą łódź, za nim drugą kierował Długi.

Goniły ich łodzie Kallisa, większe i cięższe, ale z ich pokładów ludzie nieustannie strzelali.

West kierował się na południowy kraniec mokradeł, oddalony o dwadzieścia kilometrów, gdzie znajdowała się stara, zniszczona droga prowadząca wzdłuż brzegu bagien. Nie była zbyt szeroka, raptem dwa pasy ruchu, ale istotne było to, że wylano na niej asfalt.

- Sky Monster! - krzyknął do mikrofonu West. - Gdzie jesteś?!

- Nadal w strefie oczekiwania za wzgórzem. Co mogę dla ciebie zrobić? - nadeszła odpowiedź.

- Sky Monster! Ewakuacja! Natychmiast!

- Gorąco?

- Jak zawsze. Pamiętasz tę drogę, którą uznaliśmy za dobre miejsce ucieczki?

- Tę wąską, pełną dziur ścieżkę? Tak szeroką, że ledwie się mijają mini coopery?

- Tak. Właśnie o niej mówię. Potrzebna też będzie lina. Co ty na to?

- Następnym razem poproszę o trudniejsze zadanie. Za ile tam będziecie?

- Daj nam dziesięć minut.

- Jasne. Halikarnas nadlatuje.

Łodzie Westa sunęły po powierzchni bagna, nieustannie robiąc uniki, bo drużyna Kallisa prowadziła ciągły ostrzał.

Nagle wokół łodzi Westa zaczęły wybuchać gejzery wody.

Prześladowcy zaczęli używać moździerzy.

Wchodząc ostro w zakręty, West zdołał wyprowadzić łódź z zagrożonego obszaru. Teraz ich oczom ukazała się asfaltowa droga. Wiodła ona południowym skrajem mokradeł na zachód, do Chartumu. Jak wiele dróg we wschodniej części Sudanu była w całkiem niezłym stanie, a to dlatego, że została zbudowana przez saudyjskich terrorystów, wśród których był inżynier budownictwa Bin Laden.

Kiedy West zobaczył drogę, pozwolił sobie na lekki uśmiech. To się musi udać...

W tej samej chwili pojawiły się trzy amerykańskie helikoptery Apache. Przeleciały z rykiem nad ich głowami, ostrzeliwując łodzie z działka pokładowego.

Rozpoczęło się piekło. Wokół płynących łodzi eksplodowała od gradu pocisków woda.

- Płyniemy! Płyniemy! - krzyczał West do swoich ludzi. - Zaraz tu będzie Sky Monster!

W pewnej chwili jeden z pocisków trafił w silnik łodzi kierowanej przez Długiego. Buchnęły kłęby dymu, śmigło zaklekotało i łódź zaczęła zwalniać.

West spojrzał, ocenił sytuację i już wiedział, co trzeba zrobić.

Podpłynął do burty łodzi Długiego i krzyknął:

- Wskakujcie!

Długi, Puchatek, Kędzierzawy i Mistrz błyskawicznie przeskoczyli do łodzi Westa. Mistrz zrobił to w ostatniej chwili. Pocisk Hellfire, wystrzelony z jednego ze śmigłowców, sprawił, że łódź eksplodowała i zniknęła pod powierzchnią, wyrzucając w górę słup wody.

Wśród panującego chaosu West nie przestawał bacznie obserwować nieba nad wzgórzami. I wreszcie... dostrzegł!

Czarny punkt zniżający się nad szosą.

Czarny punkt, który po chwili przybrał kształt ptaka, potem kształt samolotu, aż w końcu objawił się jako potężna czarna maszyna.

To był boeing 747, ale najdziwaczniejszy, jakiego można spotkać.

Wcześniej latał jako samolot transportowy, miał z tyłu rampę załadowniczą i żadnych okien po bokach.

Obecnie był cały pomalowany na czarno, matowoczarno, najeżony przeróżnymi dodatkami, jakie na nim zamontowano: radarami, wyrzutniami i przede wszystkim obrotowymi wieżyczkami strzelniczymi.

Wieżyczki były cztery: jedna na szczycie ogona, jedna pod kadłubem i dwie umieszczone po bokach w miejscach, gdzie skrzydła łączą się z kadłubem. Każda z nich uzbrojona w siejące groźę sześciolufowe działko Gatling.

To był właśnie Halikarnas. Prywatny samolot Westa.

Z głośnym hukiem wielki, czarny jumbo jet zbliżał się do ziemi, wprost ku drodze wiodącej skrajem mokradeł.

Cała ósemka na łodzi potrzebowała pomocy, ale na szczęście nadlatywał Halikarnas.

Dwa pociski wystrzelone z wyrzutni podwieszanej pod kadłubem minęły o centymetry pierwszego apache'a, trafiając za to kolejnego, który znalazł się za nim.

Bum. Kula ognia.

Teraz odezwało się działko w dolnej wieżyczce, grad pocisków przeciął niebo tuż obok trzeciego apache'a, pozostawiając mu alternatywę: zwiać albo zginąć. Wybrał ucieczkę.

Łódź Westa płynęła teraz wzdłuż brzegu, równoległe do drogi. Droga znajdowała się na metrowej wysokości nasypie o łagodnie opadających brzegach.

I właśnie na tej drodze, nad głową Westa lądował teraz olbrzymi boeing 747!

Koła z piskiem dotknęły asfaltu i samolot potoczył się drogą tak wąską, że zewnętrzne opony znalazły się na poboczu. Kołował teraz po asfalcie równoległe do pędzącej łodzi Westa, a jego skrzydła rozpościerały się szeroko nad wodami mokradeł.

Samolot sunął drogą, a West starał się go dogonić.

Z głośnym hukiem z tyłu otworzyła się rampa ładunkowa i trzasnęła o nawierzchnię drogi.

Chwilę później z luku zaczęła wysuwać się długa lina zakończona dużym hakiem. Zwykle używano jej do wylapywania balonów meteorologicznych.

- Co ty zamierzasz zrobić, przyjacielu?! - wykrzyczał Puchatek.

- Patrz! Mówiąc to,

West szarpnął raptownie kołem sterowym w lewo. Łódź wyskoczyła z wody i wspięła się na brzeg. Teraz jej płaskie dno szorowało po asfalcie tuż za ogonem samolotu!

To był niezwykły widok: wielki czarny boeing sunący prowincjonalną drogą i łódź, która próbuje go dopędzić.

West skupił wzrok na odległej o kilka metrów od łodzi rampie. Dostrzegł ślizgającą się, podskakującą na wybojach linę.

- Długi! Łap linę!

Długi wysunął się na dziób łodzi i bosakiem zdołał uchwycić hak liny.

- Zaczepiaj! - krzyknął West.

Długi zaczepił hak o dziób i nagle łodzią szarpnęło. Teraz byli holowani przez olbrzymi samolot. Przypominało to jazdę na nartach wodnych.

- Sky Monster! Wciągnij! - krzyknął przez radio West.

Sky Monster uruchomił wewnętrzną wciągarkę i łódź zaczęła stopniowo zbliżać się do otwartej rampy samolotu.

W tym samym czasie strzelec w dolnej wieżyczce zasypywał gradem pocisków łodzi Kallisa i dwa pozostałe śmigłowce, trzymając je na dystans.

W końcu łódź dotarła do rampy. West i Puchatek złapali za rozpórki, dzięki czemu łódź przestała się kołysać i podskakiwać.

- Wszyscy na pokład! - krzyknął West.

Jeden po drugim, członkowie drużyny Westa zeskakiwali na rampę: Mistrz z Lily, Zoe wspierająca Kędzierzawego, Długi pomagający Wielkouchemu i w końcu Puchatek i sam West.

Kiedy tylko West znalazł się na rampie, odczepił linę i łódź pozostała daleko w tyle za nabierającym prędkości samolotem.

Rampa uniosła się i zamknęła, samolot rozpędził się, zostawiając w tyle łodzi i śmigłowce, i kiedy nabrał odpowiedniej prędkości, bez trudu unióś się w powietrzu.

Bezpieczny i cały.

Halikarnas leciał na południe nad pustkowiec etiopskich wzgórz.

Wszyscy usiedli w olbrzymiej kabinie samolotu i tylko West skierował się od razu do kokpitu, by przywitać się z przyjacielem: wielkim, brodatym pilotem nowozelandzkich sił zbrojnych, znanym pod pseudonimem Sky Monster - Podniebny Potwór. W przeciwieństwie do pozostałych był tak nazywany, zanim jeszcze dołączył do ekipy Westa.

West patrzył przez okienko na widoki pomniejszone przez odległość: mokradła, wzgórza, nieużytki, i myślał o europejskiej ekipie del Piera, która starła się z takim supermocarstwem jak Ameryka. Del Piero miał szczęście.

Amerykanie, jak zwykle, przybyli ostatni i pokazali, kto tu rządzi. Pozwolili, aby West i Europejczycy rywalizowali między sobą o złoty skarb, by się wykrwawili, a potem jak lew pokazali hienom swoją siłę i odebrali zdobycz.

Kiedy Halikarnas bezpiecznie zwiększył pułap, West przyglądał się potężnym amerykańskim siłom zgromadzonym teraz na zachodnim brzegu mokradeł.

Jego umysł dręczyła jedna niepokojąca myśl: Jak Amerykanie w ogóle się dowiedzieli o tym miejscu?

Europejczycy z pewnością mieli kopię tekstu Kallimacha, no i oczywiście w ich rękach był chłopiec. Amerykanie, z tego, co wiedział West, nic nie mieli.

A stąd wniosek, że nie mogli wiedzieć, iż właśnie tutaj znajduje się głowa kolosa z Rodos.

West zmarszczył brwi.

Czyżby jakiś przeciek? Amerykanie odkryli ich bazę i zaczęli śledzić? A może, co gorsza, mieli w swoich szeregach zdrajcę, który podał Amerykanom ich pozycję?

Tak czy owak, Judah wiedział już, że West jest zaangażowany w poszukiwania. Mógł mieć mgliste pojęcie, dla kogo Jack pracuje, ale nie miał wątpliwości, że siedzi w tym po uszy.

To znaczyło, że teraz akcja nabierze tempa.

Bezpieczeni, choć bez zdobyczy, lecieli samolotem na południe, znikając za szczytami gór.

Zmęczony i brudny West dowlókł się z powrotem do kabiny. Zamyślony, z opuszczoną głową, szedł w kierunku skulonej w kącie przy schodach, cicho szlochającej Lily.

Uklęknął przy niej i z łagodnością, o którą trudno go było podejrzewać, zaczął ścierać z jej policzków łzy.

- Cześć, szkrabie.

- Oni... - chlipnęła. - Oni go zabili. Zabili Noddy'ego.

- Wiem.

- Dlaczego to zrobili? Nigdy nikogo nie skrzywdził.

- To prawda - odparł West. - Ale to, co robimy, rozgniewało kilka wielkich państw. Boją się, że tracą swoją potęgę. Dlatego zabili Noddy'ego. - Zmierzył dłonią jej włosy. - Mnie też będzie go brakowało.

Zmęczony, smutny, przygnębiony śmiercią Noddy'ego, West poszedł do swojej małej sypialni, znajdującej się w ogonie samolotu.

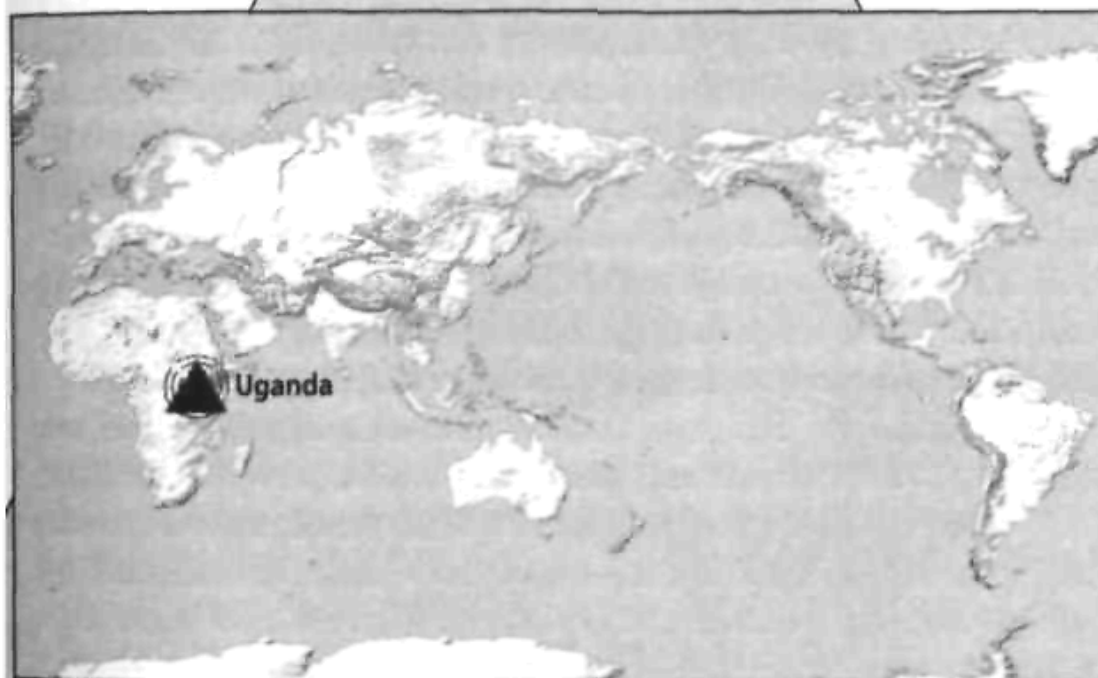
Runął na posłanie i zanim położył głowę na poduszce, już spał.

Zasnął twardo, a w snach widział jak żywe obrazy: pomieszczenia pełne pułapek, kamienne ołtarze, słyszał śpiewy i krzyki, widział kaskady płynącej lawy i siebie samego przedzierającego się przez ten koszmar.

Te obrazy nie były wytworem jego wyobraźni.

Widział je dziesięć lat wcześniej.

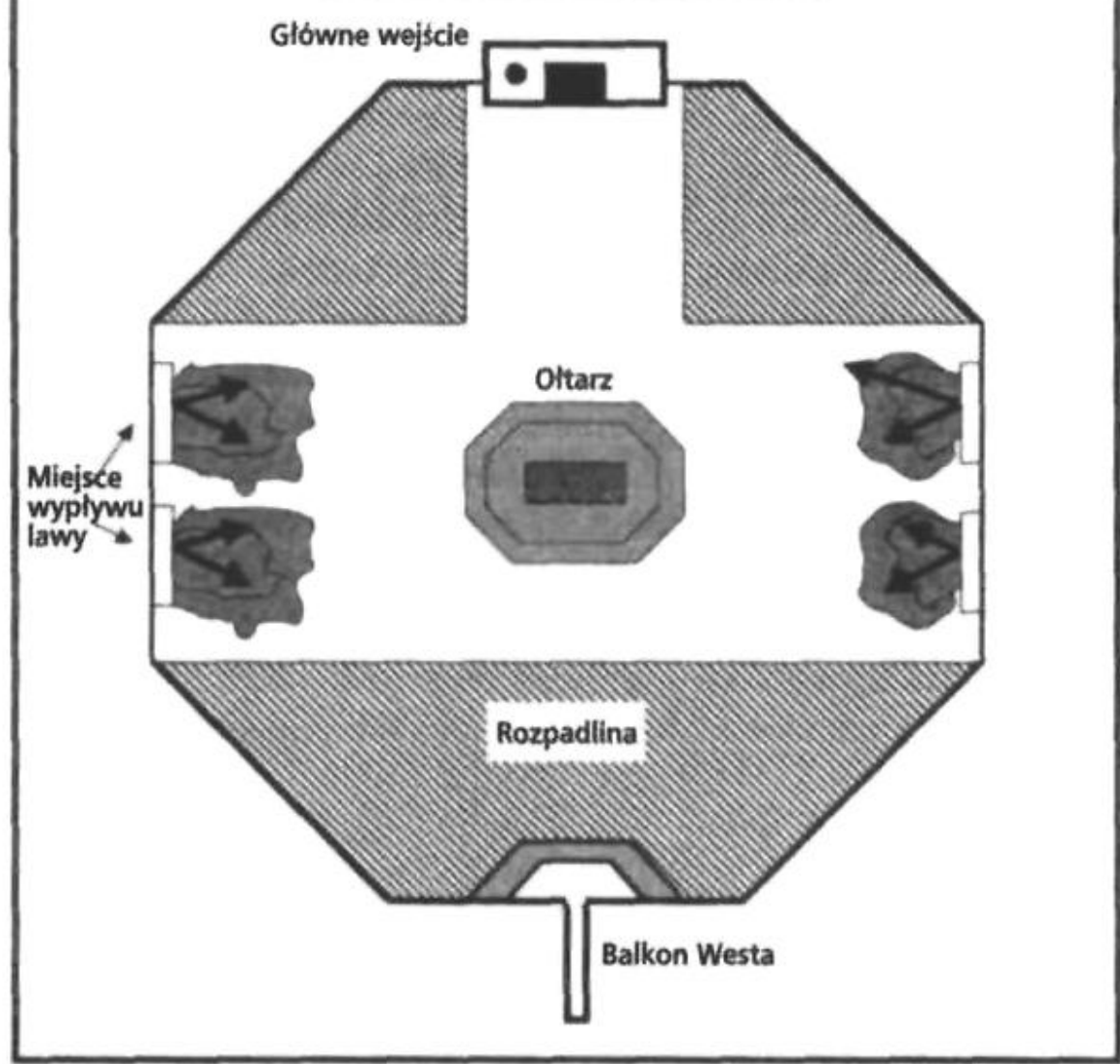
# **POPPRZEDNIA MISJA WULKAN**



**PÓŁNOCNO-WSCHODNIA UGANDA  
20 MARCA 1996  
10 LAT WCZEŚNIEJ**



**SALA NARODZIN  
WULKAN KANYAMANAGA  
UGANDA**



## WNĘTRZE WULKANU KANYAMANAGA

UGANDA, AFRYKA

20 MARCA 1996, GODZINA 11.47

Senne majaki Westa:

West i Mistrz biegną starym, wykutym w skale korytarzem do miejsca, skąd dochodzi walenie bębnow, śpiewy i przeraźliwy kobiecy krzyk.

Panuje koszmarnie gorąco... jak w piekle.

A ponieważ znajdują się we wnętrzu wulkanu, więc faktycznie jest jak w piekle.

Są tylko we dwóch, nie licząc Horusa. W tamtych czasach nie było jeszcze zespołu.

Ubranie mają pokryte błotem i popiołem - pokonali długą i trudną drogę, by tu dotrzeć. West ma na głowie hełm strażacki i wojskowe buty na grubej podeszwie. Ma dziesięć lat mniej, raptem dwadzieścia siedem, jest bardziej idealistycznie nastawiony do świata, choć nie mniej poważny. Mruży oczy, spojrzenie ma skupione. I nie brak mu lewej ręki.

Bum, bum, bum! - nawołują bębny.

Śpiew staje się coraz głośniejszy.

Kobiecy krzyk rozdziera powietrze.

- Trzeba się pospieszyć - ponagla Mistrz. - Rozpoczęli rytuał!

Biegną korytarzami pełnymi pułapek, z którymi West musi sobie poradzić.

Po drodze tuzin roznoszących choroby nietoperzy zwisa z sufitu z wyszczerzonymi kłami i wysuniętymi pazurami. Horus opuszcza ramię Westa i daje nura pomiędzy nie. Atakuje, czemu towarzyszy głuchy łoskot i przeraźliwy pisk. Dwa nietoperze leżą na ziemi, pokonane przez małego sokoła.

Taki wynik starcia dzieli stado nietoperzy, przez które obaj mężczyźni muszą się teraz przedrzeć. Horus dołącza do nich dopiero po chwili.

Przed Westem pojawia się długi, prowadzący w dół korytarz. Wygląda jak stumetrowej długości kamienna rura stopniowo schodząca w dół, szeroka na tyle, by się w niej zmieścił w pozycji siedzącej.

Bum! - To znowu bębny.

Złowrogie, monotonne dudnienie jest już wyraźne.

Nigdy wcześniej nie słyszał, by ktoś tak przeraźliwie krzyczał, jak ta kobieta: jej głos przepelniają ból i przerażenie.

West rzucił okiem na Mistrza.

Starszy mężczyzna machnął ręką.

- Biegnij, Jack! Biegnij! Leć do niej! Ja dołączę!

West skoczył nogami naprzód do korytarza i zaczął szybko zsuwać się w dół.

Pokonawszy po drodze pięć różnych pułapek, ląduje na końcu okrągłego korytarza, wstaje...

...i znajduje się na czymś w rodzaju balkonu.

Balkonu, z którego można objąć wzrokiem całą wielką jaskinię. Rozgląda się uważnie i wtedy jego oczom ukazuje się makabryczny widok.

Na kamiennym ołtarzu, z rozrzuconymi szeroko rękami i nogami, skrepowana, przerażona, wije się i szarpie kobieta.

Otocza ją około dwudziestu ludzi, chyba jakichś kapłanów, odzianych w czarne peleryny z kapturami. Ich twarze zasłaniają maski egipskiego boga Anubisa, wyobrażające szakala.

Sześciu kapłanów wali w olbrzymie, wykonane z lwiej skóry bębny.

Pozostali intonują pieśń w dziwnym języku.

Zaskakujące, ale kapłanów otaczało szesnastu spadochroniarzy ubranych w mundury. Wszyscy byli Francuzami, mieli groźne miny i trzymali karabiny FN - MAG.

Poza tym uwagę Westa przykuła sama jaskinia.

Wykuta w wulkanicznej skale ma kształt ośmiokąta.

Jest stara, bardzo stara.

Wszystkie jej powierzchnie są gładkie. Ściany wykuto w kamieniu z niewyobrażalną precyzją. Po bokach widoczne są prostokątne otwory. Wszędzie pełno hieroglifów.

Nad głównym wejściem napisano wielkimi literami:

Wstąp tu w objęciach Anubisa ochoczo, a doczekasz nadejścia Re. Wstąp tu wbrew własnej woli, a twoi ludzie będą rządzić całe wieki, a ty umrzesz. Nie wchodź w ogóle, a świat przestanie istnieć.

Wzór wykuty na suficie odpowiada dokładnie wzorowi na podłodze, która znajduje się piętnaście metrów niżej.

Dokładnie nad ołtarzem, w samym środku sklepienia widnieje otwór wylotowy wąskiego pionowego szybu. Ten szyb musi prowadzić na powierzchnię, gdyż teraz, w południe, ostry, cienki promyk słońca zdołał się przedrzeć i padł na ołtarz, do którego przywiązano kobietę.

I jeszcze jedno - kobieta jest w ciąży.

Więcej, właśnie zaczęła rodzić...

Poród jest rzeczą bolesną, ale to nie tłumaczy tak przeraźliwych krzyków.

- Nie zabierajcie mi dziecka! - szlocha. - Nie... zabierajcie... mojego... dziecka!

Kapłani nie zwracają uwagi na jej błagania, tylko śpiewają i walą w bębny.

Od jaskini, w której odbywa się ceremonia, oddziela Westa szeroka na piętnaście metrów i Bóg jeden wie jak głęboka rozpadlina. Pozostaje mu więc tylko bezsilnie się przyglądać.

I wtedy, nieoczekiwanie, do kakofonii dźwięków dołącza jeszcze jeden. Płacz.

Płacz dziecka.

Kobieta urodziła...

Kapłani wiwatują.

Nagle najwyższy kapłan - tylko jego peleryna jest czerwona i tylko on nie ma na twarzy maski - wyrywa noworodka z objęć matki i trzyma wysoko uniesionego, oświetlonego pionowo padającym promieniem światła.

- Chłopiec! - krzyczy.

Kapłani zaczynają ponownie wiwatować. Teraz, kiedy naczelny kapłan trzyma w wyciągniętych ramionach dziecko, West go rozpoznaje.

- Del Piero... - szepcze.

Kobieta zawodzi:

- Boże, proszę, nie! Nie zabierajcie mi go! Nie! Niiieee! Mimo to zabrali dziecko.

Kapłani dostojnym krokiem opuszczają grootę, kierując się do głównego wyjścia i mijając po drodze niewielki mostek. Ich peleryny powiewały, kiedy wynosili w zwartym szyku chłopca, osłaniani przez uzbrojonych spadochroniarzy.

Kiedy opuścili grootę, słońce przesunęło się na firmamencie i zniknął oślepiający promień, wpadający przez otwór w sklepieniu.

Najwyższy kapłan - Francisco del Piero - wyszedł ostatni. Obejrzał się za siebie, postawił stopę na kamieniu uruchamiającym ukryty mechanizm i zniknął.

Dalej wydarzenia potoczyły się szybko.

Z prostokątnych otworów w bocznych ścianach zaczęły wylewać się strumienie lawy, która pełznąca po podłodze, zbliżała się do ołtarza w centralnej części groty.

W tej samej chwili strop groty zaczął się obniżać. Kobieta rozciągnięta na ołtarzu zdawała się tego nie zauważać. Bądź to z powodu wyczerpania, bądź z utraty krwi, położyła się na ołtarzu spokojna i cicha.

Obok Westa pojawił się Mistrz, kolejny świadek tragicznej sceny.

- Boże, spóźniliśmy się - westchnął. West szybko się wyprostował.

- To był del Piero - powiedział. - I francuscy spadochroniarze.

- A więc Watykan i Francuzi połączyli swoje siły... - wykrztusił Mistrz.

Ale West w tym czasie już wycelował karabin pneumatyczny i strzelił w stronę obniżającego się stropu. Karabińczyk z umocowaną do niego liną utkwiał w kamieniu.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - zapytał zaniepokojony Mistrz.

- Idę tam - odparł West. - Obiecałem jej, że zdążę, i zawiodłem. Ale nie pozwolę jej umrzeć.

I po tych słowach przefrunął nad ziejącą czeluścią.

Strop cały czas się obniżał.

Lawa rozlewała się szerokim strumieniem po podłodze, sięgając już ołtarza. West jest jednak szybszy. Dobiega do środka sali i staje nad ciałem kobiety.

Szybko sprawdza puls. Kobieta nie żyje.

West zaciska mocno powieki.

- Przepraszam, Malena... - szepcze. - Przepraszam.

- Jack! Pospiesz się! - krzyczy Mistrz z balkonu. - Lawa!

Lawa jest już tylko o osiem metrów od niego... i zbliża się ze wszystkich kierunków.

Nad głównym wejściem też jest prostokątny otwór w ścianie, z którego wypływa strumień lawy, tworząc kurtynę nie do przebycia.

West kładzie dłoń na twarzy kobiety i zamyka jej oczy. Jej ciało jest jeszcze ciepłe. Patrzy na nią, na zapadniętą skórę na brzuchu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się dziecko. Potem, nie wiedzieć czemu, dotknął jej brzucha.

I poczuł słabe, delikatne kopnięcie.

Obrócił się zaskoczony.

- Max! - krzyknął. - Musisz tu przyjść! Natychmiast!

Kolejna makabryczna wizja: zewsząd napływa lawa, strop jest coraz niżej, a dwaj mężczyźni wykonują nożem Westa cesarskie cięcie martwej kobiecie.

Trzydzieści sekund później Mistrz wyjmuje z rozciętych wnętrzości kobiety drugie dziecko.

Dziewczynkę.

Ma posklejane na główce włosy, ciało pokryte krwią i wodami płodowymi, powieki mocno zaciśnięte.

West i Mistrz, brudni i posiniaczeni, dwaj poszukiwacze przygód u kresu swej wędrówki, spoglądali na noworodka jak dumni ojcowie.

West wpatrywał się w dziecko jak urzeczony.

- Jack! - zawołał Mistrz. - Chodź! Musimy się stąd wydostać. - Obrócił się, by złapać swobodnie zwisającą linę, dzięki której się tu dostali, lecz w tym momencie dosięgła ją rozprzestrzeniająca się lawa i lina spłonęła!

Ta droga ucieczki przestała istnieć.

Trzymając dziecko w ramionach, West obraca się w kierunku głównego wejścia. Cienka warstwa lawy na przestrzeni piętnastu metrów blokuje drogę. Poza tym jest jeszcze kurtyna lawy tryskającej znad wejścia.

I wtedy dostrzega na lewo od wejścia wyżłobiony otwór, szerokości dłoni.

- Grube masz podeszwy? - pyta Mistrza.

- Kilka sekund na pewno wytrzymają - odpowiada Mistrz. - Ale jak zatrzymać ten wodospad?

- Znam sposób - mówi West, wskazując na otwór w ścianie. - Spójrz na tę dziurę. W środku jest przycisk. Naciśnięcie spowoduje zatrzymanie potoku lawy.

- Jack, każdy, kto wyciągnie rękę w kierunku tego przycisku, straci ją...

Mistrz zorientował się, że West go nie słucha. Całą uwagę skupił na małym otworze w ścianie.

West zagryzł wargi. Następnie przełknął ślinę i zwrócił się do Mistrza:

- Skonstruujesz dla mnie protezę, Max?

Mistrz wzdrygnął się, choć zdawał sobie sprawę, że to jedyna droga ucieczki.

- Jack, jeśli nas stąd wydostaniesz, obiecuję ci, że zbuduję dla ciebie lepsze ramię niż to, z którym się urodziłeś.

- Więc bierz ją i w drogę. - West przekazał noworodka Mistrzowi.

Pobiegli. West przodem, za nim Mistrz z dzieckiem. Pod ich grubymi podeszwami chlupotała wciąż rozszerzająca się kałuża lawy.

Kiedy dotarli do głównego wejścia, West podszedł do niewielkiego otworu w skalnej ścianie, przesłoniętego teraz strumieniem spływającej lawy, wziął głęboki oddech i bez zastanowienia zanurzył w nim lewe ramię aż po łokieć.

Ból był straszliwy. Nieznośny.

Widział, jak lawa pożera jego rękę, tak jak płomień aparatu spawalniczego pożera metal. Przez krótki moment miał jeszcze czucie w palcach i to wystarczyło, by namacał kamień wewnątrz otworu i przekręcił go. Chwilę później nie miał już ręki, ale strumień wypływającej lawy raptownie się urwał.

Strop zatrzymał się w połowie wysokości. Lawa blokująca wejście zaczęła zastygać.

West chwiejnym krokiem odsunął się od ściany i stwierdził, że faktycznie jego ramię jest uszkodzone aż po łokieć. Pozostała z niego tylko bezkształtna masa mięsa, kości i skóry. Zachwiał się na nogach. Ale Mistrz przytrzymał go i obaj, wraz z dzieckiem, ruszyli w stronę wyjścia. W progu potknęli się i runęli na posadzkę kamiennego tunelu.

West, padając, uraził się w resztki ramienia i doznał szoku.

Mistrz położył dziecko i szybko zdjął buty Westa, a następnie swoje. Jeszcze chwila i podeszwy stopiłyby się w gorącej lawie. Następnie owinał kikut ręki przyjaciela własną koszulą. Na szczęście gorąca lawa zasklepiła rany.

To już koniec.

Ostatnią wizją ze snu Westa jest widok Mistrza i jego samego: siedzą w mrocznym, wykutym w litej skale tunelu, wyczerpani i ledwo żywi, z maleńką dziewczynką leżącą pomiędzy nimi.

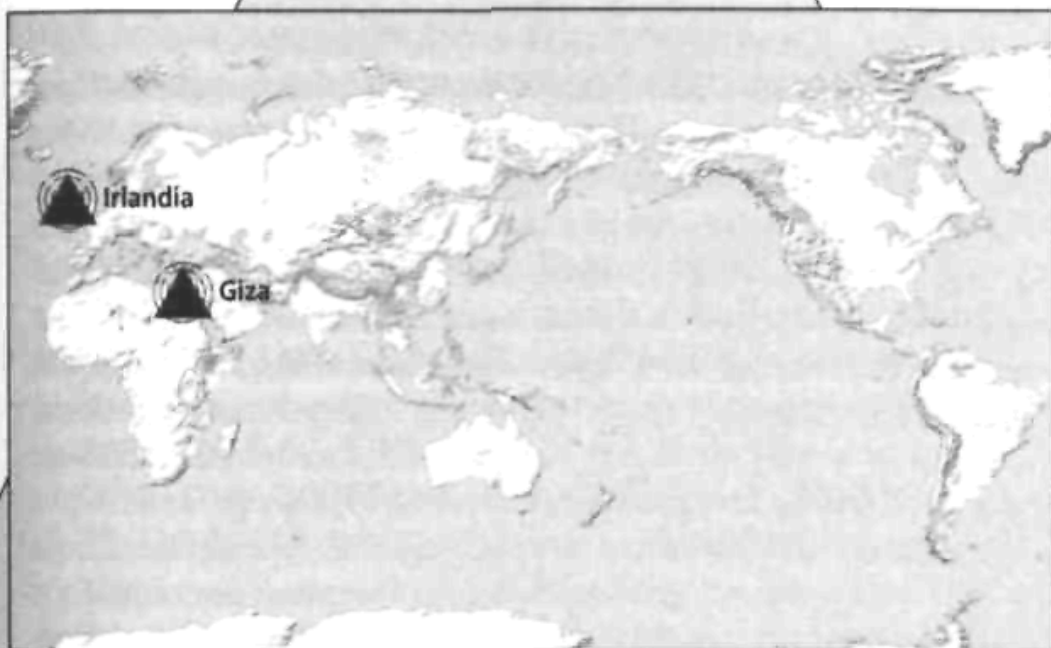
Mistrz mówi:

- To nieprawdopodobne. Nigdy w historii ludzkości nie zdarzyło się nic podobnego. Dwie wyrocznie. Wyrocznie - bliźnięta. A del Piero nic o tym nie wie...

Mistrz zwraca się do Westa:

- Mój młody przyjacielu. Mój bohaterski przyjacielu. To znacznie komplikuje sprawy. A jednocześnie daje nam szansę na przeżycie wspaniałych przygód. Musimy powiadomić kraje członkowskie i zwołać naradę. Zapewne najważniejszą naradę współczesnego świata.

# **NARADA NARODÓW**



**HRABSTWO KERRY, IRLANDIA**  
**28 PAŹDZIERNIKA 1996**  
**7 MIESIĘCY PÓŹNIEJ**



FARMA O'SHEA  
HRABSTWO KERRY, IRLANDIA  
28 PAŹDZIERNIKA 1996, GODZ. 17.30

Dla niewprawnego oka budynek wyglądał jak samotna stara farma położona na wzgórzu, skąd rozciągał się widok na Atlantyk. Ale wprawne oko dostrzegłoby coś jeszcze. Doświadczony obserwator zauważyłby z pewnością co najmniej dwudziestu uzbrojonych po zęby irlandzkich komandosów, otaczających zwartym szeregiem posesję i bacznie obserwujących okolicę.

Miejsce było nietypowe na przeprowadzanie międzynarodowej konferencji na najwyższym szczeblu, ale uczestnicy za wszelką cenę pragnęli uniknąć rozgłosu.

Sytuacja na świecie w owym czasie rysowała się raczej ponuro. Irak został wyparty z Kuwejtu, ale bawił się cały czas w kotka i myszkę z inspektorami rozbrojeniowymi ONZ. Europa była wściekła na Stany Zjednoczone za nałożenie zaporowych taryf celnych na stal. Indie i Pakistan, zaangażowane w pozorną wojnę, za chwilę miały dołączyć do klubu atomowego.

To wszystko były wydarzenia dużego formatu, ale reprezentanci różnych państw, którzy dzisiaj się tutaj zgromadzili, nie należeli do rozgrywających w światowej polityce. To były małe państwa - myszy, płotki, a nie lwy.

Ale nie na długo.

Lada moment mysz miała zacząć ryczeć.

Siedem z ośmiu delegacji siedziało teraz w głównym salonie, oczekując rozpoczęcia. Delegacja każdego z państw miała dwóch lub trzech przedstawicieli - jednego zawodowego dyplomatę i jednego lub dwóch przedstawicieli armii.

Widok za oknem zapierał dech w piersiach - groźne atlantyckie fale rozbijające się o brzeg - ale nikt ze zgromadzonych nie miał głowy do podziwiania krajobrazu.

Arabowie niecierpliwie spoglądali na zegarki, wzruszając ramionami. Szef ich delegacji, przebiegły, stary szejek ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Anzar al - Abbas powiedział:

- Profesor Epper nie dawał znaku życia od ponad sześciu miesięcy. Dlaczego sądzą, że się tu dzisiaj zjawi?

Kanadyjczycy, w typowy dla siebie sposób, czekali cierpliwie w milczeniu, a ich szef odparł krótko:

- Będzie.

Abbas się skrzywił.

Czekając, przerzucił już materiały przygotowane na spotkanie, a teraz zaczął ponownie czytać streszczenie tajemniczej książki, które zostało przekazane wszystkim uczestnikom spotkania. Nagłówek brzmiał: „Złota kopuła”.

## ZŁOTA KOPUŁA

Wybór z: Kiedy ludzie budowali góry: Piramidy

Autor: Chris M. Cameron

Wydawca: Macmillan, Londyn, 1989

Zapewne największa tajemnica piramid jest zarazem najbardziej oczywista - piramida Cheopsa w Gizie jest prawie o trzy metry za niska.

Przez wieki na jej szczycie mieścił się najbardziej czczony obiekt.

Złota kopuła. Albo, jak nazywali ją Egipcjanie - benben.

Miała kształt miniaturowej piramidy, prawie trzy metry wysokości i niemal cała została wykonana ze złota. Pokrywały ją inskrypcje zapisane hieroglifami oraz inne, dziwne znaki w nieznanym języku, a na jednym boku - południowym - wryto symbol oka Horusa.

Każdego ranka, kiedy pierwsze promienie wschodzącego słońca padały na jej powierzchnię, rozświetlała się blaskiem jak najcenniejszy klejnot.

Złotą kopułę podzielono na siedem elementów. Pocięto ją na poziome pasy, tworząc w ten sposób sześć złotych brył o kształcie trapezu, a ostatni element, samo zwieńczenie, zachowało kształt niewielkiej piramidy (takie niewielkie piramidy zwano piramidonami).

Twierdzi się, że kopuła została wykonana prawie cała ze złota, gdyż rzeczywiście jej korpus był z litego złota. W korpusie wywiercono cienkie pionowe otwory, prowadzące wprost do środka kopuły.

Otwory miały około trzech centymetrów średnicy, a w każdym z nich osadzono kryształ, przypominający nieco szkło powiększające. Kryształy umieszczone w otworach miały zdolność skupiania promieni słonecznych w te dni, kiedy słońce znajdowało się idealnie pionowo nad kopułą.

I to jest właśnie najważniejsze.

Wielu naukowców zwróciło uwagę, że faraon Chufu (Cheops) zaczął budowę piramidy wtedy, gdy pojawiło się zjawisko zwane obrotem Tartaru. Fenomen ten występuje wówczas, gdy Słońce znajdzie się w odpowiednim położeniu wobec Ziemi, a jednocześnie na powierzchni Słońca pojawi się plama słoneczna.

Znakomici obserwatorzy przyrody, jakimi byli Egipcjanie, wiedzieli, że Słońce się obraca, że występują na nim plamy, dostrzegli także plamę nazywaną Tartarem. Przerażeni intensywnym ciepłem, jakie z niej pochodziło, nazwali ją Niszczycielem boga Re (znali także inną plamę, która pojawia się na siedem dni przed Tartarem i nazwali ją Prorokiem Niszczyciela).

Ostatni raz obrót Tartaru zaobserwowano w roku 2570 p.n.e., dosłownie kilka lat po tym, jak ukończono budowę piramidy Cheopsa. Następny obrót ma nastąpić w roku 2006, dokładnie dwudziestego marca, w dzień wiosennej równonocy, kiedy Słońce stoi dokładnie pionowo nad Ziemią.

Ci z badaczy, którzy łączą budowę piramid z Tartarem, uważają także, że siatka kryształów na kopule ma zdolność przechwytywania i kumulowania

energii słonecznej. Niektórzy posuwają się nawet do stwierdzenia, że kopuła ma jakieś fantastyczne, paranormalne właściwości.

Należy dodać, że złota kopuła widniała na szczycie piramidy przez bardzo krótki okres.

Dzień po wystąpieniu obrotu Tartaru, w 2570 roku p.n.e. została zdemontowana i ukryta w jakimś sekretnym miejscu na następne dwa tysiące lat.

Wkrótce potem w ogóle zniknęła, a jedyną po niej pozostałością jest złowieszcza w swym tonie inskrypcja na szczycie piramidy Cheopsa w Gizie:

Skulcie się ze strachu, krzyczcie z rozpacz,  
Żałośni śmiertelnicy  
Gdyż ten, który dał wielką moc,  
Teraz ją odbierze.  
Jeśli benben nie zostanie umieszczony w świętym miejscu  
Na świętej ziemi, na świętej wysokości,  
W ciągu siedmiu wschodów słońca od przybycia Proroka  
boga Re,  
Siódmego dnia w samo południe,  
Ognie nieprzejednanego Niszczyciela Re pochłoną nas  
wszystkich.

Gdzieś trzasnęły drzwi. Abbas podniósł wzrok znad lektury.

Rozległ się odgłos kroków.

Drzwi otworzyły się i pojawił się w nich...

Profesor Max T. Epper, a wraz z nim kapitan Jack West junior.

Epper miał na sobie klasyczny tweedowy płaszcz. Jego broda za dziesięć lat wciąż będzie tak samo biała i długa.

West miał na sobie marynarkę i modne buty ze stalowymi obcasami. Zimnym, badawczym spojrzeniem niebieskich oczu bacznie zlustrował pomieszczenie.

Jego lewe ramię kończyło się na wysokości łokcia.

Wszyscy to zauważyli.

Przez pokój przeszedł szmer.

- Oni odnaleźli zwoje z Musejonu... - szepnął jeden z Arabów.

- Epper jest profesorem archeologii w Trinity College w Dublinie, fantastyczny facet, poza tym ma doktorat z fizyki...

- A Myśliwy?

- To były żołnierz. Walczył po stronie Amerykanów w Iraku w dziewięćdziesiątym pierwszym. Ale po tym, co mu Amerykanie zrobili...

- Co, do diabła, stało się z jego ręką?

Abbas wstał.

- Gdzie jest dziewczynka, Maximilian? Myślałem, że ją przyprowadzicie.

- Została w bezpiecznym miejscu - odparł Epper. - Jej bezpieczeństwo ma w tym momencie najwyższą wagę. Nie musi brać udziału w tym spotkaniu.

Epper i West usiedli przy stole razem z członkami siedmiu delegacji.

Epper usiadł przy Kanadyjczykach, a West samotnie, z dala od kogokolwiek. On sam reprezentował ósmą delegację. Jego ojczyzna nie przysłała żadnego przedstawiciela, uznając, że obecność Westa w zupełności wystarczy.

Tą ojczyzną była Australia.

Gospodarz, szef delegacji irlandzkiej, generał Colin O'Hara oficjalnie otworzył posiedzenie.

- Drodzy przyjaciele, witam was w Irlandii na posiedzeniu, które ma najwyższą wagę. Przejdę od razu do rzeczy. Siedem miesięcy temu członkowie europejskiego zespołu złożonego z archeologów i wojskowych odnaleźli w kryjówce w Ugandzie ciężarną żonę wyroczni Siwy. Nie wiadomo, jak trafili na jej trop. Wiemy za to, że szefem ekspedycji był znany watykański historyk, ojciec Francisco del Piero, który specjalizuje się w starożytnych egipskich praktykach religijnych, a szczególnie w kulcie słońca. Zgodnie ze wskazówkami starożytnych Egipcjan del Piero i jego ekipa zabrali ciężarną kobietę w dniu przesilenia wiosennego, dwudziestego marca, do odległego wulkanu w Ugandzie. W południe tego dnia, dzięki tak zwanemu czystemu światłu słońca, w grocie wykutej w zboczu wulkanicznej góry żona wyroczni rodziła syna,

którego del Piero natychmiast uprowadził. Następnie del Piero i jego ludzie opuścili grobę, skazując kobietę na niechybną śmierć.

I wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Kiedy zespół del Piera zniknął, kobieta urodziła kolejne dziecko, dziewczynkę. Dzięki nadzwyczajnym wysiłkom profesora Eppera i kapitana Westa dziecko ocalało i jest całe i zdrowe...

Ech, więcej się tam działo... - pomyślał West, słuchając przemowy.

Tak naprawdę to on i Epper znaleźli żonę wyroczni dzień przed Europejczykami. Nazywała się Malena Okombo i ukrywała się przed swoim agresywnym mężem, aktualną wyrocznią Siwy. Kiedy zaszła w ciążę, uciekła od męża, chroniąc się przed jego razami. West współczuł Malenie i obiecał, że się nią zaopiekuje. Ale pojawili się Europejczycy i zdołali ją uprowadzić. O'Hara mówił dalej:

- Narodziny drugiej wyroczni to wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności. Profesorze Epper, gdyby pan zechciał...

Epper wstał.

- Dziękuję, Colin.

Zwrócił się do zebranych:

- Pani Kissane, panowie. Naszych osiem małych narodów znalazło się dzisiaj w decydującym momencie dziejów. Akcja przeprowadzona przez ojca del Piera i jego ludzi w Ugandzie może oznaczać tylko jedną, skrajnie niebezpieczną rzecz. Europejczycy wykonali pierwszy ruch. Po dwóch tysiącach lat poszukiwań zapewnili sobie klucz do odnalezienia największego, najbardziej poszukiwanego skarbu - złotej kopuły piramidy Cheopsa.

- Pozwólcie mi wyjaśnić to szczegółowo - powiedział Epper. - Jak mieliście okazję przeczytać w materiałach, które otrzymaliście, złota kopuła tylko raz znajdowała się na szczycie piramidy. Kiedy ukończono budowę, przez kilka krótkich lat wieńczyła jej wierzchołek, a następnie została stamtąd usunięta. Od tamtej pory nie wspominają o niej żadne egipskie źródła ani nie jest znane miejsce jej ukrycia. W ciągu stuleci stała się obiektem niezliczonych mitów i legend. Perski król Kambyzes próbował odnaleźć oazę Siwa na Pustyni Zachodniej, ale nadzwyczaj silne burze piaskowe pogrzebały pięćdziesiąt tysięcy jego żołnierzy. Również Juliusz Cezar próbował zlokalizować to miejsce; jemu też się nie udało. Napoleon sprowadził do Egiptu całą armię, bez skutku. Opowieść o Jazonie i Argonautach i ich próbach odnalezienia mistycznego, wszechmocnego złotego runa, napisana przez Apoloniusza z Rodos, zapewne jest alegorią poszukiwań złotej kopuły.

Wszystkie legendy mają jedną wspólną cechę. Zawsze kopuła obdarzona jest nadzwyczajnymi właściwościami. Mówi się, że jest źródłem niezwyklej mocy, że kryje sekret perpetuum mobile, że jest polaryzatorem światła, zdolnym także absorbować promienie słoneczne.

Poza tym były także mity o zabarwieniu okultystycznym: że kopuła jest talizmanem Złego, wykutym przez okultystów w trakcie krwawego obrzędu; że naród, który ogłosi, iż kopuła należy do niego, i będzie ją przechowywał na swoim terytorium, będzie niezwyciężony w bitwie; że jest kawałkiem pozaziemskiej technologii, przywiezionej na Ziemię tysiące lat temu jako prezent od wyżej rozwiniętej cywilizacji.

Przedstawiciel Nowej Zelandii wtrącił:

- A teraz Unia Europejska chce...

- Nie - odparł O'Hara. - Oni nie reprezentują Unii Europejskiej. Irlandia i Hiszpania są członkami Unii, ale ojciec del Piero nie działa w naszym imieniu. Każą się nazywać misją Unii Europejskiej, ale tak naprawdę jest to koalicja czterech krajów starej Europy: Francji, Niemiec, Włoch i Watykanu.

Na wspomnienie Francji Nowozelandczyk wyraźnie zeszywniał. Od chwili wysadzenia w powietrze przez francuskich agentów w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku w Auckland okrętu Rainbow Warrior należącego do Greenpeace stosunki pomiędzy Francją a Nową Zelandią pozostawały napięte aż do dzisiaj.

- Chcę podkreślić, że jeśli stara Europa chce zdobyć kopułę, jej wrogowie zostaną o tym poinformowani...

- Już są - spokojnie wtrącił Abbas. - Amerykanie szykują konkurencyjną ekspedycję.

- Chwileczkę - przerwał szef delegacji Jamajki. - To Ameryka i Europa są wrogami?

- I to takimi, jakimi potrafią być tylko dotychczasowi przyjaciele - odparł Epper. - Dzięki Unii Europejskiej stara Europa od pięciu lat toczy ze Stanami Zjednoczonymi bezpardonową wojnę ekonomiczną. Zaczęło się wszystko od chwili, gdy Amerykanie zaczęli dotować przemysł stalowy, wyrzucając w ten sposób z rynku zdecydowanie wydajniejszych producentów europejskich.

Głos zabrał przedstawiciel Hiszpanii:

- Stany Zjednoczone wywierają naciski na inne kraje, żeby te otworzyły swoje rynki, a same zamykają swój przed nimi, chroniąc własny słaby przemysł za pomocą zaporowych taryf celnych, tak jak to zrobili z hutnictwem.

Kanadyjczycy przytaknęli.

- Eksprzyjaciele postępują tak jak ekszony i eksmężowie, czyli jak najgorsi wrogowie. Europa i Ameryka gardzą sobą nawzajem. Ich wrogość będzie wciąż rosła.

Do głosu doszedł znów Epper:

- I właśnie dlatego dziś się tu znaleźliśmy. Nasze narody nie są wrogami ani Stanów Zjednoczonych, ani starej Europy. Przecież nieraz się zdarzało, że walczyliśmy u ich boku. Ale tym razem uznaliśmy, że nie możemy pozostać obojętni, kiedy te tak zwane supermocarstwa angażują się w walkę o zdobycie najwspanialszego znanego ludzkości dzieła. Zebraliśmy się dziś tutaj, gdyż jesteśmy przekonani, że złota kopuła nie powinna stać się własnością żadnego

supermocarstwa. Jej moc jest zbyt wielka. Krótko mówiąc, jesteśmy tutaj, by ocalić świat.

- Co z dzieckiem... - zapytał Abbas.

Epper uniósł rękę.

- Za chwilę, Anzar, za chwilę. Jeszcze trochę historii. W ciągu dziejów kopuła była poszukiwana przez licznych wielkich tego świata: Juliusza Cezara, cesarza Augusta, Ryszarda Lwie Serce, Napoleona, lorda Kitchenera i, całkiem niedawno, Adolfa Hitlera i nazistów. Złotą kopułę czczą templariusze i masoni, a także, co wielu może zaskoczyć, Kościół katolicki. Wszyscy wierzą w to samo: że ten, kto odnajdzie kopułę i odprawi odpowiednią starożytną liturgię, będzie panował na ziemi przez następne tysiąc lat.

W sali zaległa cisza. Epper kontynuował:

- Uważa się, że tylko jeden człowiek w dziejach posiadał kopułę i korzystał z jej przerażającej mocy. To on właśnie miał, według legendy, podzielić ją na siedem niezależnych części po to, żeby nikt nigdy już nie skorzystał z jej mocy. I to on ukrył poszczególne fragmenty w różnych zakątkach świata, ukrył w siedmiu najpotężniejszych pomnikach ludzkości.

- Kim był? - zapytał Abbas.

- Jedyny człowiek, który panował nad całym znanym mu wówczas światem - odparł Epper. - Aleksander Wielki.

- Siedem najpotężniejszych pomników? - rzekł z powątpiewaniem Abbas.  
- Mówisz o siedmiu cudach świata? Aleksander Wielki ukrył siedem kawałków kopuły w siedmiu cudach świata?

- Owszem - odparł Epper. - Chociaż za jego czasów ta nazwa jeszcze nie funkcjonowała. Po raz pierwszy użył jej później, bo w dwieście pięćdziesiątym roku przed naszą erą, Kalli - mach z Cyreny, główny bibliotekarz Biblioteki Aleksandryjskiej. A to dlatego, że w chwili śmierci Aleksandra, w roku trzysta dwudziestym trzecim przed naszą erą, na świecie istniało tylko pięć z siedmiu cudów.

- Słabo znam historię - przyznał się Abbas. - Możesz opowiedzieć więcej o siedmiu cudach?

Odpowiedzi, natychmiastowej i rzeczowej, udzieliła młoda Irlandka.

- W kolejności budowy były to: piramida Chufu w Gizie, zwana też piramidą Cheopsa, wiszące ogrody Semiramidy w Babilonie, świątynia Artemidy w Efezie, posąg Zeusa w Olimpii, mauzoleum w Halikarnasie, latarnia morska w Faros w Aleksandrii i kolos rodyjski.

- Dziękuję, Zoe - powiedział Epper.

- Sądziłem, że wiszące ogrody to legenda. - Abbas się zdziwił.

- To, że czegoś do tej pory nie odnaleziono, nie oznacza, że jest tylko mitem. Ale to dygresja. Za swojego żywota Aleksander widział wszystkie istniejące wówczas cuda. Dwa ostatnie: latarnia morska i kolos rodyjski zostały zbudowane przez jego najbliższego przyjaciela, a zarazem generała - Ptolemeusza Pierwszego, który później został faraonem Egiptu.

W ten sposób powstaje przedziwny zbieg okoliczności - obaj, razem wzięci, bohaterowie swojej epoki odwiedzili wszystkie z siedmiu miejsc, które zostały później nazwane siedmioma cudami świata antycznego. Pewne jest, że wkrótce po ich śmierci powstała idea siedmiu wielkich budowli.

Ale nie dajmy się zwieść. To wcale nie było przypadkowe. Jak już wcześniej powiedziałem, o siedmiu cudach świata po raz pierwszy wspomniął Kallimach z Cyreny w dwieście pięćdziesiątym roku przed naszą erą. Zrobił to w tekście zatytułowanym Zbiór cudów świata, obecnie znanym jako tekst Kallimacha.

Kallimach nie sporządził jedynie spisu. On wiedział wszystko o Aleksandrze, Ptolemeuszu i złotej kopule. Wskazując na te siedem budowli, choć przecież było w ówczesnych czasach więcej równie wspaniałych cudów architektury, Kallimach wyrysował dla nas rodzaj przejrzystej mapy, prowadzącej do fragmentów kopuły.

- Według tekstu Kallimacha kopuła została podzielona w następujący sposób. - Epper narysował na tablicy piramidę i przeciął ją poziomą kreską dzieląc na siedem pasów. - Siedem części: jeden wierzchołek w kształcie piramidy i sześć trapezoidów, każdy innej wielkości. Ponumerowaliśmy je, licząc od dołu, od jedynki do siódemki.



- Chwileczkę - powiedział Abbas. - Siedmiu cudów starożytności już nie ma, zniknęły. Jak możemy znaleźć części kopuły w nieistniejących budowlach?

Epper skinął głową.

- Racja. Prócz piramidy Cheopsa żaden z siedmiu cudów nie przetrwał do dzisiejszych czasów. Zachował się za to tekst Kallimacha. Poza tym chciałbym jeszcze coś wyjaśnić. Chociaż tekst zawiera jego imię, to Kallimach nie był jego jedynym autorem. Tekst jest zbiorem pism różnych autorów. Wszyscy oni byli wyznawcami pewnego tajemnego kultu. Redagowali ten tekst i uaktualniali przez tysiąc pięćset lat. Śledzili losy każdego z cudów, nawet wtedy gdy któryś z nich popadł w ruinę lub zaginął. Tym samym śledzili losy fragmentów kopuły. Pozwólcie, że to wyjaśnię.

- Wszyscy znamy historię Aleksandra Wielkiego. Zanim wyruszył na podbój Persji, odwiedził wyrocznię w oazie Siwa na pustyni w Egipcie. Podczas rozmowy wyrocznia potwierdziła głębokie przekonanie Aleksandra, że jest bogiem, synem Zeusa. Niewielu jednak wie, że kiedy Aleksander opuszczał oazę, wyrocznia wręczyła mu prezent. Nikt go nigdy nie widział, ale według historyka Kalistenesa zajmował „cały wóz ciągnięty przez osiem osłów”. Czymkolwiek był ów prezent, był ciężki. Bardzo ciężki. Aleksander zabierał go ze sobą na każdą wyprawę wojenną.

- Sądzisz, że wyrocznia podarowała Aleksandrowi kopułę? - zapytał Abbas.

- Tak. Uważam również, że Aleksander w trakcie swych kampanii systematycznie ukrywał kolejne części kopuły w pięciu istniejących wówczas cudach świata. Pozostałe dwie przekazał swojemu zaufanemu przyjacielowi, Ptolemeuszowi Pierwszemu, który, jak wiemy, zbudował dwa kolejne cuda.

I jeszcze jedno. Wyrocznia z Siwy była kimś więcej niż tylko jasnowidzem. Wyrocznia była, i jest po dziś dzień, najwyższym kapłanem starożytnego kultu słonecznego, znanego jako kult boga Amona - Re. Co ciekawe, w egipskich pismach ten kult ma inną nazwę: „Kapłani złotej kopuły”. Tak, tak, to prawda. To właśnie oni umieścili kopułę na wierzchołku piramidy i oni ją później zdjęli.

Kult Amona - Re przetrwał pod różnymi postaciami po dziś dzień. Przykładem może być Zakon Rycerzy Świętego Jana na Malcie i niektóre frakcje w Kościele katolickim.

Także masoni nadawali wielkie znaczenie piramidzie - często uważano ich za kontynuatorów kultu Amona - Re. Faktycznie jeden z wielkich, znanych masonów, Napoleon Bonaparte, przeszedł inicjację na najwyższe stanowisko w loży w komorze królewskiej piramidy Cheopsa.

- Kolejni znani z historii ludzie, powiązani z kultem, to Thomas Jefferson, Frederic - Auguste Bartholdi - projektant Statuy Wolności, doktor Hans König - znany nazistowski archeolog, i amerykański wiceprezydent Henry Wallace,

człowiek, któremu zawdzięczamy wizerunek piramidy z kopułą na szczycie na banknocie jednodolarowym.

Warto jeszcze dodać, że wszyscy główni bibliotekarze Biblioteki Aleksandryjskiej byli wyznawcami kultu - wśród nich Apoloniusz z Rodos i Kallimach z Cyreny.

Epper kontynuował wywód:

- Wraz z upływem czasu, kiedy kolejne cuda popadały w ruinę, następcy Kallimacha bacznie śledzili losy fragmentów kopuły, zapisując ich losy w tekście Kallimacha.

Jeden przykład: kiedy trzęsienie ziemi powaliło kolosa z Rodos, Egipcjanie zabrali głowę posągu, ratując w ten sposób część kopuły ukrytą w jego naszyjniku. Nowe miejsce spoczynku głowy kolosa zostało oczywiście odnotowane w tekście Kallimacha, tyle że w sekretnym języku.

I dlatego, drogi Anzarze, tak ważna jest dla nas dziewczynka.

Kallimach i jego następcy zapisywali swoje uwagi w starożytnym języku, niespokrewnionym z żadnym innym, języku, którego do dziś nie udało się przetłumaczyć. Nie pomogły nawet superszybkie komputery.

Ten tajemniczy język nazwano Słowem Tota.

Przypuszczamy, że ojciec del Piero dysponuje watykańską kopią tekstu, sporządzoną przez papieskiego szpiega w trzynastym wieku. Ale nie potrafi go przetłumaczyć. Dlatego tak usilnie szukał jedynej osoby, która potrafi przeczytać Słowo Tota - wyroczni z Siwy.

Aleksander Wielki jest już tylko postacią historyczną, a wyrocznia Siwy żyje po dziś dzień, aczkolwiek ukryta gdzieś w Afryce.

Wyrocznia od czterech i pół tysiąca lat należy do jednej nieprzerwanej linii rodowej, w której na świat przychodziło tylko jedno dziecko. Potomstwo wyroczni dziedziczyło zawsze ponadnaturalne zdolności. Od wieków debatowano na temat daru, jakim obdarzona jest wyrocznia, ale jedno nie ulega wątpliwości. Zarówno Egipcjanie, jak Grecy i Rzymianie zgodnie twierdzili, że wyrocznia Siwy rodzi się z naturalnym darem - potrafi odczytać Słowo Tota.

Następcy Kallimacha wymarli w czternastym wieku i od tej pory wyrocznia jest jedyną osobą potrafiącą rozszyfrować tekst Kallimacha, a zatem poznać położenie siedmiu cudów starożytności.

- Jak już słyszeliśmy, ekipa Europejczyków pod dowództwem del Piera nie znalazła samej wyroczni, tylko jego ciężarną żonę. Jej mąż był nie tylko wyrocznią, ale także głupcem, obrzydliwym pod każdym względem facetem i dwa miesiące później zginął po pijanemu w wypadku. Gdyby odnaleziono go wcześniej, misja byłaby o wiele prostsza i mogłaby rozpocząć się natychmiast.

Tak czy inaczej, Europejczycy mają teraz w ręku nowo narodzoną wyrocznię - chłopca, który, gdy osiągnie odpowiedni wiek, będzie umiał odczytać tekst. Według starożytnych źródeł wyrocznia zaczyna panować nad swoimi nadprzyrodzonymi zdolnościami około dziesiątego roku życia.

Kiedy ojcu del Piero uda się wreszcie rozszyfrować tekst Kallimacha, siły europejskie rozpoczną największą w historii akcję poszukiwania fragmentów złotej kopuły.

Głos zabrała Irlandka, Zoe Kissane:

- Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, po raz pierwszy w dziejach żona wyroczni powiła bliźniaki. Mamy drugie dziecko - dziewczynkę.

- Zgadza się - potwierdził Epper. - Właśnie rozpoczął się wyścig. Wyścig o to, które z dzieci pierwsze dojrzeje do swojej roli. Dorastając, zaczną uczyć się panować nad swoimi zdolnościami i kiedy będą już umiały odcyfrować Słowo Tota, zdołają przeczytać tekst Kallimacha.

- A to oznacza, że bezpieczeństwo dziewczynki staje się sprawą najwyższej wagi - wtrącił O'Hara. - Trzeba jej strzec na okrągło, wychowywać i czekać, aż dorośnie, a kiedy nadejdzie czas, przetłumaczy tekst i doprowadzi nas do skarbu, zanim dotrą do niego Europejczycy lub Amerykanie.

Epper pokiwał twierdząco głową.

- Nie możemy popełnić żadnego błędu. Mamy niewielkie szanse. Nasi przeciwnicy z Ameryki i starej Europy już teraz zatrudniają setki naukowców, którzy mają im pomóc osiągnąć cel. Kiedy nadejdzie właściwy czas, wyślą po kopułę całe armie.

Nie mamy takich środków jak nasi przeciwnicy ani nie jesteśmy tak liczni. Ale to wcale nie oznacza, że jesteśmy bez szans.

Po pierwsze, mamy przewagę, bo supermocarstwa nie zdają sobie sprawy, że zaangażowaliśmy się w poszukiwania. Nie wiedzą też, że w naszych rękach znajduje się dziewczynka.

I po drugie, nie potrzebujemy całej kopuły. Wystarczy nam jedna część. Jeśli ją zdobędziemy, żaden z naszych przeciwników nie wykorzysta jej niezwyklej mocy. Podsumowując, zdobycie nawet jednego fragmentu będzie tytanicznym zadaniem.

Epper powiódł wzrokiem po sali.

- To wielka odpowiedzialność, zbyt wielka, by spoczęła na barkach tylko jednego kraju. Dlatego musimy dzisiaj zacząć działać wspólnie, gdyż tylko w grupie mamy szansę zmierzyć się z potężnymi siłami, jakie staną nam naprzeciw. Stąd składam następującą propozycję: każde z państw, które przyłączyły się do naszej koalicji, odda do dyspozycji jednego żołnierza i

przydzielili go do grupy strzegącej bezpieczeństwa dziewczynki. Później grupa ta zajmie się nadrzędnym celem, czyli znalezieniem fragmentu kopuły.

Jednocześnie ostrzegam, to będzie misja długofalowa, obliczona na lata, nie miesiące. Będzie wymagała zachowania nieustannej czujności, poświęcenia i zdyscyplinowania. Wybrani żołnierze wraz z kapitanem Westem i ze mną zamieszkają w bezpiecznej kryjówce. Tam będziemy dziewczynkę wychowywać w absolutnej tajemnicy, aż stanie się na tyle dojrzała, by wypełnić przeznaczone jej zadanie.

Poszczególne delegacje zbiły się w małe grupki, zawzięcie między sobą szepcząc. West, ponieważ był jedynym delegatem swojego kraju, nie musiał z nikim konsultować decyzji.

Po dłuższej przerwie zwołano ponowne zebranie, gdzie każde z państw przedstawiło swojego kandydata.

Kanada już wcześniej delegowała Maksa Eppera.

Szejk Abbas obwieścił:

- Z ramienia Zjednoczonych Emiratów Arabskich mam zaszczyt zaproponować mojego drugiego syna, kapitana Zahira al - Anzara al - Abbasa. - Żołnierz siedzący cały czas u boku Abbasa wstał. Był dość pulchnym facetem, niskim, miał bujną czarną brodę i turban na głowie.

- Kapitan Zahir al - Anzar al - Abbas, broń ciężka, materiały wybuchowe, pierwszy szwadron komandosów, na rozkaz! Pseudonim: Saladyn.

Teraz wstał przedstawiciel Hiszpanii: wysoki, przystojny, atletycznie zbudowany, wyglądał jak Ricky Martin.

- Porucznik Enrique Velacruz. Unidad de Operaciones Especiales, komandos. Sabotaż podwodny. Pseudonim: Matador.

Jamajczycy przedstawili wysokiego mężczyznę z dreadami na głowie, sierżanta V. J. Weatherly'ego. Pseudonim: Szaman.

Nową Zelandię miał reprezentować wielki, zarośnięty pilot wojskowy o pseudonimie Sky Monster.

Na końcu Irlandia zaproponowała dwie osoby, w tym jedyną kobietę, która miała wejść w skład tej międzynarodowej jednostki.

Delegowano Zoe Kissane i wielkiego faceta, siedzącego obok niej, jej brata, Liama. Oboje wywodzili się ze słynnej irlandzkiej jednostki komandosów: Sciathan Fhianoglach an Airm.

Kobieta przedstawiła się:

- Sierżant Zoe Kissane, uwalnianie zakładników, wsparcie medyczne. Pseudonim: Krwawa Mary.

- Kapral Liam Kissane, również uwalnianie zakładników, rozbrajanie bomb, broń ciężka. Pseudonim: Bandyta.

Stali teraz wyprostowani przy szerokim stole - dziewiątka wybrańców, którzy mieli podjąć się swojej życiowej misji.

Wkrótce miał do nich dołączyć dziesiąty członek zespołu - Długi, z Izraela.

Szykowali się do wyjścia. Samolot już czekał, by ich zabrać i wywieźć z Irlandii do bezpiecznego miejsca.

Już w drzwiach Abbas powiedział coś po arabsku do swojego syna, Saladyna. Powtarzało się jedno słowo - bint.

Żołnierz tylko kiwnął głową.

Za jego plecami stanął West.

- Kiedy o niej mówisz, nie używaj słowa „dziewczynka”. Ona ma przecież imię.

- Nadałeś jej imię? - zapytał zaskoczony Saladyn.

- Tak - odparł West. - Ma na imię Lily.

Rozpoczęła się podróż do bezpiecznej siedziby.

Miejsce docelowe znajdowało się w Kenii, ale ze względów bezpieczeństwa zatoczyli olbrzymi krąg, kilkakrotnie zmieniając samoloty. Podróż zajęła im w związku z tym kilka dni.

W trakcie podróży Saladyn zwrócił się do Eppera:

- Na spotkaniu wręczono nam streszczenie książki. Mowa tam była o kopule i plamie słonecznej Tartar. Co to takiego ta plama i jaki ma związek z piramidą i jej kopułą?

Epper kiwnął głową.

- Dobre pytanie. Związek jest bardzo ciekawy, a w obecnej sytuacji nabiera jeszcze większego znaczenia.

- Dlaczego?

- Ponieważ za dziesięć lat, w marcu dwa tysiące szóstego roku będziemy obserwować po raz drugi ten wielki obrót Słońca, zjawisko, które wystąpiło ostatnio cztery i pół tysiąca lat temu.

Brodaty Arab wzruszył ramionami.

- Obrót Słońca? O co tu chodzi?

- Choć nie możemy tego zaobserwować, nasze Słońce obraca się wokół własnej osi, tak jak Ziemia. Tyle że to nie jest zwykły jednostajny obrót, a raczej rodzaj kołysania się w górę i w dół. Dzięki temu co cztery, cztery i pół tysiąca lat pewne specyficzne miejsce na powierzchni Słońca, znane jako plama słoneczna Tartar, znajduje się dokładnie naprzeciwko naszej planety. I wtedy zaczynają się kłopoty.

- Czemu?

- Ponieważ Tartar jest najgorętszym miejscem na tarczy słonecznej - wtrąciła się Zoe Kissane, przysiadając się do nich. - Starożytni Grecy nazwali je tak na cześć jednego ze swoich podziemnych królestw. To lepsze królestwo nazywali Polami Elizejskimi, było to miejsce wiecznej szczęśliwości. To gorsze, przeklęta kraina rozpaczy, płomieni i kary, znane było jako Tartar.

- Od dwudziestu lat na Ziemi rośnie średnia temperatura - rzekł Epper. - Ponieważ staje się widoczny Tartar. Kiedy znajdzie się na wprost Ziemi, tak jak to już się działo w przeszłości, temperatura przez blisko dwa tygodnie będzie przekraczała sto dziesięć stopni Celsjusza.

Lasy deszczowe uschną. Rzeki wyparują. Ludzie będą musieli się schronić w domostwach. Będzie niesamowity skwar, ale da się to przeżyć.

Największy problem polega na tym, że stopi się lód na biegunach, co spowoduje gigantyczne powodzie. Poziom wód w oceanach wzrośnie prawdopodobnie o piętnaście metrów. Wiele miast położonych na wybrzeżu zostanie zatopionych. Ale, jak powiedziałem, jeśli ludzie zostaną w porę ostrzeżeni, to przeżyją.

- Rozumiem - rzekł Saladyn.

Epper jeszcze nie skończył.

- Mamy dowody na to, że podobne wzrosty poziomu wód zdarzały się w przeszłości - piętnaście tysięcy, dziesięć i pół tysiąca i sześć i pół tysiąca lat przed naszą erą.

Powódź piętnaście tysięcy lat przed naszą erą była tak gigantycznym ruchem oceanu, że zalała Zatokę Perską. Ta z roku dziesięć tysięcy pięćsetnego przed naszą erą jest powszechnie znana jako „wielka powódź” i wspominają o niej święte księgi: potop za czasów Noego, potop, o którym piszą źródła sumeryjskie, nawet tubylcy australijscy zachowali w swoim folklorze wspomnienie wielkiej powodzi.

Ostatni wielki potop na światową skalę zdarzył się sześć i pół tysiąca lat przed naszą erą. Wówczas to wody podniosły się o dwadzieścia metrów.

Epper wychylił się do przodu.

- Wszystkie te trzy wielkie powodzie zdarzyły się podczas pojawienia się Tartaru.

Ciekawe jest to - podniósł palec Epper - że w roku dwa tysiące pięćset siedemdziesiątym przed naszą erą, kiedy po raz ostatni pojawił się Tartar, nie było żadnej powodzi!

Saladyn wzruszył ramionami.

- Chcesz powiedzieć, że coś powstrzymało kataklizm? Czy to ma coś wspólnego z piramidami?

- Owszem - odparł Epper. - To jest dość skomplikowane, ale przed panowaniem króla Dżosera w roku dwa tysiące sześćset sześćdziesiątym przed naszą erą Egipcjanie w ogóle nie budowali piramid. A od czasów króla Mykerinosa, czyli od roku dwa tysiące pięćset trzeciego przed naszą erą, przestali budować wielkie piramidy. Tak więc przez okres stu sześćdziesięciu lat Egipcjanie gorączkowo wznosili piramidy. Ukoronowaniem tego okresu była budowa piramidy Cheopsa. Potem nagle przestali je budować. Przestali niemal natychmiast po roku dwa tysiące pięćset siedemdziesiątym przed naszą erą, czyli po pojawieniu się Tartaru. Ich późniejszą sztukę architektoniczną cechował rozmach i monumentalizm, ale nigdy już nie zbudowali piramidy!

- Sądysz zatem, że Egipcjanie wiedzieli coś o pojawieniu się Tartaru? - zapytał Saladyn. - Co, odwiedzili ich kosmici, kazali zbudować piramidę i umieścić na jej wierzchołku złotą kopułę?

Epper teatralnym gestem uniósł krzaczaste brwi.

- Nie wiem, dlaczego Egipcjanie zaczęli budować piramidy. Ale faktem jest, że zaczęli. W pośpiechu i na niespotykaną wcześniej skalę. I z jakiegoś powodu pojawienie się Tartaru nie miało żadnego wpływu na życie na Ziemi. Zbudowano piramidę Cheopsa, pojawiła się plama na Słońcu, nic się nie wydarzyło, Egipcjanie zdemontowali kopułę, ukryli ją i przestali wznosić piramidy.

- Jak to wytłumaczyć? - zapytał Saladyn.

- Jeśli odłożyć na bok całą okultystyczną literaturę, wydaje mi się, że kluczem do zagadki są kryształy osadzone w kopule. Sądzę, że kopuła jest

polaryzatorem, a kryształy pochłaniają i unieszkodliwiają energię supergorących promieni dochodzących z Tartaru.

- A okultyzm? Te wszystkie bajki o posiadaniu potężnej mocy przez tysiąc lat?

Epper zachował kamienny wyraz twarzy.

- Natura naukowca każe mi to wyśmiać, ale z drugiej strony coś mnie powstrzymuje przed osądem. Widziałem już dość w życiu, by wiedzieć, że nie wszystko da się wyjaśnić w sposób naukowy.

Inskrypcja umieszczona na wierzchołku piramidy głosi, że należy umieścić benben - to inna nazwa kopuły - „w uświęconym miejscu, na uświęconej ziemi, na uświęconej wysokości” w ciągu siedmiu dni od pojawienia się mniejszej plamy na Słońcu - „Proroka Re”.

To się odnosi do starożytnego rytuału, przejętego z kultu Amona - Re, rytuału, który miał być odprawiany w czasie pojawienia się Tartaru. Polegał między innymi na wypowiedaniu świętych zaklęć - słów, które są wyryte na wszystkich częściach kopuły.

Ten rytuał może odbywać się w dobrej bądź złej intencji. Kiedy kopuła zostanie umieszczona na wierzchołku piramidy i wypowie się szlachetną intencję, znaną jako rytuał pokoju, świat będzie wolny od zła niesionego przez Tartar. To daje nam przewagę jeszcze pod jednym względem: nawet jeżeli nie zdobędziemy dla siebie choćby jednej części kopuły, to możemy spróbować wypowiedzieć dobre zaklęcie.

- A zła intencja? - zapytał Saladyn z wahaniem.

Epper się zachmurzył.

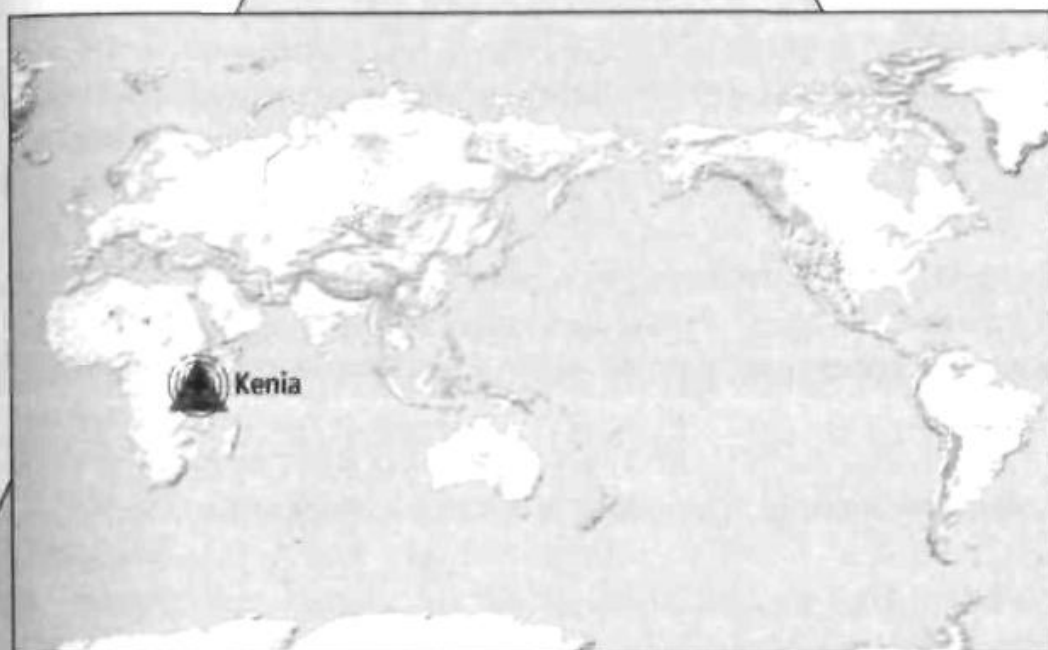
- Zła intencja, rytuał władzy, również uwolni świat od pożogi Tartaru, uwięzi promienie Słońca w kryształach, które są częścią kopuły, ale za straszliwą cenę. Zgodnie z tym, co napisano w starożytnych pismach, kiedy kopuła zostanie umieszczona na wierzchołku piramidy w południe siódmego dnia, a określona ilość ziemi z jakiegoś kraju złożona w znajdującym się wewnątrz zbiorniku, kiedy wypowie się odpowiednią formułę, cała ziemską moc stanie się własnością tego właśnie narodu na tysiąc lat. - Epper spojrzał na Saladyna. - Kopuła jest testem ludzkiej siły charakteru. W obliczu kataklizmu może zostać użyta bezinteresownie dla wspólnego dobra albo egoistycznie, dla zdobycia władzy absolutnej.

- Jest jeszcze trzecie rozwiązanie, nasze - rzekł Saladyn. - Jeśli zdobędziemy choć jeden fragment kopuły, narazimy świat na trwające dwa tygodnie katastrofy i powódzie, ale uchronimy przed tysiącletnim niewolnictwem. Czy to nie jest wybór mniejszego zła, profesorze Epper?

- Coś w tym rodzaju - odparł spokojnie Epper. - Tak czy owak, drogi przyjacielu, los świata spoczywa teraz w naszych rękach.



# **DZIEWCZYŃKA O IMIENIU LILY**



**VICTORIA STATION, KENIA  
1996-2006**

VICTORIA STATION  
POŁUDNIOWA KENIA  
1996 - 2006

Kilka dni po historycznym spotkaniu cała ekipa znalazła się w Kenii, na niewielkiej farmie niedaleko granicy z Tanzanią. W pogodne dni na południu widać było płaski szczyt Kilimandżaro górujący nad horyzontem.

Z dała od zachodniego świata.

Z dała od nieprzyjaciół.

Wokół farmy rozciągała się w promieniu trzech kilometrów płaska, bezdrzewna powierzchnia łąk.

Nie mógł zatem pojawić się tutaj żaden niezapowiedziany gość.

Obecność zespołu nie budziła zdziwienia okolicznych mieszkańców.

Kenijczycy uznali, że Victoria Station to kolejna farma zamieszкана przez cudzoziemców, którzy pracują dla starszego pana Eppera i jego ukochanej żony Doris. Siwa, pełna cierpliwości i taktu, przyleciała z Kanady, żeby wesprzeć męża w wypełnieniu jego misji i wnieść babcine ciepło do tego domu.

Wkrótce zainteresowanie miejscowej ludności wzbudziła obecność na posesji niemowlęcia. Doris albo któryś z pracowników farmy przyjeżdżali do miasta, żeby kupić mleko, pieluchy, a czasami zabawkę.

Na szczęście Kenijczycy uznali, że śniada dziewczynka jest córką młodej blondynki z farmy, zapewne żony jednego z pracowników.

Co ciekawe, miejscowi nigdy nie zauważyli, że każdej nocy dwóch członków ekipy patrolowało granice posesji.

Lily szybko dorastała.

W sposób niezauważalny zmieniała się z gruchającego niemowlaka we wścibskiego, raczkującego szkraba, którego upilnowanie stało się koszmarem.

Całkiem powszednim widokiem było siedmiu komandosów nerwowo przewracających krzesła, kanapy i przetrząsających stogi siana w poszukiwaniu rozchichotanej dziewczynki, która potrafiła zniknąć im z oczu wprost na zawołanie.

Był to czas, kiedy zaczęła mówić i czytać.

Nietrudno zgadnąć, że znajdowała się pod przeróżnymi wpływami.

Kiedy widziała Saladyna bijącego pokłony w kierunku Mekki, pytała go, co robi. To on objaśniał jej nauki islamu. Miała cztery lata, kiedy zdobyła się na odwagę i spytała, dlaczego niektóre muzułmanki noszą zakrywające twarz burki.

- Jeżeli nie będą nosić burki, to niektórzy mężczyźni... hmm... nie będą ich szanować - wykrztusił z siebie w końcu Saladyn.

- Zoe nie nosi burki - odparła Lily.

Zoe, Epper i West siedzieli tuż obok i jedli. Zoe spojrzała na Saladyna i uśmiechnęła się, czekając, co też odpowie.

- No... nie. Zoe nie nosi burki, bo nie jest muzułmanką.

- I możesz oglądać jej twarz, prawda? - zapytała Lily.

- Tak...

- Czyli zgodnie z zasadami islamu nie szanujesz jej.

Saladyn się zaczerwienił.

- Wcale nie... Szanuję pannę Zoe. Bardzo ją szanuję.

- To dlaczego muzułmanki wkładają burkę?

Saladyn stracił rezon.

Z pomocą przyszła mu Zoe.

- Nie wszyscy mężczyźni są takimi dżentelmenami jak Aziz. Nie wszyscy potrafią tak panować nad swoim popędem jak on.

- Popędem? - zapytała Lily, koncentrując się na nowo poznanym słowie.

- O tym porozmawiamy, kiedy będziesz trochę starsza - ucięła Zoe.

Przez cały czas, przytwierdzony do lodówki w kuchni za pomocą magnesu, wisił skrawek papieru, podzielony na siedem prostokątów, wypełnionych dziwaczными znakami. Była to kopia siedmiu głównych wersów tekstu Kallimacha, a wyglądała tak:



Umieszczono ją w takim miejscu, że gdy Lily codziennie szła po sok, musiała ją widzieć. Kiedy pewnego razu zapytała, co tam jest napisane, Epper odpowiedział:

- Nie wiemy, ale mamy nadzieję, że nadejdzie dzień, kiedy nam to powiesz.

Kiedy skończyła pięć lat, Max Epper zajął się jej edukacją. Zaczął ją uczyć matematyki, nauk ścisłych, historii starożytnej i języków - szczególnie łaciny, greki i pisma klinowego.

Okazało się, że ma wyjątkowe zdolności - uczyła się języków szybko i opanowywała je do perfekcji z niezwykłą łatwością.

Gdy miała siedem lat, znała już grekę i łacinę. W wieku ośmiu lat potrafiła odczytywać hieroglify. Rok później prześcignęła Eppera w znajomości pisma klinowego, tłumacząc inskrypcje z Bisitun ze wszystkich trzech języków.

Poza tym poznała języki nowożytne dzięki rozmowom ze swoimi opiekunami. Szczególnie do gustu przypadł jej trudny gaelicki akcent Zoe i Liama Kissane'ów.

Epper był doskonałym nauczycielem.

Lily go uwielbiała: jego mądrą, starą twarz, życzliwe spojrzenie niebieskich oczu i jasny, przejrzysty sposób przekazywania wiedzy.

Dlatego nazwała go Mistrzem.

Każdego dnia niecierpliwie biegła do szkolnej sali, położonej we wschodnim skrzydle domu, żeby nauczyć się nowych, interesujących rzeczy.

Wiersze takie jak Szarża lekkiej brygady lorda Alfreda Tennysona były recytowane z wielką werwą.

Prostych działań arytmetycznych uczyli się, licząc zwierzęta hodowlane.

Nauki ścisłe z kolei były zabawą - dosłownie. Mistrz miał fioła na punkcie wymyślania najbardziej zwariowanych wynalazków.

Kiedyś powiedział Lily, że dawno temu pracował w laboratorium o nazwie Sandia, w Stanach Zjednoczonych, że było to tajne laboratorium i robili tam różne tajne rzeczy.

Bardzo jej się to spodobało. Lily lubiła sekrety.

Lily ułożyła sobie w jakiś sposób stosunki ze wszystkimi członkami zespołu.

Chociaż była mało dziewczęca, Zoe uczyła ją przeróżnych kobiecych umiejętności: czesania włosów, malowania paznokci i tego, co zrobić, żeby chłopcy zabiegali o jej względy.

Matador, żołnierz z Hiszpanii, spędzał mnóstwo czasu w siłowni, którą urządził w stodole. Na początku pozwalał Lily przyglądać się, jak ćwiczy. Kiedy nieco podrosła, siadała na jednym krańcu deski, drugi koniec obciążał ołowianymi ciężarkami i wysoko unosił deskę. Uwielbiała to.

Szaman, komandos z Jamajki, uczył ją, jak bezgłośnie stapać - doprowadzali do palpacji serca Doris Epper, podkradając się na werandę, na której się opalała w promieniach popołudniowego słońca.

Ale najbardziej uwielbiała brata Zoe, Liama.

Bandyta był olbrzymim mężczyzną, wysokim i barczystym, miał prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, szeroką szczerą twarz, ogoloną do gołej skóry głowę i wielkie uszy.

Nie należał do najbystrzejszych, ale był za to znakomitym komandosem.

W obecności Lily zmieniał się nie do poznania - pewnie dlatego, że mieli podobny iloraz inteligencji, choć on skończył już dwadzieścia cztery lata, a ona była jeszcze dzieckiem.

Razem oglądali filmy i czytali książki.

Bez końca grali w grę Splinter Cell, zabijając wszystkich przeciwników z prawa, lewa i środka, pomagając sobie głośnymi wrzaskami i komendami. Tak naprawdę tworzyli wspaniały zespół, pokonywali w krwawej finałowej walce Mistrza i Zoe i zdobywali tytuł zwycięzcy zawodów Splinter Cell w Victoria Station.

Chodzili na długie wyprawy w granicach posesji. Raz dotarli do olbrzymiego hangaru położonego na wzgórzu, na zachodnim skraju farmy, gdzie odkryli stojący w środku samolot.

Lily z obawą patrzyła na ogromnego boeinga i czuła dreszcz emocji, kiedy podeszła bliżej, dotknęła jego kadłuba i przeczytała dziwny napis: PRESIDENT ONE - SIŁY ZBROJNE IRAKU.

Niezapomnianym dla wszystkich wspomnieniem pozostało herbaciane przyjęcie, które Lily urządziła pewnego lata na trawniku przed domem. Gośćmi był miś przytulanka, mały piesek, duży piesek, lalka Barbie i Bandyta - wielki facet wciśnięty w małe, dziecinne, plastikowe krzeselko, popijający z wymagowanej filiżanki herbatę i proszący o jeszcze.

Cała ekipa obserwowała to zdarzenie z wnętrza domu, przywołana przez Doris. Inna sprawa, że nikt przenigdy nie kpił z tego powodu z Bandyty.

Cała ta sytuacja była niezwykła.

Byli żołnierzami. Nieraz dowcipkowali z siebie nawzajem, ale z jakichś powodów związek, jaki powstał pomiędzy Bandytą a Lily, był dla nich tabu.

Z jednym wyjątkiem, kiedy to Lily i Bandyta wpadli do warsztatu Aziza, mieszczącego się w wielkiej stodole, zabrali z zamkniętego pudełka przypominającą plastelinę substancję i użyli jej do wysadzenia w powietrze samochodu kempingowego lalki Barbie.

Oboje, Bandyta i Lily, nieźle za to oberwali.

Stopniowo zespół zaczął przeistaczać się w rodzinę, skoncentrowaną na chronieniu i wychowywaniu jednej małej dziewczynki.

Lily bardzo lubiła znajdować się w centrum zainteresowania - jak choćby wtedy, gdy odkryła, co to jest balet, i dała jednoosobowy występ przed zachwyconą publicznością, składającą się z siedmiorga komandosów i pary starszych ludzi.

Każdego dnia, kiedy pojawiała się rano w kuchni na śniadanie, wszyscy obecni obserwowali, czy zauważyła wreszcie kartkę wiszącą na drzwiach lodówki.

Pewnego dnia, kiedy miała siedem lat, nagle powstało zamieszanie.

Jedli właśnie śniadanie, kiedy w radiu zaskrzeczał głos: „Wszystkie jednostki. Tu posterunek pierwszy. Mam intruza. Wchodzi główną bramą”.

Zerwali się z miejsc, zaalarmowani obecnością nieproszonego gościa, zaniepokojeni tym, że ktoś mógł odkryć, co tutaj robią.

Intruza okazał się samotnym mężczyzną, wysokim i szczupłym, o życzliwym wyrazie twarzy. Szedł powoli zakurzoną drogą w kierunku domu.

Kiedy nacisnął przycisk dzwonka do drzwi, były już w niego wycelowane trzy ukryte lufy karabinów.

Mistrz odezwał się zza drzwi.

- Mogę w czymś pomóc, młody człowieku?

- Owszem, profesorze Epper - powiedział mężczyzna. Miał bladą, suchą cerę, silnie zarysowane kości policzkowe i głęboko osadzone oczy.

Mistrz pobladł.

Przybysz nawet nie mrugnął szarymi oczami. Zdawał sobie sprawę, że swoją obecnością zmroził Mistrza.

- Profesor Max T. Epper. Wykładowca archeologii w Trinity College w Dublinie, przedstawiciel Kanady w tajnej misji wojskowej, podjętej przez osiem państw, mającej na celu ochronę córki wyroczni Siwy i odnalezienie zaginionej złotej kopuły - wyrecytował mężczyzna. - Nazywam się porucznik Benjamin Cohen, pseudonim Łucznik, poprzednio w oddziale Sajaret Matkał, obecnie Mossad. Zostałem oddelegowany do tego zadania przez mój rząd.

W drzwiach obok Mistrza pojawił się West.

- Witaj, Jack. - Łucznik uśmiechnął się poufale. - Nie widziałem cię od czasu Pustynnej Burzy. Słyszałem tylko, czego dokonałeś w bazie SCUD - ów koło Basry. To było wspaniałe. Izrael docenia twoje dokonania, choć nadal nie wiemy, jak udało ci się stamtąd uciec. Moi przełożeni powiedzieli, że jesteś zaangażowany w tę misję, i dlatego desygnowali właśnie mnie. Uznali, że łatwiej będzie ci zaakceptować mnie niż kogoś zupełnie obcego.

- I mieli rację, Ben - odparł West. - I tylko dlatego jeszcze żyjesz.

- Nie strzela się do posłańca.

- Dlaczego nie? - powiedział West i na ułamek sekundy gdzieś zniknęła pewność siebie Łucznika.

- Nie lubię nadużywać przemocy, Ben, ale chyba nie pozostawiasz mi wyboru - rzekł West.

Łucznik odpowiedział z wielką powagą:

- To jest wielka sprawa, Jack. Wagi państwowej. Losy świata i tak dalej. Ta konfrontacja pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi trwa już od lat. Powiem tak, Izrael lubi być zaangażowany w takie rzeczy. Jeśli to poprawi ci humor, mam rozkaz oddać się pod twoje rozkazy.

West zamyślił się na chwilę.



- Żadnego kontaktu z domem. Żadnych raportów dla Mossadu aż do zakończenia misji.

- Muszę od czasu do czasu złożyć meldunek...

- Żadnego meldunku do Mossadu albo rozwalę ci łeb, Ben.

Łucznik podniósł ręce i uśmiechnął się.

- Nie zamierzam nalegać. Umowa stoi.

Zespół był mocno zaskoczony, ale wszyscy wiedzieli, że nie mają wyboru. Albo przyjmą Łucznika do swojego grona, albo Izraelczycy przekażą Amerykanom informacje o ich misji.

Nie mieli pojęcia, w jaki sposób Izraelczycy ich znaleźli, ale, cóż, Mossad jest najsprawniejszą służbą wywiadowczą świata. To wiedzą wszyscy.

Charakterystyczne było także to, że Izrael nie chciał, żeby kopuła wpadła w ręce Ameryki czy Europy. To był pozytywny aspekt sprawy.

Pytaniem bez odpowiedzi pozostawało tylko to, co Izrael zamierza zrobić, kiedy misja się zakończy. Czy zatem można było ufać Łucznikowi i Izraelowi?

Z początku prawie nikt się nie odzywał do Łucznika, co zdawało się specjalnie mu nie przeszkadzać.

Ale nikt nie wytrzyma długo w samotności i pewnego dnia zaproponował Westowi, że pomoże mu w jakiejś drobnej naprawie. Tak zaczął się proces asymilacji Łucznika z zespołem.

W końcu, po wielu miesiącach pracy, wysiłku i ćwiczeń z innymi, został zaakceptowany jako jeden z nich.

Tylko jeden członek zespołu traktował Łucznika z dużą podejrzliwością. Saladyn.

Jako Arab i muzułmanin nie dowierzał Izraelczykowi, choć zdawał sobie sprawę, że jego obecność w zespole stała się faktem.

Zawsze mógł powiedzieć, że choć musiał pogodzić się z jego obecnością, nikt nie zmusi go do polubienia Łucznika.

Rozwój Lily postępował bardzo szybko.

Była dociekliwa, zawsze wszystkiego ciekawa.

Obserwowała, jak Saladyn idzie do swojej stodoły, zamienionej w laboratorium materiałów wybuchowych, i znika w środku. Był taki słodki i miłutki, że przezwiała go Kubuś Puchatek.

Obserwowała nowego przybysza, Łucznika, jak idzie daleko, na zachodni wybieg, i ćwiczy strzelanie z karabinu wyborowego Barrett, z wyjątkowo długą lufą, i za każdym razem trafia w cel. Patrzyła, jak rozkłada broń. Był tak wysoki i chudy, że zaczęła nazywać go Długi. (Zauważyła też, że Kubuś Puchatek i Długi prawie ze sobą nie rozmawiają. Zupełnie nie mogła pojąć dlaczego).

Przyglądała się, jak Szaman podciąga się na drążku. Od najmłodszych lat podobały jej się jego dredy. Dlatego został Kędzierzawym.

Zauważyła, że Matador i Bandyta prawie się ze sobą nie rozstają. Razem biegają, ćwiczą i razem piją. Dlatego, wspominając bajkę, dała im imiona Noddy i Wielkouchy.

Jeszcze Zoe. Uwielbiała ją. Zoe Kissane miała dwadzieścia kilka lat i została dla Lily wzorem kobiety.

Trzeba przyznać, że to był dobry wzór. Dorównywała mężczyznom sprawnością fizyczną, potrafiła większość z nich zapędzić w kozł róg podczas dyskusji przy stole, długo w nocy czytała książki poświęcone historii.

Nieraz można było zobaczyć Lily późno w nocy siedzącą w fotelu obok Zoe, śpiącą twardo nad otwartą książką. Próbowwała naśladować w ten sposób piękną Irlandkę. Nic zatem dziwnego, że nazwała ją Księżniczką Zoe.

Najbardziej fascynowała ją jednak postać Jacka Westa.

Nigdy nie zapomni tego dnia w dwutysięcznym roku, kiedy Mistrz pokazał nowe, błyszczące, srebrne ramię Westa.

Z Zoe jako asystentką Mistrz spędził cały dzień, mocując protezę do kikuta lewej ręki. Co jakiś czas przerywał pracę, marszczył brwi i rzucał zdanie w rodzaju: „Coś zakłóca elektronikę. Aziz, wyłącz, proszę telewizor”. W końcu coś poprawił, przestroił i proteza zaczęła funkcjonować jak należy.

Czteroletnia wówczas Lily bacznie przyglądała się ich pracy.

Wiedziała o tym, że West stracił ramię tego dnia, kiedy się urodziła, ratując jej życie, toteż bardzo jej zależało, żeby nowa ręka działała właściwie.

Pod koniec dnia wszystko już było w porządku i West mógł zginać swoje nowe, metalowe palce. Proteza potrafiła chwycić przedmioty z większą delikatnością i precyzją niż prawa, zdrowa dłoń.

Mistrz dotrzymał słowa - skonstruował protezę dużo lepszą niż ręka.

Było jeszcze coś w Weście, co intrygowało Lily.

Z całego zespołu West spędzał z nią najmniej czasu.

Nie bawił się z nią.

Niczego specjalnego jej nie uczył. Większość czasu spędzał na studiowaniu starych ksiąg, naprawdę starych, o takich tytułach jak: Starożytnie techniki

budowlane Egipcjan, Imhotep i architekci Amona - Re. Często też ślęczał nad bardzo starym zwojem, zatytułowanym po grecku: Zbiór cudów świata.

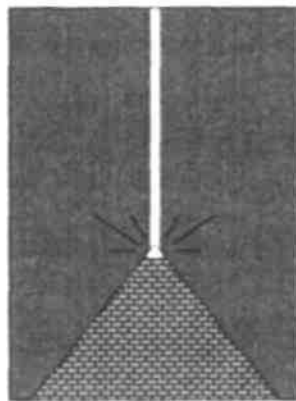
Lily bardzo frapowały jego badania.

Na ścianach swojej pracowni powiesił mnóstwo przedziwnych rzeczy: tabliczki z piaskowca, czaszkę krokodyla, szkielet jakiegoś stworzenia przypominającego małpę, którego Lily nie potrafiła rozpoznać. W jednym z narożników stał szklany słoć wypełniony dziwnie wyglądającym, czerwonym piaskiem. Pewnej nocy zakradła się do pracowni i przekonała się, że słoć miał tak mocno zakręconą przykrywkę, że sobie z nią nie poradzi. Zawartość słoja pozostała tajemnicą.

Na jednej ze ścian wisiała niewielka tablica, na której West robił różne notatki i rysunki. Na przykład:

HOWARD CARTER (1874 - 1939):

Odnalazł grobowiec Tutenchamona; w 1903 roku w Dolinie Królów odkrył pusty grób królowej Hatszepsut (KV 20). Grób był pusty, nigdy nie złożono w nim ciała. Nieukończona inskrypcja na wschodniej ścianie jest jedynym znanym wizerunkiem kopuły wieńczącej piramidę Cheopsa, oświetlonej pionowo padającym promieniem Słońca:



Poniżej West zanotował:

Królowa Hatszepsut - jedyna kobieta - faraon, która postawiła liczne obeliski.

Uwagę Lily przykuła jednak inna notatka. W górnym rogu tablicy West napisał: CZTERY ZGUBIONE DNI MOJEGO ŻYCIA - CORONADO?

Pewnego wieczoru podpatrzyła, jak West stoi przed tablicą i wpatruje się w te słowa, stukając końcem ołówka w zęby, zatopiony w myślach.

Zawsze kiedy West pracował przy biurku, jego sokół siedział mu na ramieniu, ostrzegając skrzekliwym głosem, gdy ktoś nadchodził.

Horus intrygował Lily. Był olśniewająco piękny i wyglądał dostojnie. Nie bawił się z Lily, mimo że ciągle go do tego zachęcała.

Ani podskakująca piłeczka, ani pluszowa mysz, nic nie mogło skłonić ptaka do zabawy. A kiedy chcąc zwrócić na siebie jego uwagę, robiła się zbyt natarczywa, mierzył ją tylko lekceważącym spojrzeniem.

Wyglądało na to, że dla Horusa liczy się tylko jeden człowiek.

Jack West.

Lily przekonała się o tym, przeprowadzając swoisty eksperyment. Pewnego dnia, kiedy Horus jak zwykle nie chciał zejść z ramienia Jacka, Lily rzuciła pluszową myszką w Westa.

Sokół poderwał się natychmiast. Z łatwością pochwycił ostrymi szponami mysz w locie, nim ta zdołała uderzyć jego pana, i rozszarpał ją na strzępy.

Obronił Westa przed zagrożeniem.

West nie zajmował się tylko studiami.

Nie uszło uwagi Lily, że kiedy miała poranne lekcje, Myśliwy często znikał w starej opuszczonej kopalni we wzgórzach za zachodnim wybiegiem, niedaleko hangaru. Zawsze wtedy wkładał przedziwny strój: hełm strażacki i grubą płócienną kurtkę. Towarzyszył mu Horus.

Lily miała surowy zakaz zbliżania się do tych jaskiń.

W rzeczywistości Mistrz zbudował w tunelach kopalni całą serię pułapek, posługując się przy tym starymi źródłami, które West teraz studiował. W kopalni zaś odbywały się ćwiczenia praktyczne.

Lily uważała Westa za nieco tajemniczą postać.

Jak to dziecko, zastanawiała się, czy on ją w ogóle lubi.

Z jednej rzeczy Lily nie zdawała sobie sprawy - jak uważnie jest obserwowana.

Przypatrywano się jej postępom w nauce języków.

- Jest nadzwyczajna - informował Mistrz, kiedy skończyła dziewięć lat. - Jej umiejętność transliteracji przewyższa wszystko, co do tej pory widziałem. Sama nie zdaje sobie sprawy, jak jest dobra. Bawi się językami tak, jak Serena Williams piłką tenisową.

Wielkouchy meldował:

- Jest sprawna fizycznie i wytrzymała. Jeśli zajdzie potrzeba, potrafi przebiec dziesięć kilometrów i nawet się nie spoci.

- Doskonale poznała zakres moich badań - powiedział West. - Średnio raz na tydzień zakrada się do mojej pracowni.

Zoe dodała:

- Wiem, że nie jest to bezpośrednio związane z misją, ale okazało się, że ma zdolności do baletu. Ogląda spektakle w telewizji. Wiem, że często małe dziewczynki marzą, by zostać primabaleriną, ale ona naprawdę jest w tym dobra, tym bardziej że jest samoukiem. Potrafi ustać na palcach dwadzieścia sekund - to jest coś wyjątkowego. Ten dzieciak po prostu kocha balet, nie może

bez niego żyć. Mistrzu, czy jak następnym razem pojedziesz do Nairobi, mógłbyś przywieźć kilka płyt DVD z baletem?

- Oczywiście.

- Balet, mówisz... - rzekł West z zastanowieniem.

Jakież było zdziwienie Lily, kiedy pewnego dnia zeszła do kuchni na śniadanie, jak zwykle nie zwracając uwagi na kartkę przyklejoną do lodówki, i spotkała tam samego Westa, najwyraźniej czekającego na nią.

- Cześć, szkrabie. Mam niespodziankę. Przejdziemy się?

- Pewnie.

Niespodzianką był przelot prywatnym samolotem do Kapsztadu i obejrzenie spektaklu Dziadek do orzechów w South African Royal Balet.

Lily usiadła na widowni z rozdziawioną buzią i szeroko otwartymi oczami.

West przez cały czas się jej przyglądał i chyba nawet raz, ale tylko raz, uśmiechnął się.

W dwa tysiące pierwszym roku obejrzała Władcę pierścieni. Na Boże Narodzenie Sky Monster, dumny z tego, że film kręcili Nowozelandczycy, podarował jej trzy tomy powieści Tolkiena i razem z nią je przeczytał.

Nim ukazała się w dwa tysiące trzecim roku trzecia część filmowej epopei, Lily i Sky Monster zdążyli ponownie przeczytać całe dzieło.

I właśnie z lektury Władcy pierścieni wziął się jej własny pseudonim.

Sky Monster obdarzył ją przydomkiem, który nosiła ulubiona bohaterka Lily.

Eowyn.

Zadziorna biała księżniczka Rohanu, która zabija czarnoksiężnika z Angmaru, a żaden człowiek nie był w stanie go dotąd zabić.

Lily bardzo się spodobał jej nowy pseudonim.

Nadal każdego dnia, gdy schodziła do kuchni po sok, widziała zapisaną kartkę papieru.

I wreszcie, pewnego dnia, tuż po swoich dziesiątych urodzinach, spojrzała na jeden z prostokątów i powiedziała:

- No, wreszcie rozumiem. Już wiem, co tu jest napisane.

Wszyscy obecni w kuchni: Doris, Mistrz, Zoe i Kubuś Puchatek, raptownie zwrócili głowy w jej stronę.

- Co tu jest napisane, Lily? - zapytał Mistrz, przetykając kęs i starając się nie okazać swojego podekscytowania.

- Śmieszny język, do zapisania dźwięków używa liter i rysunków.

Kolos.

Dwa wejścia, jedno proste, drugie nie,

Wykute przez piątego Wielkiego Architekta,

W dziesiątej kopalni Wielkiego Sotera. Prostsza droga znajduje

się pod starym wejściem.

Na nubijskich mokradłach na południe od kopalni Sotera,

Tam gdzie żyją słudzy Sobka,

Znajdziesz cztery symbole Podziemnego Świata, tam właśnie  
jest wejście na trudniejszą drogę.

Następnego dnia cały zespół opuścił Victoria Station i na pokładzie Halikarnasa odleciał w kierunku Sudanu.

Tego samego dnia Słońce wykonało obrót wokół własnej osi i na jego powierzchni pojawiła się niewielka plama, którą Egipcjanie nazywali Prorokiem Re.

Za siedem dni, dwudziestego marca, wystąpi zjawisko znane jako obrót Tartaru.

# **MISJA DRUGA**

## **LATARNIA MORSKA**



**TUNEZJA**  
**15 MARCA 2006**  
**5 DNI PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU**

## FAROS

Na liście cudów świata latarnia morska w Aleksandrii zawsze zajmowała, zupełnie niezasłużenie, drugie miejsce.

Druga co do wielkości po piramidzie w Gizie, była niższa od niej zaledwie o dwadzieścia dziewięć metrów.

Działała przez tysiąc sześćset lat, aż w końcu w gruzy obróciły ją dwa potężne trzęsienia ziemi w roku tysiąc trzechsetnym naszej ery. Jedyne piramida Cheopsa przetrwała dłużej. W jednej tylko kwestii wydawała się ważniejsza od piramidy - była użyteczna.

Ponieważ istniała tak długo, do naszych czasów zachowały się liczne jej opisy: greckie, rzymskie, arabskie.

Nawet jak na dzisiejsze standardy była drapaczem chmur.

Zbudowana na trzech poziomach, wznosiła się na sto siedemnaście metrów, co odpowiada czterdziestopiętrowemu budynkowi.

Pierwszy poziom miał przekrój kwadratu, był szeroki, potężny, masywny. To była podstawa.

Drugi poziom był ośmiokątny i pusty w środku.

Trzeci, najwyższy miał kształt walca i też był pusty w środku, tak żeby można było dostarczać na górę drewno.

Zwieńczeniem budowli było dzieło Sostratosa - zwierciadło.

Średnicy trzech metrów, przypominające kształtem dzisiejszy talerz anteny satelitarnej, było zamocowane na solidnej podstawie i mogło obracać się o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Wykonane z brązu, wklęsłe odbijało promienie słońca i ostrzegało płynące okręty o niebezpiecznych mieliznach i podwodnych skałach, których pełno było w okolicy Aleksandrii.

Nocą przed zwierciadłem rozpalano olbrzymie ognisko, dzięki czemu promienie latarni sięgały dwadzieścia kilometrów w głąb mrocznego morza.

Co ciekawe, podobnie jak kilka lat później kolos rodyjski, latarnia została zbudowana na polecenie Ptolemeusza I - generała i bliskiego przyjaciela Aleksandra Wielkiego.



## PRZESTRZEŃ POWIETRZNA NAD AFRYKĄ

15 MARCA 2006, GODZ. 02.00

### 5 DNI PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU

Halikarnas z rykiem silników leciał nad Kenią.

Wielki czarny boeing 747 z licznymi wyrzutniami i wieżyczkami strzelniczymi ciął bezkresną przestrzeń nieba. Wyglądał jak olbrzymi drapieżny ptak - skrzydlata śmierć.

Na pokładzie międzynarodowa załoga kapitana Westa wciąż jeszcze odpoczywała po morderczej misji w Sudanie.

W głównej kabinie, w absolutnej ciszy siedzieli West, Mistrz, Lily i Kubuś Puchatek. Znajdowały się tu tylko kanapy, kilka stolików i zamontowana na ścianie konsola z radiem i innymi urządzeniami telekomunikacyjnymi.

Mistrz wstał.

- Muszę zadzwonić do attache armii hiszpańskiej i powiedzieć im o Noddym.

Podszedł do konsoli, chwycił słuchawkę bezpiecznego telefonu i zaczął wybierać numer.

West wyglądał przez okno, odtwarzając w myślach wszystkie wydarzenia z Sudanu.

Lily siedziała obok Kubusia Puchatka i wpatrywała się w oryginalny tekst Kallimacha.

Jeśli chodzi o pozostałych, Kędzierzawy i Wielkouchy znajdowali się w pokładowym szpitalu, gdzie opatrywała ich Zoe, a Sky Monster siedział za sterami samolotu w kabinie pilotów. Towarzyszył mu Długi.

Lily przyglądała się teraz innej części tekstu Kallimacha. Symbole na tej stronie były stare i wyglądały obco.

Nagle pisnęła.

West aż podskoczył. Mistrz obejrzał się gwałtownie.

- Ten akapit. Nie mogłam go początkowo zrozumieć, ale sama nie wiem dlaczego, teraz wiem, o co chodzi. Jest bardziej skomplikowany niż poprzedni. Są tu nowe symbole. Ale potrafię go odczytać.

- Co tu jest napisane? - West pochylił się nad nią. Lily zaczęła czytać na głos:

Faros.

Spójrz na podstawę, która niegdyś była wierzchołkiem  
Wielkiej Wieży.

W najgłębszej krypcie Najwyższej Świątyni Aleksandra,  
Prześwietnym Domu Muz Sotera,

Pośród prac mierniczego Eratostenesa, astronoma Hipparcha,  
I Archimedesesa, i Herona - konstruktora maszyn.

Tam znajdziesz te INSTRUKCJE EUKLIDESZA.

Otoczone przez śmierć.

Lily zmarszczyła brwi.

- Słowo „to” zostało przekreślone i zastąpione „instrukcjami Euklidesa”. Nie wiem, o co tu chodzi.

- Ale ja wiem - powiedział Mistrz, sięgając do swojego nowoczesnego stalowego kuferka, stojącego z tyłu. Pudełko otworzyło się ze świstem - wcześniej było hermetycznie zamknięte. W środku znajdowało się mnóstwo zwojów, powtykanych w specjalne otwory na dnie pojemnika. Kolekcja Mistrza była imponująca. Ciasno zwiniętych w rulony zwojów było co najmniej dwieście. - Gdzie jest spis treści? Aha, mam. - Mistrz wyjął z rękawa komputerową odbitkę. Znajdowała się na niej długa, wypisana pismem maszynowym lista. - Instrukcje Euklidesa... Jestem pewien, że gdzieś już się z tym zetknąłem. No, proszę, jest. Chwileczkę...

Mistrz grzebał w kolekcji zwojów. W tym czasie West zapisał tłumaczenie Lily.

Do kabiny wszedł Długi i szybko spostrzegł panujące poruszenie.

- Co się stało?

- Chyba zrobiliśmy postępy - odparł West. Przeczytał linijkę tłumaczenia. „Prześwietny Dom Muz Sotera”. Dom Muz to Musejon, inaczej muzeum. Soter to Ptolemeusz Pierwszy. Prześwietny Dom Muz Sotera to Biblioteka Aleksandryjska, zwana także Musejonem.

- Czyli - wtrącił Kubuś Puchatek - w najgłębszej krypcie biblioteki w Aleksandrii, pomiędzy wspomnianymi tekstami, znajdziemy podstawę, która była kiedyś wierzchołkiem latarni. Myślałem, że biblioteka została zburzona w starożytności.

- Owszem - powiedziała Zoe, wchodząc do kabiny. - Zniszczyli ją Rzymianie w czterdziestym ósmym roku przed naszą erą. Biblioteka Aleksandryjska była ośrodkiem wszelkich nauk starożytnego świata, miała w swoich zbiorach ponad siedemset tysięcy zwojów i pism największych myślicieli w dziejach ludzkości, a Rzymianie zrównali ją z ziemią.

Spojrzała nazymane przez Westa tłumaczenie.

- Boże. Spójrz na te nazwiska. To jest jak Who's who najcieńszych umysłów. Eratostenes obliczył obwód Ziemi. Hipparch narysował mapę gwiazdozbiorów. Archimedes zdefiniował objętość i był znanym wynalazcą. I jeszcze Heron. Heron wynalazł koło zębate i prymitywny silnik parowy na dwa tysiące lat przed narodzinami Jamesa Watta.

- I co? - zapytał Kubuś Puchatek.

Zoe westchnęła.

- Biblioteki nie ma. Na jej gruzach zbudowano nową Aleksandrię. Wiadomo, gdzie stała; rząd egipski wybudował nową bibliotekę w pobliżu miejsca, gdzie znajdowała się poprzednia, ale Rzymianie dobrze wykonali swoje zadanie. Podobnie jak to się stało z Kartaginą tysiąc lat wcześniej, biblioteka po

prostu zniknęła z powierzchni ziemi. Nie pozostała ani jedna cegła, ani jeden zwój, ani jedna krypta.

- Więc wszystkie zwoje przepadły, tak?

- Sporo faktycznie uległo zniszczeniu, ale większość udało się wywieźć na kilka dni przed rzymską inwazją. Zwoje zostały rzekomo ukryte w jakimś sekretnym miejscu, gdzieś głęboko w górach Atlas i, oficjalnie, nie zostały do dziś odnalezione.

Wypowiadając ostatnie zdanie, Zoe kątem oka zerknęła na Westa i Mistrza.

- Nie każdy, kto znajdzie coś cennego, obwieszcza to zaraz całemu światu

- powiedział West.

- Co...? - zdołał wykrztusić Puchatek, patrząc, jak Mistrz przerzuca sterty zwójów w swoim kuferku. - Chcecie powiedzieć, że te zwoje...

- No, mam! - wykrzyknął Mistrz i wyjął z pudełka starożytny zwój. Był pięknie wykonany z grubego kremowego pergaminu, z ozdobnymi wałkami na obu końcach.

Mistrz odwinął zwój i zaczął czytać.

- To jest tekst grecki. Styl pisma podobny jak w innych testach Euklidesa. Euklides - jeden z największych matematyków w dziejach. Był twórcą geometrii na płaszczyźnie, którą teraz nazywamy geometrią euklidesową. Ten zwój został napisany niewątpliwie przez niego, a jego tytuł jest krótki: Instrukcje. A więc to są Instrukcje Euklidesa, jak przypuszczam.

- Co zawierają? - zapytał Kubuś Puchatek. Mistrz zerknął w tekst.

- Wygląda na to, że przypominają niektóre odkrycia Euklidesa. Nie ma tu żadnej wzmianki o cudach starożytności ani złotej kopule.

- Cholera - rzucił West.

- Szlag by trafił - dodała Zoe.

- Czekajcie... - Mistrz powstrzymał ich ruchem ręki. - Spójrzcie na to.

Rozwinął zwój do samego końca i ich oczom ukazała się niewielka, odręcznie sporządzona notatka na samym skrajku papirusu.

W poprzek zwoju zapisano kilka linijek tekstu nie klasyczną greką, ale w jakimś innym języku. Pismo przypominało Słowo Tota.

∖|<→ |→|!&→≡ ∖→:|→\$\*|≡|<Z≡|  
||\*→| || ≡|≡Z|||< →\$!≡||→| →→Ω|→  
→\$|≡≡ ||→≡→|≡||\$|<|< →||→ |≡→|Z|Z|<  
||\$ \*|π→|| →~Ψ  
≡≡→\$→ |\$≡≡\$π ∖→≡\$||≡≡ ||≡→|<Z→\$|0||\$  
||≡→ |||<|≡Z||→||< ||<||→\$≡\$≡\*  
||≡→ ||≡≡|< π|Z| ||≡→\$→→\$→\$<Z\$|→

- Lily - zwrócił się do dziewczynki Mistrz. Lily przyjrzała się starożytnemu dokumentowi, po czym zaczęła czytać na głos:

Podstawa usunięta przed inwazją rzymską,  
Zabrana do zapomnianej kryjówki Hamilkara.  
Podążaj Śmiertelnym Wybrzeżem Fenicjan,  
Ujrzysz dwa trójzęby, gdzie znajdziesz łatwiejsze wejście do  
Szóstego dzieła Wielkiego Architekta, Siódme spoczywa tam od zawsze.

- Znowu to słowo - powiedział Kubuś Puchatek. - Pod stawa. Dlaczego nazywają to podstawą?

Ale West nie słuchał. Odwrócił się do Mistrza z ożywieniem.

- Tekst Kallimacha nie zawierał informacji o położeniu fragmentu z Faros...

- Nie - odparł Mistrz. - A ten zwój, owszem. I to jest jedyna kopia. A to znaczy...

- ...że ani Europejczycy, ani Amerykanie nie mają pojęcia, gdzie on się może znajdować. Max, przed nami wielkie wyzwanie.

Spojrzeli na siebie radośnie.

- Psiakrew - powiedział West z uśmiechem. - W tym wyścigu mamy szansę.

Halikarnas śmigał w porannym świetle nad północnym wybrzeżem Libii i spienioną białą linią, gdzie wody Morza Śródziemnego spotykają się z północnoafrykańską pustynią.

Na pokładzie West, Mistrz i Zoe pracowali nad interpretacją Instrukcji Euklidesa.

- Fenicjanie to inna nazwa ludności Kartaginy - handlowej kolonii wchłoniętej przez Rzym podczas trzeciej i ostatniej wojny punickiej. Kartagina znajdowała się na terenie dzisiejszej Tunezji, wprost na południe od Włoch, po drugiej stronie Morza Śródziemnego - powiedział Mistrz.

- A Hamilkar to Hamilkar Barkas - powiedział West - ojciec Hannibala i dowódca sił kartagińskich w pierwszej wojnie punickiej. Nie wiedziałem tylko, że miał jakąś kryjówkę, na dodatek zapomnianą.

- Hamilkar zmarł w Hiszpanii w dwieście dwudziestym dziewiątym roku przed naszą erą, pomiędzy pierwszą a drugą wojną punicką. Musiał polecić budowę jakiejś odległej fortecy, ale nie dożył chwili, by ją ujrzeć.

Mistrz sięgnął po pomoc komputera.

- Sprawdzę moją bazę danych. W wyszukiwarce wpiszę „kryjówka Hamilkara”. Do tej pory dowiedziałem się, że mianem Śmiertelnego Wybrzeża żeglarze z Aleksandrii określali brzegi dzisiejszej Tunezji. Na długości stu pięćdziesięciu kilometrów cały czas występuje wysoki na sto dwadzieścia metrów, pionowo spadający do morza klif. Ten obszar wodny jest pełen wraków, nawet współczesnych okrętów. Boże. Kiedy statek szedł na dno blisko wybrzeża, rozbitkowie nie mogli wspiąć się na brzeg. Ludzie umierali na wyciągnięcie ręki od suchego lądu. Nic dziwnego, że starożytni żeglarze tak się bali tych okolic.

Do rozmowy włączył się West.

- A szósty Wielki Architekt, Imhotep Szósty? Żył około stu lat po Imhotepie Piątym. Słynął z budowy doskonałych pułapek. Ufortyfikował wyspę Philae niedaleko Asuanu. Znany był także z zamiłowania do budowy skrytych podwodnych wejść. Na samej wyspie Philae jest ich sześć.

- Czekajcie chwilę. Wydawało mi się, że cywilizacja egipska skończyła się wraz z wojnami punickimi - powiedział Długi.

- Powszechne nieporozumienie - odparł Mistrz. - Ludzie uważają, że starożytne cywilizacje Grecji, Rzymu i Egiptu następowały jedno po drugim i nie miały ze sobą nic wspólnego, ale to nieprawda. Te cywilizacje współistniały ze sobą. Kiedy Rzym zdobywał Kartaginę w wojnach punickich, Egipt nadal kwitł pod rządami Ptolemeuszów. Niepodległy Egipt istniał aż do chwili, gdy słynna Kleopatra Siódma, została pokonana przez Rzymian w roku trzydziestym pierwszym przed naszą erą.

- Czym więc są te dwa trójzęby? - zapytał Kubuś Puchatek.

- Przypuszczam, że to będą jakieś formy skalne na klifowym wybrzeżu morza - odparł Mistrz. - Punkty charakterystyczne. Potrójna skała, która wygląda jak trójząb, zaznaczająca lokalizację kryjówki.

- Sto pięćdziesiąt kilometrów klifowego wybrzeża - jęknął Puchatek. - Jeśli będziemy szukać z morza, zajmie nam to kilka dni. Nie mamy tyle czasu.

- Zgadza się - powiedział West. - Nie mamy. Ale ja wcale nie myślałem o szukaniu trójzębów z łodzi.

Godzinę później Halikarnas szybował wysoko nad wybrzeżem Tunezji, lecąc równoległe do niego i kierując się na zachód. W pewnej chwili rampa z tyłu otworzyła się i jakaś postać wyskoczyła z samolotu.

To był West.

Spadał głową w dół, odziany w szczelny aerodynamiczny hełm zapewniający mu dopływ powietrza.

Jednakże uwagę zwracało co innego - doczepione do jego pleców skrzydła wykonane z lekkiego kompozytu węglowego.

Skrzydła miały rozpiętość dwóch metrów i sześćdziesięciu centymetrów, końce zadarte w górę, a pośrodku (tam gdzie znajdował się spadochron) sześć silników sterujących na sprężone powietrze, dzięki którym można było przedłużyć lot ślizgowy.

West spadał pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Jego oczom ukazało się Śmiertelne Wybrzeże.

Wielkie, nieruchome, żółte klify górujące nad płaską błękitną wodą. Fale nieprzerwanie rozbijały się o brzeg, wzbijając wysoko w niebo gejzery wody.

West spadał teraz z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, a kiedy znalazł się na wysokości dwustu pięćdziesięciu metrów, wyrównał lot i zwolnił.

Szybował teraz na wysokości stu metrów nad taflą Morza Śródziemnego równoległe do linii brzegowej.

Znajdował się blisko granicy tunezyjsko - libijskiej nad najbardziej opustoszałą częścią północnoafrykańskiego wybrzeża. Tam gdzie kończyły się nadbrzeżne klify, ciągnęło się płaskie piaszczyste pustkowia. Na horyzoncie, równoległe do linii brzegowej, majaczyło pasmo górskie złożone z kilku wygasłych wulkanów.

To było zupełne odludzie. Opustoszałe. Przygnębiające. Miejsce, gdzie nic nie rośnie.

Lecąc, West uważnie przyglądał się klifowi, szukając wzrokiem skał, które przypominałyby swym wyglądem parę trójzębów.

Po dziesięciu minutach lotu ślizgowego uruchomił silniki sterujące, które z głośnym sykiem wzniosły go nieco wyżej.

Wreszcie po blisko czterdziestu minutach lotu dostrzegł je.

Dwie skalne wyspy odległe o jakieś pięćdziesiąt metrów od wybrzeża, do złudzenia przypominające trójpalczastą ludzką dłoń wzniesioną ku niebu. Albo trójząb. Dwa trójzęby.

Ta część wybrzeża, która znajdowała się najbliżej trójzębów, wyglądała na zupełnie opustoszałą - pionowa skała wpadająca wprost do morza, wierzchołek klifu wysunięty ku wodzie, zwisający nad urwiskiem.

- Mistrzu! - zawołał West do mikrofonu. - Znalazłem!

Godzinę później Halikarnas wylądował na piaszczystym płaskowyżu. Z jego wnętrza wyjechał land - rover z napędem na cztery koła, a samolot wzbił się ponownie w powietrze i odleciał na południe.

Wkrótce cały zespół dołączył do Westa stojącego na skraju urwiska, skąd widać było dwa skalne trójzęby. Łącznie ekipa liczyła teraz siedem osób, jako że ranny Kędzierzawy pozostał na pokładzie Halikarnasa wraz ze Sky Monstrem i Horusem. Wielkouchy wziął udział w wyprawie głównie dzięki potężnej dawce środków przeciwbólowych.

Znajdowali się obecnie na terytorium Tunezji. Wokół rozciągało się suche pustkowie. W promieniu osiemdziesięciu kilometrów nie było żadnych siedlisk ludzkich.

Krajobraz bardziej przypominał księżycowy niż ziemski: płaska, piaszczysta równina, co jakiś czas krater meteorytowy i łańcuch gór na horyzoncie, strzegący dostępu do głębi lądu.

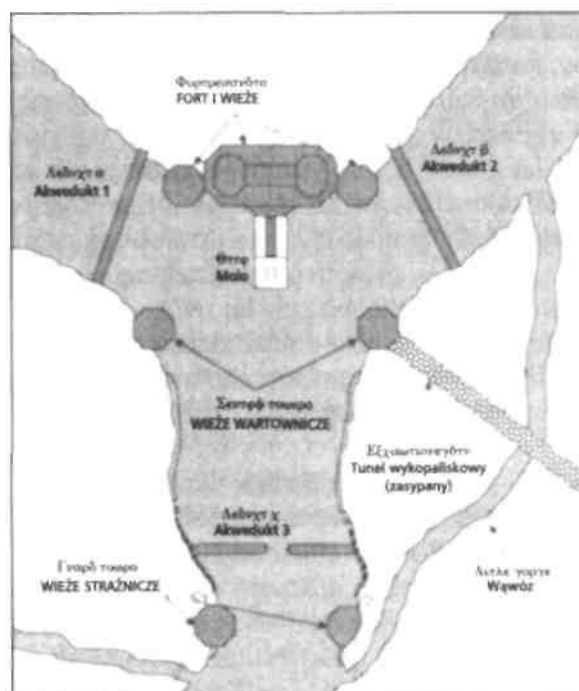
- Wiecie, że Gwiazdne wojny kręcili w Tunezji? - odezwał się Wielkouchy.

- Nietrudno zgadnąć dlaczego - odparł West, wciąż patrząc na morze. - Tu jest zupełnie niezemsko.

Mistrz stanął obok Westa i wręczył mu wydruk.

- Tylko to znalazłem w mojej bazie danych o kryjówce Hamilkara. Szkic sporządzony na papirusie, znaleziony w chacie robotnika, który musiał pracować nad budową kryjówki.

Na skrawku papirusu znajdował się następujący, starannie naszkicowany rysunek.





Trudno powiedzieć, co dokładnie ten rysunek miał przedstawiać. Obcięty u góry i u dołu, nie pokazywał całej budowli.

- Akwedukty, wieże strażnicze - powiedział West - zasypany tunel. Jezu, to musi być ogromne. - Rozejrzył się wokół, ale nie spostrzegł niczego prócz jałowej pustyni i stromego wybrzeża. - Skoro jest takie wielkie, gdzie się, do diabła, podziało?

Przeczytał ponownie Instrukcję Euklidesa:

Podążaj Śmiertelnym Wybrzeżem Fenicjan,  
Ujrzysz dwa trójzęby, gdzie znajdziesz łatwiejsze wejście do  
Szóstego dzieła Wielkiego Architekta,  
Siódme spoczywa tam od zawsze.

- „Ujrzysz dwa trójzęby” - przeczytał na głos. - Znaleźliśmy dwa trójzęby, więc wejście musi być gdzieś tutaj. Tylko że niczego nie widzę. Jedna nieprzerwana linia brzegowa.

To była prawda. Nigdzie w okolicy nie dostrzegli żadnej zatoczki, żadnego przesmyku.

- Chwileczkę... - wtrącił Epper.

Pogrzebał w swoim plecaku i wyjął z niego statyw i jakieś urządzenie.

- Sonograf - wyjaśnił, ustawiając statyw na piaszczystym podłożu. Skierował urządzenie w dół i włączył. - Pokaże nam gęstość podłoża.

Sonograf zaczął brzęczeć.

- Piaskowiec. Aż do granicy zasięgu pomiaru. Tak jak się spodziewałem.

Następnie obrócił przyrząd na statywie i wycelował go w ziemię kilka metrów na zachód, w miejsce znajdujące się dokładnie naprzeciw dwóch trójzębów.

Sonograf brzęczał jak oszalały.

West obrócił się w stronę Mistrza.

- Jaki odczyt?

Starszy pan spojrział na wyświetlacz i przeczytał:

**GŁĘBOKOŚĆ - 8 METRÓW**

**ANALIZA GRUNTU: WARSTWA PIASKU - 5,5 METRA**

**WARSTWA GRANITU - 2,5 METRA**

- Głębokość osiem metrów. Mieszanina zbitego piasku i granitu - zinterpretował Mistrz.

- Osiem metrów?! - powtórzył Kubuś Puchatek. - Jak to możliwe? Jesteśmy sto trzydzieści metrów nad poziomem morza. To znaczy, że pod warstwą gruntu jest dziewięćdziesięcdwumetrowa pustka.

- Niemożliwe - powiedział West.

- Owszem, możliwe - odparł Mistrz.

West spojrział na piaszczystą równinę ciągnącą się w głąb lądu aż do pasma górskiego odległego stąd o kilometr.

- Jakich cudów można dokonać, gdy ma się do dyspozycji dziesięć tysięcy robotników...

- Co takiego? - zdenerwował się Puchatek. - Czy moglibyście nam, zwykłym śmiertelnikom, wyjaśnić, o czym mówicie?!

West uśmiechnął się

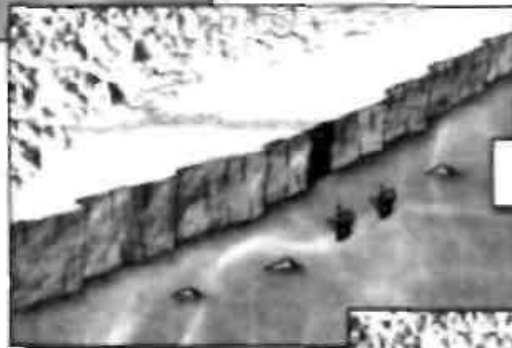
- Kubusiu! Tu kiedyś była zatoczka. Wyglądała pewnie jak wąska szczelina w skalistym klifie.

- Ale teraz jej nie ma - odparł Puchatek. - Jak mogła zniknąć?

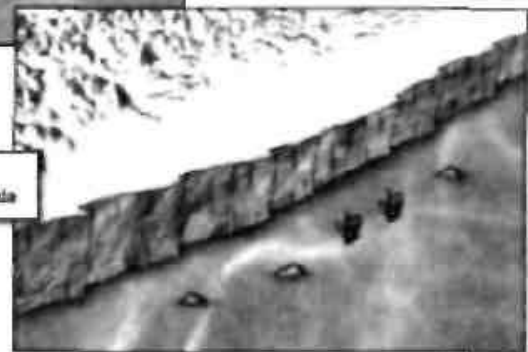
- To proste - odparł West. - Wcale nie zniknęła. Jest tu nadal, tyle że ukryta. Dzięki pracy dziesięciu tysięcy robotników. Strażnicy złotej kopuły usypali nad zatoczką dach. Zamurowali wejście i wszystko przykryli warstwą piasku.



Oryginalne  
kształtowanie terenu



Prace budowlane  
wykonane przez Egipcjan



Dziśjszy  
wygląd wybrzała

## WYBRZEŻE TUNEZJI

Pięć minut później Jack West wisiał uciepiony liny wyciągarki land - rovera piętnaście metrów poniżej brzegu urwiska, wysoko nad rozbijającymi się falami Morza Śródziemnego.

Pewnie zdołałby przebić się przez ośmiometrową warstwę piasku i granitu przy użyciu zwykłych materiałów wybuchowych, ale było to zbyt ryzykowne - kto wie, co znajdowało się poniżej. Mógł przypadkowo zasypać jakieś tunele, mogła się zawalić cała konstrukcja, a West i jego ekipa nie mieli dość czasu, by przekopać tysiące ton gruzowiska.

West zabrał ze sobą sonograf Mistrza. I znowu urządzenie zaczęło szaleć. Na wyświetlaczu pojawił się odczyt:

GRUBOŚĆ - 4, 1 METRA

ANALIZA: WARSTWA PIASKU - 1,6 METRA

GRANITOWE PODŁOŻE - 2,5 METRA

West przyjrzał się z zainteresowaniem skalnemu urwisku. Wyglądało zupełnie tak samo jak reszta wybrzeża - ten sam kolor, ta sama tekstura, skała surowa i zwietrzała.

Ale to była mistyfikacja, podstęp, to był całkowicie sztuczny klif.

Fałszywa ściana.

West uśmiechnął się i zawołał:

- Ta ściana jest sztuczna! Ma tylko cztery metry grubości. Granit i warstwa piaskowca.

- Gdzie jest wejście? - zapytała Zoe przez radio.

West spojrział w dół na urwisko, o które rozbijały się fale.

- Imhotep Szósty zmienił jego wygląd. Pamiętacie, co powiedziałem: był znany z zamiłowania do podwodnych przejść. Wciągnijcie mnie na górę i szykujcie akwalung.

Kilka minut później West ponownie wisiał na linie wyciągarki land - rovera, tyle że zjeżdżał coraz niżej. Zatrzymał się dopiero kilka metrów nad rozbijającymi się o skały falami. Miał teraz na sobie kombinezon, maskę płetwonurka i akwalung. Ekwipunek grotolaza: hełm strażacki, flary, liny, zaczepy, haki, wszystko to przytroczył do swojego boku.

- Okay, w dół! Tylko szybko! - powiedział do mikrofonu.

Pozostali na górze bez ociągania poluzowali linę i opuścili Westa wprost we wzburzone wody u stóp urwiska.

West wpadł pod wodę i od razu to zobaczył.

Pionowe urwisko ciągnęło się także pod wodą, ale na głębokości około sześciu metrów wyłaniał się olbrzymi kwadratowy otwór, będący niewątpliwie dziełem rąk ludzkich. Obraowany kamiennymi blokami, wyglądał jak wrota hangaru wykute w zatopionej pod wodą skale.

Nad wejściem widniał znajomy symbol:



- Słuchajcie. Znalazłem wejście. Wchodzę. Zobaczą, co jest w środku.

Włączył wodoszczelną latarkę i wpłynął do środka. Znalazł się teraz w podwodnym korytarzu, którego ściany zbudowano z granitowych bloków.

Nie musiał długo płynąć.

Po dziesięciu metrach dotarł do znacznie szerszego pomieszczenia. Cały czas czuł wyjątkowo silne pływy.

W zupełnych ciemnościach wypłynął na powierzchnię.

Choć widział tylko tyle, na ile pozwalało światło latarki, czuł, że znalazł się w olbrzymim podziemnym pomieszczeniu.

Popłynął w lewo, w stronę niewielkiej skalnej półki. Wdrapał się na nią i odpalił flarę.

Jaskrawo świecąca flara szybowała coraz wyżej i wyżej, aż w końcu zawisała na wysokości siedemdziesięciu pięciu metrów i oświetliła całą przestrzeń.

- Matko Boska... - jęknął.

W tym czasie pozostali spoglądali w dół z brzegu urwiska, oczekując na wieści od Westa.

W końcu w odbiorniku zaskrzeczał jego głos:

- Jestem w środku. Chodźcie tu na dół. Przygotujcie się na niespodziankę.

- Zrozumiałam - odparła Zoe. - Idziemy.

Lily stała na uboczu, przypatrując się piaszczystej równinie. Kiedy pozostali nakładali akwalungi, zapytała:

- Co to?

Obejrzeni się...

...i dostrzegli samolot transportowy Herkules C - 130 przelatujący nisko nad ich głowami. Z tylnej części samolotu wysypało się około dziesięciu małych obiektów, które teraz spiralnym ruchem spadały.

Spadochroniarze.

Mieli zamiar wylądować dokładnie w tym miejscu, na szczycie urwiska!

Samolot oddalił się trochę, wylądował na płaskowyżu nieco na wschód i zatrzymał się w pobliżu dużego krateru.

Mistrz przyłożył do oczu silną lornetkę i przyjrzał się samolotowi.

- Amerykańskie oznaczenia. O, Boże! To Judah!

Zaraz potem skierował lornetkę w górę i zobaczył zbliżającą się grupę szturmową.

Nie musiał używać zoomu, żeby rozpoznać przewieszane przez ramię karabiny Colt Commando i czarne hełmy na głowach.

- To Kallis z oddziałem CIEF! Nie wiem jak, ale Amerykanie nas namierzili! Biegiem! Na dół! Do jaskini! Już!

Sześć minut później pierwszy amerykański komandos stanął w tym samym miejscu, gdzie Mistrz wydawał rozkazy.

Cał Kallis.

Obok niego stał porzucony land - rover z liną wyciągarki zwieszoną nad urwiskiem.

Kallis wychylił głowę znad krawędzi i spojrzał w ponad - stumetrową przepaść. Zdołał jeszcze dojrzeć dwóch ostatnich członków zespołu Westa, z aparatami do nurkowania na plecach, znikających pod wodą.

Natychmiast zameldował przez radio:

- Pułkownikowi Judah, tu Kallis. Zgubiliśmy ich przy podwodnym wejściu. Natychmiastowy pościg może być skuteczny. Powtarzam, natychmiastowy pościg może być skuteczny. Czekam na rozkazy.

- Gońcie ich - odezwał się zimny głos w słuchawce. - Rozkazy bez zmian: możesz zabić wszystkich prócz Westa i dziewczynki. Ruszaj się. My wejdziemy drugim wejściem.

Oddział Westa wypłynął na powierzchnię. Kiedy Mistrz wynurzył się spod wody, natychmiast zawołał:

- Jack! Mamy problem! Ścigają nas Amerykanie!

West wyciągał pozostałych, jednego po drugim, z wody na niewielką półkę skalną.

- Jak to?! - zwrócił się do Mistrza.

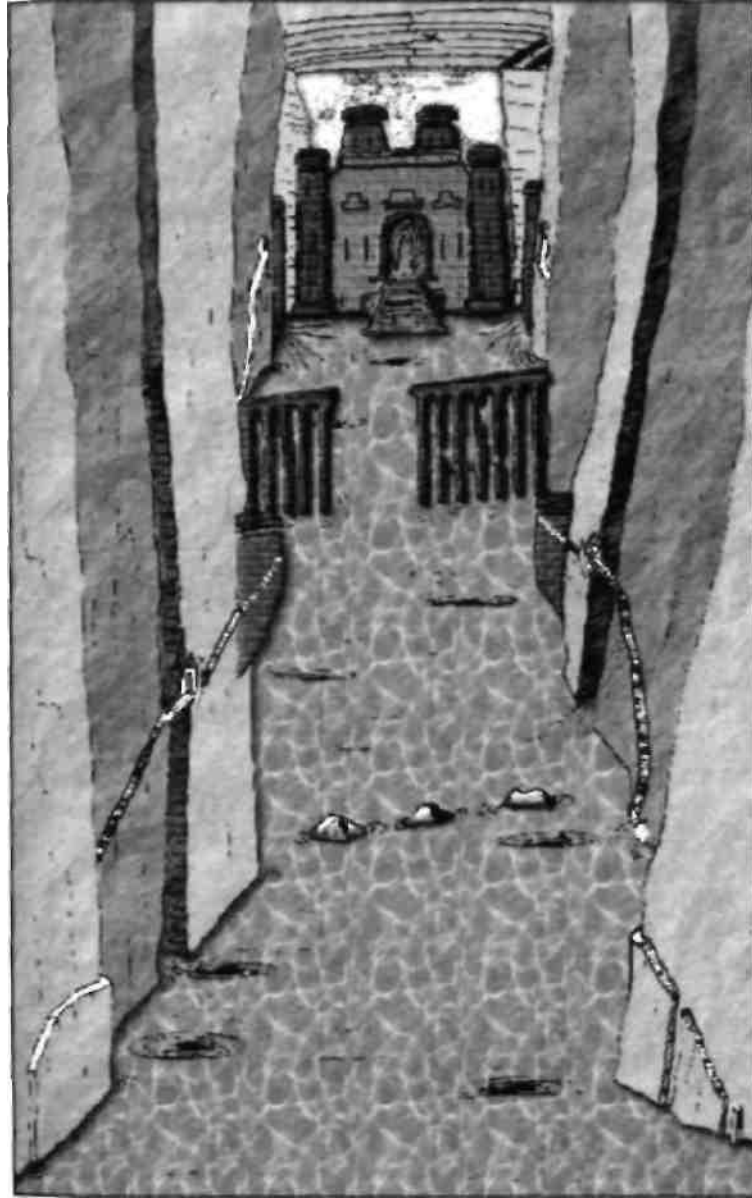
- Nie wiem. Po prostu nie mam pojęcia.

West się skrzywił.

- Później będziemy się zastanawiać. No, dalej. To nic miłego pokonywać pułapki, których się nie zna. Spójrz, gdzie się znaleźliśmy.

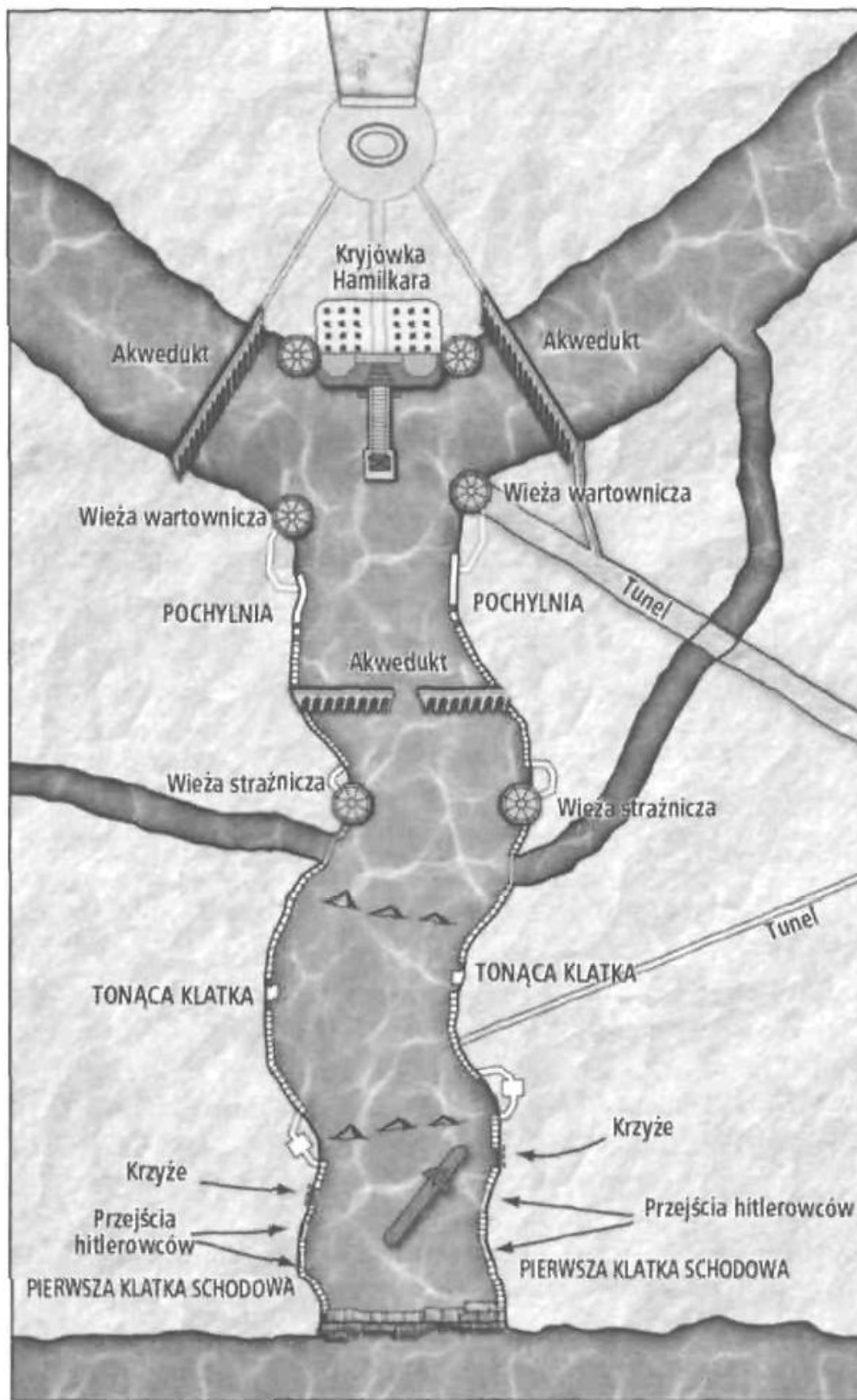
Mistrz rozejrzył się po grocie.

- Boże... - jęknął.



KRYJÓWKA HAMILKARA (WIDOK Z DALEKA)





**KRYJÓWKA HAMILKARA (WIDOK Z BLISKA)**

Mistrz z zainteresowaniem przyglądał się temu, co zobaczył. Podobnie jak reszta.

Korzystając z potęgi swej władzy, Imhotep VI polecił zbudować sklepienie nad naturalną zatoką, zamieniając ją w wyjątkową grootę.

Nie była szeroka, średnio miała dwadzieścia metrów, w najszerszym punkcie pięćdziesiąt. Była za to długa, bardzo długa. Oświetlona teraz intensywnym światłem wydawała się wąską, krętą rozpadliną ciągnącą się setki metrów. Jej boki były urwiste i pionowo opadały ku powierzchni wody. Ale u szczytu spinały je olbrzymie granitowe belki, każda wielkości sekwoi, przerzucone w poprzek, dokładnie wpasowane w otwory wykute w skale.

Ten granitowy strop został dawno temu przykryty warstwą piasku.

Za plecami mieli potężną skalną ścianę, która oddzielała ich od morza. Wysoka na ponad sto metrów stanowiła imponującą rozmiarami i trwałością konstrukcję. Od wewnątrz nie zamaskowano jej sztucznego pochodzenia. Od razu rzucało się w oczy, że zbudowano ją z kamiennych bloków.

Dla Westa i jego oddziału najistotniejsze było teraz to, co się za nią znajdowało.

Ukryta przed światem rozpadlina.

Po obu stronach kanału w rozpadlinie wiły się wąskie ścieżki przypominające półki skalne.

Stanowiły swoje lustrzane odbicie. To wznosiły się ku sklepieniu groty, to znów opadały prawie do linii wody. Gdzieniegdzie ginęły w głębi kamiennej ściany, by po chwili pojawić się ponownie. W wielu miejscach ścieżki zapadły się i pokruszyły.

Woda wypełniająca grootę również stanowiła zagrożenie. Fale przyływu podnosiły jej poziom, tworzyły się wiry, gotowe wciągnąć każdego nieostrożnego śmiałka. Dwa rzędy wystających z wody głazów uniemożliwiały jakąkolwiek żeglugę.

Oba brzegi kanału spinał wspaniały akwedukt, zbudowany w kartagińskim stylu, którego środek runął do wody.

W ścianach znajdowały się przewody wentylacyjne, z których buchały kłęby pary.

Mistrz sięgnął po noktowizor i uważnie przyjrzał się okolicy.

Wszystko wokół rozświetliło się zielonkawym światłem.

W głębokim cieniu najodleglejszej części rozpadliny, tylko częściowo widocznej z racji licznych zakrętów, dostrzegł jakąś budowlę. Była potężna, kształtem przypominała fortecę, z dwiema strzelistymi wieżami, imponującym łukowatym wejściem. Wnętrza fortecy nie udało się dostrzec.

- Kryjówka Hamilkara - wyszeptał. - Nietknięta przez ponad dwa tysiące lat.

- Czyżby? - odparł West. - Spójrz tam.

West skierował spojrzenie we wskazanym kierunku i zaniemówił.

- Mój Boże...

Rozbity o skały płytko zalegające pod powierzchnią wody, na wpół wynurzony, widniał wielki zardzewiały wrak okrętu podwodnego z okresu drugiej wojny światowej.

Mimo upływu czasu i działania soli, na kiosku zachowała się swastyka i numer: U - 342.

- To niemiecki okręt podwodny - szepnął Wielkouchy.
- Hessler i König... - powiedziała Zoe.
- Prawdopodobnie tak - zgodził się Mistrz.
- Kto? - zapytał Wielkouchy.

- Słynny hitlerowski zespół archeologów: Hermann Hessler i Hans König. Byli specjalistami od kopuły, a jednocześnie członkami założycielami partii nazistowskiej, a więc przyjaciółmi samego Hitlera. W rzeczywistości z błogosławieństwem Hitlera kierowali ściśle tajną ekspedycją naukową w Afryce Północnej w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym. Wspierał ich na miejscu Africa Korps Rommla.

- Niech zgadnę - rzekł Wielkouchy. - Szukali kopuły, nagle zniknęli i słuch po nich zaginął.

- I tak, i nie - odparła Zoe. - Zgadza się, szukali kopuły i Hessler nigdy nie powrócił. Ale Königa złapali Brytyjczycy, kiedy dotarł pieszo do Tobruku, ledwie żywy, wygłodzony, umierający z pragnienia. Pewnie został zaraz przekazany Amerykanom, a ci go dokładnie przesłuchali. Przewieźli go do Stanów, podobnie jak wielu innych niemieckich naukowców, i być może żyje tam do dziś. West zwrócił się do Mistrza.

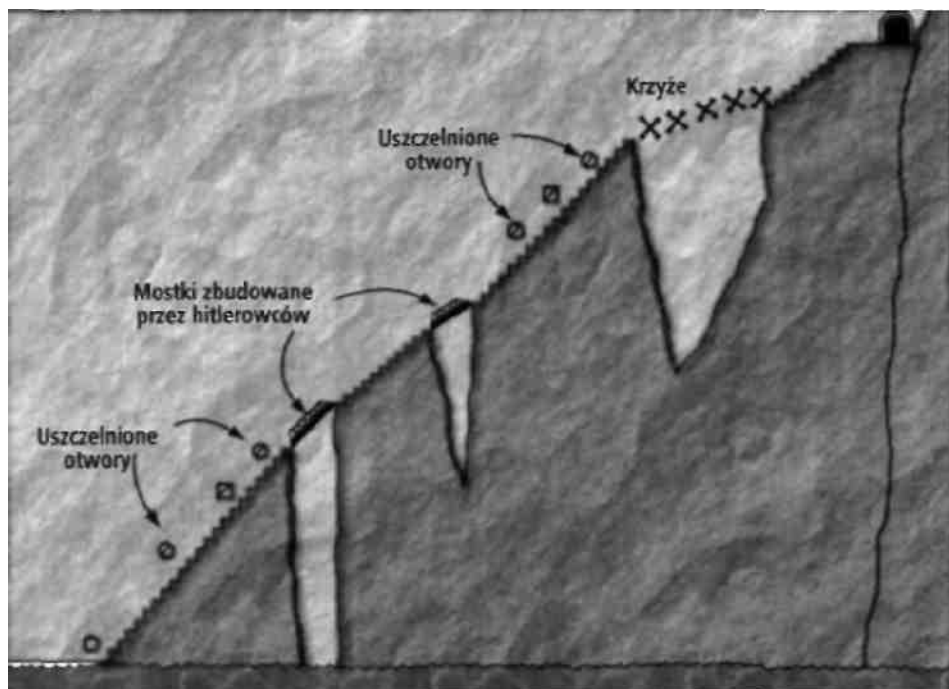
- Jak daleko za nami jest Kallis?

- Pięć minut - odparł Mistrz. - Może mniej.

- To trzeba brać się do roboty. Przepraszam, Zoe, ale dokończysz lekcję historii po drodze. Za mną. Zostawcie akwalungi, weźcie tylko małe butle i maski, możemy ich potrzebować.

Małe butle mieściły się w dłoni, a przy zaworze miały ustnik.

- Mistrzu, odpal warblery.



PIERWSZE SCHODY I KRZYŻE

Pierwsze schody (w górę)

Oddział Westa wybrał ścieżkę po lewej stronie. Początkowo płaska, szybko zaczęła się wznosić, wijąc się tuż przy pionowej skalnej ścianie niczym wąż. Po minucie wspinaczki West znajdował się już prawie dwadzieścia pięć metrów nad powierzchnią wirującej w dole wody.

W dwóch miejscach w kamiennych schodach były przerwy szerokości ponad metra. Po drugiej stronie szczeliny gład tworzący skalną półkę wyglądał podejrzanie. Na dodatek nad gładem ział ciemny otwór, zupełnie taki sam, z jakim mieli do czynienia w kopalni w Sudanie.

West nie miał pojęcia, co mogłoby się z tych otworów wydobyć, na szczęście Niemcy wcześniej zasłonili je stalową blachą, a nad przepaściami przetrzucili wąskie mostki.

West ostrożnie przeszedł przez mostek i minął uszczelniony otwór. W tym momencie usłyszał, jak potok jakiejś cieczy z rumorem uderzył o blachę zasłaniającą otwór. Uszczelnienie na szczęście wytrzymało, załoga pobiegła więc dalej.

Kiedy mijali drugi mostek i kolejny otwór zasłonięty stalową płytą, nagle nad ich głowami świsnęła kula i odbiła się rykoszetem od ściany.

Obejrzel się za siebie.

W wodzie stał jeden z żołnierzy Kallisa z wycelowanym w ich kierunku karabinem i teraz puścił całą serię.

Na szczęście Mistrz odpalił warblera, którego w plecaku niósł Wielkouchy, i kule sypały się z dala od biegnących.

Z wody wylaniały się kolejne postacie - trzech, sześciu, dziesięciu, w końcu zebrał się tam cały tuzin żołnierzy.

West zobaczył ich i kiedy cała jego ekipa bezpiecznie minęła kolejny otwór - pułapkę, zrzucił oba niemieckie mostki w dół. Następnie za pomocą stalowego pręta zerwał stalową płytę zasłaniającą otwór w ścianie i pobiegł za resztą.

Krzyże

Wspinali się dalej biegiem po wąskich kamiennych schodach, jakby przyklejonych do skalnej ściany.

Gdy byli już na wysokości pięćdziesięciu metrów, natknęli się na kolejną przepaść, tyle że szeroką na sześć metrów.

Z pionowej ściany wystawały uchwyty, dzięki którym można było przejść na drugą stronę, opierając jednocześnie stopy na trzycentymetrowej półce skalnej ciągnącej się wzdłuż rozpadliny.

W ścianie nad przepaścią, tuż przy uchwytach, wykuto dziwne, kształtem przypominające literę X, otwory, każdy z nich wielkości dorosłego człowieka.

- Krzyże - powiedział Mistrz do Westa, który go właśnie dogonił. - Paskudztwo. Kolejna ulubiona pułapka Imhotepa Szóstego.

- Nie mamy wyboru. Idę górą - odparł West i już po chwili wspinał się bez żadnego zabezpieczenia po ścianie, chwytając się palcami skalnych występów. W ten sposób przeszedł nad najeżoną pułapkami przepaścią.

Kiedy West się wspinał, Mistrz z niepokojem obserwował zbliżający się oddział CIEF.

Właśnie pokonywali pierwszą przepaść, położoną pięćdziesiąt metrów niżej.

West znalazł się wreszcie po drugiej stronie przepaści i natychmiast rozciągnął nad nią linę.

Żołnierzom CIEF także udało się już przekroczyć pierwszą przepaść.

West wciągnął swoich ludzi po linie na drugą stronę. Najpierw Lily, potem Zoe, Wielkouchego i Mistrza.

Jeden z członków oddziału Delta skoczył na podejrzany kamień, znajdujący się za drugą przepaścią, i wówczas z odsłoniętego przez Westa otworu trysnęła struga gorącego błota, oblepiając nieszczęśnika.

Błoto było ciemnobrązowe, kleiste i ciężkie, najwyraźniej pochodzenia wulkanicznego. Nim żołnierz spadł z hukiem do wody znajdującej się dwadzieścia pięć metrów niżej, całe jego ciało uległo potwornym poparzeniom.

Mistrz oniemiał.

- O mój Boże...

Następni żołnierze byli już ostrożniejsi i uważnie ominęli zdradliwy otwór.

W tej samej chwili ostatni dwaj członkowie ekipy Westa - Długi i Kubuś Puchatek, zostali wciągnięci ponad przepaścią na drugą stronę.

Kiedy Kubuś Puchatek bezpiecznie stawiał stopę na skalnej półce, pierwszy z żołnierzy już dobiegał do skraju przepaści.

Oba oddziały dzieliło więc już tylko sześć metrów rozpadliny.

West błyskawicznie przeciął linę, która teraz swobodnie spadła w otchłań.

Żołnierz, który pierwszy dobiegł do przepaści, podekscytowany faktem, że znalazł się tak blisko celu, bez zastanowienia złapał pierwszy uchwyt w ścianie i ruszył naprzód. Kiedy wczepił palce w drugi i trzeci uchwyt - stało się.

Niczym oślizgłe macki wyskoczyły ze ściany dwie obręcze, przypominające współczesne kajdanki, i zacisnęły się wokół nadgarstków. Z olbrzymiego otworu w kształcie litery X wysunął się wykonany z brązu krzyż wielkości człowieka.

Bezbronny żołnierz zrozumiał teraz swoje położenie - jego ręce były przykute właśnie do tego krzyża. Zdażył tylko wydać z siebie zduszony krzyk, gdy ciężki krzyż wraz z nim runął z łoskotem w dół, wpadł do wody, pociągając za sobą nieszczęśnika na dno.

Oddział Westa bez zwłoki ruszył dalej.

Lej krasowy

Pewnie po raz pierwszy w historii ktoś mógł powiedzieć, że pomógł mu nazistowski reżim Adolfa Hitlera. To właśnie dzięki niemieckim budowniczym

mostów sprzed sześćdziesięciu lat West i jego ludzie zyskali przewagę nad oddziałem Kallisa.

W połowie wysokości skalnej ściany ścieżka znikła w otworze. Budowniczości postanowili po prostu ściąć zakręt i poprowadzili ją tunelem.

Krótki korytarz doprowadził ich do kwadratowej jaskini ze ścianami z diorytu. Boki pomieszczenia miały po sześć metrów, a głębokość wynosiła około dziewięciu metrów. Dno jaskini pokrywała warstwa parującego, wrzącego błota wulkanicznego podgrzewanego przez jakieś podziemne źródło ciepła. Na przeciwległej ścianie widać było wejście do dalszego odcinka tunelu.

Na szczęście Niemcy tu też przerzucili most nad wrzącym błotem. Ekipa Westa przebiegła sprawnie przez most, po czym go zniszczyła.

Drugie schody (w dół)

Tunel skończył się i znów stali na skalnej półce. Odpalili kolejne flary i ruszyli po kamiennych stopniach biegnących teraz łukiem w dół z powrotem ku powierzchni wody.

Schody rzeczywiście sprawiały wrażenie, jakby miały za chwilę zniknąć pod pełną wirów kipiela.

I tu znowu hitlerowcy przerzucili kładkę nad wzburzoną wodą.

West już zbiegał po schodach. Nad wylotem tunelu znajdował się w ścianie spory, złowieszczo wyglądający otwór.

- Jack! - krzyknął Mistrz. - Kamienie uruchamiające mechanizm! Znajdź je i pokaż idącemu za tobą!

West stapał teraz ostrożnie, unikając wszystkich stopni, które były krzywe albo po prostu wyglądały podejrzanie.

Dwukrotnie musieli zwolnić w miejscach, gdzie schody uległy zniszczeniu i trzeba było przeskakiwać nad przepaścią.

Kiedy idący ostatni Kubuś Puchatek przeskakiwał nad czeluścią, na szczycie schodów pojawił się pierwszy żołnierz CIEF i ruszył do ataku. Puchatek nieuważnie wylądował po drugiej stronie, poślizgnął się i upadł na plecy, wprost na kamień połączony z mechanizmem.

- O kurczę! - jęknął.

Wszyscy zamarli.

- Cholerny, głupi Arabie... - mruknął Długi.

- Długi! Nie teraz! - upomniał go West.

Z otworu znajdującego się nad wyjściem z tunelu rozległ się ogłuszający łoskot.

- Niech zgadnę - powiedział Długi. - Wielki okrągły głaz wyskoczy zaraz z tej dziury i potoczy się w naszym kierunku. Zupełnie jak w Poszukiwaczach zaginionej arki.

Stało się nieco inaczej.

Z otworu wysypały się, jedna po drugiej, aż trzy, za to drewniane kule, każda o średnicy jednego metra i każda najeżona setkami ostrych, wykonanych z brązu gwoździ.

Jedna kula ważyła na pewno ze sto kilogramów. Toczyły się teraz wszystkie po schodach w kierunku zespołu Westa.

West zgarnął Lily.

- Prędko! Prędko! Prędko!

Rzucili się schodami w dół, uciekając przed toczącymi się kulami.

Tak samo postąpił żołnierz Kallisa.

West dotarł do podstawy schodów, tam gdzie Niemcy zbudowali kładkę.

Przebiegł przez nią, ciągnąc Lily za rękę. Za nimi biegła Zoe, Wielkouchy, Mistrz i Długi.

Żołnierz CIEF, przerażony widokiem toczących się kul, nabrał tempa i z łatwością przeskoczył nad obiema przepaściami, niemalże wpadając na czerwonego z wysiłku, tracącego dech w piersiach Puchatka.

W ostatniej chwili Puchatek rzucił się naprzód i runął na kładkę. Biegący za nim żołnierz uczynił to samo, ale jego dosięgły już kolce, którymi naszpikowana była pierwsza kula.

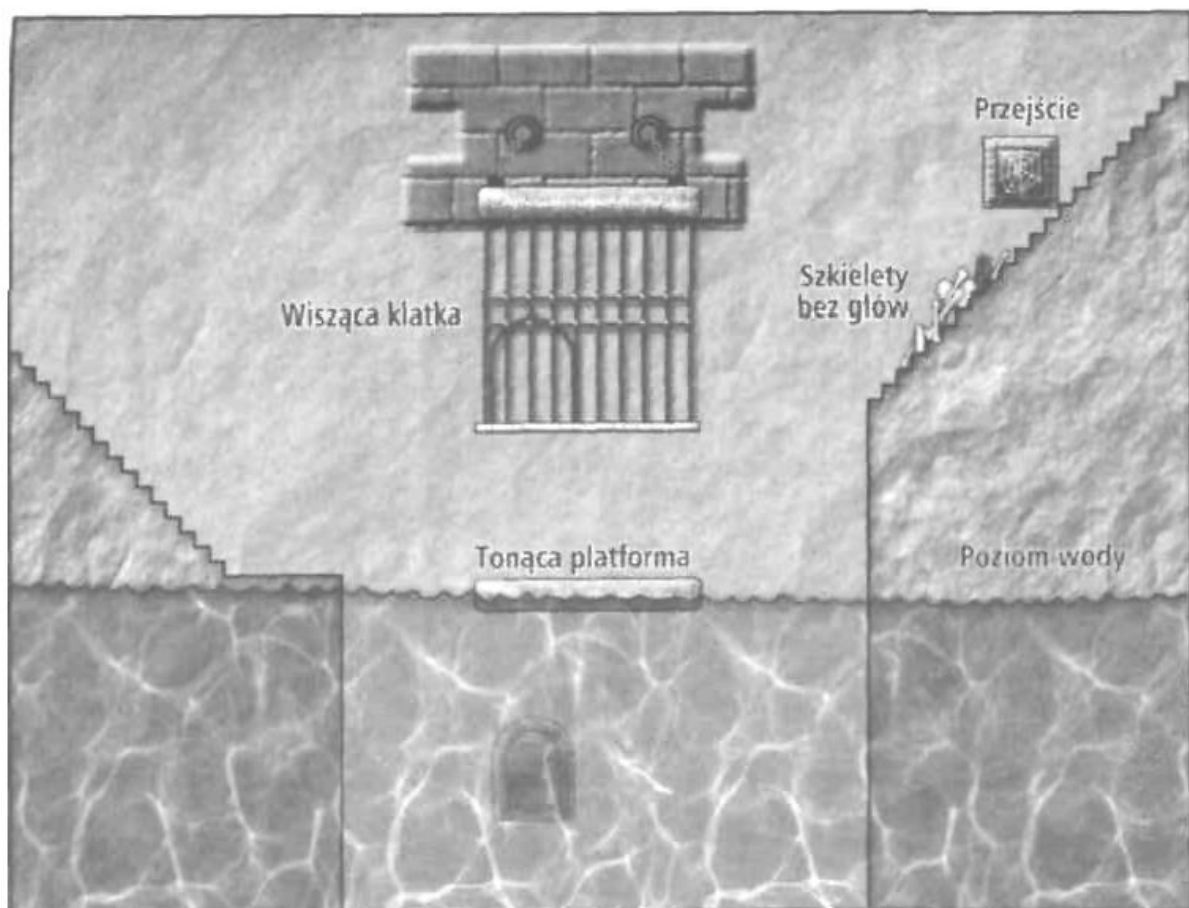
Ostre końce wbiły się głęboko w ciało i pociągnęły żołnierza w dół, w pełną wirów kipieli. Następne dwie kule przebiły się przez barierkę kładki i również wylądowały w wodzie.

- Uff... - wystękał Kubuś Puchatek, leżąc na środku kładki.

- Kubuś, chodź tu! - zawołał West. - Nie ma czasu na odpoczynek.

- Odpoczynek? Jaki odpoczynek!? Kapitanie West, skąd pan bierze tyle siły? - Puchatek z jękiem podniósł się i ruszył za pozostałymi.





**TONĄCA KLATKA**

## Tonąca klatka

Kiedy przeszli przez mostek zbudowany przez Niemców, znaleźli się na sporej kamiennej platformie. Od najbliższego kamienia, na którym mogliby stanąć, dzieliło ich półtora metra wody. Potem jeszcze jedna półtorametrowa przerwa i dalej zaczynały się schody prowadzące w górę.

Problem polegał na tym, że pierwszy stopień schodów był na wysokości dwóch metrów nad poziomem kłębiącej się wody. Nikt nie dałby rady skoczyć tak wysoko. Ale to nie wszystko. Nad kamieniem, na którym należało stanąć, zawieszono dużą kwadratową klatkę, która natychmiast spadnie na każdego, kto się pod nią znajdzie.

- To jest tonąca klatka - powiedział Mistrz. - Jeśli skoczymy na ten kamień, ona na nas spadnie. A potem kamień z klatką i nami, uwięzionymi w środku, utonie.

- Ale to jest jedyna droga... - zauważyła Zoe.

Długi osłaniał tyły.

- Wymyślcie coś wreszcie! Kallis już tu jest!

West obrócił się gwałtownie i zobaczył sylwetkę Kallisa wyłaniającą się z tunelu u szczytu schodów.

- Masz jakiś pomysł, Jack? - zapytał Mistrz.

West zagryzł wargi.

- Hmm. Nie przepłyniemy obok, za dużo wirów. Nie możemy wspiąć się po ścianie, jest zbyt gładka. Nie widzę żadnej innej drogi...

I wtedy West podniósł wzrok i spojrzał na wznoszące się przed nimi schody.

Leżały na nich trzy szkielety, odziane w hitlerowskie mundury. Wszystkie były pozbawione głów. Dalej, za nimi dostrzegł coś jeszcze - zasnutą pajęczyną kwadratowe wejście do korytarza niknącego gdzieś w ścianie.

- Nie można obejść tej pułapki, więc jej nie obchodźmy, Mistrzu - rzekł głośno. - Podziemia świątyni na Malcie, tam gdzie znaleźliśmy zwoje. Przypomnij sobie. Tam była podobna pułapka. Żeby iść dalej, musimy ją uruchomić.

Długi niecierpliwił się.

- Róbcie coś. Kallis jest już w połowie schodów...

Zoe zwróciła się do Westa:

- Uruchomić ją? Co masz na myśli?

- Pospieszcie się, ludzie... - ponaglił Długi. - Warbler nie działa przy małej odległości.

West obejrzał się. Kallisa i jego pozostałych dziewięciu ludzi dzieliło od nich już tylko dziesięć metrów.

- Słuchajcie - ciągnął West. - Musicie mi zaufać. Nie ma czasu, by dzielić się na grupy, musimy zrobić to razem.

- Wszystko albo nic, tak? - powiedziała Zoe.

- Nie mamy wyboru. Przygotujcie butle z tlenem. A teraz wszyscy razem skaczymy na platformę. Gotowi... hop!  
Skoczyli.

Cała siódemka wylądowała na obszernej kamiennej platformie. W tej samej chwili olbrzymia klatka opadła i uwięziła ich w środku. Jeszcze chwila i cała platforma zaczęła się zanurzać w wodzie.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Jack! - krzyknęła Zoe. Odczepiła od paska butlę z tlenem i zagryzła ustnik. Butla była mała, powietrza w niej wystarczało na trzy minuty.

Stali już w wodzie po kolana.

West nie odpowiedział. Brodząc w wodzie, podszedł do ściany klatki i zaczął przyglądać się prętom z brązu, z których została wykonana.

I wreszcie znalazł - niewielki łukowaty otwór wycięty w ścianie, wysoki na niecały metr, akurat tyle, żeby zmieścił się w nim człowiek. Ale w kamiennej ścianie pomieszczenia, która przylegała bezpośrednio do klatki, nie było żadnego otworu. Łukowaty otwór w klatce wiódł donikąd.

Klatka zanurzała się coraz głębiej. Otwór znalazł się już pod wodą.

Woda sięgała Westowi do pasa.

Wielkouchy wziął Lily na ręce i trzymał ją nad powierzchnią wody.

Cał Kallis zatrzymał się na schodach i na widok tarapatów, w których znaleźli się jego przeciwnicy, szyderczo się skrzywił.

- Jack... - zawołała zaniepokojona Zoe.

- Jack... - powtórzył po niej Mistrz.

- Musi tu być - wyszeptał do siebie West. - Musi...

Kiedy klatka zanurzyła się już w dwóch trzecich, West zapalił flarę, włożył ustnik butli do ust i zanurzył się we wzburzonej wodzie.

W świetle flary patrzył, jak pręty klatki ślizgają się po kamiennym murze... w którym nie było żadnego otworu.

- To niemożliwe - szepnął do siebie. - Tam niżej musi coś być!

Niestety, nie było nic prócz gładkiej kamiennej ściany.

Serce biło mu coraz szybciej. Właśnie popełnił największy błąd w swoim życiu, błąd, przez który pewnie wszyscy zginą.

Wypłynął na powierzchnię. Woda sięgała mu już do piersi; klatka była w trzech czwartych zanurzona.

- Znalazłeś coś?! - zawołała Zoe. Zbity z tropu, wzruszył ramionami.

- Nie... Ale tam musi coś być.

- Zabiłeś nas! - wrzasnął Długi.

Woda sięgała po szyję.

- Bierzcie butle - powiedział ponuro West. Spojrzał na Lily trzymaną wysoko w górze przez Wielkouchego. - Szkrabie. Jesteś ze mną?

Energicznie potwierdziła skinieniem głowy, choć była śmiertelnie przerażona.

- Oddychaj powietrzem z butli, tak jak to ćwiczyliśmy w domu - powiedział łagodnie West. - Wszystko będzie dobrze.

- Sknociłeś? - szepnęła Lily.

- Być może - odparł.

Jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Mistrza. Starszy pan kiwnął głową i powiedział:

- Spokojnie, Jack. Ufam ci.

- To dobrze, bo ja sam sobie nie ufam.

Wielka klatka z siódmką uwięzionych znalazła się całkowicie pod wodą.

Ze stłumionym pacnięciem klatka się zatrzymała. Pręty sufitu znajdowały się metr pod powierzchnią wody.

Podwodne prądy były w tym miejscu wyjątkowo silne. W pewnym miejscu pojawił się zarys wiru: wielki odwrócony stożek płynącej spiralsnie w dół wody.

Z butlą powietrza przy ustach West zanurkował w stronę łukowatego otworu, by po raz ostatni sprawdzić, czy coś się nie zmieniło...

...i wtedy to spostrzegł.

Łuk kraty zatrzymał się dokładnie w miejscu, gdzie w kamiennej ścianie rysował się niewielki, ciemny otwór.

Kształty obu otworów idealnie się pokrywały. Wystarczyło zanurkować, by przedostać się na drugą stronę.

West się ożywił.

Obrócił się w kierunku pozostałych uwięzionych w klatce. Ruchami ręki zaczął wydawać polecenia. Pierwszy miał popłynąć Mistrz.

Następnie Wielkouchy z Lily. Potem Zoe, Długi, Kubuś Puchatek i na końcu on sam.

Mistrz podpłynął do otworu z jarzącą się flarą w rękę i po chwili zniknął w ciemnej czeluści.

West gestem nakazał Wielkouchemu zaczekać, aż Mistrz da znać, że wszystko jest w porządku.

Po chwili Mistrz pojawił się ponownie i pokazał w triumfalnym geście uniesiony kciuk.

Teraz wszyscy po kolei znikali w łukowatym otworze, aż w końcu w klatce pozostał już tylko Jack West.

Nikt nie mógł widzieć ulgi, jaka odmalowała się na jego twarzy. Podjął wyzwanie i o mało ich nie zabił. Ale okazało się, że miał rację.

Odbił się mocno nogami, przepłynął całą długość klatki i zniknął w wąskim otworze.

Tunel, w którym się znalazł, skręcał w górę i zamienił się w pionowy szyb mający nawet stopnie. Szyb kończył się ponad wodą i wychodził na poziomy korytarz, który prowadził z powrotem do głównej sali. Przed nimi pojawiło się wyjście zasnutę pajęczyną - wcześniej widzieli je z drugiej strony.

Kiedy znaleźli się na schodach, West dojrzał Kallisa i jego ludzi stojących u podstawy schodów i czekających, aż klatka znów się uniesie.

Kilka stopni poniżej Westa leżały bezgłowe ciała trzech żołnierzy niemieckich.

- Szkielety bez głów oznaczają, że gdzieś na górze są jakieś ostrza. Uważajcie - ostrzegł Mistrz.

West wysunął się naprzód i zadarł głowę.

- Aj. Spójrzcie na to...

U szczytu schodów rysowała się robiąca wrażenie konstrukcja: wielka, ufortyfikowana wieża wartownicza, wznosząca się pionowo na sześćdziesiąt metrów ponad poziom wody.

Starożytna strażnica została zbudowana w strategicznym punkcie, tam gdzie wypełniona wodą rozpadlina skręcała. Dokładnie naprzeciw niej, po drugiej stronie grotty, stała jej bliźniacza siostra, taka sama wieża, też stercząca z pionowej skały, do której prowadziły podobne schody.

West postawił nogę na stopniu i już chciał iść w górę, kiedy nagle usłyszał:

- Czy to ty, Jack?!

To nie był głos Kallisa.

Ten głos dochodził z daleka.

Z drugiej strony jaskini, zza wody. West obejrzał się.

I wtedy zobaczył drugi oddział amerykańskich sił specjalnych, stojący po przeciwnej stronie grotty na platformie prowadzącej do spadającej klatki.

Właśnie wyszli z tunelu. Było ich dwudziestu czterech.

Prowadził ich mężczyzna około pięćdziesiątki, o charakterystycznym stalowym spojrzeniu czarnych oczu. Ale uwagę przyciągał inny, makabryczny szczegół - brak nosa. Stracił go dawno temu i teraz w tym miejscu sterczał tylko groteskowy kikut.

Ale to wcale nie widoczny defekt twarzy rzucał się w oczy, lecz jego strój.

Miał na sobie buty na stalowej podeszwie, takie jak West.

Płócienną bluzę, taką jak West.

Oraz pas z przytroczoną butlą z tlenem i karabińczykami, tak jak West.

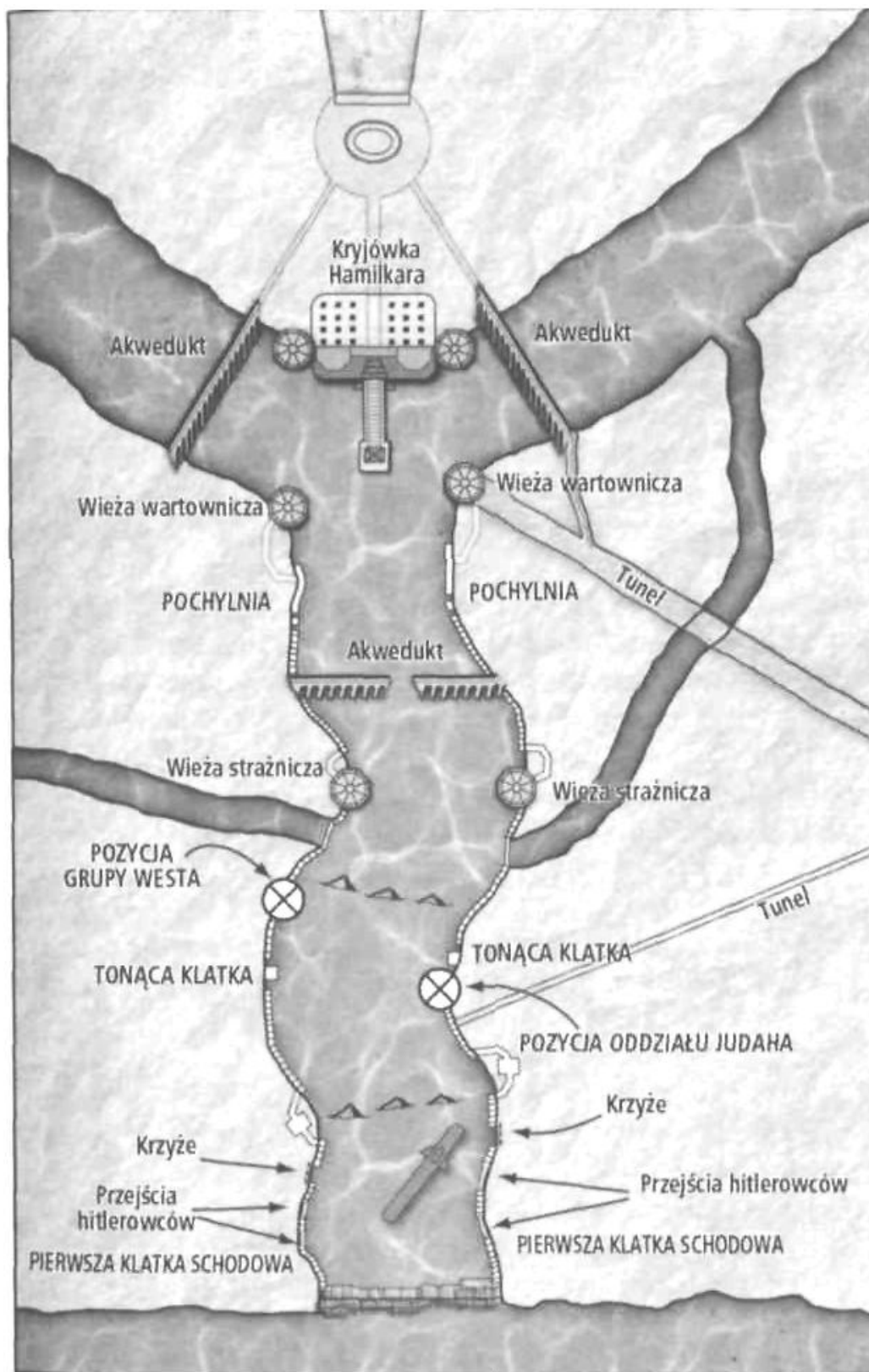
Tylko hełm na głowie miał inny - lekki hełm grotolaza, podczas gdy West nosił hełm strażacki.

Poza tym był starszy od Westa, spokojniejszy, bardziej pewny siebie. Z jego czarnych oczu emanowało doświadczenie.

Tego człowieka West obawiał się najbardziej. Kiedyś ten mężczyzna był jego dowódcą. Pozostawił Westa na pewną śmierć w Basrze, w Iraku.

Niegdyś dowodził oddziałem Delta 7, najlepszym z całej formacji, a teraz wydawał rozkazy ludziom z CIEF, najlepszej doborowej jednostki sił specjalnych na świecie.

To był pułkownik Marshall Judah.



**KRYJÓWKA HAMILKARA (PORÓWNANIE POZYCJI ODDZIAŁÓW)**

W miejscu, gdzie się obecnie znajdowali, West i jego ludzie byli nieco wysunięci do przodu w porównaniu z oddziałem Judaha.

Jeśli założyć, że ścieżki po obu stronach rozpadliny były identyczne, zespół Westa miał za sobą jedną pułapkę więcej. Judah dopiero musiał pokonać po swojej stronie spadającą klatkę. W tej chwili nadepnął na niewłaściwy kamień i trzy drewniane kule zaczęły toczyć się w kierunku żołnierzy CIEF.

Judah nie stracił zimnej krwi.

Skinął tylko na trzech żołnierzy, a ci szybko i sprawnie postawili solidną barykadę pomiędzy kulami a swoim oddziałem.

Barykada z tytanowych stopów zablokowała ścieżkę na całej jej szerokości. Kule wpadły na zapórę, odbiły się od niej i poszybowały w dół.

Judah nie spuszczał wzroku z Westa.

- Co ci się śni w nocy, Jack? Wciąż jesteś uwięziony w wulkanie? - zawołał Judah. - Wciąż dręczą cię śpiewy i bicie w bębny?

West był zaskoczony. Skąd on to wie...

Judah jakby odczytał jego myśli. Uśmiechnął się zimno.

- Wiem nawet więcej, Jack! Więcej, niż możesz przypuszczać.

West był wstrząśnięty, choć starał się tego nie okazywać.

Z marnym skutkiem.

Judah wskazał strażacki hełm, który West miał na głowie.

- Wciąż używasz strażackiego kapelusza, Jack? Pamiętasz, nigdy się na to nie zgadzałem. Zbyt nieporęczny w wąskich przejściach. Nauczyciela boli, gdy utalentowany uczeń głupio postępuje.

To było silniejsze od Westa - rzucił okiem na swój hełm.

- Wygląda na to, że urządziliśmy tu sobie mały wyścig, Jack. Sądzisz, że zdołasz mnie prześcignąć? Naprawdę myślisz, że możesz mnie prześcignąć?

- Słuchajcie - zwrócił się po cichu West do swoich ludzi, nie spuszczać z oczu Judaha. - Musimy biec. I to szybko. Już. Jazda!

Oddział Westa rzucił się biegiem na schody, kierując się ku wieży wartowniczej.

Judah tylko kiwnął na swoich ludzi, którzy bez ociągania zaczęli montować kładkę nad spadającą klatką. Wyścig się właśnie rozpoczął.



Wieża strażnicza i wąwóz

West ze swoimi ludźmi biegł schodami w górę.

Tuż przed wieżą ich ścieżkę przecinał wąski wąwóz. Miał niecałe pięć metrów szerokości i pionowe, urwiste ściany.

Ponownie naziści okazali się pomocni. Wyglądało na to, że aby spiąć oba brzegi wąwozu, Kartagińczycy zbudowali zawieszony na łańcuchach most zwodzony, a niemieckiej wyprawie przed laty udało się go podnieść.

Korzystając z tego, że los się do nich uśmiechnął, szybko przebiegli przez most i już po chwili znaleźli się na drugim brzegu u podstawy wieży.

W zewnętrznych murach wieży wykuto stopnie, które spiralnie wily się w górę. Oznaczało to, że będą musieli się wspiąć na wysokość sześćdziesięciu metrów bez żadnego zabezpieczenia, mając pod nogami kłębiącą się kipieli.

Kiedy się wspinali, ze szczeliny w murze wysunęły się raptownie dwa ostrza, które, gdyby nie refleks Westa, mogłyby skrócić go o głowę. Użył specjalnej mieszaniny pianki wypełniającej i kleju, by je unieruchomić.

Ekipa Westa wspinała się dalej na szczyt wieży tak wysokiej, że zaprzeczała prawom grawitacji.

Po drugiej stronie długi, lekki most znalazł się na swoim miejscu i ludzie Judaha przebiegli po nim, omijając spadającą klatkę.

Stopnie wykute w zewnętrznej ścianie wieży zawiodły ludzi Westa na górny balkon.

Ciasny tunel na tyłach balkonu zagłębiał się w litą skałę ściany jaskini i wychodził ponownie nieco dalej, za wieżą. West odpalił kolejne trzy race i ich oczom ukazał się w całej okazałości kraniec jaskini i cel, ku któremu zmierzali.

- O, cholera... - jęknął Wielkouchy.

- Dzban przekleństw... - powtórzyła swoją formułkę Lily.

Wysoka na co najmniej piętnaście pięter, potężna starożytna forteca wyrastała z wody i górowała nad mroczną okolicą.

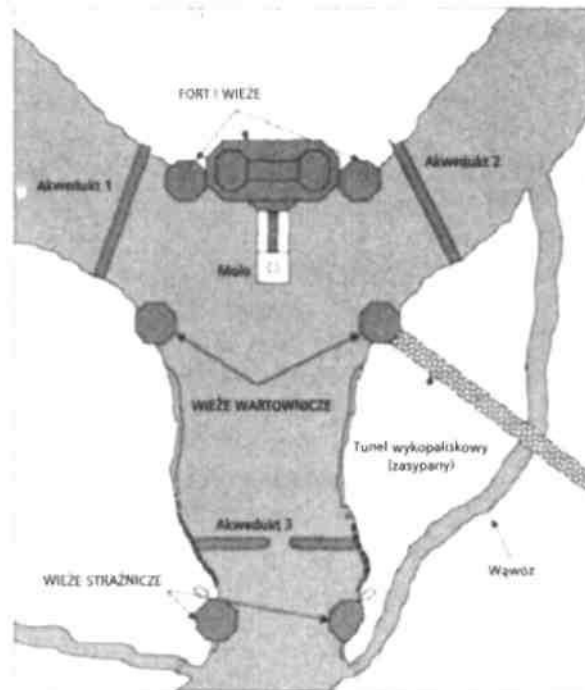
Buchająca z otworów wentylacyjnych para nadawała fortecy niezapomniany, ponury wygląd.

Potężny, kwadratowy donżon z olbrzymim, łukowato sklepionym wejściem, stanowił fundament całej budowli. Część środkową otaczały z obu stron dwie potężne wieże obronne, których iglice ginęły wysoko w mroku. Były podobne do wieży strażniczej, którą już minęli, tyle że te w fortecy były wyższe i wyrastały bezpośrednio z wody.

Spod łukowato sklepionego wyjścia prowadził w kierunku wody szeroki pomost zakończony płaskim, kamiennym moło. Długi co najmniej na czterdzieści metrów pomost z centralnie umieszczonymi schodami przypominał świątynię Hatszepsut w Dolinie Królów.

Nigdy nieukończona ani niewykorzystana do celów, do jakich została stworzona, ukryta przed światem przez genialnego egipskiego architekta, stała teraz przed nimi w całej okazałości - kryjówka Hamilkara.

West wyjął z torby odbitkę z rysunkiem i dokładnie się jej przyjrzał.



Tak jak na starym rysunku rozpadlina przed nim rozwidlała się, przypominając literę Y. Forteca stała dokładnie w miejscu rozwidlenia. Na drugim brzegu obu odnóg, naprzeciw wież fortecy, znajdowały się jeszcze dwie wieże wartownicze.

Jakby tego wszystkiego było mało, nad obiema odnogami piętrzyły się potężne akwedukty, a jeszcze jeden, długi na sześćdziesiąt metrów, zbudowany z kamiennych łuków, teraz częściowo zburzony, spinał brzegi głównej rozpadliny. Akwedukty nad odnogami były całe i nietknięte.

To właśnie Zoe zwróciła uwagę na ścianę skalną za fortecą.

- Ona pochyła się do tyłu - powiedziała. - Jak stożek...

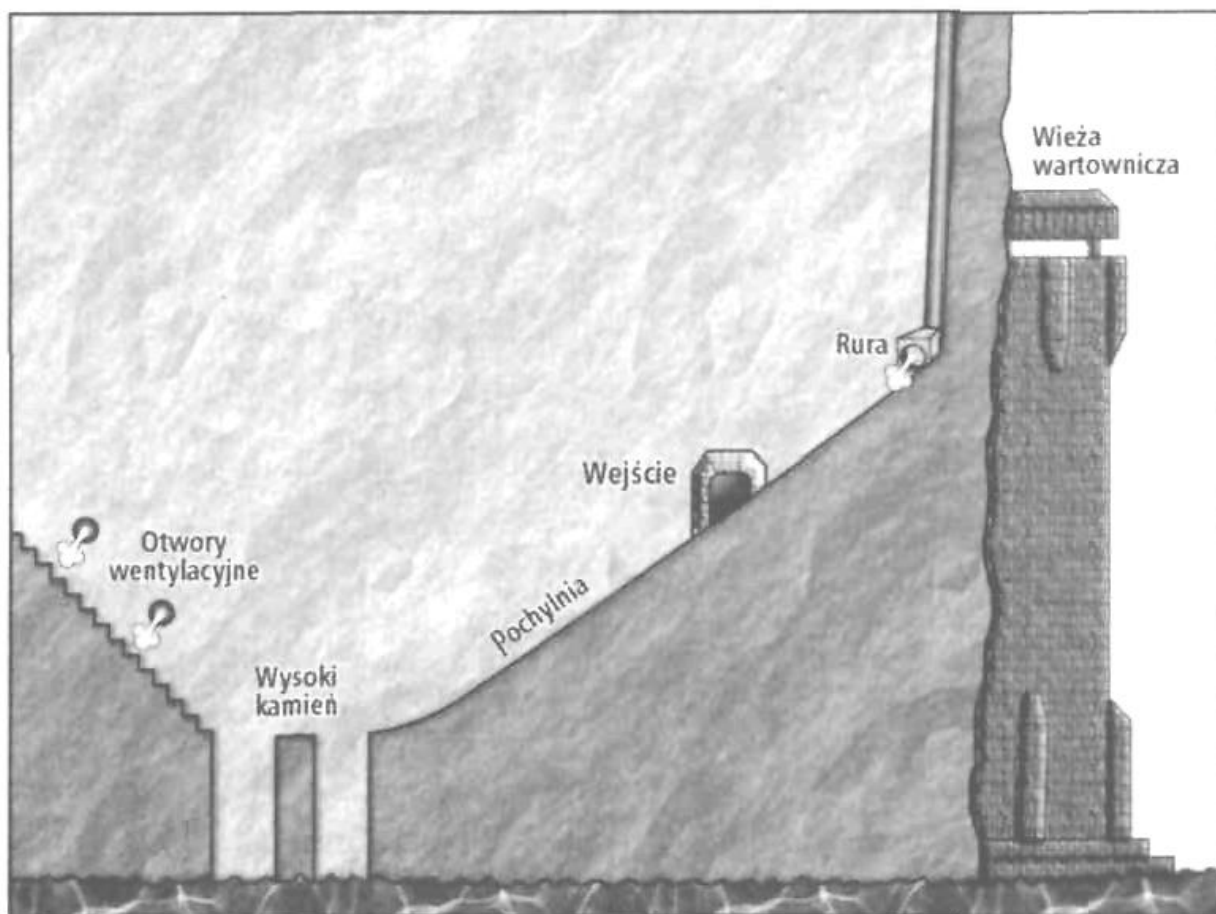
- Chodźcie, nie mamy czasu - ponaglił ich West.

Ostatni odcinek ścieżki prowadził początkowo schodami w dół, a następnie pochylnią w górę. Co ciekawe, pochylnia miała na swojej zewnętrznej krawędzi rynnę, której przeznaczenie pozostawało niejasne.

Taką samą drogę na drugim brzegu miał do pokonania oddział Judaha.

Oddział Westa ruszył schodami w dół, unikając zbliżania się do licznych otworów wentylacyjnych, z których buchały kłęby pary.

W tym czasie ludzie Judaha minęli wąwóz, dotarli do wieży strażniczej i zaczęli się na nią wspinać.



**POCHYLNIA**

## Pochylnia

Niezwykłe wysoki, wystający 10 metrów nad poziom wody głaz oddzielał podstawę schodów, którymi właśnie zbiegli, od podstawy wznoszącej się dalej pochylni.

Pochylnia z tajemniczą rynną ciągnęła się na długości może stu metrów i kończyła na szczycie wieży wartowniczej. Miała około metra szerokości, co wystarczało, by iść nią gęsiego; prawy jej brzeg kończył się stromym urwiskiem.

W ścianie, do której przylegała pochylnia, widniały dwa otwory: pierwszy, w dwóch trzecich wysokości, wyglądał jak jakieś wejście; drugi, na samym szczycie, przypominał wyglądem jakąś rurę.

Od czasu do czasu z rury wydobywał się obłok pary, która natychmiast się ulatniała.

Mistrz był zachwycony.

- Aha, pułapka z jedną drogą ucieczki...

- Co takiego? - zapytał Kubuś Puchatek.

- Miał na myśli to, że weźmiemy udział w wyścigu - powiedział West. - Albo my pierwsi dobiegniemy do tamtego wejścia, albo dopłynie tam jakaś ciecz, która wydostanie się z tej rury. Sądzę, że wyścig rozpocznie się, gdy staniemy na tym wielkim kamieniu. On uruchomi mechanizm.

- Jaka ciecz? - zapytał Wielkouchy.

- Widziałem już ropę naftową. Gorące błoto. Płynną smołę... - zaczął wymieniać Mistrz.

Kiedy Mistrz mówił, West zerknął za siebie na ludzi z CIEF.

Wspinali się właśnie na wieżę strażniczą i West musiał przyznać, że szło im to dużo sprawniej niż jego zespołowi.

Już pierwszy żołnierz dotarł do balkonu i zniknął we wnętrzu wieży.

- Nie ma czasu na dyskusje - rzekł. - Podejmijmy wyzwanie.

Mówiąc to, skoczył na głaz, odbił się i wylądował na wznoszącej się pochylni.

W chwili gdy jego stopa dotknęła kamienia, z rury na szczycie pochylni wytrysnęła struga gorącego wulkanicznego szlamu - czarnego, gęstego i tak gorącego, że gdzieś tam pobłyskiwała w nim złotoczerwona magma.

Nareszcie wyjaśniło się przeznaczenie rynny. Nią właśnie rozpalony szlam popłynął w dół, wprost na nich!

- Nie na darmo codziennie ćwiczyliśmy - powiedział West. - Biegiem!

Cała siódemka rzuciła się naprzód.

Szlam był coraz bliżej. Widać było wyraźnie, że konstruktorzy nie dawali forów ludziom.

Na szczęście zespół Westa był dobrze wyszkolony i sprawny fizycznie. Biegli szybko, choć każdy kolejny krok był coraz trudniejszy.

Do wejścia dotarli niemal w tej samej chwili co gorący szlam. Bez wahania wpadali do środka, popędzani przez Westa, który stał w wejściu i wpychał ich po kolei. Sam skrył się w głębi w chwili, gdy strumień szlamu minął wejście, popłynął dalej i w końcu wpadł do wody, wzbijając z sykiem olbrzymi obłok pary wodnej.

Zespół Judaha poradził sobie z pochylnią w inny sposób. Na górę posłali tylko jednego człowieka: specjalistę z wielkim srebrnym kanistrem na plecach, trzymającego w ręku urządzenie, które wyglądało jak wielka dmuchawa.

Kiedy dobiegł do wejścia, nie schował się w środku, lecz skierował dyszę urządzenia wprost na płynący szlam.

Zamiast strumienia gorącego powietrza, z wylotu maszyny wydobył się obłok zimnego, ciekłego azotu, który w jednej chwili zamienił gorącą, gęstą ciecz w twardą skorupę, działającą teraz jak tama. Napływający szlam napotykał przeszkodę i spadał z pochylni wprost do wody.

Dzięki temu oddział Judaha mógł się bezpiecznie wspiąć po rampie.

Tymczasem zmordowany West i jego ludzie dotarli do wieży po swojej stronie.

- Nawet jeżeli uda nam się przechwycić ten kawałek kopuły - powiedział Długi - to jak ją stąd wyniesiemy? Jak przechytrzymy Amerykanów? Jeśli tutaj znajduje się największy fragment, będzie to kawał złota o boku jednego metra.

Kubuś Puchatek skrzywił się.

- Ciągłe narzekasz, Izraelczyku. Czasem się zastanawiam, po co w ogóle do nas dołączyłeś.

- Żeby mieć was wszystkich na oku - odparł Długi.

- Jeśli nie będziemy mogli go zabrać, to musimy go przynajmniej zobaczyć. Lily musi przeczytać pozytywne zaklęcie, wyryte w górnej części.

West nie zwracał na nich uwagi.

Przyglądał się z balkonu wieży wartowniczej wielkiemu łukowi fortecy.

Następnie przeniósł wzrok na molo znajdujące się na końcu schodów biegnących w dół od wielkiego łuku. Molo znajdowało się dokładnie pośrodku pomiędzy obiema wieżami wartowniczymi. Stał na nim niewielki pawilon wsparty na czterech marmurowych kolumnach. Różnica wysokości pomiędzy balkonem, na którym stał West, a pawilonem wynosiła około pięćdziesięciu metrów.

- Wielkouchy. Trafisz w ten pawilon?

- Jasne.

Wielkouchy sięgnął po swój karabin, do lufy granatnika włożył specjalny hak, wyceLOWał i wystrzelił.

Hak leciał łukiem wysoko nad wodą, ciągnąc za sobą rozwijającą się linę. Następnie zaczął opadać, aż wreszcie zaczepił o jeden z filarów pawilonu.

Wielkouchy przywiązał swój koniec liny do kolumny w oknie wieży. Lina była teraz napięta i stanowiła świetną zjeżdżalnię.

- Lily - powiedział West. - Od tej chwili idziesz ze mną. Trzymaj się mocno. Zjeżdżamy pierwsi.

Lily wdrapała się na plecy Westa i kurczowo objęła go za szyję. West doczepił do liny coś przypominającego kształtem rączkę i oboje zaczęli się zsuwać. Na tle olbrzymiej fortecy wyglądali jak dwa małe punkciki zawieszony w powietrzu.

Kiedy znaleźli się na molo, West zawołał przez radio:

- Okay, Zoe. Teraz ty.

Już po chwili Zoe zręcznie wylądowała obok Westa i Lily.

- Mistrzu! Teraz... - zaczął West.

Bum!

Wystrzał odbił się głośnym echem od ścian grotty. West obrócił się i zobaczył na balkonie wieży wartowniczej snajpera. Nagle zdał sobie sprawę, że nie znajduje się w zasięgu ochronnego działania warblera.

Dziwne, ale żaden z pocisków nie trafił ani Westa, ani Lily, ani Zoe.

I wtedy West zrozumiał.

Snajper celował nie w nich, ale w...

- Cholera, nie...

Bum!

Kolejny strzał.

Lina pękła w samym środku i wpadła z pluskiem do wody. West, Zoe i Lily zostali sami na molo, odcięci od reszty oddziału.

- Nie mamy wyboru - powiedział ponuro West do Zoe i Lily, a potem przez radio do pozostałych: - Wielkouchy, Puchatek, Długi. Osłaniajcie nas ogniem. Za cztery sekundy będziemy go potrzebowali.

Rzeczywiście, dokładnie cztery sekundy później, jak na zawołanie, z balkonu wieży wartowniczej rozległ się odgłos wystrzałów.

Grad pocisków zasypał pawilon, za którym skryli się West, Zoe i Lily.

Ale w tej samej chwili rozległ się huk wystrzałów z drugiej wieży. To była odpowiedź ludzi Westa.

Między dwoma wieżami trwała wymiana ognia.

Kontratak ludzi Westa przyniósł zamierzony efekt - zmusił snajperów do natychmiastowego przerwania strzelaniny i otworzył Westowi drogę.

- Teraz! - krzyknął do Zoe i Lily.

Na tle potężnej fortecy trzy małe figurki biegły schodami pomostu w górę, ku wielkiemu łukowi wejściowemu.

Gdy rozległy się ponownie strzały, oni już zniknęli w mrocznym wnętrzu opuszczonej kryjówki Hamilkara.

Znaleźli się w wysokiej sali pełnej kolumn. Kolumny biegły rzędami, tak że sala wydawała się szeroka, ale niezbyt głęboka.

Wszystko było tu absolutnie piękne - każda kolumna bogato zdobiona, każdy posąg doskonale wyrzeźbiony. Stylem do złudzenia przypominał architekturę rzymską. Kartagińczycy mieli zdumiewająco podobne poczucie piękna, jak ich rywale. Może właśnie dlatego w trakcie wszystkich trzech wojen punickich byli tak zaciekłymi wrogami.

Dawno nikt tego miejsca nie odwiedzał. Podłogę całej sali pokrywała gruba warstwa szarego pyłu.

Poza tym sala została przebudowana przez egipskich inżynierów.

Na wprost wejścia znajdował się szeroki, wydrążony w ziemi, biegnący w górę tunel. Prowadziła do niego przez środek sali płaska ścieżka, na której bokach, podobnie jak na schodkowym pomoście, znajdowały się wyżłobione rynny.

- Wygląda na to, że z tunelu może wypływać jakaś ciecz, spływać tymi rynnami wzdłuż ścieżki i dalej w dół po pomoście - zauważyła Zoe.

- Nie mamy czasu, żeby tak stać i się przyglądać - powiedział West. - Idziemy.

Przebiegli przez ogromną salę, w cieniu wielkich kolumn i weszli do lekko pochylego tunelu wydrążonego w ścianie naprzeciwko.

Wielkouchy, Długi, Mistrz i Kubuś Puchatek w tym czasie prowadzili regularną bitwę z ludźmi Judaha.

- Strzelajcie! - Mistrz próbował przekrzyczeć harmider. - Im dłużej przytrzymamy tutaj Judaha, tym więcej czasu na działanie będzie miał Myśliwy w...

Urwał w pół słowa, gdyż nieoczekiwanie cała jaskinia zadrżała w posadach.

Ludzie Westa przerwali ostrzał. To samo zrobili ludzie Judaha, opuszczając jednocześnie swoje stanowiska na balkonie wieży.

- Co to było? - Wielkouchy rozglądał się wokół.

- Wyglądało na trzęsienie ziemi - odparł Kubuś Puchatek.

- Nie. To nie było trzęsienie ziemi - powiedział Mistrz.

W następnej chwili u podstawy wieży wartowniczej, na której jeszcze przed chwilą znajdował się oddział Judaha, tuż nad linią wody, pojawiło się źródło tego potężnego dudnienia.

M - 113 - pojazd przeznaczony do wiercenia tuneli. Wojskowy odpowiednik zwykłych tarcz wiertniczych w rzeczywistości był zaadaptowanym do celów górniczych pojazdem M - 113A2 do kładzenia mostów.

Miał wielkość czołgu, a na przedzie obracał się olbrzymi, podobny do śruby, stalowy stożek, niszczący wszystko, co znajdzie się w jego zasięgu. Skruszone skały wędrowały przez środek i były wyrzucane z tyłu. W tylnej części pojazdu znajdował się jeszcze zwijany most.



Maszyna po przebiciu się przez ścianę zatrzymała się dwadzieścia metrów przed molo, na którym wcześniej wylądował West. Tarcza wiertnicza cały czas jeszcze się obracała.

- Przebili się przez stary, zasypyany tunel, którym usuwano na zewnątrz resztki wyrobiska... - jęknął z podziwem Mistrz. - Wspaniała robota. Dla nowoczesnej maszyny wiertniczej to pestka.

- Warto mieć taki sprzęt - powiedział Długi.

- Taki jak oni - dodał Kubuś Puchatek.

W tej samej chwili w pojeździe uruchomiono silniki, które zaczęły rozwijać prowizoryczny most. Stalowy most powoli się rozwijał, aż w końcu jego kraniec sięgnął odległego o dwadzieścia metrów molo.

Tunel wydrążony przez Amerykanów i molo zostały ze sobą połączone.

- Jezu, naprawdę są nieźli... - westchnął Wielkouchy.

Chwilę później ludzie Judaha zbiegli z wieży i z bronią gotową do strzału ruszyli przez most.

Po drodze zdążyli jeszcze oddać kilka strzałów w kierunku Mistrza i jego ludzi.

Wielkouchy i pozostali próbowali zatrzymać ich ogniem z broni maszynowej, ale bez skutku.

Oddział Judaha pokonał most i wspinał się teraz po schodach pomostu.

Byli tylko o minutę za Westem, Zoe i Lily.

West, Zoe i Lily biegli lekko wznoszącym się tunelem za fortecą, oświetlając sobie drogę flarami.

West zwrócił uwagę na spore zwaly zaschniętego, twardego szlamu, który przywarł do brzegów ścieżki. Ten widok go zmroził. Zaschnięty szlam? Skąd on się tu wziął?

- Jack! Zoe! - dało się słyszeć w słuchawce wołanie

Mistrza. - Judah jest na molo! Powtarzam, Judah jest już na molo! Tuż za wami!

Przeszli jeszcze około stu metrów idealnie prostym, lekko wznoszącym się tunelem, aż wreszcie dotarli do wyjścia, za którym znajdowała się komnata z wysokim, kopulastym sklepieniem.

Zamarli.

- Co jest... - jęknęła Zoe. - Dlaczego dwa...

Pomieszczenie było idealnie okrągłe, pachniało siarkowodorem, zupełnie jak we wnętrzu wulkanu. Panowała tu atmosfera świętości, na - bożności. W okrągłych ścianach znajdowały się liczne nisze, a w nich uszkodzone, poprzewracane kartagińskie posągi. W drugim końcu komnaty zbudowano szeroką granitową tamę, za którą wrzało rozległe jezioro wulkanicznego błota. To stąd właśnie rozchodził się po całym pomieszczeniu zapach siarkowodoru. Przed Westem, Zoe i Lily leżało na podłodze sześć szkieletów niemieckich żołnierzy. Wszystkie były okropnie zdeformowane: brakowało dolnej połowy ciała. Ich nogi po prostu zniknęły. Stopiły się.

Gdyby nie okaleczone szkielety, samo pomieszczenie sprawiałoby naprawdę duże wrażenie. Na samym środku, trzy metry nad podłogą, wznosiła się platforma, do której prowadziły w górę szerokie schody. West ku swemu zdumieniu ujrzał nie jeden, lecz dwa starożytne cuda.

Na platformie wznoszącej się niczym wyspa pośrodku rotundy, skierowane w górę jak czasza anteny satelitarnej, stało baśniowe zwierciadło latarni morskiej w Aleksandrii.

Pokrywał je popiół wulkaniczny, ale bez wątplenia prawie pięciometrowej średnicy zwierciadło było autentyczne i nadzwyczaj piękne.

Wzrok Westa spoczął jednak na jego podstawie. Mocnej, trapezoidalnej, także pokrytej warstwą popiołu.

Nieoczekiwanie wszystko nabrało sensu - uporczywe używanie słowa podstawa w tekstach, które go doprowadziły do tego miejsca. Przywołał w pamięci opis miejsca, gdzie miał się znajdować fragment latarni z Faros:

Spójrz na podstawę, która niegdyś była wierzchołkiem Wielkiej Wieży

I Instrukcją Euklidesa:

Podstawa usunięta przed inwazją rzymską,  
Zabrana do zapomnianej kryjówki Hamilkara.

Zwierciadło latarni morskiej samo w sobie było cudem, ale jego gładka, trapezoidalna podstawa przedstawiała dużo większą wartość.

Ta podstawa była siódmym fragmentem złotej kopuły.

Na platformie tuż obok zwierciadła znajdował się jeszcze inny skarb.

Wielka, ośmioboczna marmurowa kolumna, wysoka na dwa i pół metra, o obwodzie dwóch metrów, stała po prawej stronie zwierciadła. Jej górna część została już dawno temu odłupana, ale dół pozostał nietknięty.

Podobnie jak w zwierciadle, jej podstawa miała kształt trapezu.

To była jeszcze jedna część kopuły.

- Ośmioboczna, nieproporcjonalna kolumna... - powiedziała Zoe w zamyśleniu. - Tylko jedna antyczna budowla była znana z nieproporcjonalnych kolumn.

- Mauzoleum w Halikarnasie - dokończył West. - Lily nie przeczytała jeszcze tego fragmentu, ale założę się, że kiedy pokażemy jej tekst Kallimacha, znajdzie fragment mówiący o tym, że część mauzoleum znajduje się w tym samym miejscu co fragment latarni z Faros. Znajdując jedno, znajdujesz jednocześnie drugie. Bingo. Właśnie odnaleźliśmy dwa fragmenty złotej kopuły.

- Musimy coś zrobić! - warknął Kubuś Puchatek.

- Niby co?! - westchnął Długi. - Zwyciężyli. Nasza misja skończona. Ratujmy skórę.

Nadal stali na szczycie wieży i przyglądali się, jak żołnierze Judaha wkraczają do fortecy.

- To do ciebie podobne, Izraelczyku - powiedział Puchatek. - Twoim pierwszym odruchem jest ratowanie siebie. Ja się tak łatwo nie poddam ani nie zdaję się na przyjaciół...

- To co proponujesz, głupi, uparty Arabie?

Kubuś Puchatek zamilkł.

Spoglądał na lewo od fortecy, w kierunku arkadowego akweduktu, który spinał dwa brzegi kanału.

- Pójdziemy tamtędy - odparł z determinacją.

West zbliżył się do platformy. Na górze, prócz dwóch bezcennych skarbów, widać było także siedem leżących w pozycji embrionalnej szkieletów niemieckich żołnierzy. W przeciwieństwie do spotkanych wcześniej, te nie były w żaden sposób zdeformowane. Całe i nienaruszone, nadal w czarnych mundurach esesmanów. Na kościach znajdowały się resztki gnijącego ciała.

West podchodził do prowadzących na platformę schodów z wyjątkową ostrożnością. Miał przeczucie, że każdy ich stopień kryje pułapkę.

Przyjrzał się jednemu ze szkieletów. Dostrzegł okulary w cienkiej drucianej oprawce, naszywkę z czerwoną swastyką i purpurowy pierścień z ametystem na palcu prawej ręki - pierścień oznaczający przynależność do elitarnego grona założycieli partii nazistowskiej.

- Hessler... - szepnął.

To były szczątki Hermanna Hesslera, niemieckiego archeologa, jednego z duetu Hessler - König.

Prawa ręka Hesslera była wyprostowana, jakby sięgała po coś na dole w ostatnim odruchu...

A sięgała zapewne po zniszczony, oprawiony w skórę notatnik, który leżał u podstawy schodów.

West podniósł go i otworzył.

Strony wypełnione były diagramami, tabelami i rysunkami każdego z siedmiu cudów świata. Pomędzy rysunkami widniały notatki zapisane starannym odręcznym pismem Hermanna Hesslera.

Nagle jego uszu dobiegło wołanie.

- Jack! Zoe! - krzyczał Mistrz. - Musicie się ukryć! Za chwilę będzie tam Judah...

West obrócił się dokładnie w chwili, gdy z głębi tunelu nadleciała ze świstem kula, mijając jego głowę dosłownie o centymetry.

- Dziewczyny! Tędy! - Wskazał Zoe i Lily miejsce po lewej stronie od wejścia, podczas gdy sam skrył się po prawej.

W mroku panującym w tunelu zdołał dostrzec nadbiegające ludzkie sylwetki.

Czas podjąć decyzję.

Nie miał szansy dotrzeć do platformy ze zwierciadłem i kolumną z mauzoleum przed przybyciem żołnierzy Judaha. Nie zdoła pokazać Lily inskrypcji.

Gorączkowo poszukiwał wzrokiem drogi ucieczki z pomieszczenia. Za podwyższeniem dostrzegł trochę miejsca, ale stamtąd też nie było żadnej ucieczki - dalej stała szeroka granitowa tama, zatrzymująca bajoro gorącego błota. Zapewne naciśnięcie któregoś z kamiennych stopni powodowało wypłynięcie zdradliwej substancji.

Nagle zrozumiał: wznoszący się tunel z bryłami zaschniętego szlamu na brzegach, ścieżka z rynnami po bokach, dalej schodkowy pomost. Uwolnione błoto powinno opłynąć podwyższenie, na którym stało zwierciadło i kolumna, i popłynąć dalej przez całą fortecę, aż dotrze do wody, zabijając wszystkich po drodze.

Wyjaśniło się, dlaczego szkielety nie miały dolnych partii: ci ludzie zginęli, próbując uciec przed potopem gorącego błota. Hessler znajdował się wówczas zapewne na podwyższeniu. Spotkała go najgorsza śmierć - umarł z głodu, samotnie, w ciemności. Jego współnik König w jakiś sposób zdołał się uratować i przemierzył pustynię, docierając aż do Tobruku.

Pośród licznych nisz z posągami, których pełno było w okrągłej ścianie pomieszczenia, West dostrzegł po obu stronach głównego wejścia dwa mniejsze otwory.

Były to łukowato sklepione tunele, wysokie może na metr. Ich posadzka znajdowała się pół metra nad podłogą głównej sali.

West nie wiedział, jakie miały przeznaczenie, a na dodatek brakowało mu czasu do namysłu.

- Zoe! Ten mały tunel! Zabierz ze sobą Lily!

Zoe pociągnęła za sobą Lily w głąb tunelu po prawej stronie, a West w tym czasie zniknął w czeluściach drugiego. Tunel, długi i prosty, prowadził gdzieś w dół.

- Nie ma wyboru - powiedział na głos.

Kilka sekund później ludzie Judaha wpadli do sali.

W tym czasie cztery postacie przebiegały nadzwyczaj wysoki akwedukt spinający brzegi lewej odnogi jaskini. Prowadził zdeterminowany Kubuś Puchatek. Cała grupa wyglądała jak akrobaci chodzący po linie. Na końcu mostu znajdował się wysoki na metr tunel, w którym zniknęli.

Judah wszedł do sali sklepionej kopułą i od razu dostrzegł zwierciadło i kolumnę.

Uśmiechnął się z satysfakcją.

Szukał wzrokiem Westa, przyglądał się uważnie każdej niszy, szczelinie, wnęcie.

Ani śladu.

- Wiem, że tu jesteś, Jack! O mój Boże! Drugi raz w ciągu dwóch dni! Wygląda na to, że znów ci się nie udało...

Jego ludzie rozbiegli się po sali i z bronią gotową do strzału zaczęli ją przeszukiwać.

West wszedł głębiej do tunelu, modląc się, by ciemności zdołały go osłonić. Wyjął z kabury na udzie pistolet HK i wycelował go w wylot tunelu, kiedy nagle ujrzał sylwetkę żołnierza z karabinem, zagląającego do jego kryjówki.

Palec Westa zadrżał na języku spustowym - jeśli strzeli, na chwilę się uratuje, zdradzi jednak swoje położenie...

Żołnierz zaglądał w głąb tunelu, starając się przebić wzrokiem ciemności. Wreszcie sięgnął po przytroczony do pasa noktowizor.

W tym czasie Judah prześwietlał platformę przenośnym aparatem rentgenowskim.

Schody prowadzące na górę faktycznie okazały się jedną wielką pułapką. Kopulaste sklepienie natomiast to była lita skała diorytowa - nie dałoby się w nią wbić haków.

Wszystko stało się jasne, mieli do czynienia z typową sztuczką Imhotepa VI: aby dostać się na platformę, trzeba było uruchomić mechanizm pułapki.

A to znaczyło, że należało się spieszyć.

- Panowie, oto pułapka Imhotepa Szóstego typu czwartego. Będziemy mieli mało czasu. Przygotujcie wózki. Osiem osób zabierze fragment kopuły ze zwierciadła, a cztery fragment z kolumny.

- Chce pan, żebyśmy zabrali samo zwierciadło i kolumnę? - zapytał porucznik.

- Pieprzę zwierciadło i kolumnę. Chcę tylko kopułę - warknął Judah.

Żołnierze zajęli pozycje. Przyprawdzili dwa sześciokołowe wózki do przetransportowania ciężkich złotych brył.

- Okay, zaczynamy - powiedział Judah i postawił nogę na pierwszym stopniu schodów, uruchamiając mechanizm śmiertelnej pułapki.

W tej chwili wydarzyło się kilka rzeczy. Żołnierz, który zaglądał do kryjówki Westa, nałożył noktowizor i natychmiast dostrzegł Westa skulonego w tunelu jak zaszczute zwierzę.

Żołnierz sięgnął po broń i...

West strzelił.

Człowiek Judaha padł martwy, trafiony kulą prosto między oczy.

Jego trzech kolegów, zobaczywszy, co się dzieje, rzuciło się niezwłocznie w kierunku tunelu z bronią gotową do strzału.

Ale w chwili gdy żołnierz padał martwy, Judah stanął na schodach, uruchamiając mechanizm, i nie zauważył całego zajścia.

Wielka tama z granitu, znajdująca się na końcu sali, zaczęła się obniżać, uwalniając masy wrzącego wulkanicznego błota.

Z głośnym chlupotem cuchnąca maź przelała się przez tamę i zaczęła rozplýwać po posadzce okrągłego pomieszczenia. Ludzie Judaha podbiegli do platformy na środku sali i zaczęli spychać zwierciadło i kolumnę z podstaw. Rozszerzająca się kałuża rozdzieliła się teraz na dwa grube jęzory, które zaczęły z obu stron otaczać platformę.

Przetarcie dłonią podstaw wystarczyło, by spod warstwy popiołu wyłoniła się gładka, błyszcząca, złota powierzchnia.

Oba zespoły chwyciły podstawy. Jęzory błota otoczyły już w dwóch trzecich platformę i posuwały się coraz szybciej, gotowe zniszczyć wszystko, co napotkają po drodze.

Żołnierze pozostawili na platformie leżące teraz na boku zwierciadło z Faros i kolumnę z mauzoleum w Halikarnasie, szybko zeszli z platformy i podbiegli do wyjścia, akurat w chwili gdy jęzory błota połączyły się, otaczając wyspę pośrodku sali i czyniąc ją niedostępną. Ale to nie koniec. Gorące błoto napływało w coraz większych ilościach i już zaczęło wydostawać się na zewnątrz. Ośmioosobowa grupa ułożyła podstawę na jednym z sześciokołowych wózków. Zdążyli jeszcze zauważyć, że w przeciwieństwie do innych fragmentów kopuły na tym wyryto na spodzie zarys ludzkiej sylwetki. Zaciekało ich to, lecz nie mieli czasu na dalsze rozważania.

Drugi zespół położył swoją podstawę na wózku i, prowadzony przez Judaha, ruszył z powrotem przez tunel.

Trzej żołnierze, którzy widzieli, jak pada na ziemię ich kolega, dobiegli do wylotu tunelu i nawet nie zauważyli, że struga płynącego gorącego błota odcięła im drogę odwrotu.

Zajrzeli do tunelu, zobaczyli skulonego Westa i...

...padli pod gradem kul wystrzelonych skądś za ich plecami. Wszyscy skonali w konwulsjach, podziurawieni jak sito przez serie z broni maszynowej.

W wylocie drugiego tunelu, po lewej stronie od głównego wejścia, stał Kubuś Puchatek i Wielkouchy, jeden trzymał w rękach steyra - AUG, drugi - MP - 7.

Mając do dyspozycji tylko niedokończony szkic fortecy wykonany przez Mistrza, doszli do słusznego wniosku, że tunel, do którego weszli po pokonaniu akweduktu, zaprowadzi ich do tego samego miejsca, co tunel prowadzący od głównego wejścia do fortecy.

West podszedł do wyjścia z tunelu, wyrzwał i ujrzał swoich wybawców po drugiej stronie wypełnionej teraz błotem wulkanicznym sali. Razem z nimi była Zoe i Lily - obie całe i zdrowe.

Chciał wykrzyczeć słowa podziękowania, ale ujrzał, jak fala lawy zaczyna wdzierać się do tunelu, w którym jeszcze przed chwilą się ukrywał, i dosłownie połyka ciała czterech martwych żołnierzy.

Wrzące błoto zmieszane z lawą przelało się przez ich ciała, stopiło je i wchłonęło.

To samo działo się po drugiej stronie - pełzająca masa lawy wlała się do wylotu drugiego tunelu i skierowała teraz w stronę głównego wyjścia.

West był odcięty nie tylko od swoich przyjaciół, ale także od głównego wejścia. A poziom błota wciąż rósł. Jeszcze chwila i gorąca maź wleje się do tuneli prowadzących do akweduktów.

Puchatek chyba też dostrzegł zagrożenie.

- Puchatek! Uciekajcie stąd! - krzyknął West.

- A co z tobą?!

West wskazał głową swój tunel.

- Nie mam wyboru. Muszę iść tędy!

- Jack! - zawołał Mistrz.

- Co?!

- Judah za pomocą samobieżnej tarczy przewiercił się przez stary tunel, którym wywożono urobek. Na pewno będą próbowali przetransportować kopułę tą samą drogą! Sprawdź na swoim szkicu! Może jeszcze uda ci się zerknąć na inskrypcje! Nie wszystko stracone!

- Zrobię, co w mojej mocy! - West wskazał na powiększające się bajoro lawy. - Uciekajcie! Wezwijcie Sky Monstera i wskakujcie do samolotu! Jakoś sobie poradzę!

Oddział Westa podzielił się i zniknął w dwóch tunelach znajdujących się po przeciwnych stronach komnaty, której idealnie okrągłą posadzkę pokrywało teraz jezioro czarnej, cuchnącej mazi. Jezioro, które otaczało stojącą pośrodku platformę z dwiema porzuconymi pozostałościami po dwóch cudach starożytnego świata.



West pędził wzdłuż ciasnego, długiego tunelu.

Z kolei Judah i jego żołnierze z dwoma fragmentami kopuły, umieszczonymi na sześciokołowych wózkach, przeciskali się przez tunel - pochylnię w kierunku wyjścia. Pokonali główną salę z kolumnadą i zbiegli po pomoście.

W tym czasie Kubuś Puchatek, Wielkouchy, Długi, Mistrz, Zoe i Lily podążali ciasnym, wąskim przejściem.

Wszystkie trzy grupy miały odpowiednią motywację - sala w kształcie rotundy, którą pozostawili za sobą, wypełniła się gorącym błotem do tego stopnia, że zaczęło się ono wdzierać do tunelów, którymi biegli.

Trzy przybierające jezory błota i lawy z hukiem wpadały do trzech tuneli.

Ponieważ tunele prowadzące do akweduktów były węższe, lawa płynęła nimi szybciej.

Nie przerywając biegu, West obejrzał się i zobaczył wrzącą ciecz tuż za sobą. Płynęła niepowstrzymanie, jakby obdarzona własną wolą, wolą zniszczenia wszystkiego, co napotka na swojej drodze.

Nieoczekiwanie West wypadł na otwartą przestrzeń - to był akwedukt spinający prawą odnogę rozpadliny.

Most był bardzo wysoki, miał co najmniej sześćdziesiąt metrów, długi i tak wąski, że tylko jedna osoba mogła się na nim zmieścić. Nic dziwnego, nie był przeznaczony dla ludzi. Nie był nawet płaski, stanowił rodzaj półmetrowej głębokości kanału, którym błoto mogło swobodnie płynąć.

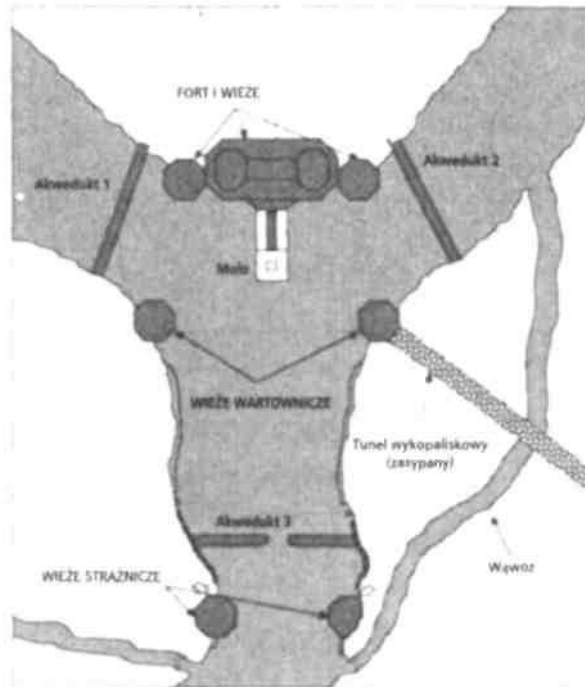
- Jezu... - westchnął.

Kiedy zdecydował się postawić krok na moście, zobaczył, że ludzie Judaha pojawili się właśnie daleko w dole, na molo. Pchali przed sobą dwa sześciokołowe wózki. Za przerzuconym prowizorycznym mostem pojazd, który wcześniej wywiercił tunel, czekał teraz na załadunek. Wszystko wskazywało na to, że Judah zamierza użyć pojazdu do wywiezienia cennego znaleziska.

West przypomniał sobie ostatnie wskazówki przekazane przez Mistrza.

- Spójrz na szkic - powiedział do siebie.

Obejrzał się, sprawdził, jak daleko znajduje się lawa, po czym wyjął kartkę ze szkicem.



- Okay, jestem tutaj - powiedział, kiedy zobaczył na rysunku akwedukt oznaczony napisem „Akwedukt 2”.

Max miał rację. Ten akwedukt łączył się z tunelem, który chwilę temu maszyna Judaha ponownie wywierciła i który miał stanowić drogę ucieczki Amerykanów.

West spojrzał w górę.

Jeśli się pospieszy, ma szansę...

Rzucił się pędem przez most. W tym samym czasie ludzie Judaha już ładowali dwie złote trapezoidalne bryły do czekającego pojazdu.

Po przeciwnej stronie Kubaś Puchatek wy dostał się z tunelu, stanął na moście i...

Zobaczył, że akwedukt został trafiony przez pocisk w samym środku.

Jeden z ludzi Judaha czekał tu na nich, obserwując most przez celownik granatnika. We właściwym momencie nacisnął spust. Nastąpiła potężna eksplozja, która wyrzuciła we wszystkich kierunkach cegły i odłamki skał. Kiedy opadł pył, okazało się, że akwedukt składa się teraz z dwóch niezależnych części, a pośrodku widnieje wyrwa.

Kubaś Puchatek obrócił się i spostrzegł, że struga lawy podążająca za nim tunelem nieubłaganie się zbliża.

Nie mieli dokąd uciekać, most już nie istniał!

- Horror - westchnął.

Westowi, ściganemu wciąż przez płynącą lawę, udało się niepostrzeżenie przebiec przez most.

Dotarł do wylotu niewielkiego tunelu i błyskawicznie w nim zniknął. W tym samym czasie ludzie Judaha skończyli ładować części złotej kopuły na pojazd z tarczą wiertniczą.

- Załoga! W szeregu zbiórka! Wychodzimy! - zawołał Judah.

Pojazd wyglądał jak czołg, miał wielkie gąsienice i opancerzony kadłub. W ładowni zwykle siedzieli przewożeni żołnierze, ale kiedy wykorzystywano pojazd do drażenia tuneli, przez ładownię przechodziły odłamki kruszonych skał, które wylatywały z tyłu.

Teraz, kiedy tunel został już wywiercony, ładownia posłużyła do transportu dwóch fragmentów złotej kopuły. Obok usiadło czterech żołnierzy, którzy mieli strzec skarbu.

Pozostali członkowie oddziału CIEF wskoczyli do czterech lekkich wozów bojowych, stanowiących eskortę samobieżnej tarczy wiertniczej.

Cal Kallis wraz ze swoimi ludźmi zaniechał pościgu, przeszedł przez uszkodzony akwedukt na drugą stronę rozpadliny i dołączył do oddziału Judaha.

- Kallis! - rzekł Judah, wskazując na grupę Kubusia Puchatka uwięzioną na częściowo zniszczonym moście. - Ludzie Westa nie mogą stąd wyjść żywi. Niech snajperzy się nimi zajmą. Dołączcie do nas, kiedy będzie po wszystkim.

Judah odwrócił się i wskoczył do wozu.

Uruchomiono silniki w pojazdach i cała kolumna ruszyła w stronę tunelu - na przodzie dwa lekkie wozy bojowe, w środku samobieżna tarcza wiertnicza i na końcu znowu dwa wozy bojowe.

U wylotu tunelu pozostał tylko Cal Kallis ze swoimi ludźmi i patrzył teraz w stronę bezradnego Puchatka.

Kubuś Puchatek obejrzał się. Strumień błota był już niedaleko, tylko dziesięć metrów od nich, i szybko się zbliżał.

Akweduktem nie dało się już uciec. Ale za to jedna ze spiczastych wież fortecy znajdowała się w odległości dwudziestu metrów od nich. Prowadziła do niej wąska na trzy centymetry półka skalna.

- Tędy! - wydał polecenie.

Stawiając tylko palce stóp na ścieżce, po kolei weszli na nią Mistrz, Zoe, Lily i Długi. Kiedy Kubuś Puchatek ostatni opuścił most, strumień lawy dotarł do miejsca, gdzie przed chwilą stali, popłynął dalej i wspaniałą kaskadą zaczął spadać z wysokości sześćdziesięciu metrów do wody.

Chwilę później podobny, nawet większy strumień z hukiem wypłynął przez główne wejście do fortecy; szybko przetoczył się po pomoście, dotarł do moła i skończył swój bieg w wodzie, z sykiem wzbijając w powietrze obłok pary.

Gejzer pary wodnej znalazł się dokładnie pomiędzy Puchatkiem a ludźmi Kallisa, co dało ekipie Westa kilka bezcennych sekund, w czasie których mogli bezpiecznie się poruszać.

Kiedy obłok się rozproszył, snajperzy Kallisa otworzyli ogień.

West biegł w ciemnościach. Samotnie.

Drogę oświetlała mu tylko jedna latarka.

Tunel był wąski i niski, Jack musiał się mocno pochylić.

Po przebiegnięciu około stu metrów usłyszał gdzieś nad sobą odgłos silnika i nagle tunel się rozszerzył. Był teraz na tyle duży, że mógł nim przejechać czołg. Pośrodku, w równych odstępach leżały sterty ziemi, pozostawione przez maszynę wiertniczą. Tunel rozjaśniały dziesiątki przygasających już flar, które pozostawili Amerykanie, żeby oświetlić sobie drogę odwrotu.

A więc znalazł się we właściwym tunelu.

Odgłos silników dochodził z prawej strony, zza lekkiego wzniesienia. West rozpoznał dźwięk silników samochodowych i głęboki, niski ryk diesla samobieżnej tarczy wiertniczej.

Hałas narastał. Zbliżał się Judah i jego ludzie.

West odrzucił latarkę i padł na ziemię.

Położył się na środku tunelu, w zacienionym miejscu, przywarł do jednej ze stert ziemi, prawie się w nią wkopując.

Na szczycie wzniesienia rozbłysły światła reflektorów.

Dwa pierwsze pojazdy minęły Westa, prawie ocierając się o stertę ziemi, za którą się ukrył.

Tymczasem potężny pojazd wiertniczy sunął wprost na niego. Kiedy West znalazł się pod maszyną, użył kolby MP - 7 jako haka, zaczepiając ją o rurę biegnącą pod podwoziem. Pojazd pociągnął go za sobą.

Musiał działać błyskawicznie.

Obliczył, że za trzydzieści sekund dotrą do wąskiego wąwozu przecinającego tunel. Tym wąwozem musiał uciekać. W obliczu przeważającej liczby przeciwników nie mógł nawet marzyć o tym, by ich pokonać i zabrać części kopuły. Był sam, nie zdołałby nawet podźwignąć złota.

Zresztą wcale nie zamierzał tego robić, wystarczyło, by je obejrzał i zrobił kilka zdjęć inskrypcji na dolnej części kopuły.

West pełzył do przodu, trzymając się oburącz podwozia pojazdu. Kiedy dotarł na przód, wspiał się i rozpoczął swoją osobistą, jednoosobową bitwę z oddziałem CIEF.

Judah siedział na fotelu pasażera w jednym z samochodów zamykających konwój i bacznie obserwował jadący przed nim pojazd wiertniczy.

Nie dostrzegł, że West zawisł pod podwoziem, nie dostrzegł także, kiedy wspiał się na przedni zderzak. Nie zauważył ani nie usłyszał, jak West strzelił kierowcy pojazdu prosto między oczy i zajął jego miejsce.

Jedyne, co Judah zobaczył, to kilka nagłych rozbłysków w kabinie pojazdu i to, że po chwili ogromna maszyna zjechała na lewą stronę, trąc bokiem o ścianę tunelu.

W wyniku tarcia pojazd znacznie zwolnił. Znowu wewnątrz pojawiły się rozbłyski, tyle że nie przypominały teraz błysku wystrzału, a raczej światła lampy błyskowej.

Następnie maszyna powróciła na środek drogi i przetoczyła się przez solidny starożytny most, spinający brzegi szerokiego na dziesięć metrów wąwozu. Z mostu do powierzchni wody wypełniającej wąwóz było około dwóch i pół metra.

Judah nie był pewien, ale mógłby się założyć, że kiedy pojazd przejeżdżał po moście, dostrzegł jakąś postać wyskakującą z maszyny i skaczącą do wody.

Tak czy inaczej za mostem pojazd znów zjechał na lewo, otarł się o ścianę tunelu, zwolnił i wreszcie zatrzymał się po pokonaniu dalszych osiemdziesięciu metrów.

Natychmiast podjechały samochody eskorty, wyskoczyli z nich żołnierze z bronią gotową do strzału. W środku znaleźli oba fragmenty złotej kopuły, całe i nietknięte. Kierowca i czterech żołnierzy obstawy nie żyli. Całą kabinę pokrywała krew.

Judah tylko patrzył na zwłoki leżące w samochodzie, dzieło Jacka Westa.

- West, West, West... - powtórzył cicho. - Zawsze byłeś dobry. Mój najlepszy uczeń.

Wydał rozkazy, przegrupował ludzi i konwój ruszył dalej tunelem.

Pociski wystrzeliwane przez snajperów uderzały w pionową skalną ścianę naokoło Kubusia Puchatka i reszty załogi, kiedy ostrożnie, stąpając na palcach po skalnej półce, posuwali się naprzód.

Warbler w plecaku Wielkouchego działał bez zarzutu, kule się ich nie imały. I tak, jeden po drugim, dotarli wreszcie do spiczastej wieży fortecy.

W dole struga lawy cały czas wylewała się głównym wejściem. Od szczytu wieży, na której teraz stali, do ciemnego sklepienia jaskini było może sześć metrów.

W pewnej chwili ludzie Kallisa wstrzymali ogień.

Kubuś Puchatek wymienił z Mistrzem zaniepokojone spojrzenie.

Zmiana taktyki.

Brutalna zmiana taktyki.

Zniechęceni działaniem pola elektromagnetycznego, wytwarzanego przez warbler, Kallis i jego snajperzy postanowili użyć granatników.

Przypominało to pokaz sztucznych ogni: długie pasmo dymu ciągnęło się od wylotu tunelu i rozpląywało w powietrzu nad starożytną cytadelą.

- O, Boże! - jęknął Mistrz. - Warbler nie poradzi sobie z granatnikiem! Granat jest zbyt ciężki, by uległ zmianie tor jego lotu! Zróbcie coś...

Długi znalazł rozwiązanie.

Błyskawicznie zdjął z pleców karabin snajperski, przeładował, wymierzył i strzelił w kierunku nadlatującego granatu.

Pocisk trafił w lecący granat jakieś dziesięć metrów od wieży. Pojawił się oślepiający blask i potężny huk.

To był niewiarygodny strzał, oddany pod wpływem stresu, a mimo to celny. Długi trafił w lecący z ogromną prędkością pocisk.

Nawet Kubuś Puchatek był pod wrażeniem.

- Niezły strzał, Izraelczyku. Potrafisz to powtórzyć?

- Tylko wtedy, gdy wymyślisz jakiś sposób wydostania nas stąd, Arabie - odparł Długi, obserwując kolejny lecący w ich kierunku granat.

Kubuś Puchatek ocenił ich pozycję. Akwedukt został zniszczony, nie można było po nim przejść. Główne wejście zalały lawa i błoto. Nic z tego. A jaskinię, pełną pułapek i wirów wodnych, kontrolował oddział Kallisa.

- Jesteśmy w zasadzce - westchnął.

- Nie ma stąd innego wyjścia? - zapytał Wielkouchy.

- To miejsce zasypano już wieki temu - powiedział Mistrz.

- A może spróbujemy górą? - podsunął jakiś cienki głosik.

Wszyscy się obejrzel.

To była Lily.

Wzruszyła ramionami i wskazała na znajdujące się nad nimi granitowe sklepienie.

- Nie możemy wyjść tędy? Przecież Puchatek ma materiały wybuchowe.

Kubuś Puchatek uśmiechnął się.

- Młoda damo, podoba mi się twój tok myślenia.

Minutę później, kiedy Długi walczył z nadlatującymi granatami, Kubuś wystrzelił w kierunku sklepienia nad ich głowami hak. To był specjalny hak

używany przy wspinaczce, zdolny wbić się w najtwardszą skałę. Zamiast liny Puchatek doczepił do niego kostkę semteksu. Hak wbił się głęboko w skałę.

Raz, dwa, trzy...

Eksplozja. Kula ognia. Obłok dymu.

Jeden z granitowych głazów, które tworzyły sztuczne sklepienie, wielki jak sekwoja, pękł na pół i z głośnym pluskiem wpadł do wody.

Z powstałego właśnie prostokątnego otwory spadły kaskady piasku, a potem oślepiający słoneczny blask oświetlił wieżę, na której stali, i całą jaskinię.

Zarówno Kubuś Puchatek, jak i pozostali zupełnie stracili poczucie czasu, nie zdawali sobie sprawy, jak długo pozostają w ciemnej grocie. A właśnie minęło południe.

Ludzie Kallisa cały czas ostrzeliwali wieżę z granatników. Długi zaś jeden po drugim, unieszkodliwiał pociski.

Kiedy semteks zrobił swoje i w sklepieniu powstał spory otwór, Puchatek wystrzelił kolejny hak, tyle że tym razem zakończony liną.

Wystrzelony hak przeleciał przez otwór w sklepieniu, zniknął w blasku dziennego światła i na zewnątrz mocno o coś zaczepił.

- Na górę! - krzyknął Kubuś Puchatek. - Wielkouchy, ty pierwszy. Długi, idziesz ostatni.

- Jak zawsze... - mruknął Długi.

- Mistrzu, wezwij Halikarnasa. Wyślij sygnał, że ma nas zgarnąć.

- A co z Myśliwym? - zapytała Lily.

- Dołączę do was później - dało się słyszeć w słuchawkach.

To był głos Westa.

- Zrobiłem zdjęcia - ciągnął. - Nie mogę dotrzeć do was, do fortecy. Poszukam innego wyjścia. Odezwę się później.

Wspinali się po linie w górę, w stronę oślepiającego światła dnia, osłaniany cały czas przez Długiego.

Wreszcie przyszła kolej na Długiego. Dopadł liny, uwiesił się na niej i zaczął wspinaczkę.

W tej samej chwili pocisk z granatnika uderzył z wielkim hukiem w wieżę, na której przed chwilą stali, i zniszczył ją, rozrzucając naokoło odłamki połamanych skał i wielkich głazów. Cała kaskada kamieni poszybowała przez jaskinię i w końcu wpadła z pluskiem do wody.

Kiedy opadł obłok pyłu, ukazała się wieża, pozbawiona teraz swojej iglicy, z osmaloną i częściowo zburzoną górną częścią. Balkon spiralnie ją otaczający przestał istnieć.

Pozostał tylko prostokątny otwór w suficie, przez który sączyło się światło słońca.

Kubuś Puchatek i jego ekipa zdołali uciec.

Halikarnas miał ich zabrać z pustynnego płaskowyżu za dziesięć minut.

Tymczasem nie było żadnej wiadomości od Westa.

Kiedy Halikarnas przeleciał nad głowami sił amerykańskich zgromadzonych wokół krateru trzy kilometry na zachód od ukrytej fortecy, urwał się kontakt z Westem.

Przez resztę dnia Jack West nie dawał znaku życia.

O drugiej pięćdziesiąt pięć nad ranem West w końcu wysłał sygnał. Kiedy sprawdzili jego pozycję, okazało się, że jest sto kilometrów na północ od kryjówki Hamilkara, gdzieś pośrodku Morza Śródziemnego.

Była to mała włoska, typowo turystyczna wysepka z dogodnie położonym lądowiskiem dla samolotów.

Obsługa lotniska długo jeszcze będzie wspominać noc, kiedy pomalowany na czarno jumbo jet niezapowiedzianie dotknął pasa startowego, perfekcyjnie wykonując procedurę skróconego lądowania.

Nikt nie wiedział, co to za samolot i dlaczego wylądował właśnie na tej wyspie.

Dwa dni później ekspedycja nurków znalazła leżący na dnie, na skalistej rafie, przy południowym brzegu wyspy, sześćdziesięcioletni hitlerowski okręt podwodny, którego wcześniej z pewnością tu nie było.

Na kiosku jednostki widniał wielki napis: U - 342.

Od tej chwili okręt stał się ulubionym celem wypraw wszystkich turystów uprawiających nurkowanie.



Zasepiony West wszedł do głównej kabiny Halikarnasa i nie zatrzymując się ani nie odzywając do nikogo, nawet do Lily, chwycił Mistrza za ramię, i zaciągnął go do pomieszczenia w ogonie samolotu. Wydusił z siebie tylko krótkie, urywane polecenia:

- Ty i ja. Do biura. Natychmiast.

West zatrzasnął drzwi i obrócił się.

- Mistrzu. Mamy w zespole kreta.

- Co?

- Przechytrz mnie raz, wstydz się. Przechytrz drugi raz, to ja powinienem się wstydzić - powiedział West. - Już po raz drugi Judah ze swoimi Amerykanami po kilku godzinach znajduje się tam, gdzie my. Wydarzenia w Sudanie niczego nie przesądzały, mogli wysledzić Europejczyków. Ale w Tunezji to co innego. Po pierwsze, Europejczycy nie dotarli do Tunezji. Po drugie, nawet gdyby Judah miał kopię tekstu Kallimacha, nie potrafiliby znaleźć kryjówki Hamilkara. Do tego potrzebował Instrukcji Euklidesa, a tylko my mieliśmy ich jedyną kopię. Zatem śledzili nas. Ktoś z naszej ekipy ich tam doprowadził. Wysłał jakiś sygnał albo w inny sposób dał znać Judahowi.

Mistrz się zasepił. Zaboląła go myśl, że w ich gronie mógł znajdować się zdrajca. Do tej pory miał wrażenie, że stanowią coś w rodzaju rodziny.

- Jack, pracowaliśmy razem przez dziesięć lat. Jak ktokolwiek z nich mógłby narażać naszą misję?

- Długi nie był z nami tak długo, dołączył trzy lata temu. Nie był częścią pierwotnego zespołu. Pamiętasz, jak się do nas wkręcił. Poza tym reprezentuje Izrael, a nie koalicję państw.

- Ale został członkiem zespołu. Wiem, że pomiędzy nim i Puchatkiem pojawiają się tarcia na tle narodowościowym, ale i tak z powodzeniem wtopił się w nasze towarzystwo.

- Ale mogę się założyć, że wysyła raporty do Mossadu - powiedział West.

- Pewnie masz rację.

- Kubuś Puchatek? - analizował dalej West. - Świat arabski został pięćset lat za Zachodem. Chętnie położyliby łapę na kopule, a ojcu Kubusia, szejkowi, bardzo zależało, żeby Zjednoczone Emiraty Arabskie wzięły udział w tej misji.

- Daj spokój, Jack. Kubuś Puchatek skoczyłby pod pędzący autobus, żeby ratować Lily. Wymyśl coś innego.

- Wielkouchy trenował z Judahem w Coronado w Stanach kilka miesięcy przed rozpoczęciem naszej misji.

- Pociąg towarowy - powiedział Mistrz.

- To znaczy?

- Jeśli Puchatek jest gotów rzucić się pod autobus dla ratowania Lily, to Wielkouchy rzuciłby się pod pociąg towarowy. Poza tym, jeśli sobie dobrze przypominam, ty też brałeś udział w ćwiczeniach w bazie Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych w Coronado, organizowanych i prowadzonych przez

CIEF i Judaha. Że nie wspomnę o twojej tajemniczej misji w czasie Pustynnej Burzy.

West opadł na fotel i zamyślił się.

Podczas takich wielonarodowych misji jak ta zawsze należało się zastanowić nad motywacją poszczególnych jej członków. Trudno było określić, czy każdemu z nich leży na sercu dobro całej misji, czy tylko własne.

- Max. Nie o to nam chodzi. Znaleźliśmy się między młotem a kowadłem. Wleźliśmy w paradę dwóm supermocarstwom, nic dziwnego, że dostajemy po dupie. To jest jak balansowanie na linie nad przepaścią. Wziął głęboki oddech.

- Nie mogę uwierzyć, że jestem zmuszony kontrolować własny zespół. Max, uruchom przekaźnik mikrofalowy w samolocie. Chcę wiedzieć o każdym przychodzącym i wychodzącym sygnale. Jeżeli ktoś komunikuje się ze światem zewnętrznym, chcę o tym wiedzieć. Musimy zlikwidować przeciek. Możesz to zrobić?

- Jasne.

- Niech to na razie zostanie między nami. Musimy wszystkich bacznie obserwować.

Mistrz kiwnął głową.

- Jest jeszcze jedna sprawa. West potarł czoło.

- To znaczy?

- Kiedy uciekałeś z Tunezji tym okrętem podwodnym, poprosiłem Lily, żeby przeczytała dalszy ciąg tekstu Kallimacha. To dziwne, ale stwierdziła, że język tekstu staje się coraz trudniejszy. A przecież Lily robi postępy: fragmenty, których jeszcze wczoraj nie potrafiła przeczytać, dzisiaj już rozumie. Sprawia to wrażenie, jakby język, którym został napisany tekst, zmuszał nas do poszukiwań w odpowiedniej kolejności.

- Aha. I...?

- Przeczytała następne trzy akapity. Pierwszy z nich dotyczył mauzoleum i mówił: „Leżę razem z Faros”. Następne dwa wspominały o posagu Zeusa w Olimpii i świątyni Artemidy w Efezie.

Opierając się na tym, co zdołaliśmy już przeczytać i przetłumaczyć, dochodzimy do ciekawych wniosków: tekst prowadzi nas od najmłodszego wiekiem cudu do najstarszego. Pierwszy był kolos z Rodos, zbudowany najpóźniej, potem latarnia z Faros, potem mauzoleum w Halikarnasie. Następne dwa - posąg Zeusa i świątynia Artemidy, są starsze od poprzednich.

West pokiwał głową.

- I mówisz, że Lily przeczytała już fragmenty na ich temat?

- Tak. Ale czytając, napotkała bardzo poważne problemy.

Mistrz opisał Westowi całą sytuację.

Kiedy skończył opowiadać, West usiadł w fotelu, spochmurniał i głęboko się zamyślił.

- Cholera... - zaklął w końcu. - Zbierz wszystkich w głównej kabinie. Musimy podjąć jakąś decyzję.

Cały zespół zgromadził się w głównej kabinie Halikarnasa.

Zasiedli w szerokim kręgu, jedni na kanapie, inni na konsolach, znajdujących się pod ścianami i przypominających ławki. Nawet Sky Monster włączył na chwilę autopilota i dołączył do reszty.

Rozpoczął West.

- Oto wyniki naszej rozgrywki: przegrywamy zero do dwóch. W trakcie dwóch misji znaleźliśmy trzy fragmenty złotej kopuły, ale żadnego nie udało nam się zatrzymać dla siebie.

- Nie wszystko jeszcze stracone. Możemy nie mieć żadnego kawałka, ale póki wiemy, gdzie one się znajdują i poznamy dobre zaklęcie, które zostało na nich wyryte, wciąż mamy szansę, choć, przyznaję, niewielkie.

- Bardzo niewielkie - wtrącił Długi.

West rzucił Dłугоmu lodowate spojrzenie. Ten zreflektował się szybko i powiedział:

- Przepraszam. Mów dalej.

- Do tej pory tekst Kallimacha był doskonałym przewodnikiem. Doprowadził nas z łatwością do kolosa, latarni i mauzoleum. Ale teraz - ciągnął z poważną miną West - Lily zdołała odczytać kolejne dwa akapity i tu napotkaliśmy problem.

Wcisnął wyłącznik i na opuszczonym z sufitu ekranie pojawił się tekst przetłumaczony przez Lily.

Posąg rogatego Zeusa,  
Syna Kronosa, fałszywego bożka.  
Jego pomnik był tak wielki, jak iluzoryczna była jego władza.  
Nie ciskał piorunami, nie był gniewny,  
Nie był zwycięzcą.  
Wielkim czyniła go Wiktoria, trzymana w prawej dłoni.  
Uskrzydłona kobieto, dokąd odleciałaś?

Świątynia Myśliwej,  
W niebiańskim Efezie.  
Siostry Apolla, woźnicy rydwanu Re,  
Nigdy nie pozbyła się swojej Części,  
Nawet gdy jej świątynia spłonęła w dzień narodzin Aleksandra.  
Dzięki wysiłkom naszych dzielnych braci,  
Nie opuściła włości naszego zakonu.  
Czczona co dnia w największej z naszych świątyń.

Zoe w mgnieniu oka dostrzegła problem.

- Tu nie ma żadnej wskazówki - powiedziała skonsternowana.

- Nie ma nic, co by nam pomogło - dodał Kędzierzawy.

- Nawet więcej - wtrącił się Długi. - Autorzy pierwszego wersu nawet nie wiedzą, co stało się z posągiem Zeusa. To ślepy zaułek.

- Zawsze widzisz wszystko w czarnych barwach, Izraelczyku, co? - Kubuś Puchatek się skrzywił. - Po tym wszystkim, czego dokonali, nadal nie masz zaufania do Mistrza i Myśliwego?

- Wierzę tylko w to, co osiągalne - odparował Długi.

- Panowie, proszę - przeciął dyskusję Mistrz i zwrócił się do Długiego: - To nie jest ślepy zaułek, Benjaminie. Zamknięty, ale nie ślepy. Fragment o Zeusie jest faktycznie zaskakujący, gdyż nie daje żadnych wskazówek dotyczących lokalizacji kopuły. Ale fragment o świątyni Artemidy - boskiej łowczyni, i według greckiej mitologii siostry Apolla, dość jasno określa miejsce ukrycia skarbu.

Napisano tu, że dzięki wielusetletnim wysiłkom kapłanów fragment kopuły powiązany z Artemidą nigdy nie opuścił miejsca kultu Amona - Re. Podaje nawet dokładną lokalizację - największa świątynia Amona - Re. Niestety, oznacza to, że ta część kopuły powinna być teraz w rękach Europejczyków.

- Co masz na myśli? - zapytał Sky Monster. - Nie sądziłem, że kult Amona - Re jest wciąż żywy. Byłem pewien, że to nieistniejąca już religia. O co tu chodzi i gdzie jest ta największa świątynia?

- Mój drogi - odparł Mistrz - kult Amona - Re jest wciąż żywy i ma się dobrze. To najbardziej dziś rozpowszechniona religia świata.

- Religia? - zapytał Wielkouchy. - Jaka religia?

Mistrz odpowiedział najkrócej jak się dało:

- Kult Amona - Re, moi drodzy przyjaciele, to religia rzymskokatolicka.

- Chcesz powiedzieć, że Kościół katolicki, którego jestem wyznawcą od urodzenia, jest krzewicielem kultu słońca? - zapytał z niedowierzaniem Wielkouchy.

Prawdziwy Irlandczyk, a zatem prawdziwy katolik, odwrócił się i spojrzał prosto w oczy Westowi, który tylko przytakująco skinął głową, tak jakby była to najoczywistsza rzecz w świecie.

- Dajcie spokój - powiedział Wielkouchy. - Ja też czytałem Kod Leonarda da Vinci. Fajna książka, opisuje historię wielkiej tajemnicy, ale to coś zupełnie innego.

Mistrz wzruszył ramionami.

- Chociaż zwykli wyznawcy nie zdają sobie z tego sprawy, Kościół katolicki jest faktycznie lekko zawołowanym wcieleniem starożytnego kultu słońca.

Mistrz zaczął wyliczać na palcach argumenty.

- Urodzenie Chrystusa przez dziewicę jest dokładnym odwzorowaniem egipskiego mitu o Horusie, zmieniły się tylko imiona. Spójrzcie na szaty liturgiczne księży katolickich, ozdobione koptyjskim krzyżem. Ale dwa tysiące lat przed tym, nim zaczęto go nazywać krzyżem koptyjskim, był egipskim symbolem anch, oznaczającym życie. Spójrzcie na monstrancję - ma kształt lśniącego słońca. A czym jest aureola? Tarczą słoneczną. Pojedźcie do Rzymu i rozejrzyjcie się. Popatrzcie na wszystkie obeliski - wspaniałe symbole kultu słońca, podkreślające wielkością swoją boskość. Wszystkie pochodzą z Egiptu, zostały przewiezione do Rzymu przez papieża Sykstusa Piątego i ustawione przed każdym większym kościołem w mieście, nie wyłączając Bazyliki Świętego Piotra. W Rzymie jest więcej obelisków niż w jakimkolwiek innym mieście świata, włączając w to miasta egipskie. Dlaczego, Liam? Powiedz mi, jak brzmi słowo, które wypowiadasz na końcu każdej modlitwy?

- Amen - odpowiedział Wielkouchy.

- Starożytni Egipcjanie nie zapisywali samogłosek. Amen to zniekształcona wymowa słowa „Amon”. Za każdym razem, kiedy się modlisz, Liam, wzywasz najpotężniejszego boga starożytnego Egiptu - Amona.

Oczy Wielkouchego rozszerzyły się.

- Niemożliwe...

Zoe wróciła do właściwego tematu.

- Ale w wersji o Artemidzie napisano, że fragment kopuły jest czczony każdego dnia w największej świątyni Amona - Re. Jeśli masz rację, to największą świątynią Kościoła rzymskokatolickiego jest Bazylika Świętego Piotra w Rzymie.

- To właśnie chciałem powiedzieć - odparł Mistrz.

- Oto nasz problem numer jeden - rzekł West. - Jeśli fragment ze świątyni Artemidy znajduje się w Bazylice Świętego Piotra, może być w dowolnej jej części. Sama bazylika to kolos wielkości siedmiu boisk piłkarskich, a pod nią ciągnie się labirynt krypt, katakumb, grobów i tuneli. Kopuła może być

wystawiona w jakiejś krypcie i modli się do niej każdego dnia tylko wąskie grono kardynałów albo jest na przykład wmurowana parę metrów pod posadzką głównej katedry. Szukanie w bazylice złotej płyty przypomina szukanie igły w stogu siana. Zajęłoby nam lata, a nie mamy czasu.

- A problem numer dwa? - zapytała Zoe.

- Fragment Zeusa - odpowiedział Mistrz. - Jak wcześniej mówiłaś, tekst nie daje nam żadnej wskazówki.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Takiego rozwoju wypadków nie przewidzieli. Tekst Kallimacha do tej pory służył im wyśmieniem, nikt więc nie przypuszczał, że może zawieść w przypadku następnych fragmentów kopuły.

- I co teraz zrobimy? - zapytała Zoe.

- Jest pewien sposób - odparł z poważną miną West. - Ale wcale niełatwo mi podjąć taką decyzję.

- Jaka...?

- Musimy poprosić o pomoc z zewnątrz - powiedział West. - Eksperta od kopuły, pewnie najwybitniejszego z żyjących. Człowieka, który poświęcił życie jej odszukaniu. Człowieka, który wie więcej o siedmiu cudach starożytności niż ktokolwiek inny.

- Wygląda na to, że powinniśmy się z nim skonsultować dziesięć lat temu.

- Tak, powinniśmy, gdyby to było możliwe - odparł Mistrz. - Niestety, pozostawał nieuchwytny. Ten człowiek jest psychicznie chory.

- Kto to jest? - zapytał Sky Monster.

- To mułła Mustafa Zajid... - odpowiedział West.

- O nie! To oburzające... - Długi wyprostował się w fotelu.

- Czarny Kaznodzieja z Kabulu - szepnął Kubuś Puchatek.

- Zajid jest z pochodzenia Saudyjczykiem - wyjaśnił West pozostałym - powiązany z dziesiątkami muzułmańskich fundamentalistycznych grup terrorystycznych z tak różnych zakątków świata jak Pakistan, Sudan czy Afganistan, gdzie talibowie ukrywali go aż do jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku. Wykształcony mułła, guru fundamentalistów...

- To terrorysta - splunął Długi. - Odpowiada za śmierć co najmniej dwunastu agentów Mossadu. Znajdował się na czerwonej liście Mossadu od piętnastu lat.

Na czerwonej liście Mossadu figurują terroryści, których każdy agent może zastrzelić bez uprzedzenia w dowolnym zakątku świata.

- Skoro Mossad nie może go zlokalizować, to jak, na miłość boską, my mamy go znaleźć? - zapytała Zoe.

West spojrział znacząco na Długiego.

- Och, Mossad wie, gdzie on przebywa, tylko że nie mogą do niego dotrzeć.

Zaciśnięte usta Długiego oznaczały, że Jack ma rację.

- No więc, gdzie on jest? - zapytał Kubuś Puchatek.

West obrócił się w kierunku Długiego. Długi warknął w odpowiedzi:

- Mustafa Zajid został złapany przez armię amerykańską w trakcie operacji Trwała Wolność, inwazji na Afganistan po jedenastym września, która na dobre usunęła reżim talibów. Na początku dwa tysiące drugiego roku Mustafa Zajid został przewieziony do bazy Guantanamo na Kubie i do tej pory tam się znajduje.

- Zatoka Guantanamo - powtórzyła Zoe. - Kuba. Najpilniej strzeżona, najlepiej zabezpieczona baza wojskowa na świecie. I co, mamy tam się pojawić, przespacerować i tak po prostu wyjść ze znanym terrorystą u boku?

- Baza marynarki wojennej w zatoce Guantanamo ma do spełnienia dwie misje - odpowiedział West - udaremnienie Kubańczykom jej odzyskania i przetrzymywanie w niej więźniów. Dlatego broń Amerykanów jest wycelowana w dwóch kierunkach - w głąb lądu i w bazę. To pozostawia nam otwarte pole działania z innej strony - morza.

- Przepraszam, ale czy ty poważnie myślisz o tym, żeby wkraść się do bazy i porwać im jednego z więźniów? - zapytała Zoe.

- Nie - odparł West, wstając. - Wcale nie zamierzam zakradać się do bazy. Proponuję zrobić to, czego Amerykanie najmniej się spodziewają. Proponuję przypuścić bezpośredni szturm na bazę Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych w zatoce Guantanamo.

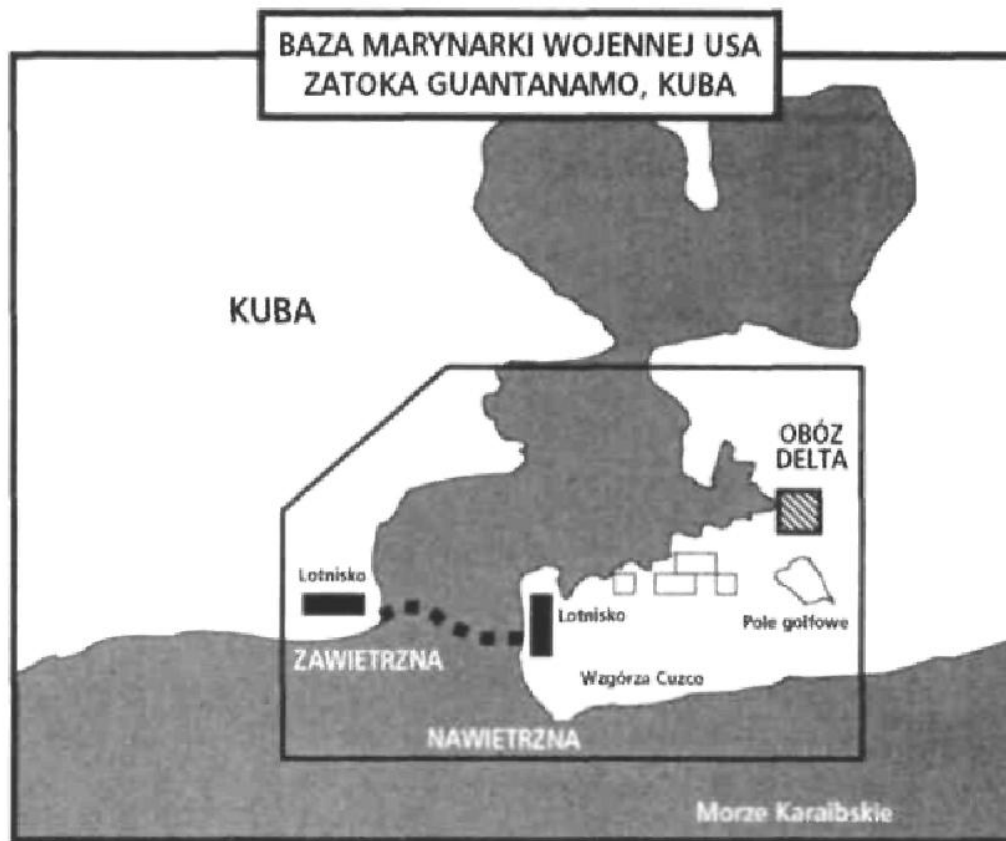
# **MISJA TRZECIA**

## **BITWA O GUANTANAMO**



**ZATOKA GUANTANAMO, KUBA**  
**17 MARCA 2006**  
**3 DNI PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU**





## BAZA MARYNARKI WOJENNEJ GUANTANAMO

POŁUDNIOWO - WSCHODNIA KUBA

17 MARCA 2006, GODZINA 3.35

3 DNI PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU

Baza w Guantanamo to wyjątkowa osobliwość.

Powstała dzięki dwóm traktatom podpisanym pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Kubą na początku dwudziestego wieku. Amerykanie przyłożyli wtedy Kubańczykom nóż do gardła i do dzisiejszego dnia dzierżawią mały kawałek wybrzeża za śmieszłą kwotę 4085 dolarów rocznie (w znowelizowanym traktacie jest mowa o dwóch tysiącach dolarów w złocie rocznie).

Traktat może zostać unieważniony tylko za obopólną zgodą, a Stany Zjednoczone nie mają zamiaru pozbyć się tego przyczółka na kubańskiej ziemi.

Ta zatoka Morza Karaibskiego jest położona na najdalej na południe wysuniętym skrawku wyspy.

Baza zajmuje oba cyple zatoki i w gruncie rzeczy jest niewielka, sięga sześć kilometrów w głąb lądu, a jej szerokość wynosi około dziesięciu kilometrów. Za to jej kręte granice mają aż dwadzieścia pięć kilometrów długości.

Poza tym jest sławna - choćby dzięki filmowi Ludzie honoru z Tomem Cruise'em. Powszechnie znany jest też jej status - otóż zgodnie z prawem międzynarodowym baza nie istnieje.

Znajduje się w swoistym stanie zawieszenia i nie obejmuje jej konwencja genewska ani żadne inne traktaty.

To dlatego właśnie Stany Zjednoczone wybrały ją na więzienie dla siedmiuset terrorystów złapanych w trakcie operacji Trwała Wolność w Afganistanie.

Zatoka wrzyna się w ląd jak gruby, poskręcany wąż, ma dziesiątki odnóg i błotnistych zatoczek. Część zachodnia jest znana pod nazwą Zawietrznej i znajduje się na niej tylko lądowisko Leeward Point Field.

Sama baza, baraki, w których mieszkają żołnierze, i więzienie, znajduje się w części wschodniej, zwanej Nawietrzną. U wejścia do zatoki jest nieczynne lotnisko McCalla Field. Dalej, w głębi lądu znajdują się budynki administracyjne, szkoła, sklepy i koszary, w których mieszkają żołnierze.

Jeszcze dalej na północ, w samym środku bazy jest obóz Delta (obóz X - Ray z metalowymi klatkami pod gołym niebem, był tylko tymczasowy. W kwietniu dwa tysiące drugiego roku wszyscy więźniowie zostali przeniesieni do nowo wybudowanego obozu Delta).

Delta składa się z sześciu podobozów: 1, 2, 3, 4, Echo i Iguana. W trzecim specjalnie strzeżonym, przetrzymywani są tylko najgroźniejsi więźniowie.

Tacy jak muła Mustafa Zajid.

Delta, położony w samym środku najsilniej ufortyfikowanej bazy wojskowej na świecie, jest istnym labiryntem budynków z pustaków, otoczonym wysokimi zasiekami z drutu kolczastego i strzeżonym przez żandarmerię.

To miejsce zapomniane przez Boga i ludzi, jedno z najbardziej ponurych na świecie.

Tuż obok Delty, pięćset metrów dalej, znajduje się coś, na co tylko w amerykańskiej bazie można się natknąć - pole golfowe.

Mając do wyboru dwa pilnie strzeżone lądowiska, West wybrał właśnie pole golfowe.

- Znam Guantanamo... - powiedział, stojąc w kabinie pilotów Halikarnasa i patrząc, jak samolot z rykiem silników zbliża się do bazy i obniża pułap.

Po krótkim pobycie w zaprzyjaźnionej Hiszpanii, gdzie zatankowali paliwo, ruszyli w pięciogodzinną podróż przez Atlantyk w kierunku Kuby.

- Byłem tam raz po ćwiczeniach, które organizował wspólnie CIEF i mój kraj. Możecie mi wierzyć lub nie, ale grałem tam w golfa. Chryste, pole golfowe w bazie wojskowej. Istotne jest to, że nie ma tam drzew, a kilka ostatnich dołków: szesnasty, siedemnasty i osiemnasty od reszty oddzielają tylko niskie krzaki. Pole jest szerokie, płaskie i ma długość około czterystu pięćdziesięciu metrów. Czyli tyle co pas startowy. I co powiesz, Sky Monster? Da się to zrobić?

- Czy się da? - Sky Monster uśmiechnął się. - Przyjacielu, następnym razem poproszę o trudniejsze zadanie.

- Świetnie - powiedział West, wychodząc z kabiny. - Do zobaczenia na ziemi.

Dziesięć minut później West zszedł do dolnego luku bagażowego samolotu ubrany na czarno, z doczepionymi na plecach skrzydłami z włókna węglowego.

Zoe, również ubrana na czarno, już na niego czekała. Dopasowany strój podkreślał jej nienaganną figurę. Zoe Kissane była zgrabną, szczupłą i piękną kobietą.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - powiedziała.

- Kluczem jest zaskoczenie. Oni mają broń wycelowaną w Kubańczyków i swoich siedmiuset więźniów. Nie spodziewają się, że ktoś mógłby być tak głupi, by zaatakować bazę w Guantanamo z powietrza.

- Rzeczywiście nikt. Jesteśmy wyjątkiem - odparła.

- Obejrzałaś zdjęcie satelitarne obozu Delta?

- Trzy razy - powiedziała Zoe. - Wywiad twierdzi, że Zajid jest przetrzymywany w baraku C - dwanaście w podobozie trzecim, w izolatce. Mam nadzieję, że trafimy tam po ciemku. Czy jest coś, czego Mossad nie wie?

- Mossad wie, co moja ciotka Judy jada na śniadanie. - West spojrzał na zegarek. - Jesteśmy osiem minut od celu. Lecimy.

Chwilę później rampa luku się otworzyła i oboje wyskoczyli jednocześnie, niktą w mroku nocy.

W samym samolocie wszyscy zajęli miejsca na stanowiskach bojowych.

Wielkouchy, Kędzierzawy, Kubuś Puchatek i Długi zasiedli w czterech wielkich wieżyczkach strzelniczych - Wielkouchy i Kubuś Puchatek przy skrzydłach, Kędzierzawy na brzuchu kadłuba i Długi na górze.

Sześciolufowe działka były załadowane śmiertelną bronią - pociskami smugowymi kalibru 7,62 mm. West wydał instrukcje, by użyć ich dopiero wtedy, gdy zrobi się naprawdę gorąco.

Mistrz, Lily i Horus schronili się w bezpiecznej kabinie samolotu. Zabranie Lily na tę wyprawę i tak wiązało się z olbrzymim ryzykiem.

Halikarnas z hukiem przedzierał się przez nocne niebo.

Leciał z wyłączonymi światłami, wyglądał na tle chmur jak nieco ciemniejszy cień. Radio również zostało wyłączone i samolot nie emitował już żadnego pola elektromagnetycznego.

Dzięki pokrywającej go czarnej farbie, takiej, jakiej używa się w niewidzialnych bombowcach B - 2 typu Stealth, promienie radarów, śledzących niebo w bazie Guantanamo, nie mogły wykryć jumbo jeta.

Był jak duch.

Duch, o którego istnieniu Amerykanie nie mieli pojęcia, dopóki nie znalazł się bezpośrednio nad ich głowami.

W końcu dwóch wartowników dostrzegło go, a raczej usłyszało. Znajdowali się na najbardziej oddalonej wieży strażniczej koło wzgórz Cuzco, a ich zadaniem była obserwacja oceanu.

Spostrzegli nad swoimi głowami nadlatujący z rykiem ciemny cień.

Wszczęto alarm i trzytysięczna załoga bazy Guantanamo wypowiedziała Jackowi Westowi i jego załodze wojnę.

Halikarnas przeleciał nisko nad wzgórzami Cuzco i oświetloną blaskiem księżycą zatoką. Była trzecia czterdzieści pięć nad ranem.

Potem samolot gwałtownie przechylił się na lewe skrzydło i zniknął za linią drzew...

...wylądował dokładnie przy szesnastym dołku pola golfowego. Dopiero wtedy pilot zapalił reflektory znajdujące się na skrzydłach.

Potężne opony samolotu zryły idealnie gładką powierzchnię pola, wrywając całe połacie darni. Minał dołek siedemnasty i wtedy przed jego dziobem wyrosły krzaki, oddzielające dołki siedemnasty i osiemnasty. Sky Monster przedarł się przez nie bez trudu i samolot zatrzymał się na końcu pola.

W całej bazie rozległy się syreny alarmowe. Pozapalano reflektory.

Żołnierze w pośpiechu wyskakiwali z łóżek.

Wartownicy przez celowniki teleskopowe swoich karabinów uważnie obserwowali teren.

Silne reflektory przeczesywały niebo w poszukiwaniu innych samolotów.

Zewsząd rozlegały się krzyki i nawoływania.

- Zostaliśmy zaatakowani od strony pola golfowego - meldowano.

Dwa doborowe plutony piechoty morskiej marines zostały wysłane bezpośrednio na pole golfowe, podczas gdy reszta sił wspieranych przez śmigłowce podążała za nimi.

Wszystkie cele zostały zamknięte, wszystkie bramy również, każdy posterunek wartowniczy został wzmocniony dodatkowymi siłami.

Zapanował chaos.

Pandemonium.

W całym zamieszaniu wywołanym przez lądujący na polu golfowym potężny samolot nikt nie zwrócił uwagi na dwie postacie zaopatrzone w skrzydła, cicho lotem ślizgowym lądujące na płaskim betonowym dachu baraku C - 12 w podoboże numer trzy.

West odpał na dachu baraku ładunek semteksu. Powstały w wyniku wybuchu otwór był wystarczająco duży, by można się było w nim zmieścić.

Niewiele myśląc, wskoczył do dziury...

...i wylądował w zupełnych ciemnościach na dachu klatki zbudowanej ze stalowych prętów. Miniaturowy palnik szybko poradził sobie ze stalą i po chwili West był już wewnątrz.

W tym momencie zobaczył wychudzoną, podobną do zjawy postać zbliżającą się do niego z wyciągniętymi ramionami.

West szybko się obrócił, pchnął Zajida na przeciwległą ścianę, przygwoździł go do niej i wycelował latarkę zamontowaną na lufie MP - 7 wprost w oczy terrorysty.

W świetle latarki na twarzy Zajida malowało się przerażenie.

Brodę i włosy na głowie miał zgolone i tylko na policzkach widać było kilkudniowy zarost. Był chudy i niedożywiony. I te jego oczy, wyjątkowo głęboko osadzone, płonące szaleństwem, podkreślały jeszcze wymizerowanie całej postaci. Wyglądał jak kościotrup.

- Mustafa Zajid?

- Ta... Tak...

- Nazywam się West. Jack West. Jestem tu, by zaproponować ci interes. Drugi raz nie będę powtarzał. Zabiorę cię stąd, a w zamian ty pomożesz nam odnaleźć siedem cudów starożytności, a co za tym idzie, złotą kopułę piramidy w Gizie. Decyzja?

Na wzmiankę o cudach Zajid przestał się opierać. W dziko błyszczących oczach West dostrzegł emocje, jakie targały terrorystą: uznanie, zrozumienie, ambicja.

- Idę z tobą - odpowiedział.

- To ruszaj się...

- Chwileczkę! - krzyknął Zajid. - Wszczepili mi w szyję mikrochip! Lokalizator! Musisz go wyjąć, bo inaczej będą wiedzieli, dokąd mnie zabrałeś!

- Zrobimy to w samolocie! Chodź już, musimy uciekać! - próbował przekrzyknąć syreny. - Zoe! Lina!

Z otworu w suficie spadła lina, po której West i Zajid się wspięli.

Tymczasem na polu golfowym dwa plutony piechoty morskiej dotarły w pobliże Halikarnasa, stojącego na szczątkach szopy, która kiedyś była ich klubem. Dziesiątki flar oświetlało cały obszar w promieniu pięciuset metrów.

Oślepieni jaskrawym światłem żołnierze otoczyli jumbo jeta i unieśli lufy karabinów. W tej samej chwili z wszystkich czterech wieżyczek strzelniczych samolotu posypał się grad pocisków. Pod naporem ognia żołnierze zaczęli się wycofywać, szukając schronienia za drzewami i samochodami.

Żaden z nich nie zginął.

Kule były gumowe, takie jak te, których West z zespołem użył w kopalni w Sudanie.

Rozkazy Westa były jasne: zabijacie tylko tych, którzy chcą was zabić. Nie wolno wam zabić człowieka, który po prostu wykonuje swoją pracę.

West nie miał żadnego żalu do żołnierzy z bazy Guantanamo, jeśli już - to do ich rządu.

Użycie gumowych kul przyniosło jeszcze jeden, nieoczekiwany efekt. Marines zaczęli podejrzewać, że to są tylko ćwiczenia, niespodzianka, jaką sprawili im w środku nocy przelożeni, żeby sprawdzić, jak sobie poradzą.

Dzięki temu przestali tak poważnie traktować swoje zadanie. Skupili się raczej na okrążeniu i powstrzymaniu samolotu niż na zniszczeniu go.

I wtedy, ku ich zaskoczeniu, samolot zaczął się poruszać, zatoczył ciasny krąg i ustawił przodem do rozciągającego się przed nim pola golfowego.

Z ogłuszającym łoskotem pilot uruchomił silniki, ale z wieżyczek strzelniczych nie ustawał ostrzał.

Potężna maszyna zaczęła sunąć po ziemi. Nikt z niej nie wysiadł, nic innego się nie wydarzyło.

W tej samej chwili oczom żołnierzy ukazał się najbardziej zdumiewający widok.

Dwie postaci ubrane na czarno, ze skrzydłami na plecach, używające silników na sprężone powietrze, pojawiły się nad linią drzew i zaczęły gonić rozpędzający się samolot.

Kiedy żołnierze przyjrzeni się bliżej nadlatującym postaciom, dotarło do nich, że to wcale nie były ćwiczenia.

Do piersi jednej z lecących osób przywarł kurczowo mężczyzna z ogoloną głową, wciąż ubrany w jaskrawopomarańczowy dreluch więźnia.

To była ucieczka!

Obie skrzydlate postaci doleciały do prawego skrzydła toczącego się samolotu, wylądowały na nim i zniknęły w czeluści drzwi awaryjnych, które ktoś chwilę wcześniej otworzył.

Wkrótce Halikarnas nabrał prędkości i wzniósł się w powietrze, przelatując tuż nad konarami drzew rosnących na końcu pola golfowego.

Trzy śmigłowce jeszcze przez chwilę próbowały gonić i ostrzeliwać odrzutowiec, ale i tak wkrótce zniknął im z oczu.

Dziesięć minut później została wysłana para myśliwców F - 15, ale kiedy znalazły się w powietrzu, po tajemniczym jumbo jecie nie było już śladu. Żaden radar nie potrafił go wykryć.

Kiedy widziano samolot po raz ostatni, odlatywał gdzieś na południe, w kierunku najbliższego sąsiada Kuby - Jamajki.

Godzinę później, w innej części świata, drukarka wypluła przechwyconą transmisję radiową:

PRZECHWYCONA TRANSMISJA:

SAT BT - 1009/ 17.03.2006 - 1399

A 40 - TEKST

OD: BEZPIECZNA CZĘSTOTLIWOŚĆ - LOTNICTWO USA,  
LOTNISKO ASUAN (EGIPT)

DO: NIEZNANY ODBIORCA, MARYLAND (USA)

GŁOS 1 (USA) : Prezydent jest bardzo zaniepokojony, pułkownik. Jego nastroju wcale nie poprawił raport, który właśnie przyszedł z Guantanamo. Ktoś uwolnił z obozu Delta terrorystę, Saudyjczyka o nazwisku Zajid, który, jak stwierdziliśmy, miał powiązania z kopułą.

GŁOS 2 (EGIPT) : To był West. Jest zuchwały, muszę przyznać. Ma problem i uznał, że potrzebny mu jest Zajid.

GŁOS 1 (USA) : A my go nie potrzebujemy?

GŁOS 2 (EGIPT) : Nie. Wyciągnęliśmy z niego wszystko, kiedy był więźniem.

[DŁUGA PRZERWA]

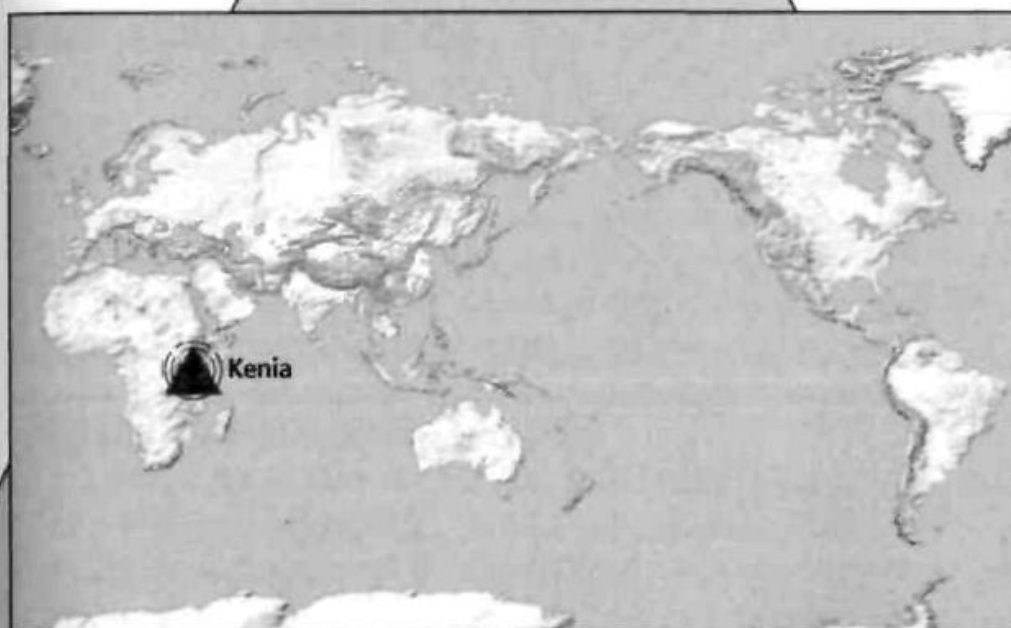
GŁOS 1 (USA) : Pułkowniku Judah, czy mamy powody do zdenerwowania? Na wypadek gdyby się panu nie udało, prezydent kazał przygotować orędzie do narodu, w którym będzie mowa o ewakuacji miast leżących na wybrzeżu.

GŁOS 2 (EGIPT) : Proszę mu powiedzieć, że na pewno nam się uda. Do tej pory wszystko idzie zgodnie z planem. Westa możemy powstrzymać w dowolnej chwili, ale na razie jest nam na rękę, że kręci się w pobliżu. Za to Europejczycy zrobili to, czego się spodziewaliśmy. Proszę powiedzieć panu prezydentowi, że może pisać swoje przemówienie, ale nie będzie miał okazji go wygłosić. Bez odbioru.



# **DZIEWCZYŃKA O IMIENIU LILY**

## **CZĘŚĆ II**



**VICTORIA STATION, KENIA  
2003–2006**

VICTORIA STATION  
POŁUDNIOWA KENIA  
2003 - 2006

W czasie pobytu zespołu w Kenii na blacie kuchennym pojawił się duży szklany dzban.

Nazwano go dzbanem przekleństw. Za każdym razem, gdy którykolwiek z zespołu został przyłapany na przeklinaniu w obecności Lily, musiał do niego wrzucić dolara. A ponieważ wszyscy byli żołnierzami, dzban prawie zawsze był pełen.

Z dochodów, które przynosił dzban, kupowano zabawki, książki i stroje baletowe dla Lily.

Jest rzeczą oczywistą, że skoro to ona była nagradzana za ich nieostrożne wypowiedzi, starała się przyłapać któregokolwiek z członków zespołu na przekleństwie. Stało się rzeczą naturalną, że po jakimkolwiek przekleństwie wypowiedzianym na farmie Lily mówiła: „dzban przekleństw”.

Poza tym za pracę na farmie otrzymywała kieszonkowe.

To był pomysł Westa i Mistrza. Chcieli, żeby wychowywała się w tak naturalnych warunkach, jak pozwalały na to okoliczności. Wykonując przeróżne prace na farmie razem z członkami zespołu: zbieranie drewna z Wielkouchym, pomaganie Kubusiowi w czyszczeniu jego narzędzi i w szczególnych chwilach karmienie Horusa, czuła się potrzebna, czuła się częścią rodziny. I właśnie dlatego wyrosła na tak wspaniałego dzieciaka.

Z wiekiem spoważniała i zaczęła uważniej przyglądać się zespołowi.

Zauważyła, na przykład, że Kubuś Puchatek jest drugim synem najpotężniejszego szejka w Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

Albo że Mistrz zamierzał zostać księdzem, choć nigdy nie udało mu się ukończyć seminarium duchownego.

Dowiedziała się, że Zoe została swojego czasu oddelegowana z armii na studia archeologiczne, a jej wykładowcą w Trinity College w Dublinie był Mistrz.

Mało tego, razem z nią studiował wówczas Jack West, również wysłany przez swój kraj na stypendium do Dublina, gdzie pobierał nauki od kanadyjskiego profesora.

Ojczyzną Westa była Australia.

Lily bardzo interesowała się Australią, tak pełną sprzeczności. Osiemdziesiąt procent powierzchni kontynentu zajmowała pustynia, a mimo to istniały supernowoczesne miasta, jak choćby Sydney, słynne plaże - Bells czy Bondi, wspaniałe dzieła natury - Uluru albo Wielka Rafa Koralowa, którą - o dziwo - nazwano jednym z siedmiu cudów świata natury.

Z biegiem czasu Lily zadawała coraz bardziej skomplikowane pytania na temat Australii i jej miejsca na światowej arenie. Australia miała raptem dwadzieścia milionów ludności, więc pomimo olbrzymiego terytorium pozostawała małym krajem.

I chociaż jej armia również nie była zbyt liczebna, to z jednego słynęła: powszechnie uważa się oddziały jej sił specjalnych za najskuteczniejsze na świecie. Noszą one nazwę SAS i w nich wcześniej służył West.

Była jeszcze jedna rzecz, która zaciekała Lily - przez cały dwudziesty wiek Australia pozostawała najwierniejszym, najbardziej lojalnym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. W czasie drugiej wojny światowej, wojny koreańskiej, w Wietnamie, Kuwejcie - Australia zawsze stała u boku Ameryki.

Ale tym razem stało się inaczej.

Lily nie potrafiła pojąć dlaczego, postanowiła więc zapytać Westa.

Pewnego deszczowego dnia weszła do jego gabinetu i zastała go przy pracy. W pokoju było ciemno i panowała cisza, na ramieniu Jacka jak zawsze siedział Horus, a West w zamyśleniu obgryzając długopis, wpatrywał się w ekran komputera.

Lily obeszła wokół gabinet, bezmyślnie dotykając grzbietów książek na półkach. Cały czas miała przed oczami tablicę, na której napisał: „CZTERY STRACONE DNI MOJEGO ŻYCIA - CORONADO?”. Zauważyła także, że szczelnie zamknięty szklany słoik z rdzawoczerwonym piaskiem był teraz otwarty.

West nie dostrzegł jej, bo wpatrywał się cały czas w ekran komputera.

Stała za jego plecami i spojrzała na monitor. Widniało tam zrobione w dużym powiększeniu zdjęcie hieroglifów wyrytych na jakiejś ścianie. Lily szybko bezgłośnie przetłumaczyła:

OCHOCZO WPADNIJ W OBJĘCIA ANUBISA, A ŻYĆ BĘDZIESZ  
MIMO NADEJŚCIA RE,  
WEJDŹ WBREW SWEJ WOLI, TWOI POBRATYMCY WŁADAĆ  
BĘDĄ TYSIĄC LAT,  
LECZ TY ZGINIESZ.  
NIE WCHODŹ W OGÓLE, ŚWIAT TAKŻE ZGINIE.

- Co o tym sądzisz? - nie odwracając się, nieoczekiwanie zapytał West.

Lily zamarła.

- Nie... Nie wiem...

West obrócił się.

- To tekst o śmierci i życiu pośmiertnym, skierowany przez Amona do kogoś w rodzaju Chrystusa, do Horusa. Objęcia Anubisa to śmierć. Jeśli Horus pogodzi się ze swoją śmiercią, ożyje ponownie i przyniesie to jakąś korzyść jego narodowi. Trochę to przypomina historię Chrystusa umierającego na krzyżu. Ale dość tego. Co cię tu sprowadza, szkrabie?

Rozgorzała dyskusja o stosunkach australijsko - amerykańskich, o tym, jak Ameryka wyrosła na jedyne supermocarstwo, i obawach Australii, że jej sojusznik stał się globalnym despota.

- Bywa, że najlepszy przyjaciel - zaczął West - okazuje nam swoje uczucia w sposób trudny do zaakceptowania. Poza tym lepiej doświadczyć przykrości od przyjaciela niż od wroga. - West nagle zmienił temat. - Lily, jest coś, co chciałbym ci powiedzieć. Kiedy wszystko to się skończy, kiedy wszystko pójdzie po mojej myśli, będę musiał na jakiś czas zniknąć.

- Zniknąć? - zapytała zaniepokojona Lily.

- Tak. Przycupnąć gdzieś. Znaleźć się w miejscu, gdzie nikt mnie nie znajdzie. Zniknąć.

- Zniknąć... - Przełknęła ślinę.

- Ale chcę to zrobić tak, żebyś ty mogła mnie znaleźć - rzekł z uśmiechem.

- Teraz nie mogę ci powiedzieć, gdzie będę, ale dam ci odpowiednie wskazówki. Jeśli uda ci się rozwiązać tę zagadkę, znajdziesz mnie.

Wręczył jej skrawek papieru, na którym napisano:

MÓJ NOWY DOM TO DOM TYGRYSÓW I KROKODYLI.  
JEŚLI CHCESZ GO ODNALEŹĆ, ZAPŁAĆ WIOŚLARZOWI, PODEJMIJ  
WYZWANIE PSA I RUSZ W DROGĘ  
WPROST W OTCHŁAŃ ŚMIERCI,  
PRZEZ BRAMY PIEKIEŁ.  
TAM MNIE ZNAJDZIESZ, CHRONIONEGO PRZEZ WIELKIEGO ŁOTRA.

- To wszystko, szkrabie, co mogę ci powiedzieć. A teraz zmykaj.

Lily czmychnęła z gabinetu, ściskając w dłoni kartkę papieru.

Później miesiącami będzie ślęczała nad zagadką, wpisując każde ze słów do wyszukiwarki Google, żeby odgadnąć, co West miał na myśli.

Pozostały jeszcze inne pytania, na które, na szczęście, uzyskała odpowiedź. Na przykład, skąd West ma Horusa.

- Poprzedni właściciel Horusa był kiedyś nauczycielem Myśliwego - powiedział Mistrz, kiedy pewnego dnia siedzieli razem przed domem w promieniach jaskrawego afrykańskiego słońca. - To był paskudny facet, nazywał się Marshall Judah - pułkownik armii amerykańskiej, szkolił Jacka w miejscu zwanym Coronado. Judah zwykł chodzić po bazie Coronado z Horusem siedzącym na ramieniu i wydzierać się na żołnierzy.

Żeby im pokazać, co ich czeka, bił Horusa, jeśli ten nie wykonał właściwie jakiegoś jego polecenia. Zwykł mawiać, że tylko dyscyplina i brutalna siła zapewnią posłuch.

Myśliwemu się to nie podobało. Nie mógł patrzeć na okrucieństwo, z jakim Judah traktował sokoła. Kiedy więc opuszczał bazę, ukradł ptaka z klatki stojącej w biurze pułkownika. Od tej pory Jack odnosi się do Horusa z czułością i miłością, a ptak odwzajemnia te uczucia z nawiązką.

Lily, kiedy dorośniesz, zauważysz, że nie wszyscy ludzie są dobrzy. Niektórzy wolą okrucieństwo zamiast dobroci, władzę zamiast współpracy, złość zamiast zrozumienia.

Tacy ludzie myślą tylko o sobie. Szukają okazji, żeby zapanować nad innymi, zamiast się o nich troszczyć. A wszystko to wynika z żądzy władzy. Lily, pewnego dnia też zyskasz potężną władzę. Mam nadzieję, że nauczysz się od nas przynajmniej jednego, że naprawdę wielcy ludzie przede wszystkim myślą o innych, a dopiero na końcu o sobie. Weź za przykład Myśliwego i Horsa. Bity ptak podporządkuje się swemu okrutnemu panu ze strachu, ale za dobrego pana gotów jest oddać życie.

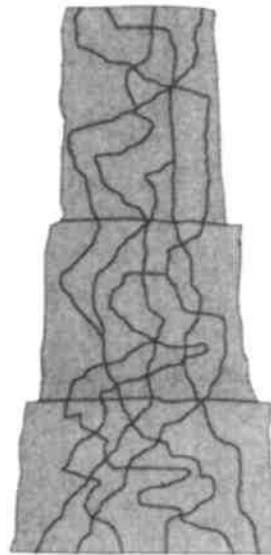
Pewnego dnia Lily pomagała Mistrzowi robić porządki w jego zbiorach starożytnych zwojów.

Była zachwycona wszystkimi jego starociami - pergaminami i tabliczkami. Zawierały, w jej przekonaniu, całe mnóstwo tajemnic starożytnego świata.

Tego właśnie dnia Mistrz segregował wszystkie dokumenty dotyczące egipskich architektów o imieniu Imhotep.

Lily zauważyła kilka szkiców kopalni usytuowanej w miejscu nazwanym Nubią. Kopalnia miała cztery poziomy i całe mnóstwo napędzanych siłą wody pułapek. Na szkicach zaznaczono opisy wszystkich pułapek, a w przypadku ukrytych pod kamieniami mechanizmów - pięć cyfr zapisanych egipskimi hieroglifami: 1, 3, 4, 1, 4. Te szkice Mistrz schował do przegródki oznaczonej „Imhotep V”.

Poza tym dostrzegła bardzo stary rysunek, który wyglądał jak jakaś starożytna wersja gry w węża. Rysunek nosił podpis: „Wejście do wodospadu - przebudowa wykonana przez Imhotepa III za czasów Ptolemeusza Sotera” i wyglądał w sposób następujący:



Mistrz spostrzegł zainteresowanie Lily i zaczął jej opowiadać o Imhotepach.

Imhotep III, na przykład, żył w czasach Aleksandra Wielkiego i jego przyjaciela Ptolemeusza I i był nazywany „mistrzem budowy fos”. Zmieniał bieg rzek po to, by otoczyć swoje budowle fosą niemożliwą do przebycia.

- To wejście do wodospadu - zaczął Mistrz - musiało być wspaniałą dekoracyjną kaskadą w pałacu w Babilonie, leżącym tuż obok dzisiejszego Bagdadu w Iraku. Linie pokazują nam, któredy płynęła woda. Niestety, w żadnych wykopaliskach archeologicznych na terenie Babilonu nie udało się natrafić na ten wodospad. Wielka szkoda.

Lily spędziła resztę dnia skulona w rogu gabinetu Mistrza, obstawiona pudłami, czytając w skupieniu przeróżne pergaminy.

Ledwie zauważyła, że do pokoju weszła Zoe i zaczęła szeptać o czymś z Mistrzem. Dopiero kiedy padło nazwisko Westa, nadstawiła ucha.

- Dobrze, że znów się spotkaliśmy - powiedziała Zoe. - Chociaż widać, że zmienił się od czasu, gdy studiowaliśmy razem w Dublinie. Jest jeszcze bardziej milczący niż wtedy. Poza tym słyszałam, że rzucił armię.

Lily słuchała uważnie, nie podnosząc wzroku znad pergaminów, udając, że je czyta.

Mistrz rozsiadł się wygodniej.

- O rety, Dublin. Kiedy to było? Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewięć? Oboje byliście tacy młodzi. Dużo się od tego czasu wydarzyło w życiu Jacka.

- Opowiedz mi o tym.

- Tuż po zakończeniu operacji Pustynna Burza porzucił armię. Żeby zrozumieć dlaczego, trzeba wiedzieć, czemu w ogóle do niej wstąpił: trochę, żeby zadowolić swojego ojca, a trochę, żeby zrobić mu na złość.

Ojciec Jacka był w swoim czasie doskonałym żołnierzem, ale Jack okazał się lepszy. Ojciec chciał, żeby zaciągnął się do armii prosto po szkole, ale Jack wolał dalej się uczyć, pójść na uniwersytet. W końcu uległ ojcu... i szybko został o wiele lepszym, częściej chwalonym żołnierzem niż ojciec.

Szybko awansował i po krótkim czasie został wcielony do jednostki SAS. Szczególnie wyróżniał się podczas operacji prowadzonych na pustyni. Ustanowił nawet rekord - przez czterdzieści cztery dni żył na pustyni i nie dał się złapać.

Ale w przeciwieństwie do ojca nie podobało mu się to, co próbowali z niego zrobić - maszynę do zabijania, wyjątkowo skuteczną. Przełożeni widzieli to i obawiali się, że w końcu porzuci armię, dlatego postanowili wysłać go na studia do Dublina. Mieli nadzieję, że to zaspokoi jego intelektualne pasje i uda się go zatrzymać w siłach specjalnych. Chyba rzeczywiście był wtedy zadowolony.

- Chwileczkę - przerwała Zoe. - Muszę się trochę cofnąć. Jack powiedział mi kiedyś, że jego ojciec był Amerykaninem. Czemu on sam wstąpił do armii australijskiej?

- To prawda - odparł Mistrz. - Matka Jacka nie jest Amerykanką. Żeby zadowolić swojego ojca, wstąpił do armii, ale żeby zrobić mu na złość, wstąpił do armii kraju, z którego pochodziła matka, do armii australijskiej.

- Rozumiem - powiedziała Zoe. - Mów dalej.

- Jak sama wiesz, Jack zawsze był bystry i w końcu zaczął coraz krytyczniej patrzeć na wojsko. Sądzę, że po prostu bardziej przypadło mu do gustu studiowanie historii starożytnej i archeologii.

W każdym razie, sytuacja zaczęła się zmieniać, kiedy przełożeni wysłali Jacka w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku na międzynarodowe manewry sił specjalnych do Coronado. Gospodarzami byli Amerykanie, a oddziały sił specjalnych z krajów sojusznicznych zaproszono do udziału w grach

wojennych. Dla niewielkich krajów, takich jak Australia, to ogromna szansa, wysłano więc Westa. Dowódcą manewrów był nie kto inny jak Marshall Judah. Szybko dostrzegł potencjał tkwiący w Jacku.

W Coronado coś się wydarzyło, nie wiem dokładnie co. Jack został ranny w katastrofie śmigłowca i przez cztery dni leżał nieprzytomny w szpitalu polowym na terenie bazy. Cztery dni wyjęte z życiorysu. Kiedy odzyskał przytomność, wysłano go do domu i już po kilku miesiącach wrócił do czynnej służby - akurat wtedy, w dziewięćdziesiątym pierwszym, zaczęła się operacja Pustynna Burza.

Jack West był jednym z pierwszych żołnierzy, którzy postawili nogę na irackiej ziemi, niszczył maszty telekomunikacyjne. Po dwóch tygodniach okazało się, że przechodzi pod dowództwo Judaha. Wyglądało na to, że Judah osobiście zwrócił się do Pentagonu o przeniesienie Jacka do jego oddziału. Australia, zawsze lojalna wobec Amerykanów, zgodziła się.

W ten sposób Jack West stał się sławną postacią w czasie Pustynnej Burzy. Dokonał kilku nieprawdopodobnych rzeczy na tyłach wroga, jak choćby uciekł z bazy raketowej koło Basry, w której, trzeba o tym otwarcie powiedzieć, Judah i Amerykanie zostawili go na pewną śmierć.

Kiedy operacja się skończyła i wrócił do domu, udał się do biura dowódcy, generała Petera Cosgrove'a, i powiadomił go, że nie zamierza odnawiać kontraktu.

Znam Cosgrove'a od lat. To bardzo porządny gość. Ode mnie dowiedział się o zbliżającym się początku naszej misji i niewiele myśląc, znalazł sposób, żeby zadowolić Westa i jednocześnie utrzymać go w armii. Przydzielił go do mnie, do naszej długoterminowej otwartej misji. Krótko mówiąc, miał wziąć udział w badaniach archeologicznych związanych z poszukiwaniami złotej kopuły.

Tak właśnie zaczęliśmy naszą współpracę. A potem udało nam się odnaleźć zwoje z Biblioteki Aleksandryjskiej, a w końcu Lily i jej nieszczęsną matkę. Teraz już wiesz, jak West trafił do nas.

Rozmawiali jeszcze chwilę na różne inne tematy, po czym Zoe wyszła.

Mistrz wrócił do swoich zajęć i dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że Lily cały czas była w pokoju, ukryta za stosem pudeł.

- Jak to się stało, maleńka, że zapomniałem o twojej obecności? Siedziałas cicho jak mysz pod miotłą. Nie wiem, czy słyszałaś, o czym rozmawialiśmy, ale jeśli tak, to doskonale. To ważne, żebyś знаła historię naszego przyjaciela, Myśliwego. To dobry człowiek, bardzo dobry. I choć nie mówi o tym, to bardzo mu na tobie zależy. Uwielbia cię od pierwszej chwili, tam, w wulkanie, kiedy po raz pierwszy wziął cię na ręce. Troszczy się o ciebie jak o nic ani o nikogo innego na świecie.

To był bardzo ważny dzień dla Lily.



Ale najzabawniejszy był dzień, kiedy Lily dowiedziała się, w jaki sposób Jack został właścicielem samolotu.

Halikarnas od dawna był obiektem jej zainteresowania. Od chwili kiedy na tyle podrosła, by zrozumieć, czym jest jumbo jet i ile kosztuje, zastanawiała się, jakim sposobem jeden człowiek może posiadać prywatnego boeinga.

- Skąd masz ten samolot? - zapytała go pewnego razu przy śniadaniu.

Pozostałe osoby siedzące przy stole zaczęły się śmiać. West wyglądał na lekko speszonego.

- Nie mów nikomu, ale ja go po prostu ukradłem.

- Ukradłeś? Ukradłeś samolot? Kradzież jest czymś złym.

- Masz rację, kradzież jest zła - powiedziała Zoe. - Ale Myśliwy ukradł Halikarnasa bardzo złemu człowiekowi.

- Komu?

- Saddamowi Husajnowi - powiedział Mistrz. - Były prezydent Iraku, potworny typ. Myśliwy ukradł mu go w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku.

- A dlaczego ukradłeś samolot panu Husajnowi? - zapytała Lily.

West zamilkł na chwilę i zaczął starannie dobierać słowa.

- Byłem w miejscowości zwanej Basra i miałem mnóstwo kłopotów. A samolot pana Husajna pomógł mi wydostać się stamtąd żywym. Trzymał go po to, by w razie kłopotów móc uciec z kraju. - West mrugnął. - Wiedziałem też, że Husajn ma mnóstwo innych samolotów, rozrzuconych po całym Iraku, więc uznałem, że nie będzie mu szkoda tego jednego.

- Dlaczego nazwałeś go Halikarnas? To na cześć miasta z mauzoleum?

West uśmiechnął się, słysząc, jak dobrze Lily zna starożytne nazwy.

- Pewnie tak. To Husajn nazwał go Halikarnas, a ja zachowałem tę nazwę, bo mi się spodobała. Nie jestem pewny, dlaczego tak go nazwał. Husajn był człowiekiem, który uważał się za wielkiego władcę, takiego jak Mauzolos albo Nabuchodonozor. Tylko że wcale ich nie przypominał. Był zwykłym tyranem. - West zwrócił się do Mistrza. - A propos Halikarnasa, jak tam remont? Zainstalowałeś już te silniki trzeciej generacji z ciągiem wstecznym?

- Są prawie gotowe - odparł Mistrz. - Udało się zmniejszyć ich ciężar o jedną trzecią. Wszystkie osiem silników już zamontowaliśmy, a teraz będziemy je testować. Ta trzecia generacja idealnie pasuje do jumbo jeta. Boeing zachowuje równowagę, tyle że potrzeba więcej paliwa. W sobotę zaczynamy ze Sky Monsterem próby, więc lepiej załóżcie słuchawki.

- Nie ma sprawy. Informujcie mnie o wszystkim.

Lily nie miała zielonego pojęcia, o czym oni mówią.

Z biegiem czasu zainteresowanie Lily baletem nie zmalało. Wielokrotnie dawała występy przed swoimi opiekunami na niewielkiej scenie z zasuwaną kurtyną. Każdy występ kończył się gromkimi brawami.

Podczas jednego z występów Lily zapowiedziała, że spróbuje stać na palcach przez całą minutę. Wytrzymała czterdzieści pięć sekund i była gorzko rozczarowana.

Mimo to wszyscy gorąco klaskali.

Jak to w rodzinie.

CZARNY KAZNODZIEJA Z KABULU  
PRZESTRZEŃ POWIETRZNA NAD ATLANTYKIEM  
17 MARCA 2006  
3 DNI PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU

Dwanaście godzin po zakończeniu śmiałej akcji porwania w zatoce Guantanamo, po przeczekaniu w hangarze jamajskich sił zbrojnych koło Kingston, Halikarnas z uzupełnionym paliwem ruszył ponownie przez Atlantyk w kierunku Europy i Afryki, gotów do dalszej walki.

Znów wszyscy zebrali się w głównej kabinie, skupieni w szerokim kręgu, otaczając mułę Mustafę Zajida, Czarnego Kaznodzieję z Kabulu.

Zaraz po tym, jak uciekli z bazy Guantanamo West wziął do ręki cyfrowy analizator widma AXS - 9, przypominające różdżkę urządzenie do wykrywania zainstalowanych podsłuchów, i przeciągnął nim wzdłuż ciała Zajida.

W okolicy karku terrorysty urządzenie zaczęło głośno piszczeć, wskazując, że faktycznie, pod skórę został wszczepiony lokalizator GPS.

Zabieg chirurgiczny nie był potrzebny. Silny impuls elektromagnetyczny zneutralizował mikrochip, zamieniając go w kawałek bezużytecznego plastiku.

Tak więc Zajid znalazł się wśród nich i kiedy wszyscy uważnie mu się przyglądali, on skupił swoją uwagę na Lily.

Patrzył na nią tak, jak hiena patrzy na ranne zwierzę - z apetytem, żądzą i niedowierzaniem, że taki smaczny kęs znajduje się tutaj, tuż przy nim.

Mimo że zafundowano mu kąpiel i nowe, czyste ubranie, wyglądał odrażająco.

Z ogoloną głową, kilkudniowym zarostem na twarzy, zapadniętymi oczami i żyłastą budową ciała wyglądał bardziej na zjawę niż człowieka. Istny kościotrup. Trzy lata pobytu w obozie Delta zrobiły swoje.

W jasnym świetle kabiny samolotu dało się zauważyć, że małżowina lewego ucha Zajida została odcięta.

Czar prysł, Zajid zaczął się przyglądać oddziałowi Westa.

- No, proszę, proszę - powiedział. - Myszy zaczynają ryczeć. Podnoszą głowy przeciwko lwom - Europie i Ameryce.

Spojrzał na Mistrza.

- Widzę tu Kanadę. I Irlandię. - Kiwnął głową do Zoe. - Fachowcy od starożytnych tekstów.

Kiedy spojrzał na Długiego, syknął.

- Jest także Izrael. Pan Katsa Cohen, strzelec wyborowy, miło znów się zobaczyć. Ostatnio widzieliśmy się w Kandaharze, dzieliły nas dwa tysiące metrów. Wtedy spudłowałeś.

Długi skrzywił się, nie kryjąc niezadowolenia z obecności Mustafy Zajida w tym towarzystwie. Zajid wskazał palcem swoje zranione ucho.

- Zabrakło centymetrów.

- Następnym razem postaram się lepiej - warknął Długi.

- Spokojnie, Katsa. Jestem twoim gościem, w dodatku cennym, jak sądzę. Mimo wszystkich twoich wysiłków, żeby mnie dopaść. - Zajid zmierzył Długiego lodowatym spojrzeniem. - Powinieneś okazać więcej gościnności.

Obrócił się i przeniósł wzrok na Kubusia Puchatka.

- Aha, dobry muzułmanin. Syn szejka Anzara Abbasa, czyż nie? Sławny kapitan Raszid Abbas dowódca elitarnego oddziału komandosów armii Zjednoczonych Emiratów Arabskich...

- Obawiam się, że się mylisz - odparł Kubuś Puchatek. - Raszid Abbas to mój brat. Ja nazywam się Zahir Abbas, skromny sierżant i drugi syn szejka.

- Szejk jest dobrym sługą Allaha. - Zajid się skłonił. - Szanuję cię jako jego krewnego.

W końcu Zajid zwrócił się do Westa, siedzącego z Horusem na ramieniu.

- Teraz ty. Jack West junior. Kapitan z australijskiego oddziału SAS. Myśliwy. Pojawiasz się i znikasz na Bliskim Wschodzie jak zjawą. Twoje dokonania obrosły w legendę, twoja ucieczka cholernie zirytowała Husajna, pewnie o tym wiesz. Nim go złapali, powtarzał tylko, że chce odzyskać ten samolot. A potem jakbyś zapadł się pod ziemię. Dziwne...

- Dość - przerwał West. - Cuda: Zeus i Artemida. Gdzie one są?

- A tak. Przepraszam. Cuda. Zbliża się Tartar. Mhmm. Proszę mi wybaczyć, kapitanie West, ale nadal nie pojmuję, skąd przekonanie, że w ogóle zechcę wam pomóc.

- Stany Zjednoczone mają już trzy kawałki kopuły - powiedział West wprost. - Ich ludzie są świetnie wyposażeni, dobrze poinformowani i mają szansę zdobyć całą kopułę. Co ty na to?

- Wystarczy - odparł Zajid. - Kto dowodzi? Marshall Judah?

- Tak.

- Godny przeciwnik. Łebski i przebiegły. Krwiożerczy. Choć ma słaby punkt. Wiedzieliście o tym?

- Jaki?

- Lęk wysokości. Ale to uwaga na marginesie. Powiedzcie, na czym stoimy. Podejrzewam, że korzystacie z tekstu Kallimacha. Czyli najpierw udało wam się znaleźć kolosa, prawda? Czy to był prawy wisior z naszyjnika?

- Owszem... - odpowiedział zaskoczony West.

- Następne były fragmenty z Faros i mauzoleum, tak?

- Skąd wiesz, że w takiej kolejności były znajdowane?

Zajid westchnął.

- To podstawa. Tekst Kallimacha zapisano w języku Tota, najstarszym i najbardziej skomplikowanym. Ten język składa się z siedmiu poziomów o rosnącej trudności, dialektów, jeśli wolicie. Wasz mały tłumacz - tu wskazał Lily - potrafi za jednym razem przeczytać tylko jeden akapit, zgadza się? To dlatego, że każdy z akapitów został zapisany kolejnym, bardziej skomplikowanym dialektem. Akapit o kolosie zapisano językiem

Tota pierwszym, najłatwiejszym. O fragmencie z Faros mówi akapit w języku Tota drugim, nieco trudniejszym. Wyrocznia da radę przeczytać cały tekst Kallimacha, ale nie od razu.

- A ty potrafisz przeczytać tekst Kallimacha? - zapytał z niedowierzaniem West.

- Rozumiem pierwsze cztery dialekty.

- Jakim cudem?

- Nauczyłem się - odparł Zajid. - Dzięki samozaparciu i cierpliwości. Aha, zapomniałem, że dekadenci Zachód nie uważa już samozaparcia i cierpliwości za cnotę.

- Skąd mogłeś wiedzieć, że fragment z mauzoleum leży razem z fragmentem z Faros? - zapytała Zoe.

- Przez ostatnie trzydzieści lat moim głównym zajęciem było zbieranie wszelkich zwojów i dokumentów dotyczących kopuły. Niektóre z nich są znane, jak choćby tekst Kallimacha, którego mam kopię z dziewiątego wieku, inne - nie. Pisali je skromni ludzie, ledwie wspominając o swoich nadzwyczajnych osiągnięciach, takich jak choćby budowa sklepienia nad naturalną rozpadliną w Tunezji, czy przetransportowanie do wnętrza wulkanu marmurowych kolumn. Moja kolekcja jest bardzo bogata, wierzcie mi.

- Tekst Kallimacha nie daje żadnej podpowiedzi w przypadku fragmentów Zeusa i Artemidy - powiedział West. - Fragment Zeusa zaginął. A Artemidy pewnie znajduje się gdzieś w Bazylice Świętego Piotra, tyle że nie wiemy dokładnie gdzie. A ty wiesz?

Zajid zmrużył oczy.

- Upływ czasu i toczące się wokół wojny porzrzuciły te fragmenty po świecie, ale tak - myślę, że wiem, gdzie są.

Kubuś Puchatek pochylił się do przodu.

- Skoro wiesz tak dużo, dlaczego sam nie zacząłeś ich szukać?

- Zrobiłbym to, gdybym tylko mógł, mój bracie - cicho odparł Zajid. - Ale kiedyś nie byłem tak sprytny. - Mówiąc to, odwinął prawą nogawkę spodni, odsłaniając bliznę i na wpół spaloną skórę na łydce. - Ruski granat odłamkowy w Afganistanie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym. Przez wiele lat nie mogłem nawet chodzić. A kulejący człowiek jest bezużyteczny w kopalniach pełnych pułapek. W latach dziewięćdziesiątych dużo ćwiczyłem, przechodziłem rehabilitację, studiując jednocześnie tajemnice kopuły. Akurat w czasie ataków na World Trade Center w Nowym Jorku i na Pentagon w Waszyngtonie przygotowywałem w Afganistanie grupę mudżahedinów. Mieliśmy zająć się poszukiwaniem kopuły. Wkrótce Afganistan pogrążył się w chaosie. Złapali mnie Amerykanie. Na szczęście nogę mam już zdrową.

- Fragmenty Zeusa i Artemidy - powtórzył West. - Gdzie one są?

Zajid się skrzywił.

- Wyobraźcie sobie, że te dwa kawałki, których nie możecie znaleźć, wcale nie są nigdzie ukryte. Znajdują się na widoku publicznym. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie ich szukać. Fragment Artemidy rzeczywiście znajduje się w Bazylice Świętego Piotra w Rzymie, czyli w najświętszym miejscu kultu Amona - Re. A fragment Zeusa...

Zajid rozsiadł się wygodnie na krześle i wyrecytował z pamięci:

Nie ciskał piorunami, nie był gniewny,

Nie był zwycięzcą.

Wielkim czyniła go Wiktoria, trzymana w prawej dłoni,

Uskrzydłona kobieto, dokąd odleciałaś?

Zajid spojrzał na Westa.

- To tylko Wiktoria trzymana w prawej dłoni czyniła go wielkim.

West poszedł za jego tokiem rozumowania.

- Twierdzi się, że posąg Zeusa w Olimpii miał w prawej dłoni mniejszą statuetkę uskrzydłonego zwycięstwa, greckiej bogini Nike, kobiety ze skrzydłami u ramion, jak u anioła. Postać Zeusa miała być ogromna, a postać Nike wielkości człowieka.

- Zgadza się - powiedział Zajid. - A skoro to Nike czyniła Zeusa wielkim, to musimy się skupić nie na nim, tylko na posagu skrzydlatej kobiety. W tekście pada pytanie: dokąd odleciałaś?

Z pewnością wiesz, że znaleziono całe mnóstwo posągów Nike. Ale po przeprowadzeniu badań porównawczych nad pracami Fidiasza, rzeźbiarza, który stworzył ten posąg, odkryłem, że tylko jedną statuę Nike cechuje taki artyzm - idealna forma, gładkie linie, perfekcyjne odwzorowanie w marmurze mokrej odzieży. Okaz, który „znalazłem, to najwspanialszy przykład greckiej rzeźby, jaki przetrwał do dzisiejszych czasów, choć, jak na ironię, zachodni badacze

przypisują go jakiemuś anonimowemu artyście. Mówię tu o rzeźbie odnalezionej w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim roku przez francuskiego archeologa Charles'a Champoiseau...

- Niemożliwe - jęknął West. - To nie może być...

Zajid pokiwał głową.

- Tak, tak. To ta sama rzeźba. Champoiseau znalazł ją na Samotrace, stąd jej dzisiejsza nazwa: Nike z Samotraki.

Przewieziono ją do Francji, gdzie wkrótce doceniono jej artystyczne walory i umieszczono w Luwrze. Znajduje się tam do dzisiaj na honorowym miejscu, na podeście schodów, pod wysoko sklepionym sufitem skrzydła Denona.

Halikarnas obrał kurs na Europę.

Uzgodniono, że oddział podzieli się na dwa zespoły. West poprowadzi jedną grupę do Paryża w poszukiwaniu Nike, a Mistrz drugą do Rzymu w ślad za fragmentem Artemidy. Zajid miał pozostać jako więzień na pokładzie Halikarnasa ze Sky Monsterem w roli strażnika.

Ludzie rozeszli się po samolocie, by wypocząć, popracować lub przygotować się do nowej misji.

Kubuś Puchatek siedział obok Zajida, wciąż przykutego kajdankami do krzesła, i czyścił broń.

- Witaj, bracie - szepnął Zajid. - Niech cię Allah błogosławi.

- I ciebie - odpowiedział Puchatek, bardziej z nawyku wpojonego przez religię niż z dobrej woli.

- Szejk, twój ojciec, to wielki człowiek - rzekł Zajid. - I dobry muzułmanin.

- Czego chcesz?

- Denerwuje mnie obecność Żyda - odparł wprost, wskazując głową na Długiego, siedzącego w drugim końcu kabiny. - Potrafię zrozumieć, że twój ojciec sprzymierzył się z tymi ludźmi, ale trudno mi pojąć, dlaczego wszedł w sojusz z państwem żydowskim.

- Izraelczycy nie mieli brać udziału w tej misji. W jakiś sposób dowiedzieli się o naszym istnieniu i zagrozili, że wszystko ujawnią, jeżeli nie pozwolimy im się przyłączyć.

- A więc to tak. Bardzo typowe - syknął Zajid. - W takim razie cieszę się w dwójnasób, że tu jesteś, mój przyjacielu. Ponowne umieszczenie kopuły na wierzchołku piramidy będzie najważniejszym momentem w historii ludzkości. Wszystko nabierze właściwych proporcji i barw. Kiedy nadchodzi czas, bracia w Allahu powinni się zjednoczyć.

Kubuś Puchatek nie podniósł nawet wzroku.

W gabinecie Westa, w ogonie samolotu, West, Mistrz, Zoe i Wielkouchy przeglądali oprawiony w skórę dziennik Hermanna Hesslera, który Jack znalazł w kryjówce Hamilkara. Dziennik szczegółowo opisywał poszukiwania siedmiu cudów świata w czasie drugiej wojny światowej.

Przetłumaczyli go z niemieckiego i znaleźli sporo ciekawych notatek:

SŁOWO TOTA - LICZNE DIALEKTY O ROSNĄCEJ SKALI TRUDNOŚCI.  
DOKŁADNEGO TŁUMACZENIA MOŻE DOKONAĆ TYLKO WYROCZNIA...

KOŚCIÓŁ KATOLICKI = KULT AMONA - RE.

KOŁOS: TRZECI WISIÓR

TAJEMNICZA BUDOWA W 85 ROKU P.N.E.

• IMHOTEP VI + 10 000 ROBOTNIKÓW;

• WSZYSCY POWĘDROWALI NA ZACHÓD W KIERUNKU  
TAJEMNICZEGO MIEJSCA NA WYBRZEŻU W POBLIŻU KARTAGINY;



- PAPIRUS ROBOTNIKA ZNALEZIONY W ROSETCIE WSPOMINA O UDZIALE W NADZWYCZAJNEJ BUDOWIE;

- PRZYKRYCIE CAŁEJ ROZPADLINY NA WYBRZEŻU STROPEM I ZAMASKOWANIE WEJŚCIA;

- LUDZIE, KTÓRZY UMIEŚCILI DWA SKARBY W ŚWIĘTEJ KOMORZE, ZOSTALI ZAMORDOWANI;

- FRAGMENTY KOPUŁY Z FAROS I MAUZOLEUM?

Oprócz tych zapisków w dzienniku była jeszcze kartka z rozkazem Heinricha Himmlera, zezwalającym Hesslerowi na użycie okrętu podwodnego do obserwacji całego północnoafrykańskiego wybrzeża.

Były tam jeszcze odręczne rysunki hieroglifów, które Mistrz przetłumaczył na głos:

WYBÓR CZŁOWIEKA

MOŻNA WYBRAĆ TYLKO JEDEN Z DWÓCH RYTUAŁÓW.

JEDEN ZAPEWNI POKÓJ,

DRUGI DA MOC.

W DZIEŃ OSTATECZNY

TRZEBA DOKONAĆ WYBORU,

WYBORU PRZED OBLICZEM SAMEGO RE,

WYBORU, KTÓRY OKREŚLI LOS LUDZKOŚCI.

Mistrz zasiadł wygodniej.

- To jest nawiązanie do dwóch rytualnych zaklęć. Kiedy złota kopuła znajdzie się na wierzchołku piramidy, należy wypowiedzieć tylko jedno z nich.

W dzienniku były jeszcze inne notatki, których sensu nie potrafili pojąć.

PIERWSZA INSKRYPCJA Z GROBOWCA IMHOTEPY III:

CÓŻ TO BYŁA ZA WSPANIAŁA BUDOWLA,

ZBUDOWANA JAK LUSTRZANE ODBICIE,

GDZIE WEJŚCIE I WYJŚCIE BYŁY JEDNAKIE.

BÓL SPRAWIA MI TO, ŻE TO ZADANIE - KTÓRE BYŁO DZIEŁEM

MEGO ŻYCIA - MIAŁO SKRYĆ TAK POTĘŻNĄ BUDOWLĘ.

WYKONAŁEM SVOJĄ PRACĘ.

ZASŁONILIŚMY WIELKI ŁUK OSUWISKIEM.

ZGODNIE Z ROZKAZEM WEJŚCIE KAPLAŃSKIE POZOSTAŁO OTWARTE

MOGĄ WIĘC DOKONYWAĆ SWOICH OBRZĘDÓW

KAPŁANI DOWIEDZĄ SIĘ O WSZYSTKICH CZYHAJĄCYCH

PULAPKACH.

DRUGA INSKRYPCJA Z GROBOWCA IMHOTEPY III:

TYLKO NAJWALECZNIEJSZE DUSZE

MOGĄ POKONAĆ STUDNIE USKRZYDLONYCH LWÓW.

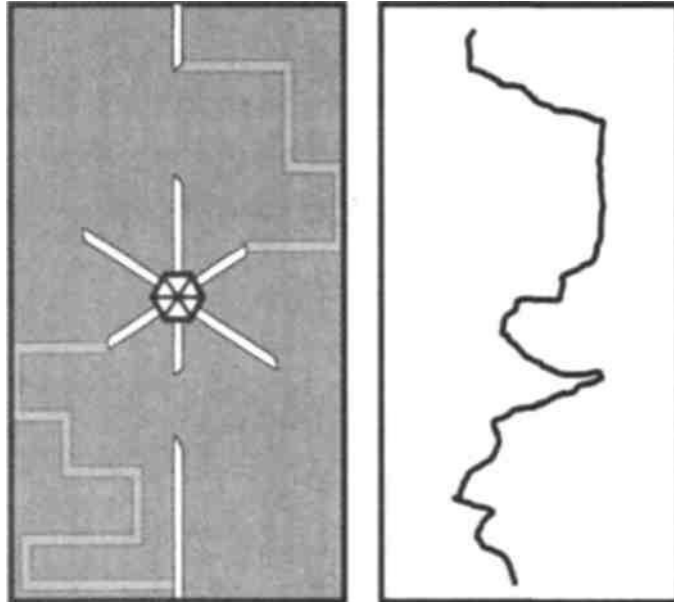
LECZ STRZEŻCIE SIĘ GROTY NINGIZZIDY,

TEMU, KTO WEJDZIE DO GROTY KRÓLA - WĘŻA,

DAM JEDNĄ TYLKO RADĘ:

PORZUĆ WSZELKĄ NADZIEJĘ,  
STAMTĄD NIE MA UCIECZKI.  
USKRZYDLONE LWY - POWSZECHNY W PERSJI/MEZOPOTAMII POSĄG  
NINGIZZIDA - ASYRYJSKI BÓG WĘŻY  
MOŻLIWE ODNIESIENIE DO WISZĄCYCH OGRODÓW BABILONU???

Kilka stron dalej znajdowały się dwa niestarannie nagryzmołone rysunki z podpisem „bezpieczne drogi”.



A dalej jeszcze jedno tłumaczenie, które zmusiło Mistrza do refleksji:

- Oho, to się odnosi do jednego z rytuałów, które trzeba odprawić ostatniego dnia.

**RYTUAŁ MOCY**

NA WYSOKIM OLTARZU RE,  
GDZIE SERCE OFIARY SPOCZYWA  
W OBJĘCIACH MŚCIWEGO ANUBISA,  
NAPEŁNIJ MARTWE SERCE BOGA  
JEDNYM DEBENEM SWEJ OJCZYSTEJ ZIEMI.  
WYPOWIEDZ TO STAROŻYTNE PRZYWOŁANIE ZŁA,  
A CAŁA ZIEMSKA MOC BĘDZIE W TWOIM WŁADANIU  
PRZEZ TYSIĄC LAT.

- Jeden deben ojczystej ziemi? - Wielkouchy wzruszył ramionami. - O co tu chodzi?

Zoe zaczęła wyjaśniać:

- Deben to stara egipska jednostka wagi, odpowiadająca około stu gramom. To pewnie znaczy, że...

Ale nagle Mistrz zerwał się z fotela i wydał stłumiony okrzyk na widok następnego fragmentu.

Z TAJEMNEJ EWANGELII ŚWIĘTEGO MARKA  
O ŚWICIE W DZIEŃ SĄDU,  
W OSTATNI STRASZNY DZIEŃ,  
W TEJ JEDYNEJ ŚWIĄTYNI NOSZĄCEJ OBA ICH IMIONA,  
NAWLECZ POTĘGĘ RE PRZEZ UCHA  
WZNIOSŁYCH IGIEŁ RAMZESA WIELKIEGO,  
OD DRUGIEJ SOWY PIERWSZEJ IGŁY  
DO TRZECIEJ DRUGIEJ IGŁY...

...I TAK ODNAJDZIESZ GROBOWIEC ISKANDERA,  
TAM ZNAJDZIESZ PIERWSZY FRAGMENT KOPUŁY.

Pod tą notatką Hessler nabazgrał:

GRÓB ISKANDERA - MIEJSCE POCHÓWKU ALEKSANDRA WIELKIEGO.  
ALEKSANDRA POCHOWANO WRAZ Z FRAGMENTEM KOPUŁY!

Mistrz usiadł z powrotem.

- Tajemna ewangelia świętego Marka. - Zoe wymieniła spojrzenie z Westem. - Heretycka ewangelia.

- Wyjaśnij - poprosił Wielkouchy.

- Mało kto o tym wie, ale święty Marek, gdy przebywał w Egipcie, napisał nie jedną, a dwie ewangelie. Pierwszą wszyscy dobrze znamy z Biblii. Druga wywołała za to takie zamieszanie, że prawie wszystkie jej kopie zostały przez wczesnych chrześcijan spalone, a Marka o mało nie ukamienowano.

- Dlaczego?

- Ponieważ ta tajemna ewangelia wspomina o wielu rzeczach, których dokonał za swojego życia Jezus - wtrąciła Zoe. - Wspomina o rytuałach. Zaklęciach. Drastycznych epizodach. Najbardziej niesławny to tak zwany homoseksualny incydent.

- Co takiego?! - wykrzyknął Wielkouchy.

- Epizod, w którym Jezus wyszedł z młodym mężczyzną i, według Marka, dokonał inicjacji na starożytny sposób. Niektórzy szukający sensacji autorzy interpretują to jako doświadczenie homoseksualne. Większość naukowców jednak przypuszcza, że był to jakiś rytuał związany z kultem Amona - Re, który później został zaadaptowany jako ryt inicjacyjny wolnomularzy, czyli wyznawców kolejnej wersji kultu słońca, pochodzącej ze starożytnego Egiptu.

- Teraz już rozumiesz, dlaczego nazwano ją heretycką ewangelią? - zapytał West.

- Tak - potwierdził Wielkouchy. - Ale czekajcie, masoni. Myślałem, że byli antykatolicycy.

- I są - odparła Zoe. - Ale wolnomularze nienawidzą Kościoła katolickiego tak, jak tylko rodzeństwo potrafi się nienawidzić. Są jak rywalizujący ze sobą bracia, dwie religie pochodzące z tego samego źródła. Podobnie jak Jerozolima

jest miejscem świętym dla judaizmu i islamu, tak katolicyzm i masoneria mają wspólne pochodzenie. Dwa odłamy wyrosłe z jednej religii - egipskiego kultu słońca. Ich drogi rozeszły się dawno temu. Poróżnił ich sposób interpretacji. West klepnął Wielkouche - go w ramię.

- To jest dość skomplikowane, bracie. Pomyśl o tym w ten sposób: Ameryka to państwo masońskie, a Europa - katolickie. Oba walczą teraz o główną nagrodę - złotą kopułę.

- Mówisz, że Ameryka to państwo masońskie. Sądziłem raczej, że jest na wskroś chrześcijańskie. Choćby południowe stany...

- To, że obywatele są chrześcijanami, nie znaczy, że państwo jest chrześcijańskie - powiedziała Zoe. - A zresztą, czym jest państwo? To grupa ludzi o wspólnym dziedzictwie, których łączy wspólna troska o dobrobyt i bezpieczeństwo. I to właśnie słowo jest najważniejsze - bezpieczeństwo. Widzisz, państwa mają swoje armie, religie nie. A kto dowodzi siłami zbrojnymi czegoś takiego jak Stany Zjednoczone?

- Prezydent i jego doradcy.

- Właśnie. A więc Amerykanie mogą być żarliwymi chrześcijanami, ale amerykańscy przywódcy, od czasów Jerzego Waszyngtona to masoni. Waszyngton, Jefferson, Roosevelt, jeden i drugi Bush. Od ponad dwustu lat masoni używają sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych Ameryki jak własnej, osobistej armii, do własnych, osobistych celów. Czary - mary i religia ma już swoją armię, a naród o niczym nie wie.

- Na masoński kult kopuły możesz natknąć się w Ameryce na każdym kroku. Zobacz, amerykańscy masoni zbudowali kopie wszystkich siedmiu cudów świata starożytnego.

- Niemożliwe... West zaczął wyliczać na palcach.

- Statua Wolności, którą zbudował czołowy francuski wolnomularz, Frederic - Auguste Bartholdi, to dokładna kopia kolosa z Rodos - nawet trzyma wzniesioną pochodnię, tak jak kolos. Woolworth Building w Nowym Jorku do złudzenia przypomina latarnię w Faros. Fort Knox jest zbudowany na takim samym planie jak mauzoleum w Halikarnasie. Posąg Zeusa, wielka postać siedząca na tronie, to pomnik Lincolna. Świątynia Artemidy - siedziba Sądu Najwyższego.

Wiszących ogrodów Babilonu nie można było dokładnie odtworzyć, bo nikt nie wie, jak wyglądały. Dlatego przed Białym Domem powstał rozległy ogród mający upamiętniać tamten cud. Powstał za kadencji Jerzego Waszyngtona i był dwukrotnie rozbudowywany - przez Thomasa Jeffersona i Franklina Roosevelta. Prezydent - katolik John F. Kennedy próbował zlikwidować ogród, ale nigdy mu się to nie udało. Kennedy nie przeżył, ogród owszem. Zmieniały się jego nazwy, teraz mówi się na niego Ogród Różany.

Wielkouchy splótł dłonie.

- A co z piramidą Cheopsa? Nie słyszałem o żadnej wielkiej piramidzie w Stanach.

- To prawda - odparł West. - Nie ma żadnej dużej piramidy w Stanach Zjednoczonych. Wiesz, co zaczęli budować starożytni Egipcjanie, kiedy przestali budować piramidy?

- Co?

- Obeliski. Obeliski stały się jedynym w swoim rodzaju symbolem kultu słońca. Ameryka też posiada jeden wielki obelisk - pomnik Waszyngtona. Co ciekawe, pomnik ma sto sześćdziesiąt dziewięć metrów wysokości, piramida Cheopsa natomiast tylko sto czterdzieści trzy, jest więc o dwadzieścia sześć metrów niższa. Ale kiedy dodamy do tego wysokość, na jakiej stoi piramida w Gizie, okaże się, że oba monumenty sięgają na tę samą wysokość nad poziom morza.

W trakcie tej dyskusji Mistrz przeglądał dziennik.

- Jedyna świątynia, która nosi oba ich imiona... - rozmyślał głośno. Nagle jego oczy zapłonęły. - To Luksor. Świątynia w Luksorze.

- Tak! Dobrze kombinujesz, Max! Masz rację! - Zoe trzepnęła go mocno w ramię.

- To by pasowało... - wtrącił West.

- Co by pasowało? - zapytał Wielkouchy, który nie po raz pierwszy dzisiaj nie rozumiał, o czym mówią.

- Świątynia Amona w Luksorze, w południowym Egipcie, powszechnie znana pod nazwą świątyni w Luksorze - odparła Zoe. - To jedna z największych atrakcji turystycznych Egiptu. Z wejściem zdobnym olbrzymimi pylonami, dwoma posagami siedzącego Ramzesa Drugiego i samotnym obeliskiem przed wejściem. Świątynia znajduje się na wschodnim brzegu Nilu w Luksorze czy, jak zwykło się mówić, w Tebach.

Budowę świątyni rozpoczęli poprzedni faraonowie, a Ramzes Drugi zupełnie ją przebudował i dlatego uważa się ją za jego dzieło. Została także znacznie powiększona, nie przez kogo innego, jak przez Aleksandra Wielkiego i dlatego...

- ...i dlatego jest to jedyna świątynia w całym Egipcie, gdzie Aleksander Wielki został nazwany faraonem - dodał Mistrz. - W samym Luksorze imię Aleksandra zostało wyryte hieroglifami. Jedyna świątynia, która nosi dwa imiona. Faktycznie, świątynia w Luksorze nosi imię Ramzesa Drugiego i Aleksandra.

- A co z „nawleczeniem potęgi Re przez ucha wzniosłych igieł Ramzesa Wielkiego?” - zapytał Wielkouchy.

- Wzniosłe igły to obeliski - odparł West. - Potęga Re, to moim zdaniem promienie Słońca. Światło słoneczne o świcie w dzień sądu - dzień, w którym pojawi się Tartar. Ten wers mówi nam, że kiedy pojawi się Tartar, promienie porannego słońca przejdą przez otwory w obeliskach i wskażą miejsce, gdzie znajduje się grobowiec.

- Powiedziałaś przecież, że w Luksorze stoi tylko jeden obelisk - zwrócił się Wielkouchy do Zoe.

- To prawda.

- No to po sprawie. Bez drugiego obelisku nie zobaczymy, którą wędruje promień słońca i nie znajdziemy grobowca.

- Niekoniecznie - odparł Mistrz. West i Zoe uśmiechnęli się do niego. I tylko

Wielkouchy nic nie rozumiał. Mistrz postanowił mu wszystko wyjaśnić.

- Drugi obelisk z Luksoru istnieje, tyle tylko że zmienił miejsce pobytu.

- Gdzie teraz jest?

- Tak jak wiele innych starożytnych obelisków zawędrował na Zachód - szybko wyjaśnił Mistrz. - Trzynaście obelisków znalazło się w Rzymie dzięki czczącemu słońce Kościołowi katolickiemu. Dwa powędrowały do Londynu i Nowego Jorku - to tak zwane Igły Kleopatry. Drugi obelisk sprzed świątyni w Luksorze stoi od tysiąc osiemset trzydziestego szóstego roku we Francji, na placu de la Concorde, w samym sercu Paryża, osiemset metrów od Luwru.

- Fragment Zeusa i obelisk - zauważyła Zoe. - Wygląda na to, że będziemy mieli podwójny kłopot w Paryżu.

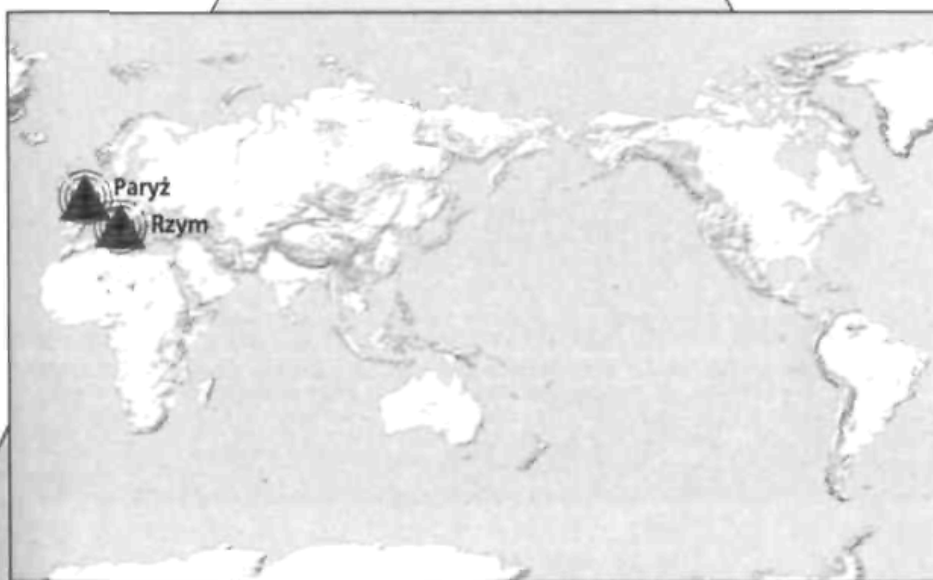
West rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Biedny Paryż - powiedział. - Nie wie, co go czeka.

# **MISJA CZWARTA**

## **POSĄG ZEUSA**

### **I ŚWIĄTYNIA ARTEMIDY**



**PARYŻ-RZYM**  
**18 MARCA 2006**  
**2 DNI PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU**



OBELISK W PARYŻU  
PLAC DE LA CONCORDE, PARYŻ



CHAMPS ELYSEES

PARYŻ, FRANCJA

18 MARCA 2006, GODZ. 11.00

2 DNI PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU

Jack West z dużą prędkością objeżdżał wynajętym samochodem z napędem na cztery koła szerokie rondo otaczające Łuk Triumfalny. Lily zajęła miejsce pasażera z przodu. Z tyłu rozsiedli się Kubuś Puchatek, Długi i Wielkouchy.

Wszyscy siedzieli w napięciu i milczeli. Czuli się tak, jak żołnierze wypełniający misję specjalną na terytorium wroga.

Centrum Paryża ma kształt krzyża.

Dłuższe ramię to Champs Elysees, które ciągną się od Łuku Triumfalnego aż do Luwru. Krótsze, poziome ramię krzyża wyznacza gmach Zgromadzenia Narodowego z jednej strony i olśniewający kościół Świętej Marii Magdaleny z drugiej.

Ale najistotniejsze jest to, co znajduje się na przecięciu ramion krzyża.

Plac de la Concorde.

W czasach rewolucji francuskiej stał się sławny jako miejsce egzekucji setek szlachetnie urodzonych. To tu stała pierwsza gilotyna.

Dzisiaj, na samym środku placu, w samym środku Paryża stoi wysoko wznoszący się w niebo egipski obelisk.

Drugi obelisk ze świątyni w Luksorze.

Ten paryski obelisk odróżnia od wszystkich innych, czy to znajdujących się w Egipcie, czy poza jego granicami, jedna charakterystyczna cecha - jego zwieńczenie w kształcie piramidionu jest pokryte złotem. Na innych obeliskach stosowano elektrum, rzadko spotykany stop złota i srebra. Co ciekawe, złoty piramidion jest współczesnym pomysłem, został umieszczony na obelisku w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku.

- Puchatek - odezwał się zza kierownicy West. - Sprawdziłeś katakumby?

- Tak. Nic tam nie ma. Brama wejściowa znajduje się pod mostem Charles'a de Gaulle'a, tunel prowadzi cały czas pod bulwarem Diderota. Zamki zablokowałem.

- Długi. Pociąg?

- TGV. Peron dwudziesty trzeci. Odjeżdża o dwunastej czterdzieści cztery. Pierwszy przystanek w Dijon.

- Dobrze.

West jechał teraz Champs Elysees, mając przed sobą szeroki bulwar i rosnący z każdą chwilą w oczach obelisk, który miał pewnie z sześć pięter wysokości.

Wiózł w samochodzie ekwipunek wspinaczkowy - liny, haki, karabińczyki, dzięki którym mógł wspiąć się na obelisk i dokładnie go zbadać. Miał nadzieję, że będzie wyglądał na kolejnego poszukiwacza wrażeń i zdoła ulotnić się przed

przybyciem policji. Potem jego zespół będzie musiał udać się do Luwru, gdzie czekała ich trudniejsza, bardziej niebezpieczna misja. Kiedy byli już blisko i spojrzął na obelisk...

- Och, nie... - westchnął.

Cała dolna połowa obelisku była osłonięta trzypiętrowymi rusztowaniami, pokrytymi na dodatek siatką ochronną. Na dole, przy jedynym wejściu na rusztowanie stało sześciu ochroniarzy.

Duży napis po francusku i angielsku przeproszał za niedogodności i obwieszczał, że obelisk został osłonięty z powodu rutynowych prac porządkowych.

- Czyszczą go - zakpił Długi. - Cóż za zbieg okoliczności, nie sądzisz? Stoją za tym nasi rywale z Europy.

- Heretycka ewangelia Marka jest powszechnie znana. Istnieje na świecie kilka jej kopii - powiedział West. - Del Piero na pewno miał jedną. Pewnie już zbadał i pomierzył obelisk, a ponieważ nie mógł go stąd usunąć, otoczył rusztowaniami, zamykając nam dostęp. A to, psia krewo, znaczy, że jest blisko odnalezienia grobowca Aleksandra i zdobycia górnego fragmentu kopuły.

West wpatrywał się w otoczony rusztowaniami obelisk, zastanawiając się nad zmianą planów.

- To wszystko zmienia. Wcale nie musimy się zająć w pierwszej kolejności obeliskiem. Idziemy do Luwru, tak jak planowaliśmy. Dopiero potem rzucimy okiem na obelisk.

- Chyba żartujesz - rzekł Długi. - Jak ujdziemy z życiem? Połowa żandarmerii będzie nam siedziała na karku.

- Próbując się teraz dostać do obelisku, zwrócilibyśmy na siebie uwagę - powiedział West. - Miałem nadzieję, że uda mi się niepostrzeżenie wspiąć na górę i zniknąć. Lecz to niemożliwe. Ale po tym, co zamierzamy zrobić w Luwrze, w Paryżu zapanuje takie zamieszanie, że bez problemu przedrzemy się przez posterunek ochrony przy obelisku. Pojazd, którym mieliśmy uciekać, bardzo się przyda.

- Nic nie wiem o... - zaczął Długi.

- Nikogo nie obchodzi, co wiesz, a czego nie, Izraelczyku - zdenerwował się Kubuś Puchatek. - Prawdę mówiąc, twoje wieczne wątpliwości zaczynają mnie irytować. Masz wykonywać rozkazy Myśliwego. On tu dowodzi.

Długi powstrzymał emocje i ugryzł się w język.

- Tak jest. Wykonam.

- Dobrze - powiedział West. - Plany dotyczące Luwru nie ulegają zmianie. Wielkouchy, wchodzisz ze mną i Lily do środka. Puchatek, Długi, szykujecie drogę odwrotu i czekacie, aż wyskoczymy.

- Rozkaz - odparł Kubuś Puchatek.

Dwadzieścia minut później West, Lily i Wielkouchy przeszli bez broni, przez nikogo niezatrzymywani, przez bramki kontrolne ustawione przy wejściu.

Wysoko nad ich głowami piętrzyła się powszechnie znana piramida ze szkła, wpuszczając do środka strumienie oślepiającego światła.

- To jakaś powtórka z Dana Browna - powiedział Wielkouchy, spoglądając na szklane tafle piramidy.

- W Kodzie Leonarda da Vinci nie zrobili czegoś takiego, co zamierzamy zrobić - odparł złowrogim tonem West.

Lily stanowała doskonałą przykrywkę. W końcu ilu bandziorów wchodzi do budynku, trzymając za rękę małą dziewczynkę?

Zadzwoniła komórka Westa.

To był Kubuś Puchatek.

- Pojazd gotowy. Czekamy na was.

- Dajcie nam dziesięć minut - odpowiedział West i rozłączył się.

Osiem minut później West i Wielkouchy byli przebrani w białe kombinezony firmy sprzątającej, zabrane dwóm nieszczęśnikom leżącym teraz bez przytomności w magazynie w podziemiach muzeum.

Weszli do skrzydła Denona i zaczęli się wspinać po robiących wrażenie schodach Daru. Oplatały klatkę schodową, to niknąc, to znów pojawiając się pod wysokimi łukami. Aż wreszcie ich oczom ukazał się stojący na samotnym postumencie u szczytu szerokich schodów posąg Nike z Samotraki.

Rzeźba po prostu zapierała dech w piersiach.

Bogini stała dumnie, jej pierś owiewał wiatr, skrzydła miała szeroko rozpostarte, przemoczona tunika oplatała ciało perfekcyjnie wyrzeźbione w marmurze.

Wysoka na blisko dwa metry, umieszczona na półtorametrowym marmurowym postumencie, górowała nad kłębiącym się wokół niej tłumem turystów.

Gdyby nie brak głowy, Nike byłaby zapewne równie sławna jak Wenus z Milo, która także znajdowała się w kolekcji Luwru, gdyż arcyzm, z jakim wykonano posąg bogini zwycięstwa, przewyższał nawet arcyzm wykonania Wenus.

Zdawało się to dostrzegać kierownictwo Luwru, nawet wbrew opinii publiczności; posąg Nike był wystawiony w eksponowanym miejscu, na piętrze, u szczytu schodów, niedaleko Mony Lizy, Wenus zaś przypadło w udziale miejsce w podziemiach.

Marmurowy cokół, na którym stał posąg, przypominał kształtem spiczasty dziób okrętu, choć w rzeczywistości był to fragment oparcia tronu Zeusa, odłamany od całości.

Gdyby ktoś przyjrzał się dokładniej, dostrzegłby nawet kciuk Zeusa.

Nasuwał się jeden nieodparty wniosek - skoro posąg bogini zwycięstwa był tak duży, to postać Zeusa, jeden z cudów świata, musiał być po prostu ogromny.

Usytuowanie posągu akurat na pierwszym piętrze stanowiło dla Westa dodatkowe utrudnienie.

Jak wszystkie pozostałe najcenniejsze zbiory Luwru, także te wyeksponowane na pierwszym piętrze, Nike była chroniona przez specjalny system laserowy. Gdyby obraz bądź rzeźba zostały zabrane ze swojego miejsca, promień lasera natychmiast by to wychwycił i we wszystkich drzwiach opadłyby automatycznie stalowe kraty, zamykając złodzieja w środku.

Jednakże zbiory na pierwszym piętrze były dodatkowo chronione: schody Daru ze wszystkimi swoimi zakrętami miały własne stalowe kraty, gotowe w każdej chwili uwięzić złodzieja. Owszem, można było uszkodzić dzieło, ale na pewno nie ukraść.

Przebrani w kombinezony robocze West i Wielkouchy wspięli się po schodach i stanęli przed posągiem bogini.

Zaczęli przesuwac donice z drzewkami, ustawione wokół postumentu. Żaden z nielicznych o tej porze zwiedzających nie zwrócił na nich uwagi.

West umieścił kilka donic z drzewkami po lewej stronie posągu, a Wielkouchy postawił dwie donice w przejściu, które prowadziło do południowego skrzydła, wychodzącego na Sekwanę. W tym właśnie przejściu czekała Lily.

Nadal nikt nie zwracał na nich uwagi.

Wyglądali jak zwyczajni robotnicy, wykonujący może dziwną, ale na pewno zleconą im pracę.

W końcu West postawił przed posągiem zasłonę, wcześniej zabraną z jednego z magazynów, na której napisano: „Prace konserwatorskie”.

Kiedy posąg był już zasłonięty przed oczyma ciekawskich, West wymienił z Wielkouchym porozumiewawcze spojrzenie, przełknął ślinę i sam nie wierząc w to, co czyni, wszedł na cokół, który był tak naprawdę poręczą tronu Zeusa, i zepchnął boginię zwycięstwa z Samotraki, bezcenną bryłę marmuru liczącą dwa tysiące dwieście lat - na podłogę.

Już w chwili kiedy posąg poruszył się o centymetr, zaczęły wyć syreny i błyskać czerwone światła alarmowe.

We wszystkich drzwiach i przejściach zaczęły opadać stalowe kraty, odgradzając klatkę schodową z posągiem od reszty pomieszczeń. We wszystkich przejściach, prócz jednego - tego prowadzącego do południowego skrzydła.

Owszem, potężna krata z łoskotem opadła, tyle że zatrzymała się pół metra nad posadzką, zablokowana przez dwie potężne donice, które chwilę wcześniej postawił tam Wielkouchy.

To była ich droga ucieczki.

Posąg Nike wylądował na dwóch drzewkach, które West tam postawił, by zamortyzować upadek.

West zeskoczył do przewróconego posagu i uważnie obejrzał mały marmurowy piedestał, na którym stała Nike.

Wziął do ręki zabrany wcześniej z magazynu klucz francuski.

- Może wszyscy archeolodzy świata mi wybaczą - powiedział, zamachnął się i z całych sił uderzył.

Zwiedzający, którzy stali u szczytu schodów, nie mieli pojęcia, co się dzieje. Kilkoro z nich próbowało zajrzeć za zasłonę odgradzającą ich od posagu, ale tam napotkali wściekle spojrzenie Wielkouchego.

Po trzecim uderzeniu stalowym narzędziem marmurowy piedestał rozpadł się na kawałki i oczom Westa ukazała się wykonana ze szczerzego złota bryła, której boki miały około trzydziestu centymetrów długości.

To był trzeci fragment złotej kopuły. Dotychczas skryty w marmurowej bryle piedestału.

- Lily! - zawołał West. - Chodź, spójrz na to! Na wszelki wypadek, gdybyśmy mieli go stracić!

Lily podbiegła, spojrzała na lśniąca bryłę złota i wyryte na niej tajemnicze symbole.

- Kolejne wersy obu zaklęć - powiedziała.

- Dobrze. Uciekamy - rozkazał West.

Bryła złota powędrowała do przepastnego plecaka Wielkouchego. Lily biegła pierwsza. Przecisnęli się pod zablokowaną przez donice kratą i zniknęli w drzwiach prowadzących na południe, wcześniej kopnięciem przewracając donice. Krata opadła do samej posadzki, zamykając drogę pogoni.

Z łomoczącymi w piersiach sercami, bez tchu biegli długim korytarzem.

Za plecami słyszeli okrzyki - to straż rzuciła się za nimi w pościg.

- Puchatek! Jesteś tam?! - krzyknął West do mikrofonu.

- Czekamy! Tylko nie pomylcie okien!

- Zaraz się spotkamy! Korytarz, którym biegli, kończył się ostrym zakrętem w prawo. Dalej ciągnęła się przeraźliwie długa sala, będąca najbardziej na południe wysuniętą częścią pałacu. Całą lewą ścianę sali wypełniały na przemian zawieszane na niej dzieła sztuki i wysokie francuskie okna wychodzące na Sekwanę. I właśnie stamtąd nadbiegała z wrzaskiem cała grupa uzbrojonych strażników.

West cisnął trzymany w ręce klucz francuski w najbliższe okno. Szyba pękła i szkło rozsypało się wokół.

Wyrzwał przez okno.

Na wprost niego, odwrócony twarzą do nich, stał Kubuś Puchatek. A stał na górnym, odkrytym pomoście piętrowego autobusu!

Luwr od Sekwany oddzielała tylko wąska droga biegnąca wzdłuż rzeki. Wznosiła się, zbliżając do mostu, następnie opadała i niknęła w czeluści tunelu.

Właśnie na tej ulicy, tuż pod murami Luwru, Puchatek zaparkował skradziony wcześniej autobus. Był to typowy piętus z otwartym górnym

pokładem, jakich pełno krąży z turystami po ulicach Paryża, Londynu czy Nowego Jorku.

- Na co czekacie?! - krzyknął Kubuś Puchatek. - Jazda!

- Już!

West pierwszą wypchnął Lily, następnie Wielkouchego z plecakiem obciążonym cenną zawartością i w końcu sam wyskoczył z okna pierwszego piętra wprost na pokład autobusu - akurat kiedy strażnicy muzeum zaczęli do niego strzelać.

W chwili gdy stopy Westa dotknęły podłogi pojazdu, siedzący za kierownicą Długi wcisnął pedał gazu i autobus gwałtownie ruszył z miejsca.

Wielki, czerwony piętus przechylał się niebezpiecznie na zakrętach, kiedy Długi z wydawałoby się niemożliwą do osiągnięcia prędkością przeciskał się przez zakorkowaną w południowym szczycie Paryż.

Z oddali słychać było syreny policyjne.

- Skreć w lewo i jeszcze raz w lewo! - krzyknął West. - Z powrotem naokoło Luwru! Wracamy pod obelisk!

Autobus z dużą prędkością wziął zakręt. West zszedł do kabiny kierowcy i spojrzał Długiemu przez ramię.

- A jak już będziemy na miejscu, to co dalej? - zapytał Długi.

West spojrzał przed siebie. Obelisk wyłaniał się znad linii drzew po lewej stronie i rósł w oczach. Jego dolna połowa wciąż była osłonięta rusztowaniami.

- Musisz staranować rusztowanie.

Autobus o mało się nie przewrócił, kiedy z piskiem opon wpadł na plac de la Concorde.

Ochroniarze stojący przy rusztowaniu w ostatniej chwili zorientowali się, co się dzieje, i zdołali odskoczyć na bok, nim autobus z hukiem uderzył w jeden z narożników rusztowania, odrywając go od reszty konstrukcji. Uderzenie sprawiło, że autobus zadrżał i zatrzymał się.

W tej samej chwili na górnym pokładzie pojawiła się sylwetka Westa, który błyskawicznie wspinał się na rusztowanie. Przez ramię przewiesił zwój liny, a w wolnej ręce trzymał sprzęt do wspinaczki.

West wdrapywał się po rusztowaniu, aż w końcu stanął na najwyższym pomoście i ujrzał sam obelisk.

Był wielkości sporej dzwonnicy i cały pokryty głęboko wrytymi hieroglifami. Swoim wierzchołkiem sięgał nieba, wysoko nad głową Westa.

Hieroglify miały spore rozmiary i tworzyły poziome wersy przeciętnie po trzy znaki w linii. Przedstawiały wyobrażenia Ozyrysa i przeróżnych zwierząt: sokoła, osy, a w najwyższym rzędzie także sowy.

West zaczął się pięć na szczyt obelisku, zupełnie jak chłopiec wchodzący na czubek wysokiego drzewa.

- West! Widzę sześć radiowozów jadących Champs Elysees! - usłyszał w słuchawce donośny głos Długiego.

- Daleko są?

- Będą tu za jakieś półtorej minuty.

- Informuj mnie. Chociaż prawdopodobnie będziemy mieli większe zmartwienia niż obecność paryskiej policji.

West szybko wspinał się na wierzchołek obelisku, coraz wyżej i wyżej. W końcu autobus stojący na dole wydał się tylko małą zabawką.

Wreszcie dotarł na szczyt, ponad dwadzieścia metrów nad ziemią. Oślepiła go słońce, którego promienie odbijały się w pozłacanym piramidonie.

Przypomniał sobie cytat z dziennika Hesslera:

NAWLECZ POTĘGĘ RE PRZEZ UCHA

WZNIOSŁYCH IGIEŁ RAMZESA WIELKIEGO,

OD DRUGIEJ SOWY PIERWSZEJ IGŁY

DO TRZECIEJ DRUGIEJ IGŁY...

...I TAK ODNAJDZIESZ GROBOWIEC ISKANDERA.

- Trzecia sowa drugiego obelisku - powtórzył na głos.

Faktycznie w drugiej linii tego obelisku, drugiego obelisku z Luksoru, były narysowane obok siebie trzy sowy. Przy głowie trzeciej znajdował się mały okrąg symbolizujący słońce.

Zdał sobie sprawę, że niewielu ludzi na świecie widziało te hieroglify z bliska, skoro umieszczono je na takiej wysokości. Ale teraz West patrzył na nie i

wizerunek słońca wydał mu się nieco dziwny; nie wyglądał jak zwykle, wyryte w kamieniu wgłębienie, tylko jak jakaś wtyczka...

West pociągnął ją i jego oczom ukazał się biegnący w głąb obelisku idealnie okrągły otwór o średnicy może dwóch palców.

Zupełnie jak dzieciak skaczący po palmie kokosowej, West przeszedł na drugą stronę obelisku, gdzie znalazł identyczną wtyczkę. Tu także mechanizm zadziałał i okazało się, że otwór wiedzie na przestrzał przez cały obelisk.

- West, pospiesz się! Gliny już tu prawie są...

West zignorował ostrzeżenia Długiego i wyjął z kieszeni dwa urządzenia: laserowy wysokościomierz, żeby zmierzyć dokładnie, na jakiej wysokości występuje tajemniczy otwór oraz cyfrowe urządzenie do mierzenia kątów, które pozwoli mu pomierzyć zarówno boczne, jak i pionowe kąty otworu.

Z takimi pomiarami może się później udać do Luksoru i tworząc wirtualny obraz obelisku, odnaleźć położenie grobowca Aleksandra Wielkiego.

Wysokościomierz zapiszczał. Pomiar dokonany.

Teraz kolej na kątomierz. Znowu pisk. Kąty zmierzone.

Czas wracać.

Ześlizgiwał się z obelisku z szeroko rozstawionymi nogami, tak jak to czynią strażacy zjeżdżający po drabinie.

Jego stopy dotknęły najwyższego podestu rusztowania akurat w chwili, gdy sześć policyjnych radiowozów z piskiem opon wpadło na plac de la Concorde i zatrzymało się na samym środku. Wyskoczyło z nich z tuzin gliniarzy.

- Długi! Odpalaj! Jedziemy! - krzyknął West, zbiegając po trzypoziomowym rusztowaniu. - Skróć sobie drogę!

Autobus wyjechał tyłem spod rusztowania, potem Długi zmienił bieg i kiedy autobus ruszył do przodu, West skoczył z rusztowania wprost na podłogę górnego pokładu.

Od chwili ich śmiałej akcji w Luwrze w pościg za nimi zaangażowano wszystkie dostępne siły.

Jak można się było spodziewać, o zuchwałej kradzieży w Luwrze bez przerwy mówiło się przez radio na częstotliwościach policyjnych, na częstotliwościach, których słuchały także inne siły działające w tym państwie.

Długi nie zdawał sobie sprawy, że na najwyższym szczeblu podjęto decyzję o odsunięciu policji od całej sprawy. Pościg miała teraz prowadzić francuska armia. Tak jak przewidywał West.

Dlatego też, kiedy czerwony autobus ruszył z miejsca i zaczął oddalać się od obelisku okolonego zdewastowanym rusztowaniem, policja paryska nie ruszyła za nim w pogoń. Ograniczyła się tylko do otoczenia całego placu.

Chwilę później pięć pomalowanych na zielono, naszpikowanych lufami lekkich samochodów opancerzonych śmignęło przez plac i ruszyło za dużym, ciężkawym autobusem.



Trąbiły klaksony i wyły syreny, gdy piętrowy autobus po raz drugi dzisiejszego dnia przebijał się przez spory uliczny ruch, panujący na Quai des Tuileries, ulicy ciągnącej się wzdłuż Sekwany. Kierowca autobusu nie zważał na czerwone światła na skrzyżowaniach, wywołując kompletny chaos.

Za autobusem pędziło pięć wojskowych pojazdów.

Były to lekkie samochody opancerzone Panhard VBL z trzyosobową załogą. Każdy miał pod maską potężny silnik Diesla, napęd na cztery koła i niskie, opływowe nadwozie. Szybki i zwrotny, wyglądał jak opancerzona wersja zwykłej terenówki.

Panhardy, które ściagały Westa, były wyposażone między innymi w długolufowe karabiny maszynowe kalibru 12,7 mm, a część z nich miało przeciwpancerny zestaw rakietowy TOW.

Pościg dopiero się rozpoczął, a wojsko już siedziało Westowi na karku. Z goniących go pojazdów posypał się grad pocisków, wybijając wszystkie szyby po lewej stronie autobusu. Ostrzał skończył się dopiero wtedy, gdy autobus zniknął w czeluściach tunelu.

Dwa panhardy próbowały wyprzedzić w tunelu autobus, ale Długi zauważył ten manewr i zaczął jechać zygzakiem. Oba pojazdy wpadły w poślizg, przewróciły się, zaczęły koziołkować i zatrzymały w końcu kołami do góry.

Na górnym pokładzie Kubuś Puchatek i West, z trudem utrzymując równowagę podczas manewrów Długiego, próbowali strzelać do goniących ich pojazdów. Puchatek szczególnie przymierzał się do panharda wyposażonego w wyrzutnie pocisków rakietowych.

- Mają rakiety! - wrzasnął do Westa.

- Nie użyją ich! Nie będą ryzykować zniszczenia kopuły! - odkrzyknął West.

- West! Za chwilę postawią na drodze blokadę! Co robimy? - rozległ się w radiu głos Długiego.

- Jedź szybciej! - odpowiedział West. - Musimy się dostać na most de Gaulle'a...

Tunel się skończył i w świetle słońca ujrzeli nad swoimi głowami dwa francuskie śmigłowce.

Jednym z nich był mały śmigłowiec bojowy Gazele - zgrabny, szybki, zwrotny i naszpikowany bronią.

Drugi był większy i robił wrażenie - to Super Puma - śmigłowiec desantowy, odpowiednik amerykańskiej maszyny Super Stallion. Zabierał na pokład dwudziestu pięciu uzbrojonych ludzi. I tyłu właśnie siedziało teraz wewnątrz.

Śmigłowiec leciał nisko nad autobusem wzdłuż północnego brzegu Sekwany. W pewnej chwili otworzyły się boczne drzwi i w kierunku ziemi sfrunęły liny. Nareszcie stało się jasne, jaki plan mają Francuzi.

Zamierzali zdobyć autobus szturmem, i to pędzący autobus.

W tej samej chwili trzem pozostałym panhardom udało się wyprzedzić autobus i niejako wziąć go w kleszcze.

- No to mamy przesrane - powiedział głucho Długi.

Mimo to szarpnął gwałtownie kierownicą i autobus z impetem uderzył w znajdujący się przy jego prawym boku francuski pojazd. Panhard wypadł z jezdni, przebił barierkę ochronną, pofrunął wysoko w górę i wreszcie z głośnym pluskiem wpadł do rzeki.

West usiłował zestrzelić wiszący nad nimi olbrzymi śmigłowiec, ale ogień prowadzony z drugiego helikoptera zmusił go do położenia się na podłodze. Prawie wszystkie fotele na górnym pokładzie były już podziurawione kulami.

- Długi! Jedź zygzakiem - krzyknął West, ale było już za późno.

Dwóch pierwszych francuskich komandosów wylądowało z łomotem na podłodze górnego pokładu pędzącego autobusu, zaledwie o kilka metrów od Westa.

Natychmiast go spostrzegli, gdy leżał w przejściu między siedzeniami, wystawiony na strzał. Unieśli broń i mieli pociągnąć za spust, gdy nieoczekiwanie podłoga pod ich stopami została podziurawiona serią wystrzeloną z wnętrza autobusu.

Obaj żołnierze padli martwi, a wtedy na schodach prowadzących na górny pokład ukazała się głowa Kubusia Puchatka.

- Trafiłem? Trafiłem? Jesteś cały? - zadawał gorączkowo pytania.

- Nic mi nie jest - odparł West, zbiegając na dolny pokład. - Dalej, musimy dotrzeć do mostu de Gaulle'a, zanim ten autobus się rozsypie!

Wznoszący się i opadający bulwar nadrzeczny, którym w tej chwili mknęli, stanowi atrakcję turystyczną: po minięciu Luwru biegnie na wysokości pierwszej z dwóch wysp leżących w nurcie Sekwany, Ile de la Cite. Bulwar z wyspą łączy w tym miejscu liczne mosty.

Jadąc dalej prosto, dociera się do ulicy Arsenалу - miejsca, gdzie niegdyś stała Bastylia.

Dalej mija się dwa mosty: Austerlitz i Charles'a de Gaulle'a. Ten ostatni znajduje się w bardzo nowoczesnej dzielnicy, gdzie mieści się siedziba Ministerstwa Gospodarki, Finansów i Przemysłu. Tuż obok jest Gare de Lyon, olbrzymi dworzec kolejowy, z którego odjeżdżają ekspresy do południowo - wschodniej Francji.

Czerwony autobus mknął dalej nadbrzeżnym bulwarem, rozpędzając na boki przypadkowe samochody i taranując pojazdy wojskowe, usiłujące mu zajechać drogę. Przejechał pod kilkoma kładkami dla pieszych i estakadami. W pewnym momencie z prawej strony wyłoniła się wspaniała bryła katedry Notre Dame, ale w tym autobusie pasażerowie w ogóle nie zwrócili na nią uwagi.

Mimo usilnych starań Długiego, by jechać zygzakiem, kiedy West skrył się na dolnym pomoście, kolejni żołnierze bez trudu opuszczali się ze śmigłowca na górny pokład.

Najpierw wylądowało dwóch, po chwili następnych dwóch, i następnych, i tak dalej.

W tej chwili było ich już ośmiu. Ostrożnie, z uniesionymi lufami pistoletów maszynowych zbliżali się do schodów, gotowi za chwilę przypuścić szturm na dolny pokład.

West wpadł na pomysł.

- Długi! Oni łązą po całym dachu! Widzisz ten zjazd przed nami i estakadę nad nim?! Wjedź tam! - krzyknął.

Tuż przed nimi była kolejna estakada i prowadzący do niej zjazd, oddzielony od drogi niskim betonowym murem. Dalej zjazd zamieniał się w tunel pod estakadą.

- Co takiego?! - wrzasnął Długi.

- Rób, co mówię! - krzyknął West. - Uwaga wszyscy. Trzymajcie się mocno.

Długi skierował się w stronę zjazdu, po czym nieoczekiwanie szarpnął kierownicą w lewo. Autobus uderzył w betonowy mur i przechylił się niebezpiecznie, aż w końcu przekoziółkował i zaczął staczać się z powrotem na nadbrzeżny bulwar, miażdżąc przy tym francuskich żołnierzy.

Koziółkował tak jeszcze kilka razy, nim wreszcie stanął na kołach i ruszył w dalszą drogę.

Wewnątrz autobusu świat wirował jak oszalały, a razem z nim siedzący w środku pasażerowie, włącznie z Lily. Na szczęście nikomu nic poważnego się nie stało.

Wszyscy jeszcze leżeli na ziemi, kiedy West poderwał się i wkroczył do akcji.

Kiedy ich pogruchotany autobus wyjechał z tunelu i znalazł się na ulicy Arsenалу, Jack przejął od Długiego kierownicę. Gdy żołnierze zobaczyli, do czego jest zdolny West, śmigłowiec skręcił nieco w lewo i leciał teraz nad rzeką, równoległe do pędzącego autobusu.

Po chwili wyłonił się nowoczesny, cały ze szkła i aluminium, kompleks wieżowców Ministerstwa Gospodarki.

- Przed nami most Austerlitz - powiedział Kubuś Puchatek, wychylając się zza ramienia Westa. - Następny jest de Gaulle'a.

- Rozumiem - odparł West. - Powiedz wszystkim, żeby przygotowali aparaty tlenowe i maski, a potem stanęli przy drzwiach. Idź!

Kubuś Puchatek zebrał wszystkich razem: Lily, Długiego i Wielkouchego i ustawił przy bocznych drzwiach.

Autobus minął most Austerlitz i mknął dalej w kierunku następnego - mostu de Gaulle'a. Za nim w niebo strzelały szklane wieże Ministerstwa Gospodarki.

Z nadbrzeżnego bulwaru zjechali teraz w bok, na estakadę prowadzącą na most, lecz w przeciwieństwie do innych samochodów West nie zwolnił, przeciwnie - jeszcze dodał gazu.

Wpadli na most z zapierającą dech w piersi prędkością. Wyglądało na to, że jest to ostatni wyczyn ich poobłąkowanego piętrusa. I rzeczywiście, autobus uderzył z impetem w niską barierkę i poszybował łukiem nad wodami Sekwany. W końcu przód pojazdu pochylił się i autobus zaczął spadać wprost do rzeki. West błyskawicznie wybiegł z kabiny kierowcy i nim pojazd zetknął się z taflą wody, cała ekipa wyskoczyła bocznymi i tylnymi drzwiami.

W jednej chwili rozległ się głośny plusk - to autobus uderzył w tafłę wody - oraz cztery o wiele cichsze - w nurcie rzeki znaleźli się także ludzie, którzy w ostatniej chwili wyskoczyli z pojazdu.

Ku zdumieniu załogi obu śmigłowców, nikt nie wypłynął na powierzchnię.

Wszyscy szczęśliwie przeżyli zetknięcie z wodą i z maskami na twarzach oraz aparatami tlenowymi zgromadzili się wokół Westa.

Płynęli w mętnej, brązowej wodzie rzeki, kierując się ku wybrukowanemu kocimi łbami północnemu nabrzeżu pod mostem Charles'a de Gaulle'a.

To właśnie tutaj, pod powierzchnią wody znajdowały się stare, siedemnastowieczne, kompletnie zardzewiałe wrota. Tylko kłódka, która broniła do nich dostępu, wyglądała na solidną i zupełnie nową. Na szczęście wcześniej, przed przystąpieniem do akcji w Luwrze, Kubuś Puchatek był tu z nożycami do przecinania prętów. Kłódka wisiała na swoim miejscu i dla postronnego obserwatora wyglądała na nienaruszoną. Ale Puchatek naciął jej sworzeń z tyłu, tak że teraz jednym szarpnięciem zdołał ją zdjąć.

Za wrotami ceglany korytarz niknął gdzieś w nieprzeniknionym mroku. Trójka wpłynęła do środka, a Wielkouchy zamknął za nimi ciężkie wrota i powiesił nową kłódkę, identyczną z poprzednią.

Po blisko dwudziestu metrach korytarz rozszerzył się w coś na kształt kanału ściekowego.

Stali teraz po kolana w cuchnącej wodzie.

- Architektura gotycka? - zapytał Długi z udawaną powagą.

- Chrześcijańskie katakumby z siedemnastego wieku - odparł Kubuś Puchatek. - Ciągną się pod całym Paryżem. Ponad dwieście siedemdziesiąt kilometrów tuneli i katakumb. Ten tunel biegnie pod bulwarem Diderota. Miniemy Ministerstwo Gospodarki i doprowadzi nas do dworca kolejowego.

West spojrział na zegarek. Była dwunasta trzydzieści pięć.

- Chodźcie - powiedział. - Musimy złapać pociąg.

Trzy ocalałe z pościgu panhardy wpadły na most. Po chwili wysypali się z nich żołnierze. Wielki, czerwony autobus unosił się jeszcze na wpół zanurzony w wodzie.

Śmigłowce krążyły nad miejscem katastrofy w poszukiwaniu rozbitków.

Gapie zaczęli się coraz liczniej gromadzić na moście.

Specjalne oddziały komandosów wysłano do Ministerstwa Gospodarki i na dworzec Austerlitz, stojący tuż obok zjazdu z mostu, na południowym brzegu Sekwany.

Wstrzymano odjazd wszystkich pociągów.

Na wszelki wypadek takie same środki bezpieczeństwa zarządzono na odleglejszym, położonym na północy Gare de Lyon.

Ostatnim pociągiem, któremu udało się tego dnia odjechać z Gare de Lyon, był ekspres TGV z Paryża do Genewy przez Dijon o dwunastej czterdzieści cztery.

Godzinę później West i pozostali wysiedli z pociągu na stacji w Dijon przebrani w suche ubrania i szeroko uśmiechnięci.

Tam złapali lot czarterowy do Hiszpanii, gdzie czekał Sky Monster z Halikarnasem. Bez zwłoki ruszyli w drogę powrotną do Kenii.

Ich uśmiechy mówiły wszystko.

Po dwóch nieudanych próbach w końcu zdobyli kawałek złotej kopuły.

Wreszcie mieli argument w rękę i włączyli się do gry.

## BAZYLIKA ŚWIĘTEGO PIOTRA

WATYKAN

18 MARCA 2006, 12.45

2 DNI PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU

W tej samej chwili, dwa tysiące kilometrów dalej, w Rzymie mężczyzna z długą brodą, w czarnej sutannie księdza przemierzał rozległy plac przed Bazyliką Świętego Piotra, wspaniałą wysoko sklepioną katedrą zaprojektowaną przez Michała Anioła, miejscem najświętszym dla Kościoła rzymskokatolickiego.

Stary, przygarbiony, siwobrody, pomarszczony Max Epper świetnie odgrywał rolę księdza, który udaje się z pielgrzymką do Watykanu.

Obok niego podążała Zoe i Kędzierzawy. Kiedy przecinali wypełniony setkami turystów plac, wzrok Zoe spoczął na potężnym kamiennym obelisku, stojącym na samym środku placu i dumnie sięgającym nieba.

- Kult Amona - Re - beznamiętnie powiedział Mistrz, mijając obelisk.

Zoe obejrzała się za siebie i popatrzyła na egipską budowlę dumnie wznoszącą się przed najważniejszą świątynią Kościoła katolickiego.

W końcu wzruszyła ramionami.

- Kult Amona - Re...

Weszli do bazyliki.

Tylko nieliczne budowle na świecie mogą się równać z Bazyliką Świętego Piotra. Została zbudowana na planie krzyża, podobnie jak centrum Paryża. Jej słynne sklepienie wznosi się na blisko dziewięćdziesiąt metrów ponad lśniąca marmurową posadzką. Snopy światła słonecznego wnikające przez nieprawdopodobnie wysokie okna sprawiają wrażenie, jakby sam Bóg je tu zesłał.

Pieta Michała Anioła stoi z boku, przy głównym wejściu. W ściennych niszach olbrzymie posągi świętych - Ignacego, Franciszka z Asyżu - patrzą z góry na zgromadzonych wiernych.

Właśnie po to tu są - by budzić respekt.

Jednak najbardziej charakterystyczną częścią bazyliki jest miejsce przecięcia się ramion krzyża.

To tutaj znajduje się ołtarz świętego Piotra osłonięty od góry solidnym, wspartym na czterech kolumnach baldachimem zdobionym złotem. Na szczycie każdej z barokowych kolumn, które kształtem przypominają poskręcane pnie drzew, znajdują się postacie aniołów dmących w trąby, chwalcących Pana.

- Wygląda tak skromnie - powiedział Kędzierzawy, patrząc na ołtarz.

Miał rację. Ołtarz świętego Piotra, inaczej zwany ołtarzem papieskim, był dość zwyczajny, po prostu spora marmurowa bryła umieszczona na niewielkim podwyższeniu. Kiedy nie pełnił swojej funkcji, przykrywała go czerwono - złoto - biała tkanina, na której ustawiono świeczniki. Dostępu do ołtarza broniły mosiężne słupki połączone grubą liną.

- Tak - przytaknął Mistrz. - Jeśli wziąć pod uwagę jego znaczenie, faktycznie wygląda niepozornie.

- Mam nadzieję, że Zajid powiedział nam prawdę - rzekła Zoe.

Zanim oddział podzielił się na dwa zespoły, Zajid wyznał, że fragment ze świątyni Artemidy jest wmurowany w ołtarz papieski w bazylice. Złoty trapezoid miał być, według niego, wkomponowany w marmur w taki sposób, że jego podstawa leżała w jednej linii z płaską powierzchnią ołtarza. Dla nie - wtajemniczonych wyglądałoby to jak kwadratowa, złota płyta tkwiąca w marmurowej powierzchni.

Dla wtajemniczonych znaczyło to, oczywiście, dużo więcej.

Mistrz zaczął przypatrywać się ołtarzowi.

- Sądzę, że tylko wąska grupa kardynałów miała kiedykolwiek okazję zobaczyć nieosłoniętą powierzchnię ołtarza. Jeszcze mniej zna prawdziwe pochodzenie złotego trapezoidu. To ci nieliczni, których dopuszczono do tajemnic prawdziwej historii Kościoła.

- Co zrobimy? - zapytała Zoe. - Nie przeskoczmy tak po prostu przez te liny i nie wyjmemy z ołtarza złotej płyty.

- Wystarczy, że na nią spojrzę - powiedział Mistrz. - Muszę tylko zapamiętać inskrypcję.

Wokół nich pełno było turystów, kręciła się Gwardia Szwajcarska i bez wątpienia niejednen tajniak. Wyglądało na to, że nikt nie ma szans podejść do ołtarza.

Nikt, prócz dzieciinniałego księdza.

- Zróbcie trochę zamieszania - powiedział Mistrz. - Idę.

Ruszył szybko, wpatrzony z uwielbieniem w baldachim nad ołtarzem, i stanął jak urzeczony tuż przed liną odgradzającą ołtarz.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, ominął przeszkodę i wspiał się po schodkach...

Stanął przy ołtarzu i zaczął łagodnymi ruchami dłoni gładzić gładką powierzchnię marmuru, tak jakby była sama w sobie czymś nadprzyrodzonym.

W okamgnieniu wyłonili się z tłumu otaczającego ołtarz ubrani po cywilnemu gwardziści.

Mistrz stojący w samym sercu bazyliki, pochylony nad ołtarzem, zsunął przykrywającą go tkaninę.

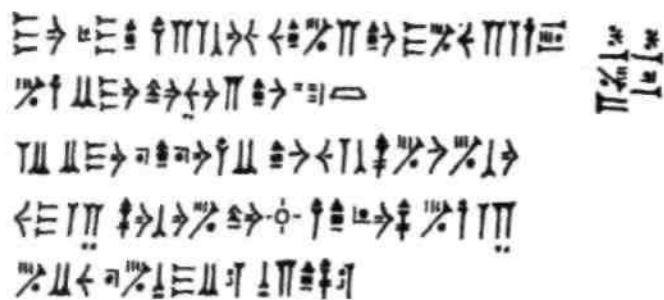
To, co zobaczył, wyglądało olśniewająco.

Gładką powierzchnię ołtarza wykonano z nieskazitelnie białego marmuru. I tylko środkowa część w kształcie kwadratu była złota.

Złota płyta miała wymiary mniej więcej metr na metr. Ponieważ była jakby zatopiona w marmurze, trudno było dostrzec, że jest trapezoidem. Dokładnie pośrodku złotej płyty znajdował się kryształ przypominający wyglądem diament.

To był fragment kopuły ze świątyni Artemidy. Na płycie wyryto inskrypcję:





Miał mało czasu, więc zaczął intensywnie wpatrywać się w inskrypcję, by zapamiętać każdy szczegół.

- Przepraszam, ojcze, ale tu nie wolno wchodzić.

Dwaj gwardziści chwycili go mocno za ręce i grzecznie, lecz stanowczo odciągnęli od ołtarza.

Trzeci gwardzista przykrył ołtarz tkaniną zasłaniając złotą płytę. Wyglądało na to, że robi to raczej po to, by przywrócić porządek, niż dlatego żeby ukryć jakiś wielki sekret.

- Prze... prze... przepraszam - wyjąkał Mistrz, udając starcze otępienie i nie stawiając żadnego oporu. - Chcia... chciałem tylko po... poczuć potęgę Pana w jego chwa... chwale...

Gwardzista, który odciągnął Mistrza od ołtarza, przyjrzał mu się uważnie, ale kiedy dostrzegł żarliwe spojrzenie, zmierzwioną brodę, pogniecioną sutannę, serce mu zmiękło.

- Już dobrze, staruszk. Odejdź stąd. I nigdy więcej nie wchodź za tę linię.

- Dzie... dziękuję, synu.

Gwardzista odprowadził Mistrza z powrotem do drzwi wejściowych.

Mistrz szedł obok niego i z trudem usiłował ukryć podniecenie. Udało mu się zapamiętać całą inskrypcję; czuł się tak, jakby zdobył na własność ten kolejny fragment kopuły. Jeszcze chwila i będzie mógł wraz z Zoe i Kędzierzawym odlecieć z rzymskiego lotniska Leonarda da Vinci do domu.

Prowadzony przez gwardzistów starał się powstrzymać uśmiech, który mimo to zaczął rozjaśniać jego twarz.

W tej samej chwili ktoś siedzący w ciemnym pokoju gdzieś w Watykanie obserwował zachowanie Mistrza na niewielkim ekranie monitora

To był Francisco del Piero.

- Wiedziałem, że przyjdiesz, Max, stary druhu - szepnął del Piero. - Tylko dlatego nie wyjąłem jeszcze tego kawałka złota z ołtarza. Wiedziałem, że dzięki temu się ujawnisz.

Del Piero obrócił się do stojącego za nim szefa ochrony Watykanu.

- Jadą na lotnisko. Śledźcie ich, ale nie zatrzymujcie. Chcę mieć nasłuch rozmów radiowych. Staruszek wkrótce po opuszczeniu bazyliki wyśle sygnał do swoich towarzyszy, że jego misja się powiodła. Niech wysyła. Zgarnijcie go razem z pozostałymi na lotnisku i sprowadźcie do mnie.

Kilka chwil później Mistrz pędził wynajętym samochodem w stronę lotniska i wysyłał jednocześnie krótką zaszyfrowaną wiadomość do Doris w Kenii:

Misja zakończona sukcesem.

Wracam.

Mistrz

Kiedy dotarli na lotnisko i zaparkowali samochód, wokół rozległ się odgłos syren, ze wszystkich stron pojawiły się nieoczekiwane radiowozy, które otoczyły i zablokowały samochód Mistrza.

Mistrz, Zoe i Kędzierzawy byli bezsilni.

VICTORIA STATION

KENIA

18 MARCA 2006, GODZ. 21.45

2 DNI PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU

W pokoju łączności znajdującym się w piwnicy Doris Epper mówiła do mikrofonu:

- To dobra nowina, Myśliwy. Mistrz też już wraca. Kilka godzin temu przysłał mi wiadomość. Misja w Rzymie zakończyła się sukcesem. Na miejscu będzie rano. Do zobaczenia za kilka godzin.

Sprężystym krokiem pobiegła schodami na górę, do kuchni. Uspokoili ją wieści, że wszyscy są cali i że ich operacje przebiegły pomyślnie. Zamierzała przygotować wspaniały obiad na ich przyjęcie.

Weszła do kuchni i... zobaczyła, że jest tu ktoś jeszcze.

- To dobra wiadomość, pani Epper.

Doris zamarła. Tuż przed nią, na kuchennym blacie siedział w niedbalej pozie Marshall Judah. Dalej, za jego plecami, stało dwunastu uzbrojonych po zęby żołnierzy amerykańskich sił specjalnych.

Judah miał pochyloną głowę, przymknięte oczy, w jego głosie pobrzmiwały groźne nuty.

- Siadaj, Doris. Poczekamy razem.

VICTORIA STATION

KENIA

18 MARCA 2006, GODZ. 23.45

2 DNI PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU

West wraz ze swoją ekipą wrócił do Kenii.

Po drodze zatrzymali się w Hiszpanii, żeby zatankować paliwo. Tam nastąpił kolejny punkt zwrotny. Okazało się, że Lily potrafi odczytać kolejny fragment tekstu Kallimacha.

- Co tu jest napisane? - zapytał West.

- To o wiszących ogrodach Babilonu - odparła.

Wiszący Raj Starego Babilonu.

Wędruj w kierunku wschodzącego Słońca,

Z miejsca, gdzie dwoje rodziców stało się jednością.

W cieniu gór Zagros,

Ujrzysz ogromne wodospady - dzieło Trzeciego Wielkiego

Architekta

By skryć ścieżkę, którą sam wyciosał,

Ścieżkę wiodącą ku wrotom Raju

Przez potężnego Nabuchodonozora zbudowaną dla swej  
oblubienicy.

West potargał ją pieszczotliwie.

- Dobra robota, szkrabie. Dobra robota. Mistrz będzie pod wrażeniem.

Halikarnas tuż przed północą wylądował z jazgotem na lądowisku w Victoria Station. Była typowa afrykańska noc - olbrzymi księżyc w pełni oświetlał trawiaste równiny, z których wyłaniały się niewysokie, mroczne wzgórza.

Dom był oddalony o kilometr od lądowiska. Z dala widać było pomarańczowo pobłyskujące światła w oknach. Sygnał alarmowy - lampki rozwieszane na krzaku jałowca w ogrodzie - nie był zapalony.

Sky Monster skierował samolot do hangaru wydrążonego we wzgórzu znajdującym się na końcu lądowiska. Samolot toczył się wolno, a pasażerowie już chwycili bagaże, gotowi wysiadać.

Nikt z nich się nie spodziewał, że w tym samym czasie obserwowało ich uważnie dwieście par oczu.

Z warkotem silników Halikarnas zatrzymał się przed wrotami jasno oświetlonego hangaru.

Tam czekały już schody, a jakieś czterdzieści metrów dalej - jednoosobowy komitet powitalny - Doris, stojąca w drzwiach hangaru.

Żaden z pasażerów samolotu nie mógł wiedzieć, że była trzymana na muszce.

Samolot zatrzymał się tuż przy schodach i tylko kabina pilota znalazła się w środku (przed wprowadzeniem całego samolotu należało wy - studzić silniki).

Po chwili otworzyły się drzwi i Wielkouchy z Lily, oboje marzący o tym, by jak najszybciej pokazać Doris złotą płytę, zbiegli po schodkach na ziemię. Wielkouchy założył plecak z cennym trofeum.

Tuż za nimi w drzwiach samolotu pojawił się Kubuś Puchatek i Długi, eskortujący skutego ponownie Zajida. Wyszli z samolotu, odetchnęli czystym, nocnym powietrzem i zaczęli schodzić na dół.

Sky Monster i West pozostali dłużej w samolocie - Sky Monster musiał sprawdzić wszystkie wskaźniki, a West po prostu zbierał swoje rzeczy: notatki, papirusy, dziennik Hesslera.

Na zewnątrz panował hałas - cztery potężne silniki Halikarnasa dopiero zwalniały obroty.

Wielkouchy i Lily przebyli już połowę drogi dzielącej ich od Doris.

- Doris! Udało się! - przekrzykiwała hałas Lily. Zwykle pogodna twarz Doris miała teraz zimny wyraz, zupełnie jakby wiedziała coś, czego nie może ujawnić.

Po chwili dało się zauważyć, że się pozbierała, uśmiechnęła się ciepło i odkrzyknęła:

- Brawo, mała Eowyn! Cóż za triumfalny powrót. Zupełnie jak wtedy, gdy Gimli wracał do Morii, prawda?!

Słyszając te słowa, Lily zwolniła i w końcu zatrzymała się w miejscu. Wielkouchy przystanął i obejrzał się.

- Co z tobą? - spytał.

Lily wystraszonym wzrokiem rozglądała się po okolicy. Prócz Doris nie dostrzegła nikogo.

- Wielkouchy, mamy kłopoty - powiedziała spokojnie. - Musimy wracać do samolotu. To pułapka.

- Skąd wiesz?

- Nieważne! Biegniemy! - rozkazała władczym tonem, niepasującym do jej wieku.

Nie czekając ani chwili, obróciła się, złapała Wielkouchego za rękę i razem rzucili się biegiem w stronę Halikarnasa.

W tej samej chwili w hangarze rozpętało się piekło.

Z każdego zakamarka wysypywały się dziesiątki ubranych na czarno amerykańskich żołnierzy.

Drzwi awaryjne, przy których stała Doris, otworzyły się i pojawił się w nich Marshall Judah w towarzystwie oddziału CIEF dowodzonego przez Cala Kallisa.

Kallis odepchnął brutalnie Doris i zaczął z wściekłością strzelać do uciekających.

Na gwałtowny wybuch strzelaniny każdy zareagował inaczej.

West podbiegł do otwartych drzwi samolotu, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Sky Monster wyjrzał przez okno w kabinie pilotów i zobaczył biegnących w stronę samolotu Wielkouchego i Lily oraz chmurę goniących ich żołnierzy.

Zajid stał ze skutymi rękami u podnóża schodów, pomiędzy pilnującymi go Kubusiem Puchatkiem i Długim. Jego wzrok nie był teraz wzrokiem szaleńca - przeciwnie, muzułmanin uważnie rozglądał się wokół, oceniając sytuację.

Udało mu się chwilę wcześniej wydobyć ukryty w spodniach nóż, którym do połowy już przeciął krępującą mu rękę taśmę. Zabrakło mu dosłownie trzech sekund, by uwolnić dłoń, pchnąć Długiego między żebra i rzucić się do ucieczki. Wybuchła strzelanina. Zajid wsunął nóż z powrotem do kieszeni i popędził schodami do samolotu.

Judah stanął na wprost Doris i warknął:

- Mówiłem, żadnych ostrzeżeń!

Bez najmniejszego wahania wyciągnął z kabury pistolet, przyłożył lufę do jej głowy i pociągnął za spust.

Kiedy West dobiegł do drzwi, zobaczył padającą na ziemię Doris.

- O, Boże, nie... - jęknął.

Ocecił sytuację w hangarze.

Zapanował chaos.

Z każdego kąta wynurzali się kolejni amerykańscy żołnierze. Większość biegła, ale potem dostrzegł trzy zbliżające się od strony łąki humvee.

Żołnierze zbliżali się do wielkiego, czarnego samolotu niczym rój pszczół. Widać było, że interesują ich głównie uciekające postacie - Lily i Wielkouchy.

West także skoncentrował się na biegnącej parze. Jedno było pewne - nie uda im się dotrzeć do schodów.

Amerykańskie pociski ich powstrzymują. Zauważył jeszcze, że żołnierze nie strzelają, by zabić, a tylko powstrzymać przed ucieczką. Musieli dostać rozkaz, by nie skrzywdzić Lily.

Wielkouchy i Lily dobiegli do generatora prądu, który stał niedaleko schodów. Miał rozmiary niewielkiej przyczepy kempingowej. W normalnych warunkach, kiedy silniki Halikarnasa były wyłączone, Sky Monster czerpał energię właśnie z tego generatora. Ale teraz nie mógł go podłączyć.

Lily i Wielkouchy skryli się za obudową urządzenia. Wielkouchy natychmiast otworzył ogień, zmuszając prześladowców do zatrzymania się i poszukania schronienia.

Tak więc West stał w drzwiach samolotu, Długi i Kubuś Puchatek przycupnęli u podstawy schodów, chroniąc się przed kulami, a Zajid był właśnie w połowie schodów.

Lily i Wielkouchy przykucnęli za generatorem, unieruchomieni przez nieprzyjacielski ostrzał. Od samolotu dzieliło ich tylko pięć metrów!

- Sky Monster! - krzyknął do mikrofonu. - Uruchamiaj go! Musimy stąd wiać!

- Przyjąłem!

Po chwili potężne turbiny boeinga zostały wprowadzone w ruch. Hałas pracujących silników zagłuszył odgłos wystrzałów.

- Wielkouchy! - West zawołał przez radio. - Przykro mi to mówić, ale musisz znaleźć jakiś sposób, żeby Lily znalazła się na pokładzie! Już!

Wielkouchy, skulony za generatorem, zastanawiał się, co zrobić.

Pięć metrów. Tylko tyle. Tylko pięć metrów.

Tyle że równie dobrze mógł to być kilometr.

I nagle doznał olśnienia. Wszystko stało się jasne i proste. Niezależnie od rozwoju sytuacji on musi zginąć.

Jeśli pobiegnie po schodach do samolotu, na pewno go zastrzelą. Lily przypuszczalnie oszczędzą, ale jego nie.

Jeżeli z kolei Amerykanie ich złapią, rezultat będzie podobny - Lily ocaleje, on zginie.

Kiedy zdał sobie sprawę ze swojej sytuacji, podjął decyzję.

- Lily - powiedział, przekrzykując panujący wokół harmider. - Pamiętaj. Zawsze byłaś moją najlepszą przyjaciółką. Zawsze byłaś na swój sposób mądrzejsza ode mnie, ale też zawsze na mnie czekałaś i miałaś do mnie cierpliwość. Tym razem ja muszę coś dla ciebie zrobić, a ty musisz mi na to pozwolić. Obiecuj mi, że kiedy nadejdzie właściwy czas, zrobisz to, co jest ci przeznaczone. I pamiętaj mnie, głupiego trepa, który był twoim przyjacielem. Kocham cię, maleńka.

Pocałował ją w czoło, uniósł jedną ręką, drugą trzymając pistolet maszynowy MP - 5, osłonił własnym ciałem i ruszył pędem po schodach.

Odzew Amerykanów był natychmiastowy.

Otworzyli ogień.

Wielkouchy do schodów miał sześć kroków.

Zdołał zrobić cztery.

Amerykański snajper trafił go w głowę.

Pocisk przeszedł przez czaszkę i wyleciał z drugiej strony. Wielkouchy upadł na kolana jak marionetka, której sznurki zostały przecięte, w połowie drogi pomiędzy generatorem a podstawą schodów, i wypuścił Lily.

- Nie! - krzyknęła przerażona Lily. - Nie!!!

Amerykanin przeładował, wymierzył w Lily i...

...powstrzymał go niezwykle widok.

Dokładnie w tej samej chwili zza podstawy schodów wychynęły dwie ludzkie sylwetki, otworzyły ogień i ruszyły jednocześnie w stronę Lily.



To był Kubuś Puchatek i Długi.

Nie zaplanowali tej akcji. Nie mieli na to czasu. Ruszyli naprzód instynktownie, zupełnie niezależnie od siebie. Motywacją za to mieli identyczną - uratować Lily.

Arab i Izraelczyk dobiegli do Lily, kładąc wcześniej trupem po czterech przeciwników.

Lily wciąż jeszcze klęczała przy zwłokach Wielkouchego, zalewając się łzami.

Nie przerywając ostrzału, Kubuś Puchatek i Długi chwycili ją za ręce i pobiegli w kierunku schodów. Kiedy skuleni wspinali się po nich, posypał się grad pocisków. Odpowiedzieli ogniem. Gdy znaleźli się na szczycie schodów, wepchnęli Lily do samolotu, po czym sami wpadli do środka. West natychmiast zatrzasnął drzwi.

- Sky Monster! Startujemy! - krzyknął.

Olbrzymi boeing 747 zatoczył w miejscu koło i znalazł się na początku pasa startowego. Słysząc tylko było, jak kule odbijają się od metalowego, czarnego kadłuba. Zawracając, przejechał kołem po jednym z humvee, który nieopatrznie zbyt blisko podjechał.

Kubuś Puchatek i Długi zajęli miejsca w wieżyczkach strzelniczych usytuowanych przy skrzydłach i otworzyli ogień zaporowy, niszcząc przy okazji kolejne dwa pojazdy.

Sky Monster dał pełną moc i czarny odrzutowiec nabrał prędkości. Ścigały go jeszcze jeepy, ostrzeliwując zaciekle, ale po chwili boeing uniósł się w powietrze i znikł w mroku, uciekając ze swojej niegdyś tajnej bazy.

W głównej kabine Halikarnasa zapadła przygnębiająca cisza.

West trzymał Lily w ramionach. Wciąż jeszcze szlochała, roztrzęsiona po śmierci Wielkouchego i Doris.

Kiedy samolot wzbił się wysoko, wszyscy, którzy ocalili z bitwy stoczony w hangarze, wrócili do głównej kabiny: Kubuś Puchatek, Długi i Zajid. Sky Monster pozostał w kabinie pilotów.

West, tuląc Lily, rozmyślał o tym, co się stało.

Wielkouchy nie żyje. Doris także. Ich kryjówka została odkryta. Nie wspominając o jeszcze jednym przygnębiającym fakcie - Wielkouchy, gdy został zastrzelony, miał przy sobie fragment kopuły.

Cholera.

Jeszcze kilka minut temu mogli czuć satysfakcję z udanej, choć wydawałoby się niemożliwej do przeprowadzenia akcji. Mimo przeszkód zdobyli złoty trapezoid.

A teraz...

Znów nie mieli niczego. Stracili dwóch najlepszych ludzi, bazę i kawałek kopuły.

Do diabła, West nie wiedział nawet, dlaczego Lily i Wielkouchy tak nagle zawrócili i pobiegli z powrotem do samolotu. Postanowił delikatnie wypytać Lily.

Pociągnęła nosem i otarła łzy.

- Doris mnie ostrzegła. Powiedziała, że nasz powrót przypomina powrót Gimli do Morii. We Władcy pierścieni karzeł Gimli wraca do kopalni w Morii i przekonuje się, że kopalnie zostały zajęte przez orków. Doris w ten sposób przesłała mi ukrytą wiadomość. Nie mogła powiedzieć nic wprost, więc mówiła tak, żebym dobrze ją zrozumiała. Powiedziała mi w ten sposób, że nasz dom został zajęty przez wroga i musimy uciekać.

West był pod wrażeniem błyskotliwości Lily i bezgranicznego poświęcenia Doris.

- Dobra robota, szkrabie. - Potargał włosy Lily. - Dobra robota.

Kubuś Puchatek nie wytrzymał i zadał pytanie, które wszystkim chodziło po głowie.

- Myśliwy. Co teraz zrobimy?

- Muszę porozmawiać z Mistrzem - odparł West, podchodząc do radia.

Kiedy znalazł się w pobliżu konsoli, zaczęły na niej błyskać lampki, jakby za sprawą magii.

- Wideotelefon... - powiedział Długi. - Rozmowa przychodząca.

- To pewnie Mistrz - powiedział Kubuś Puchatek.

- Nie - odparł West, patrząc na wyświetlacz. - Ktoś do nas dzwoni z Victoria Station.

West wcisnął przycisk „odbiór” i ekran na konsoli się ożywił. Pojawiła się na nim twarz...

...Marshalla Judaha.

Siedział przy konsoli w hangarze w Kenii, za nim stał Kallis i kilku jego ludzi.

- Pozdrawiam cię, Jack. Jezu, ledwie się wam wszystkim udało zwać. O, przepraszam - poprawił się. - Nie wszystkim.

- Czego chcesz? - warknął West.

- Hej, Jack. Czegóż mógłbym od ciebie chcieć? Mam wszystko, co mogłeś mi dać: kawałek kopuły z posągu Zeusa. Mam też pozostałe trzy fragmenty. Aha, nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jakiego pecha miał twój przyjaciel Epper w Rzymie. Wygląda na to, że wpadł w ręce naszych europejskich rywali. Doprawdy, mam nadzieję, że nic mu nie jest.

West starał się nie okazywać zaskoczenia. Nie wiedział, że Europejczycy złapali grupę Mistrza.

Judah uśmiechnął się z przekąsem.

- Nie wiedziałeś, że go złapali, prawda?

- Po co do nas dzwonisz? - spytał West. - Żeby się chęłpić?

- Żeby ci przypomnieć o twoim miejscu w szeregu, Jack. Spójrz na siebie. Spójrz, co osiągnąłeś. Twoja banda szczyłowatych państweczek nie powinna zadzierać z dorosłymi. Z każdego starcia pomiędzy naszymi oddziałami to ja wychodziłem zwycięsko. W Sudanie. W Tunezji. I teraz w Kenii. Nie widzisz tego? Nie ma takiego miejsca, gdzie bym cię nie znalazł. Nie ma takiego miejsca na ziemi, Jack. Moi specjaliści są już bardzo blisko odnalezienia miejsca ukrycia wiszących ogrodów. W przeciwieństwie do ciebie od dawna wiedzieliśmy, jakie znaczenie ma paryski obelisk. Wystarczą nam dwa dni, żeby dokonać odpowiednich pomiarów i odnaleźć grobowiec Aleksandra w Luksorze.

- Skończyłeś?

- Masz coś przeciwko temu, żebym skończył w ten sposób: nigdy nie miałeś najmniejszych szans w tej rywalizacji, Jack. Pozwól, że dam ci małą lekcję z prawa międzynarodowego. Są duże ryby i małe ryby. Duże ryby zjadają te małe. Stałeś na drodze rybie większej od siebie, Jack, i zostałeś zjedzony. Twoja misja dobiegła końca.

- Zabiję cię, Judah - powiedział głucho West. - Za Doris.

- Za cienki jesteś, Jack. Za cienki.

Judah przerwał połączenie, a West jeszcze przez dłuższą chwilę wpatrywał się w pusty ekran.

W kabinie nikt się nie odzywał.

West w dalszym ciągu stał ze wzrokiem wbitym w ekran i zgrzytał zębami ze złości.

- Długi, spróbuj wywołać Mistrza - rzekł w końcu. - Zobaczymy, czy Judah mówi prawdę.

Długi podszedł do konsoli radia satelitarnego i próbował połączyć się na wszystkich możliwych kanałach dostępnych dla Mistrza, Zoe i Kędzierzawego. Potem dzwonił na ich komórki. Bez rezultatu.

- Nic z tego - powiedział, wracając do reszty. – Nie odzywa się ani Mistrz, ani Zoe, ani Kędzierzawy.

Kiedy wszyscy zdali sobie sprawę z własnego położenia, zapadła długa cisza.

Nie dość, że w Victoria Station zginęło dwoje ich towarzyszy, to na dodatek teraz dowiedzieli się, że kolejnych troje, w tym człowieka, który był ich bezcennym źródłem wiedzy, muszą uznać za straconych.

- Judah wiedział o każdym naszym posunięciu i podążał wprost za nami. Tak było w Sudanie. W Tunezji. I teraz w Kenii - odezwał się Długi.

- Nie do końca - odparł Kubuś Puchatek. - W Kenii było inaczej. Judah przyjechał tam przed nami, a nie po nas. Czekał na nas. - Obrzucił Długiego ciężkim spojrzeniem. - Skądś się dowiedział, gdzie mamy bazę.

Długi się najeżył.

- Coś sugerujesz? Myślisz, że to ja poinformowałem Amerykanów?

Wyraz twarzy Kubusia Puchatka wskazywał na to, że tak właśnie myśli.

- Jeśli się nie mylę, nikt nigdy cię tu nie zapraszał, prawda Izraelczyku? - wtrącił się Zajid. - Dlatego wydaje mi się, że Saladyn ma prawo pytać o twoją lojalność.

- Nie powinno cię to obchodzić - powiedział Długi. - Lepiej ugryź się w język, morderco!

- Izraelczyk nazywa mnie mordercą! - Zajid wstał. - Policz wszystkie niewinne ofiary twojego kraju, ty...

- Dość! - zawołał West.

Uciszyli się i usiedli.

- Amerykanie mają już cztery części złotej kopuły. Jeśli uda im się zabrać Europejczykom fragment ze świątyni Artemidy, będą mieli pięć - powiedział West. - A to znaczy, że potrzebują jeszcze tylko dwóch fragmentów, żeby złożyć kopułę w całość, dokonać rytuału Tartaru i zapanować nad światem. Jeden z brakujących fragmentów jest ukryty gdzieś z wiszącymi ogrodami Babilonu, a drugi powinien się znajdować w piramidzie Cheopsa.

- O piramidzie możecie zapomnieć. Ten największy, najważniejszy fragment kopuły, sam jej czubek, został ukryty w grobowcu Aleksandra Wielkiego. To miejsce da się zlokalizować dopiero ostatniego dnia o świcie - rzekł Zajid.

- Wtedy gdy promienie słońca przejdą przez otwory w obelisku w Luksorze? - zapytał Kubuś Puchatek.

- Tak.

- Pozostają nam wobec tego tylko wiszące ogrody - podsumował West.

- Ze wszystkich cudów świata wiszące ogrody najtrudniej będzie znaleźć - powiedział Zajid. - Wszystkie pozostałe cuda w lepszym czy gorszym stanie przetrwały do dzisiaj. Tymczasem ogrody nie. Po raz ostatni widziano je w piątym wieku przed naszą erą. Już w starożytności powątpiewano, czy w ogóle kiedykolwiek istniały. Znalezienie ich będzie wyjątkowo trudne.

West zmarszczył brwi. Może Judah miał rację. West sam nie był do końca przekonany, czy sobie poradzi. Tym bardziej że nie ma obok siebie Mistrza. Jego oddział stanowią teraz: znany terrorysta, wiecznie kłócący się Arab i Izraelczyk, nieco szalony pilot z Nowej Zelandii i jedna mała dziewczynka.

Na myśl o Lily obrócił się i spojrzał na nią.

Twarz miała ciągle jeszcze zaczerwienioną od płaczu, a na policzkach pozostał ślad płynących łez.

- Co o tym sądzisz? - zapytał.

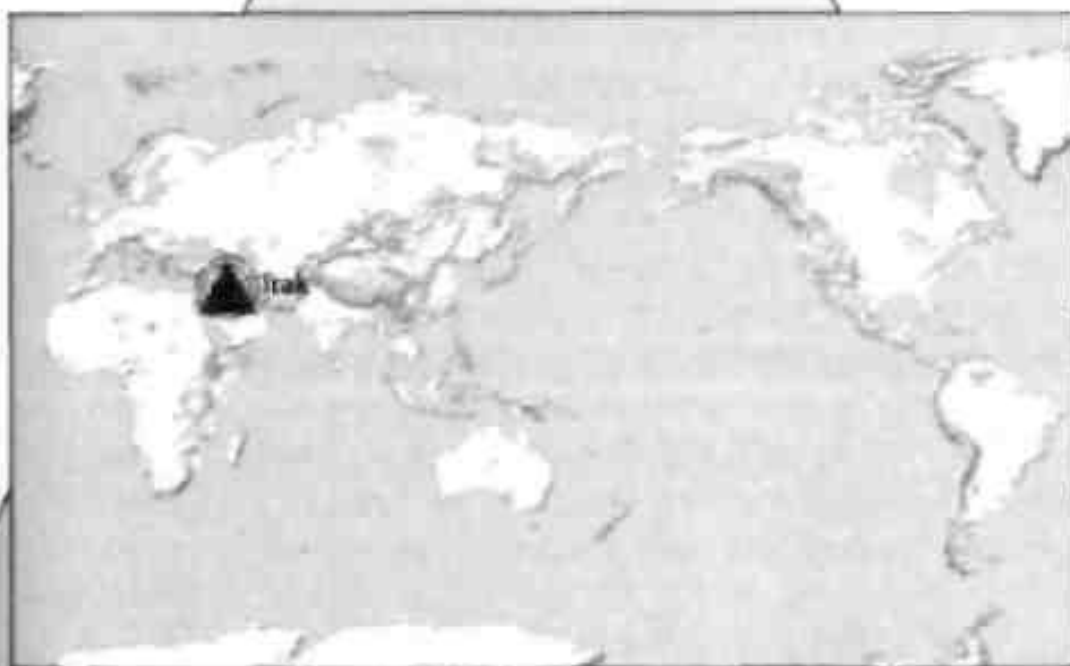
Odwzajemniła spojrzenie, a jej słowa zabrzmiały niezwykle dorośle.

- Wielkouchy, zanim zginął, kazał mi coś obiecać. Prosił, abym, kiedy nadejdzie właściwy moment, zrobiła to, co jest mi przeznaczone. Tak naprawdę nie znam swojego przeznaczenia, ale nie chcę go zawieść. Rzeczywiście chcę zrobić to, co jest mi przeznaczone. Dajcie mi szansę, proszę.

West wolno pokiwał głową i wstał.

- Powiem wam, co o tym myślę. Jesteśmy pod ścianą. Mamy mało ludzi, niewielki wybór i nie sprzyja nam szczęście, ale przecież jeszcze nie wypadliśmy z gry. Nie wszystko stracone. Znajdziemy ten brakujący fragment kopuły. On nadal na nas czeka. Fragment, który został ukryty wraz z nigdy nieodnanalezionym cudem starożytnego świata. Musimy znaleźć wiszące ogrody Semiramidy.

# **MISJA PIĄTA WISZĄCE OGRODY**



IRAK  
19 MARCA 2006  
DZIEŃ PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU

## RAJ NABUCHODONAZORA

Ze wszystkich siedmiu cudów świata wiszące ogrody Babilonu pozostają najbardziej tajemnicze.

Przyczyna jest prosta. Tylko one nie zostały nigdy odnalezione. Nie pojawił się żaden trop, żadne dowody. Nie było fundamentów, kolumn, akweduktów.

Wiszące ogrody były tak bajkowe, że z biegiem czasu większość historyków zaczęła powątpiewać w ich istnienie. Uznano, że stanowiły tylko wytwór wyobraźni greckich poetów.

Poza tym, jak podkreśla profesor Alaa Aszmawi, specjalista od siedmiu cudów świata z Uniwersytetu Południowej Florydy, Babilończycy bardzo skrupulatnie prowadzili swoje kroniki, a mimo to w ich dokumentach nie ma żadnej wzmianki o wiszących ogrodach.

Nie wspominają też o nich kronikarze Aleksandra Wielkiego, który wielokrotnie przebywał w Babilonie.

Ten brak dowodów na istnienie ogrodów nie przeszkodził na przestrzeni wieków pisarzom w tworzeniu zmyślonych opisów. Jest kilka faktów, co do których wszyscy są zgodni:

1. Ogrody powstały za panowania potężnego króla Mezopotamii Nabuchodonozora około roku pięćset siedemdziesiątego przed naszą erą. Miały być prezentem dla jego, pochodzącej z Medii, nowej żony, która tęskniła za domem i była przyzwyczajona do otaczającej ją tam zieleni.

2. Zostały stworzone na wschodnim brzegu Eufratu.

3. Centralny punkt ogrodów stanowiło sanktuarium poświęcone perskiej białej róży pustyni, gatunkowi, który nie przetrwał do naszych czasów.

Od tego miejsca jednakże opisy bardzo się od siebie różnią.

Niektórzy historycy twierdzą, że ogrody były usytuowane na szczycie złotego zikkuratu, a winnice i cała zieleń spływały po jego bokach. Po ścianach budowli miały płynąć kaskady wody, tworzące wodospady.

Inni uważają, traktując dosłownie nazwę „wiszące”, że ogrody zwisały z jakiegoś olbrzymiego skalnego urwiska.

Pewien uczyony wysunął nawet teorię, że ogrody były zawieszane na jakiejś podobnej do stalaktytu formacji skalnej, wewnątrz gigantycznych rozmiarów jaskini.

Pozostaje jeszcze jedna kwestia.

Po grecku ogrody były określane mianem kremastos, co zwykle się tłumaczy jako „wiszące”. Tymczasem można to słowo przetłumaczyć jako „zwieszające się, przewieszane”.

Rodzi się zatem pytanie, czy starożytni greccy poeci nie opisywali przypadkiem zwykłego kamiennego zikkuratu, na którym rozrosła się roślinność i nieprzycinana ani niekarczowana pokryła całą jego powierzchnię, wszystkie boki? Oznaczałoby to, że cud wcale nie był cudem, lecz czymś zupełnie zwyczajnym.

PRZESTRZEŃ POWIETRZNA  
NAD ARABIĄ SAUDYJSKĄ  
19 MARCA 2006, GODZ. 03.00  
DZIEŃ PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU

Halikarnas mknął przez nocne przestworza.

Czarny boeing 747 nad Afryką zmienił kurs i poleciał korytarzem powietrznym nad Arabią Saudyjską w stronę jednego z najokrutniej - szych i najdzikszych państw świata. Do kraju bezprawia - Iraku.

Po drodze mieli jedno międzylądowanie. To był bardzo ważny przystanek. W samym rogu Arabii Saudyjskiej.

Na odludziu, pośród nagich, skalistych wzgórz znajdowała się cała kolonia niewielkich, wykutych przez człowieka jaskiń. Choć od dawna opuszczone, wejścia do nich nadal zasłaniały łopoczące na wietrze szmaty. Obok znajdowało się stare palenisko, na wpół zniszczone przez piasek i upływ czasu. Wokół wały się pootwierane skrzynki z amunicją. To był dawny obóz terrorystów.

Tu przebywał swojego czasu Mustafa Zajid i tu pozostawił wszystkie swoje zapiski dotyczące siedmiu cudów świata.

Pilnowany przez Westa, Długiego i Kubusia Puchatka, Zajid ze związanymi rękami wszedł do jednej z jaskiń, gdzie za imitacją ściany spoczywała wielka skrzynia pełna zwojów, tabliczek z piaskowca, złotych ozdób i dziesiątek grubych notesów. Prócz tego znajdowało się w niej pięknie zdobione ciemnozielone pudełko wielkości pudełka od butów. Przez moment Zajid był niewidoczny dla ludzi Westa, otworzył pudełko i przyglądał się wypełniającym je drobnym kryształkom pomarańczowego piasku. Po chwili zamknął z powrotem pudełko i włożył je do skrzyni.

Wychodząc z jaskini, uruchomił znajdujące się w niej małe elektroniczne urządzenie. Wręczając skrzynię Westowi, powiedział:

- Oto dzieło mojego życia. Na pewno nam się przyda.
- Oby - odparł West.

Skrzynia powędrowała na pokład samolotu, który zaraz wystartował i odleciał w kierunku Iraku.

Już w samolocie uszczuplony zespół Westa zaczął pracować nad odnalezieniem wiszących ogrodów Babilonu.

West, Kubuś Puchatek i Lily ślęczeli nad najnowszym tłumaczeniem tekstu Kallimacha, Zajid, z rozwiązanymi rękami, na klęczkach grzebał w swojej starej, zakurzonej skrzyni.

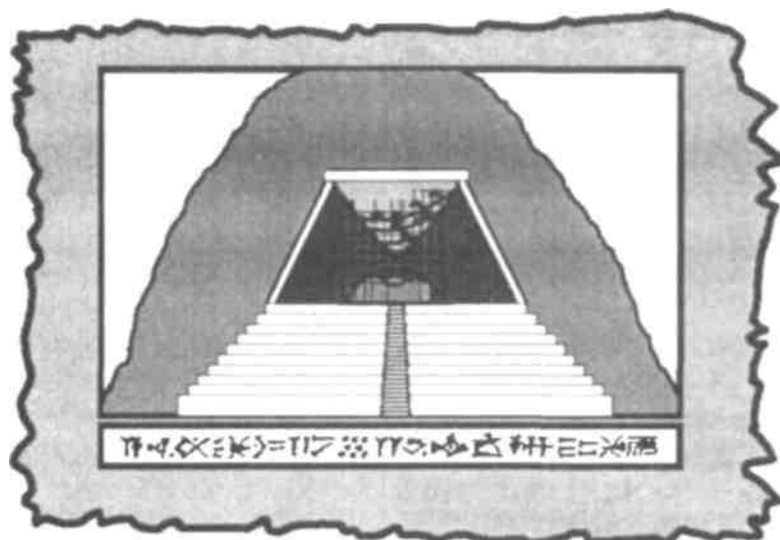
- Wiecie co - zaczął Kubuś Puchatek - fajnie byłoby mieć pojęcie, jak naprawdę wyglądały te wiszące ogrody.

- Większość rysunków to interpretacje niejasnych greckich źródeł. Prawie wszystkie przyjmują za pewnik kształt zikkuratu. A prawdziwy wygląd? Kto wie... - powiedział West.



- Nie tak szybko, kapitanie West! To wcale nie tak! - zawołał Zajid, wyciągając ze skrzyni skrawek bardzo starego materiału. Tkanina była rozmiaru kartki papieru. Jej brzegi były nieobrobione, nierówne, poszarpane. Zajid podał ją pozostałym. - To jest szkic. Prosty wynalazek, którego używali w starożytności władcy, by zobaczyć postępy prac na odległych placach budów. Tkaninę wręczano królewskiemu posłańcowi, który jechał na miejsce i rysował to, co zastał. Następnie posłaniec wracał do władcy i oddawał mu taki szkic.

Znalazłem ten kawałek materiału w zbiorowej mogile nędzarzy w mieście Asz - Szatra w środkowym Iraku. To był grób jeźdźcy, który został obrabowany przez bandytów niedaleko miasta, a następnie pozostawiony na pewną śmierć. Choć pochowano go jak nędzarza, jestem pewien, że był posłańcem Nabuchodonozora wracającym do nowego Babilonu ze szkicem przedstawiającym wiszące ogrody. Przyjrzyjcie się. O ile się orientuję, to jedyne przedstawienie rzeczywistego wyglądu ogrodów.



- Przypomina grotę w zboczu góry - powiedział West. - Tylko naturalny otwór został zamieniony w pięknie sklepienie wejście

- A co to takiego ten trójkąt zwisający ze sklepienia grotty? - zapytał Kubuś Puchatek.

- Wygląda jak olbrzymi stalaktyt... - rzekł Długi.

- A ta budowla wyrastająca z podłogi przypomina przysypany ziemią czy mułem zikkurat - dodał West.

Zajid spojrział na Westa z ukosa.

- Jeśli ten zikkurat ma normalne wymiary, to stalaktyt musi mieć co najmniej piętnaście pięter wysokości.

- Co to za krzyżujące się linie na rysunku? - zapytała Lily.

- Długo nad tym rozmyślałem, dziecko - powiedział Zajid. - Wydaje mi się, że to jakiś rodzaj starożytnych rusztowań - kilkupiętrowa, prowizoryczna konstrukcja wykonana z drewnianych bali. Pamiętaj, że ten rysunek przedstawia

jakiś etap prac budowlanych, a nie gotowy obiekt. Stąd moje przypuszczenie, że jest to rusztowanie.

- Lily. Co tu jest napisane? - zapytał Kubuś Puchatek.

- Bracie - odpowiedział za dziewczynkę Zajid - to nie jest język Tota. To zwykłe pismo klinowe. Napis sporządził posłaniec...

- Lily potrafi odczytać pismo klinowe - powiedział West. - No, Lily?

„Raport z postępu prac: Budowa przebiega zgodnie z planem. Dziewiętnastu robotników zmarło. Sześćdziesięciu dwóch rannych. Straty w granicach normy”.

- Straty w granicach normy - powtórzył Długi. - Wygląda na to, że w tym zakątku świata tyrani byli, są i będą.

Wrócili do tłumaczenia tekstu Kallimacha.

Wiszący Raj Starego Babilonu.

Wędruj w kierunku wschodzącego Słońca,

Z miejsca, gdzie dwoje rodziców stało się jednością.

W cieniu gór Zagros,

Ujrzysz ogromne wodospady - dzieło Trzeciego Wielkiego Architekta,

By skryć ścieżkę, którą sam wyciosał,

Ścieżkę wiodącą ku wrotom Raju

Przez potężnego Nabuchodonozora zbudowaną dla swej oblubienicy.

- Zaczyna się zupełnie czytelnie - rzekł West. - Idź na wschód od miejsca, gdzie dwoje rodziców stało się jednością. Rodzicami mieszkańcy Mezopotamii nazwali rzeki Tygrys i Eufrat. Czyli musi tu chodzić o miejsce, gdzie rzeki się łączą.

- Bagdad? - zapytał Kubuś Puchatek. - Tam się rzeki stykają. Poza tym to w tym miejscu znajdował się starożytny Babilon.

- Wcale nie - odparł West. - Babilon znajdował się niedaleko miasta Hilla, na południe od Bagdadu. Poza tym twoja teoria nie przystaje dokładnie do tego, co napisano u Kallimacha. Faktycznie, w okolicy Bagdadu rzeki bardzo się do siebie zbliżają, ale nie łączą. Tygrys i Eufrat stają się jedną wielką rzeką Szatt al - Arab dużo dalej na południe, w okolicy miasta Qurna. Szatt al - Arab płynie dalej na południe, przepływa przez Basrę i wpada do Zatoki Perskiej.

- Nie chce mi się wierzyć, że Amerykanie jeszcze nie znaleźli wiszących ogrodów - powiedział gorzko Długi. - Mają tu w Iraku sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Mogli bez trudu wysłać całą armię ludzi, żeby sprawdzić każdy najmniejszy wodospad w górach Zagros na wschód od Bagdadu, Hilli i Qurny.

West milczał, bo właśnie przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Chyba, że...

- Co?

- Współczesne miasto Hilla faktycznie stoi na ruinach Babilonu. Ale jak się przyjrzyjecie tekstowi Kallimacha, to on wcale nie wspomina o Babilonie. Wspomina o wiszących ogrodach STAREGO Babilonu. Rozumiecie? Starego.

- To znaczy? - zapytał Kubuś Puchatek.

- Zobaczcie - ciągnął West. - Nowy Jork. Nowa Anglia. Nowy Orlean. Dzisiaj wiele miast i regionów ma nazwy upamiętniające stare miejsca. W niektórych starożytnych dokumentach Babilon Nabuchodonozora określa się mianem Nowego Babilonu. Może wiszących ogrodów nigdy nie było w Nowym Babilonie? Może zbudowano je w starym mieście, które też nosiło nazwę Babilon, ale leżało zupełnie gdzie indziej?

- To by tłumaczyło, dlaczego biografowie Aleksandra Wielkiego nigdy nie wspomnieli o ogrodach, kiedy towarzyszyli wodzowi w jego wyprawach do Babilonu, i dlaczego nikt ich nie odnalazł w okolicach dzisiejszej Hilli - zasugerował Długi. - Aleksander często bywał w Babilonie, ale w nowym, a nie w starym.

- Dwa Babilony. Dwa miasta. - Zajid gładził w zamyśleniu swoją brodę. - Ciekawa teoria...

Nagle jego oczy rozbłyły.

- Oczywiście! No oczywiście! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?!

- O czym?

Zajid rzucił się do swojej skrzyni i zaczął w pośpiechu przerzucać notatki.

- Pójdę tokiem rozumowania kapitana Westa o krok dalej. Przyjmujemy, że Tygrys i Eufrat mają taki sam bieg jak w starożytności. Płyną z terenu dzisiejszej Turcji przez Irak i łączą się na południowych bagnach w okolicy Qurny.

Teraz posłuchajcie. To w Mezopotamii narodziła się legenda o potopie. Opowieść o arce Noego jest tylko powtórzeniem historii Zisudry i jego wypełnionej zwierzętami łodzi. Dlaczego? Ponieważ wszystkie te mity są odzwierciedleniem rzeczywistych powodzi i potopów, tego, jak wody Zatoki Perskiej wdzierały się w głąb lądu, niszczyły wybrzeże i zmieniały bieg dwóch wielkich rzek: Tygrysu i Eufratu. Graham Hancock opisał to bardzo wyraziście w swojej wspaniałej książce Tajemnice podwodnych miast. Aha, mam!

Wyciągnął ze skrzyni podniszczoną książkę i otworzył ją na stronie z mapą Iraku. Naczelne miejsce na mapie zajmowały dwie wielkie rzeki: Tygrys i Eufrat, które łączyły się na południu kraju.



Zajid zaznaczył na mapie położenie Hilli, Qurny i Basry.

- Tak samo jak my dzisiaj, w starożytności ludzie budowali swoje miasta na brzegach tych dwóch ogromnych rzek - wyjaśnił. - Ale kiedy w wyniku potopu rzeki zmieniły swoje koryto, ci sami ludzie opuścili stare miasta i zbudowali nowe, te, które znamy dzisiaj.

Wiele lat temu, kiedy szukałem zaginionych dokumentów dotyczących wiszących ogrodów, zaznaczyłem położenie opuszczonych miast, które usytuowano na brzegach rzek, a które opustoszały w wyniku zmiany ich biegu. Na podstawie położenia tych miast mogłem określić dawne koryta obu rzek.

- Gdzie w takim razie rzeki się zbiegały? - zapytał West.

Zajid się skrzywił.

- Widzicie, wtedy nie wiedziałem, że to ma jakiegokolwiek znaczenie.

Teatralnym gestem przełożył stronę i pokazał kolejną mapę Iraku, na której dorysowano dodatkowe linie oznaczające dawny bieg rzek.



Zajid wskazał punkt, w którym rzeki się zbiegały. Leżał na południe od miasta Qurna, w połowie drogi do Basry.

- Rzeki - powiedział - zbiegały się tutaj, w mieście Haritha.

Halikarnas mknął w kierunku miasteczka na południu Iraku, noszącego nazwę Haritha.

Na pokładzie wszyscy szykowali się do kolejnej misji: sprawdzali broń, pakowali mapy, hełmy i sprzęt grotolazów.

West siedział w swoim gabinecie z nieodłącznym Horusem na ramieniu i wpatrywał się w ekran laptopa, na którym Mistrz po zakończonej niepowodzeniem misji w Tunezji zainstalował oprogramowanie kontrolujące łączność pomiędzy Halikarnasem a resztą świata.

Kiedy przekroczyli granicę Iraku, komputer zapiszczał.

Ktoś wysłał z pokładu samolotu sygnał.

HARITHA, IRAK

19 MARCA 2006, GODZ. 09.00

DZIEŃ PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU

Aby dotrzeć do Harithy, Halikarnas musiał przelecieć nad portowym miastem Basra.

Kiedy lecieli nad przedmieściami Basry, w interkomie odezwał się głos Sky Monstera:

- Kapitanie West, proszę tu przyjść i spojrzeć.

West poszedł do kabiny pilotów i wyjrzał przez okno. Długa kolumna pojazdów wyjeżdżała właśnie z Basry, kierując się na północ w kierunku Harithy.

Konwój miał ogromne rozmiary i składał się wyłącznie z amerykańskich pojazdów.

Ciężarówki wypełnione wojskiem, pojazdy inżynieryjne, humvee, jeepy, motocykle, co najmniej dziesięć czołgów Abrams i kilka śmigłowców Black Hawk.

West szacował tę armię na jakieś pięć tysięcy ludzi.

- Jak to możliwe? - zapytał Zajid, stając za plecami Westa i Kubusia Puchatka.

- Znów nas namierzili? - zapytał Kubuś Puchatek.

West patrzył na konwój i zastanawiał się, kto jest zdrajcą.

- Cholera - zaklął Sky Monster, kiedy usłyszał coś w słuchawkach. - Jankesi poderwali myśliwce w bazie Nasirija. Lepiej szybko znajźmy miejsce do lądowania.

Kilka minut później znaleźli się nad miasteczkiem Haritha, położonym na wschodnim brzegu Szatt al - Arab, około pięćdziesięciu kilometrów na północ od Basry.

- Dobra, Sky Monster. Wysadzisz nas na wschodnim brzegu - powiedział West.

Sky Monster przechylił samolot na skrzydło i wtedy ich oczom ukazała się droga prowadząca do Harithy z północy, z Qurny.

Na tej drodze dostrzegli kolejną kolumnę amerykańskich pojazdów.

Była taka sama jak poprzednia - ciężarówki, humvee, czołgi i kolejne pięć tysięcy żołnierzy.

- Judah musiał wcześniej wysłać tych ludzi do Qurny w poszukiwaniu wodospadu - rzekł West. - Ale tam nic nie znaleźli. Szukali za daleko na północ.

- A teraz nagle się zorientował, że musi szukać tutaj - powiedział z naciskiem Sky Monster. - Jak to...

West klepnął go ostrzegawczo w ramię.

- Na wschód i lądujemy, przyjacielu.

Ich sytuacja była nie do pozazdroszczenia - mieli w grupie zdrajcę i znaleźli się pomiędzy dwoma przeważającymi liczebnie amerykańskimi oddziałami.

Jeśli mieli znaleźć wiszące ogrody, musieli się bardzo spieszyć.

Po kilku minutach wyrosły przed nimi postrzępione szczyty gór Zagros, stanowiące granicę pomiędzy Irakiem a Iranem. Przełęczami pomiędzy szczytami gór przeciskały się liczne strumyki, toczące swe wody ku Szatt al - Arab. Wodospadów było tu bez liku, jedne bardzo wysokie i wąskie, inne niskie, za to szerokie. Wiele z nich było dwupoziomowych, kilka czteropoziomowych, ale trzyopoziomowy znaleźli tylko jeden - wspaniały, olśniewający, wysoki na sto metrów, odbijający się od dwóch szerokich progów skalnych, zakończony na dole strumieniem wijącym się dalej pomiędzy skałami.

- To tutaj - powiedział West. - Jest nasz wodospad. Musisz nas gdzieś tutaj wysadzić. Ty polecisz w to miejsce - wręczył mu kartkę papieru, na której wypisał współrzędne - i zaczekasz tam na mój sygnał.

- Rozkaz.

Halikarnas wylądował na spękanej, gładkiej powierzchni wyschniętego od tysiąca lat jeziora.

Ledwie koła dotknęły powierzchni ziemi, rampa z tyłu otworzyła się, uderzając głośno o grunt, z wnętrza wytoczył się land - rover i pomknął na wschód, wzniesając tumany kurzu.

Tymczasem samolot już nabral prędkości i wzbił się w niebo, kierując się ku ukrytemu hangarowi, temu samemu, w którym stał piętnaście lat temu, nim Jack West go znalazł.

Land - rover zatrzymał się u podnóża góry z wodospadem. W powietrzu brzmiał ogłuszający łomot spadającej wody.

- Allah jest miłosierny - wyszeptał Kubuś Puchatek wpatrzony w wodospad, który był wysokości mniej więcej trzydziestopiętrowego budynku.

- Tam! - krzyknął West, wskazując ręką wąską skalistą ścieżkę wiodącą w górę, i bez namysłu ruszył do przodu. Pozostali podążyli za nim. Ale kiedy znaleźli się za kurtyną spadającej wody, natknęli się na coś, czego się nie spodziewali.

Z każdego z trzech stopni wodospadu woda spadała w pewnej odległości od skalnej ściany. Dzięki temu sama ściana za kurtyną wody była niemal sucha, jeśli nie brać pod uwagę rozpryskujących się kropeł i wszechobecnego śliskiego mchu. Okazało się, że w ścianie jest nie jedna, ale co najmniej sześć różnych wąskich ścieżek, wijących się, poskręcanych, krzyżujących co jakiś czas.

Kiedy West przyjrzał się uważniej, dostrzegł w ścianie, ku swemu niezadowoleniu, całe mnóstwo tajemniczych otworów, znajdujących się tuż przy ścieżkach.

To bez wątplenia były pułapki.

Zajid patrzył z podziwem.

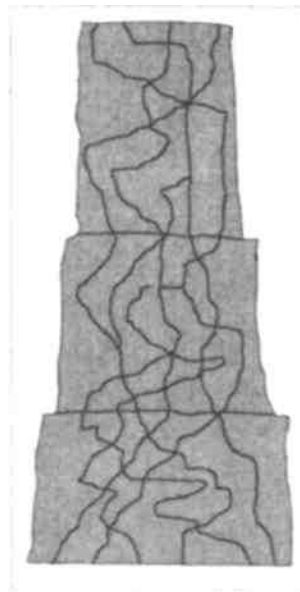
- Imhotep Trzeci. Geniusz, złowrogi geniusz. To wyjątkowo rzadko spotykany system pułapek, typowy właśnie dla niego. Wiele dróg prowadzących do celu, ale tylko jedna właściwa i bezpieczna.

- Skąd mamy wiedzieć, która ścieżka jest bezpieczna? - zapytał Długi. - Wszystkie są ze sobą posplatane.

Lily stała za plecami Westa, wpatrzona w skalną ścianę przecinaną ścieżkami. Nagle coś jej zaświtało.

- Już to widziałam... - odezwała się.

Sięgnęła do plecaka Westa i wyjęła stamtąd kartkę papieru. W nagłówku widniał tytuł: „Wejście przy wodospadzie - przebudowane przez Imhotepa III za rządów Ptolemeusza Sotera”.



- Spójrzcie na to... - powiedział Długi.

Linie na kartce dokładnie odzwierciedlały linie ścieżek przecinających skalną ścianę.

- Ale która z nich jest bezpieczna? - zapytał zaniepokojony Kubaś Puchatek.

- Tego nie wiem - odparła zmartwiona Lily.

- Zaczekaj chwilę - powiedział West. - Może wiesz...

Teraz on sięgnął do plecaka, pogrzebał w nim.

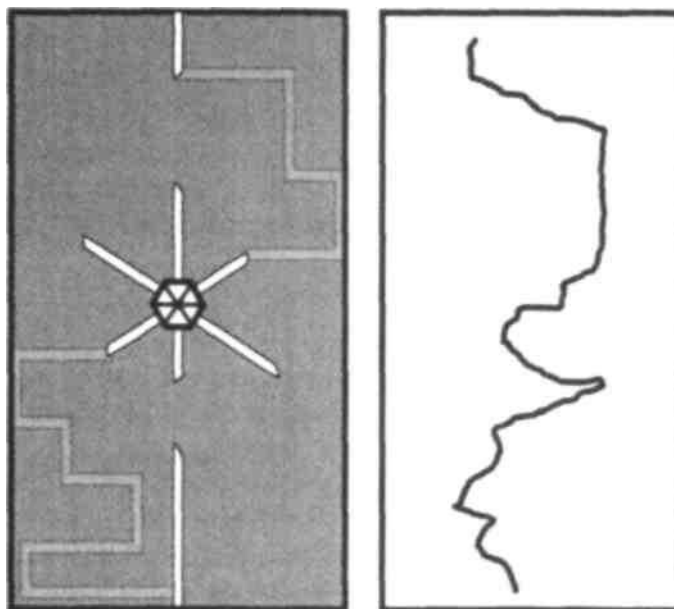
- Mam!

Wyjął podniszczony brązowy, oprawny w skórę notes. Dziennik niemieckiego archeologa Hesslera.

- Hessler znał bezpieczne przejście - rzekł West, przerzucając kartki dziennika, aż wreszcie trafił na stronę, której szukał.

- Tutaj! - Pokazał wszystkim otwarty dziennik z rysunkiem.

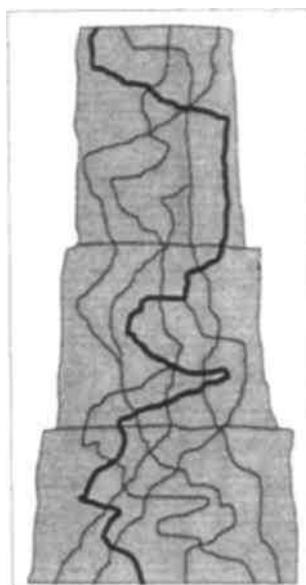




Pod rysunkiem widniał podpis: „Bezpieczne przejście”.

West uśmiechnął się.

Przyłożył oba rysunki do siebie. Faktycznie tylko jedna ścieżka odpowiadała linii z rysunku Hesslera.



- Kapitanie West - powiedział Zajid. - Jest pan dużo inteligentniejszy, niż przypuszczałem. Muszę na pana uważać.

- Dziękuję - odparł West cierpko. Obejrzał się na płaskowyż rozciągający się za jego plecami. W oddali wznosił się wysoki obłok pyłu. Wyglądało to na burzę piaskową albo...

- Idziemy - zarządził. - Mamy mało czasu.

Wspinali się ścieżką, która miała być tą właściwą, bezpieczną. Za ich plecami z hukiem spadały kaskady wody. Rozproszone przez wodę światło słońca oświetlało im drogę.

Pierwszy wspinał się West z nieodłącznym Ho - rusem na ramieniu.

Ścieżka wiła się i kręciła. Szli powoli, gdyż była tak wąska, że można nią było iść tylko pojedynczo, i na dodatek pokrywał ją śliski mech. Jasne było, że bez mapy narysowanej przez Hesslera nigdy nie zdołaliby znaleźć właściwej ścieżki.

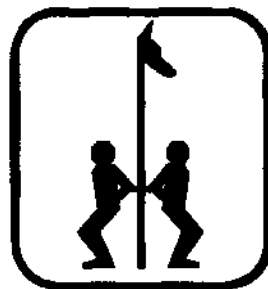
Tam gdzie znajdowały się dwie półki skalne, oddzielające kolejne stopnie wodospadu, ścieżka zamieniała się w wydrążony w skale tunel.

Po dwudziestu minutach powolnej, uciążliwej wspinaczki dotarli wreszcie na szczyt trzeciej, najwyższej skalnej ściany.

Tam, tuż pod skalną półką, z której spadała woda, ścieżka kończyła się wydrążonym w skale tunelem. Jego wnętrze tonęło w mroku.

Samo wejście było starannie wykute w skale, pełne ozdobników, choć teraz porastał je zielony mech. Po obu stronach wyryto starannie w skale hieroglify. Także ściany samego tunelu były wygładzone.

Nad wejściem, częściowo zniszczony przez spadającą wodę, widniał znajomy znak:



West uśmiechnął się.

- Jesteśmy w domu.

Kiedy West i pozostali przyglądali się wejściu do tunelu, Kubuś Puchatek poszedł kawałek dalej prosta, poziomą ścieżką, prowadzącą na brzeg wodospadu. Wychylił się zza ściany wody, by rzucić okiem na rozciągający się w dole płaskowyż.

Spojrzał i oniemiał.

Zobaczył obie kolumny amerykańskich pojazdów mknące po piaszczystym pustkowiu i wzniesające ogromny obłok pyłu. W powietrzu nad pojazdami zawisły śmigłowce.

Dziesięć tysięcy ludzi idących po nich.

- Na Allaha - szepnął. - Myśliwy...

West podszedł do niego, spojrzął na potężne siły amerykańskie, ale jego wzrok przykuł szczególnie jeden śmigłowiec, z wymalowanym na przedzie czarnym sokołem.

Zmarszczył brwi i zamyślony zacisnął usta.

Czuł się coraz bardziej osaczony, miał coraz mniejsze pole manewru.

- Chodź - powiedział do Puchatka. - Nie możemy teraz się zatrzymywać.

Wrócili do reszty grupy, która czekała przy wejściu do tunelu.

- Jeśli tam w środku też jest system pułapek, to nie mamy szans wejść i wyjść przed przybyciem Amerykanów.

- Ośmielę się zauważyć - odezwał się Zajid - że może uda nam się inną drogą...

- Jaka? - zapytał Długi podejrzliwie.

- Wejściem dla kapłanów. Wspomina o niej w swoim dzienniku, a i ja wcześniej natknąłem się w dokumentach na tę nazwę. Takie wejście jest zwykle bardzo małe, niepozorne, niczym nieozdobione. Tamtędy kapłani wchodzili do świątyni nawet wtedy, gdy była już zamknięta. Tam gdzie ukryto wiszące ogrody, na pewno była świątynia, w której odprawiano modły.

- Tylne wejście - mruknął West.

- Tak. A to oznacza, że wejdziemy tędy, a wyjdziemy przez wejście dla kapłanów.

- Jeśli uda nam się znaleźć kopułę - powiedział Długi.

- Jeżeli jej nie znajdziemy - odparł West - będzie to oznaczało, że Noddy, Doris i Wielkouchy zginęli na próżno. Nie pozwolę, by tak się stało. Zdobę ten kawałek kopuły, choćbym miał oddać za niego życie.

Z tymi słowami obrócił się, wziął Lily za rękę i zniknął w czeluści tunelu. Tuż za nim podążył Kubuś - Puchatek.

- Myśliwy - szepnął. - Ten śmigłowiec z wymalowanym czarnym sokołem. Widziałeś go?

- Tak - powiedział West, nie oglądając się za siebie.

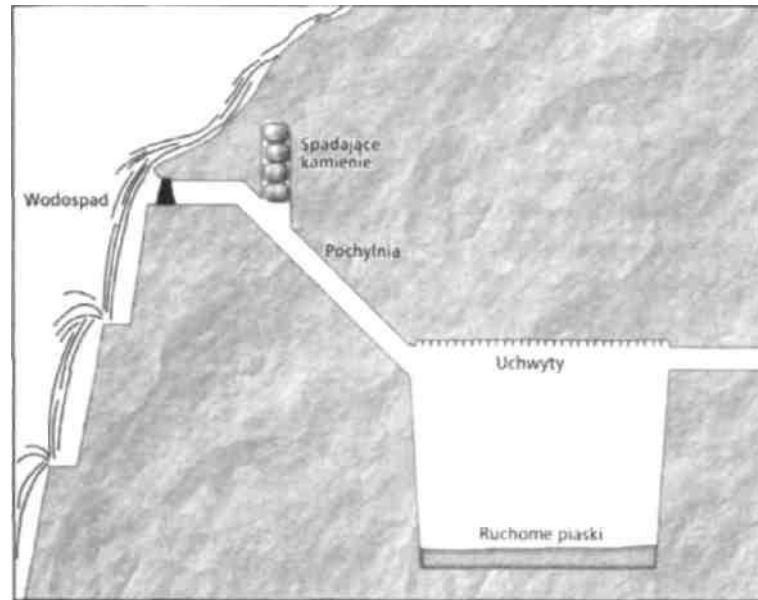
- To nie był amerykański śmigłowiec.

- Wiem.

- Rozpoznałeś oznaczenia? To był...

- Tak - szepnął West, zerkając przez ramię na Długiego. - To był śmigłowiec izraelski. Izraelczycy dowiedzieli się, że tu jesteśmy. I chyba wiem skąd. Wygląda na to, że chcą tu dotrzeć przed Amerykanami. - Ponownie rzucił piorunujące spojrzenie na Długiego. - Izrael zawsze dba o swoje interesy. Chodźmy.

I w ten sposób znaleźli się w podziemiach pełnych pułapek, strzegących zazdrośnie wiszących ogrodów Babilonu.



### Tunel wejściowy i grotta z ruchomymi piaskami

Lampa zamontowana na hełmie strażackim Westa cięła mrok tunelu niczym ostrze miecza.

Reszta zespołu podążała za nim, ich sylwetki rysowały się wyraźnie na tle wpadającego z zewnątrz światła słonecznego. Po wejściu do środka wszyscy powłączali swoje lampy na hełmach. Na czele kolumny leciał Horus.

Tunel miał idealnie kwadratowy kształt i został wykuty w litej skale. Był lekko pochylony w dół. W sklepieniu wykuto jakieś tajemnicze kwadratowe zagłębienia, okryte cieniem, zawierające Bóg wie jakie niespodzianki. Wciąż słychać było dobiegający od wejścia szum spadającej wody.

Nagle uruchomiła się pierwsza pułapka.

Z głośnym hukiem tuż przy wejściu spadł z sufitu olbrzymi pięciotonowy głaz, dokładnie blokując wejście i odcinając dopływ światła słonecznego.

Chwilę potem, ku przerażeniu wszystkich, pochyłość tunelu sprawiła, że głaz ożył.

Nabierając tempa, zaczął sunąć pochyłym tunelem wprost na nich, zmuszając ich do biegu.

- Szybko! - krzyczał West.

Zaczęli uciekać przed potężnym głazem, omijając skrupulatnie wszystkie otwory wydrążone w sklepieniu, aż dotarli do... brzegu urwiska.

Trzydziestometrowy tunel - pochylnia kończył się nagle czarną przepastną otchłanią. Nigdzie w dali nie widać było jego dalszego ciągu. To rzeczywiście był koniec tunelu.

Kamienny głaz sunął dalej.

West odpalił flarę i rzucił ją w mroczną pustkę.

Okazało się, że stoją na skraju olbrzymiej podziemnej groty w kształcie sześciangu, długiej co najmniej na pięćdziesiąt metrów i głębokiej na dziesięć pięter.

Problem polegał na tym, że znajdowali się na samej górze, tuż przy sklepieniu tej groty. A gład był coraz bliżej.

W świetle flary West zobaczył podłogę tej groty, rozciągającą się trzydzieści metrów pod nim. Była zupełnie płaska i piaszczysta.

Coś tu nie grało. Była zbyt płaska.

West kopnął niewielki kamień, który leżał w pobliżu, i obserwował jego lot.

Wreszcie kamień spadł na piasek. Nie odbił się. Po prostu zniknął, zatonął w piaszczystej powierzchni. Wyglądało to tak, jakby piasek go połknął.

- Ruchome piaski - rzekł podekscytowany Zajid. - Cała podłoga to morze ruchomych piasków...

- Boże, jesteś taki sam jak Max - powiedział West, oglądając się za siebie na zbliżający się gład, odległy już tylko o dziesięć metrów, który miał zmusić ich do skoku wprost w piaszczystą pułapkę.

Przyjrzał się jeszcze raz całej grotcie i znalazł wreszcie rozwiązanie - długi szereg uchwyty podczepionych do sklepienia i wylotu tunelu na drugim końcu sali, pięćdziesiąt metrów od nich. Pomiędzy uchwytami znajdowały się tajemnicze otwory, które z pewnością były częścią pułapki.

- Lily, chodź do mnie. Obejmij mnie mocno za szyję - polecił West. - Zajid. Wiesz coś o tych uchwytach?

Zajid zerknął na zbliżający się kamienny gład.

- Znalazłem kiedyś wzmiankę o czymś, co nazywało się „wysokie sklepienie jaskini z piaskiem”. Było w niej napisane: „Do przejścia użyj swych rąk, lecz z szacunku dla budowniczego, omijaj te, które należą do niego”. To miejsce jest dziełem Imhotepa Trzeciego, więc nie należy dotykać co trzeciego uchwyty.

- Brzmi logicznie - powiedział West - ale ponieważ nie do końca ci wierzę, proponuję, żebyś szedł pierwszy. Jazda!

Zajid zawisł na uchwytach i balansując ciałem, posuwał się do przodu, omijając co trzeci uchwyt.

Kiedy przeszedł kilka metrów i nic mu się nie stało, West podniósł Lily.

- Za mną.

Z dziewczynką mocno obejmującą go za szyję West sięgnął ręką, złapał uchwyt i...

...powędrował nad trzydziestometrową przepaścią.

To był niezwykły widok: pięć postaci, jedna za drugą, posuwających się naprzód, zawieszonych nad przepastną otchłanią olbrzymiej sześciennej groty.

Ostatni szedł Kubuś Puchatek, który złapał uchwyt chwilę przed tym, jak pięciotonowy gład pojawił się u wylotu tunelu.

Kamienny blok zawisł na skraju przepaści, przechylił się z wolna, poszybował w dół i z głośnym plaśnięciem wylądował na piaszczystym podłożu.

Po chwili został wessany przez niewinnie wyglądające trzęsawisko. Powoli, dostojnie zanurzał się w piasku, aż wreszcie zniknął.

West pewnie łapał za kolejne uchwyty. Tuż przy nich leciał Horus, zapewne zdumiony tak niewygodnym sposobem podróżowania.

Podobnie jak Zajid, West omijał co trzeci uchwyt. Zajid miał rację. West spróbował złapać dziewiąty z kolei uchwyt, aby przekonać się, co się wydarzy. Uchwyt po prostu wysunął się z kamiennego sklepienia i poszybował w dół, ku zdradliwej podłodze.

Kiedy Jack był w połowie drogi, usłyszał za sobą głosy, a właściwie krzyki. Dochodziły z tunelu od strony wejścia.

Izraelski śmigłowiec musiał wysadzić żołnierzy bezpośrednio na ścieżkę na szczycie góry.

West był przekonany, że byli to komandos z jednostki Sajaret Matkal, najbardziej elitarnego oddziału. Ci ludzie to byli zabójcy - skuteczni, pozbawieni skrupułów i na dodatek najlepsi strzelcy. W tej właśnie jednostce służył dawniej Długi.

A teraz znaleźli się tutaj.

- Pospieszcie się! - zawołał West. - Zaraz będziemy mieli niemiłe towarzystwo!

West przyspieszył. Jak mała chwytął jeden uchwyt po drugim. I wtedy usłyszał znajomy dźwięk spadającego kamiennego gązdu, a chwilę później krzyki i odgłos biegnących ludzi.

Izraelczycy uruchomili mechanizm, który uwolnił kolejny kamienny blok.

Daleko z przodu Zajid dotarł już do wejścia do tunelu. Po chwili był przy nim West z Lily. Kiedy jego stopy stanęły na twardym podłożu tunelu, obrócił się, by pomóc pozostałym i wtedy...

...dostrzegł na swoim nosie małą, czerwoną kropkę laserowego celownika. Kropka pochodziła z karabinu wycelowanego w niego przez izraelskiego snajpera, stojącego u wylotu tunelu, po przeciwnej stronie grotu.

W słuchawce odbiornika radiowego usłyszał wyraźny głos:

- Kapitanie West. Proszę się nie ruszać. West wcale nie zamierzał podporządkować

się poleceniu, ale wtedy, jakby ktoś czytał w jego myślach, kropka przesunęła się z jego twarzy wprost na szyję Lily.

- Wiem, o czym pan myśli, kapitanie. Proszę tego nie robić. W przeciwnym razie ona zginie. Cohen! Co z uchwytami? Które są bezpieczne?

W tej właśnie chwili Długi wylądował tuż obok Westa. Jeszcze tylko Kubuś Puchatek, stękając i wzdychając, wisiał nad przepaścią uczepony uchwytów.

Długi spojrział z ukosa na Westa i powiedział do mikrofonu:

- Omijajcie co trzeci szczebel, majorze.

Izraelczycy poruszali się bardzo szybko. Było ich sześciu. Wszyscy zdążyli uciec przed sunącym kamiennym głazem. Tak jak poprzedni, runął w dół i zatonął w morzu ruchomych piasków.

Poza tym żołnierze poruszali się precyzyjnie, dokładnie skoordynowanymi ruchami. Bez przerwy jeden z nich zawisał na jednej ręce, drugą celując w Lily.

Po kilku minutach cały oddział znalazł się w drugim tunelu i okrążył ludzi Westa.

Izraelski dowódca spojrział groźnie na Westa. Długi dokonał prezentacji.

- Kapitan Jack West... major Icchak Meir z Sajaret Matkal, pseudonim: Mściciel.

Mściciel był wysokim, barczystym mężczyzną. Twarde spojrzenie zielonych oczu mówiło, że nie istnieją dla niego żadne niuanse. Czarne jest czarne, białe jest białe, a Izrael jest najważniejszy.

- Oslawiony kapitan West. - Mściciel podszedł do Jacka i wyjął z jego dłoni pistolet. - Nie spotkałem nigdy wcześniej żołnierza, który doznałby tylu niepowodzeń, a mimo to po prostu się podnosił, otrzepywał i wracał na pole bitwy.

- Dopóki piłka w grze... - odparł West.

- Kapitanie Cohen, gratuluję - Mściciel zwrócił się do Długiego. - Wykonał pan zadanie doskonale, choć misja była wyjątkowo długa. Pańska praca została doceniona na najwyższych szczeblach. Przykro mi również, że musiałem tak pana dzisiaj zaskoczyć.

Długi nie odpowiedział, skinął tylko głową. Za to Kubuś Puchatek był wściekły. Spiorunował Długiego wzrokiem.

- Przyjmij też moje gratulacje, Izraelczyku. Wypełniłeś swoją misję co do joty. Sprzedałeś nas, żeby zdobyć fragment złotej kopuły. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

Długi nadal milczał. Lily spojrzała na niego.

- Długi? Dlaczego...? Długi odparł łagodnie.

- Lily, musisz zrozumieć. Ja nie...

Mściciel uniósł brwi.

- Co to jest? Długi? Cohen, zmieniłeś nazwisko? Jak miło. - Zwrócił się do Puchatka. - Niestety, wszystko, co powiedziałaś, to prawda, Arabie. Ostatni fragment kopuły będzie należał do nas. Kawalek, który stanie się narzędziem nacisku na Stany Zjednoczone. Dzięki niemu Izrael osiągnie to, czego pragnie. Kapitanie West, gdyby był pan tak uprzejmy. Proszę prowadzić. Proszę prowadzić wprost do złotej kopuły. Od tej chwili pracuje pan dla Izraela.

Nagle gdzieś na zewnątrz rozległa się potężna eksplozja.

Wszyscy gwałtownie się obrócili.

West wymienił spojrzenia z Kubusiem Puchatkiem.

Nasłuchiwali chwilę.

Nic. Cisza.

I wtedy dopiero do Westa dotarło, że to właśnie cisza jest największym zmartwieniem. Nie było już słycać odgłosu spadającej wody. Judah użył materiałów wybuchowych, żeby zmienić bieg wodospadu. Dzięki temu otworzył drogę dla swojej armii.

Nawet w najczarniejszych scenariuszach West nie przewidział takiego rozwoju wypadków, jakie teraz nastąpiły.



Eksplozja ładunków wybuchowych rzeczywiście odwróciła bieg rzeki, spadającej dotychczas kaskadą nad wejściem do podziemi. W tej chwili skalna ściana, przeorana zarysem ścieżek prowadzących w górę była widoczna z daleka i zupełnie sucha.

U podnóża skalnej ściany kłębił się teraz trudny do opisanego tłum żołnierzy. Wokół stały czołgi i samochody terenowe, a nad głowami tej małej armii krążyły nieustannie śmigłowce.

Całym tym zamieszaniem kierował ze swojego ruchomego punktu dowodzenia Marshall Judah.

Na pierwszy rzut wysłał oddział desantowy. Żołnierze dzięki linom opuszczonym z pokładu śmigłowców znaleźli się od razu na najwyższej półce skalnej, tuż przy wejściu do tunelu.

Bez wahania, z bronią gotową do strzału, zniknęli w głębi skrytego do niedawna przejścia.

Ze swojego miejsca, po drugiej stronie grotty wypełnionej ruchomymi piaskami, West i wszyscy pozostali widzieli czerwone punkciki celowników laserowych, śmigające po ścianach w rytm kroków żołnierzy.

- Amerykańskie świnie - syknął Zajid.

I oto nagle tupot nóg ustąpił głośnemu hałasowi, złowieszczemu odgłosowi towarzyszącemu toczeniu się kolejnego głazu.

Padły strzały. Amerykanie strzelali do ześlizgującego się kamienia!

Krzyki. I bieg - szaleńczy bieg.

Dosłownie po sekundzie pierwszy zdesperowany amerykański żołnierz pojawił się u wylotu tunelu, tuż nad przepaścią.

Rozejrzał się wokół z przerażeniem, powiódł wzrokiem na prawo i lewo, w górę i w dół. Najpierw dostrzegł piaszczyste dno grotty, potem uchwyty, zawieszane na sklepieniu. Zawisł na pierwszym, złapał drugi, potem trzeci...

Trzeci uchwyt wysunął się z otworów, w których został umieszczony i poleciał wraz z nieszczęsnym komandosem dziesięć pieter w dół.

Spadając, mężczyzna bez przerwy krzyczał. Kiedy wreszcie upadł na rozciągające się w dole morze piasku, ton jego głosu uległ zmianie. Teraz był to krzyk człowieka, który nie może przeciwstawić się już losowi, człowieka, który wie, że za chwilę umrze.

Pozostała piątka amerykańskich komandosów dotarła na skraj urwiska akurat w chwili, gdy ich kolega zniknął już pod powierzchnią z ustami pełnymi piachu. Uwięzieni na brzegu czeluści spoglądali to na uchwyty wystające z sufitu, to na zbliżający się głaz, to znów w kierunku ruchomych piasków.

Dwóch z nich spróbowało złapać się uchwytów. Pierwszy spadł wraz z szóstym uchwytem, drugiemu uchwyt wyslizgnął się z rąk.

Pozostali trzej zginęli pod ciężarem spadającego głazu.

Pojawił się w tunelu nagle i jak rozpędzona lokomotywa po prostu zmiotł ich ze swojej drogi, odrzucił daleko, sprawił, że zatoczyli szeroki łuk w powietrzu i polecili trzydzieści metrów niżej wprost na gładką powierzchnię piasku, wyściełającą dno jaskini.

Kamienny głaz, spadając, trafił w jednego z żołnierzy, pociągając go za sobą. Pozostali dwaj jeszcze przez chwilę rozpaczliwie walczyli o życie, nim pokonał ich łakomy piach.

West i pozostali mogli się temu tylko przyglądać.

- To się już nie powtórzy - powiedział West do Mściciela. - Judah wysłał tych ludzi na pewną śmierć. Nikt ich nie ostrzegł, jakie czyhają na nich niebezpieczeństwa. Mieli sprawdzić, jak działa system pułapek. I zapłacić za to życiem. Kiedy Judah się tu pojawi, będzie działał rozważniej.

Major armii izraelskiej kiwnął głową i zwrócił się do dwóch swoich żołnierzy:

- Shamburg, Riel. Osłaniajcie tyły. Zatrzymajcie ich tak długo, jak to będzie możliwe, a potem nas dogonicie.

- Tak jest!

- Rozkaz!

Mściciel oderwał Lily od Westa, ciągnąc ją brutalnie za kołnierz.

- Idź przodem, West.

Nie zdążyli przejść nawet dziesięciu kroków, kiedy usłyszeli odgłos strzelaniny z miejsca, gdzie na posterunku pozostało dwóch żołnierzy.

Ostrzał trwał.

Musiało pojawić się więcej Amerykanów. Na dodatek pewnie udało im się unieszkodliwić pułapkę ze spadającymi głazami.

Jedno było pewne. Dwóch ludzi nie zdoła ich długo powstrzymać.

Klatka schodowa

Po przejściu kilku metrów w tunelu znaleźli się w kolejnym dużym pomieszczeniu, które również miało kształt sześcianu o boku około piętnastu metrów. Różnica polegała na tym, że tym razem dotarli do niego z dołu, a nie z góry.

Przed Westem wyłoniła się ścieżka prowadząca w górę, wzdłuż lewego boku pomieszczenia, pozbawiona jakichkolwiek barier. Po prawej stronie rozciągała się płaszczyzna ruchomych piasków.

Te kamienne schody prowadziły do czegoś doprawdy zdumiewającego.

Siedem kamiennych stopni wiodło do otworu wykutego w sklepieniu tej komnaty. Każdy ze stopni miał co najmniej dwa metry wysokości, był najeżony otworami i zagłębieniami o różnym kształcie i rozmiarach. Niektóre miały wielkość drzwi, inne - piłki do koszykówki. Nie ulegało wątpliwości, że w każdym czaiła się jakaś zdradliwa niespodzianka. W kamiennej ścianie po lewej stronie także widniały liczne tajemnicze otwory różnej wielkości. Po prawej stronie nie było niczego podejrzanego.

Cel był prosty do odgadnięcia - jeśli spadniesz ze schodów, utoniesz w morzu ruchomych piasków.

- Oto mamy nasze poziomy - powiedział Zajid.

- Co takiego? - zapytał West.

- Pamiętasz raport z postępu prac, ten szkic, który wam pokazałem? Te stopnie wcale nie były stopniami schodów, tylko kolejnymi poziomami, które prowadziły do głównego wejścia do jaskini. Później Imhotep Trzeci zamienił je w najeżone pułapkami schody.

- Jasne.

- Jeśli się nie mylę, to wiszące ogrody Babilonu znajdziemy za tym otworem w suficie.

Mściciel popchnął Westa do przodu, nie wypuszczając Lily.

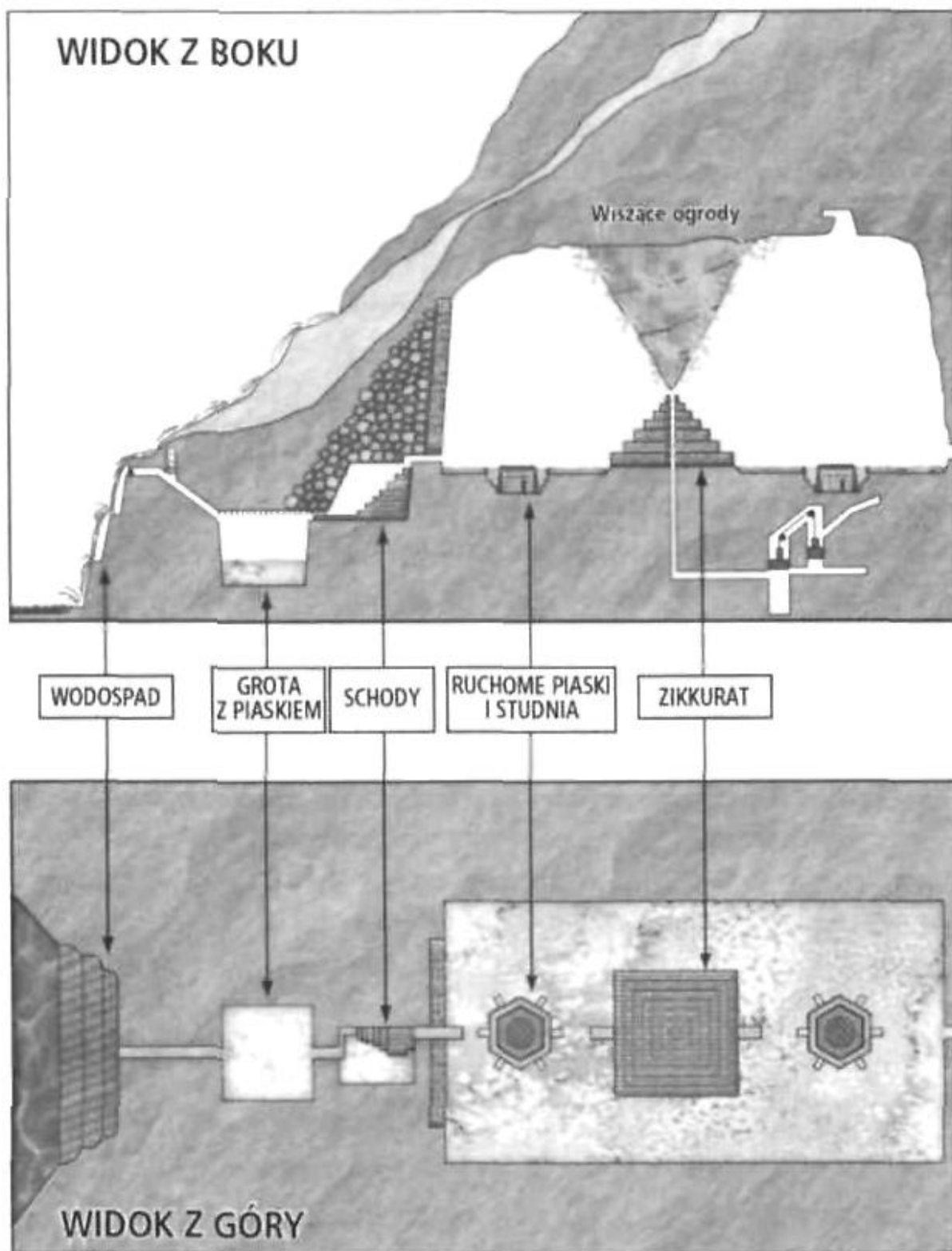
- Kapitanie West. Bardzo proszę. Czas odgrywa tu istotną rolę. Pan prowadzi.

West ruszył przodem.

Praktycznie na każdym stopniu natykał się na pułapki. Piasek sypiący się w oczy, zapadnie, wyrastające zniemacka szpikulce, a nawet ważący tonę głaz, który przetoczył się niespodzianie po piątym stopniu.

Jedynie dzięki treningowi, refleksowi i umiejętności logicznego myślenia w warunkach stresu udało mu się przebrnąć przez wszystkie pułapki i w końcu dotarł do wykutego w sklepieniu sali otworu. Wspiął się i znalazł w mrocznym pomieszczeniu, które, jak podpowiadały mu zmysły, było naprawdę wielkie. Zapalił flarę i trzymał ją uniesioną wysoko w górze. W tej jednej krótkiej chwili doświadczył nieprawdopodobnego uczucia. On, Jack West, ujrzał coś, czego ludzkie oko nie oglądało od ponad dwóch i pół tysiąca lat.

Przed nim prezentowały się w całej swojej chwale wiszące ogrody Babilonu.



**WISZĄCE OGRODY BABILONU**

Żeby oświetlić całą ogromną jaskinię, musiał zapalić jeszcze osiem flar. Najwłaściwszym określeniem byłoby superjaskinia, gdyż jej wielkość równała się wielkości dwudziestu boisk piłkarskich. Miała idealnie kwadratowy kształt. Prawie całą jej powierzchnię pokrywała warstwa ruchomych piasków - wyglądało to zupełnie jak gładkie jezioro żółtego piasku. Z tego jeziora w samym środku pomieszczenia wylaniał się wysoki na piętnaście pięter zikkurat - rodzaj piramidy schodkowej, bardzo popularnej w starożytnej Mezopotamii.

To, co znajdowało się nad zikkuratem, było tworem natury i wzbudzało prawdziwy zachwyt - ogromny wapienny stalaktyt zwieszający się ze sklepienia jaskini dokładnie nad zikkuratem. Był tak wielki, tak masywny, że sam zikkurat wydawał się przy nim niewielki. Miał co najmniej dwadzieścia pięć pięter i kształtem przypominał odwróconą do góry nogami górę. Jego czubek zwisał nad szczytem zikkuratu.

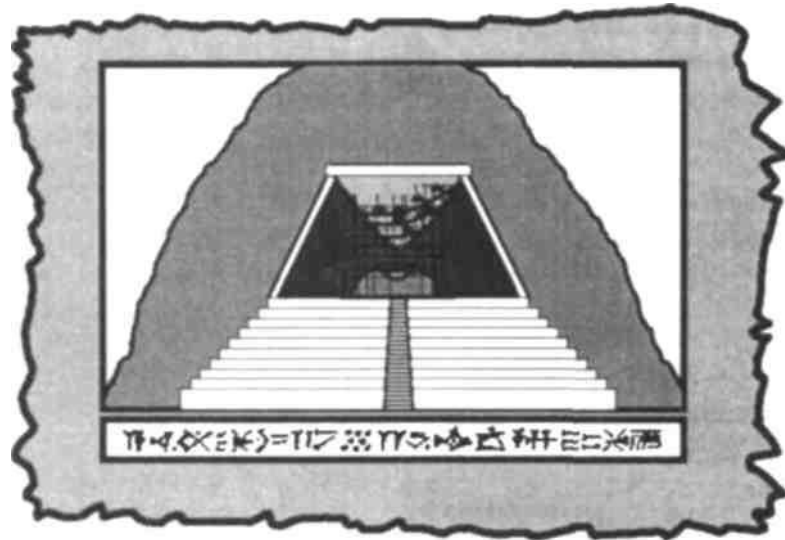
Ten twór natury został jeszcze udoskonalony ludzkimi rękami, tak że w pełni zasługiwał teraz na miano niewyobraźalnego cudu.

Na jego powierzchni wyciosano ścieżkę. Miejscami była zupełnie płaska i kręta, gdzie indziej przyjmowała formę schodów. Ścieżka prowadziła spiralnie w górę i sięgała aż sklepienia jaskini. Przy ścieżce wykuto setki półokrągłych otworów, a w każdym z nich posadzono winorośl, krzewy, drzewa, kwiaty. Wszystkie rośliny miały nienaturalnie wielkie rozmiary, wszystkie zwieszały się ku ziemi.

To wykraczało poza granice wyobraźni. Wyglądało niewiarygodnie. Prawdziwy wiszący ogród. Wiszące ogrody Babilonu.

Kiedy obok niego pojawili się pozostali, West zwrócił uwagę na ścianę, która sięgała do najwyższego punktu jaskini. Zbudowano ją z ciasno ułożonych cegieł, ale na jej brzegach widać było ślady innej, wcześniejszej budowli, wysokiej na sto metrów, w kształcie trapezoidu. To musiały być jakieś olbrzymie wrota, które później zamurowano ceglami.

West wyjął z kieszeni szkic Zajida - rysunek stalaktytu otoczonego rusztowaniami, widocznego z zewnątrz przez trapezoidalne „okno”.



Jednocześnie przypomniał sobie notatkę, którą przeczytał w dzienniku Hesslera. Sięgnął po dziennik i znalazł właściwą stronę.

PIERWSZA INSKRYPCJA Z GROBOWCA IMHOTEP A III:  
CÓŻ TO BYŁA ZA WSPANIAŁA BUDOWLA,  
ZBUDOWANA JAK LUSTRZANE ODBICIE,  
GDZIE WEJŚCIE I WYJŚCIE BYŁO JEDNAKIE.  
BÓL SPRAWIA MI TO, ŻE TO ZADANIE - KTÓRE STAŁOBY  
SIĘ DZIEŁEM MEGO ŻYCIA - MIAŁO SKRYĆ TAK POTĘŻNĄ  
BUDOWLĘ.  
WYKONAŁEM SVOJĄ PRACĘ.  
ZASŁONILIŚMY WIELKI ŁUK OSUWISKIEM.  
ZGODNIE Z ROZKAZEM WEJŚCIE KAPŁAŃSKIE  
POZOSTAŁO OTWARTE,  
MOGĄ WIĘC DOKONYWAĆ SVOICH OBRZĘDÓW.  
KAPŁANI DOWIEDZĄ SIĘ O WSZYSTKICH CZYHAJĄCYCH  
PUŁAPKACH.

- Zasłoniliśmy wielki łuk osuwiskiem... - przeczytał na głos West. - Imhotep najpierw zamurował wejście, a potem przysypał je dodatkowo ziemią. Ale to nie koniec, zmienił jeszcze bieg rzeki, tak żeby ukryć swoje dzieło na wieki. Mój Boże, on naprawdę był fachowcem...

- To prawda, Trzeci Wielki Architekt był faktycznie mistrzem - powiedział Zajid, stając obok Westa.

Za ich plecami pojawiały się następne osoby i stawały oniemiałe z zachwytu.

Lily otworzyła szeroko buzię.

Długi wybałuszył oczy.

Nawet Mściciel był pod wrażeniem i zamilkł z zachwytu.

Dopiero Kubuś Puchatek trafnie opisał ich reakcje:

- Teraz rozumiem, dlaczego nazwano to cudem.

Pozostawało jeszcze dotrzeć do tego cudu.

Od zikkuratu oddzielał ich szeroki pas ruchomych piasków. Innej drogi nie było.

W połowie drogi pomiędzy nimi a zikkuratem z gładkiej piaszczystej powierzchni wyrastała niewielka zadaszona budowla przypominająca altankę. Zbudowana z kamienia miała kształt sześcioboku i wielkość garażu. Brakowało jej ścian, ciężki dach podtrzymywało tylko sześć kolumn.

Od miejsca, gdzie stali, w kierunku pawilonu prowadziła idealnie prosta ścieżka - wystająca dwa centymetry nad powierzchnię piasku - która urywała się raptownie trzydzieści metrów przed budynkiem. Ścieżka pojawiała się ponownie tuż przy altanie. Wyglądało na to, że brakujący odcinek został dawno temu zasypany przez piasek.

Kiedy West przyjrzał się uważniej, dostrzegł więcej takich ścieżek. Odchodziły promieniście od pawilonu, układając się w gwiazdę. Wszystkie ścieżki wyłożono kamiennymi płytami, każda kończyła się nieoczekiwanie około piętnastu metrów od altany.

- Jak tam dotrzemy? - zainteresował się Kubuś Puchatek. - Ruchome piaski pochłonęły te ścieżki.

- Nie możemy pójść po prostu tą prostą ścieżką? - spytał Mściciel. - Na pewno wiedzie dalej, tylko przykrył ją piasek.

- Tak. Zróbmy dokładnie to, co proponujesz. Ale może pójdziesz pierwszy, głupi Izraelczyku? - odezwał się Zajid.

Mściciel zmarszczył brwi.

- On chciał powiedzieć, że pójście tą ścieżką równa się samobójstwu - wyjaśnił West. - To pułapka zastawiona na nierozważnych i niedoinformowanych. Wygląda na fałszywą podłogę, największą fałszywą podłogę, jaką w życiu widziałem. Gdzieś tutaj, pod piaskiem jest właściwa, bezpieczna droga. Trzeba tylko wiedzieć gdzie.

- Przecież wiemy - usłyszał cichy głos za swoimi plecami.

To Lily.

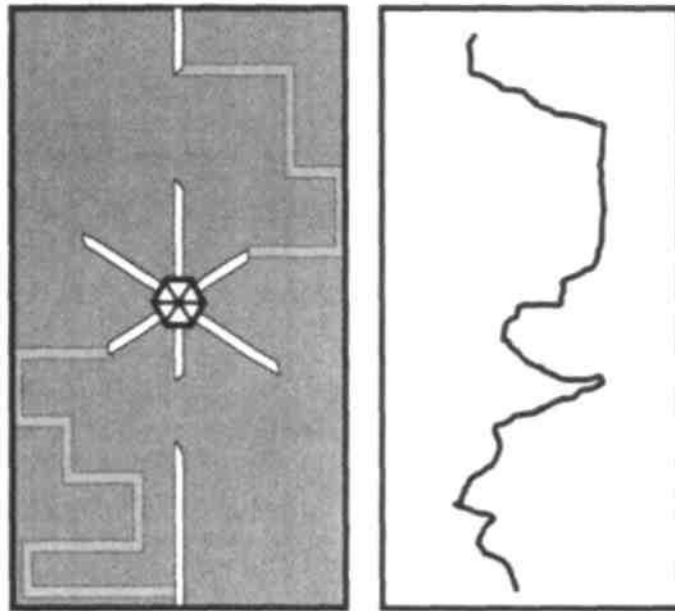
Wszyscy się odwrócili w jej stronę.

- Wiemy? - zdziwił się Kubuś Puchatek.

- Tak - odparła Lily. - Przecież to jest drugi rysunek „bezpiecznej drogi” z dziennika Hesslera. Pierwszy dotyczył ścieżki na tyłach wodospadu. A to jest drugi. To dlatego Hessler umieścił je obok siebie.

Wyjęła Westowi z ręki dziennik, przerzuciła kilka kartek i dotarła do strony, którą oglądali pół godziny wcześniej.





Wtedy wpatrywali się uważnie w rysunek po prawej stronie, teraz ich uwagę przykuł ten po lewej.

Faktycznie, dokładnie odzwierciedlał to, co widzieli przed sobą. Dodatkowo jednak zaznaczono na nim ścieżkę ukrytą pod piaskiem - krętą, wijącą się wzdłuż ścian, przechodzącą przez środek pawilonu i kończącą swój bieg u podstawy zikkuratu.

West kiwnął głową. Był pod wrażeniem bystrości Lily.

- Dobra robota, szkrabie. Przynajmniej ty masz głowę na karku. Lily promieniała.

Nagle w słuchawce Mściciela rozległ się jakiś głos. Obejrzał się za siebie i zobaczył dwóch żołnierzy, którzy mieli powstrzymać Amerykanów.

- Majorze! - powiedział jeden z nich. - Amerykanie przechodzą właśnie przez pierwszą grootę. Jest ich do diabła i trochę. Osłaniają ich strzelcy wyborowi, przynieśli ze sobą drabiny i pontony. Zamierzają przejść dołem. Nie wytrzymał ich ognia. Musieliśmy wiać.

- Okay - odparł Mściciel. - Wysłałam do was Weitzę, pomoże wam bezpiecznie wejść po tych schodach. Jak będziecie na górze, rozstawicie kolejny posterunek. Każda sekunda jest dla nas cenna.

Mściciel zwrócił się teraz do Westa.

- Pora, kapitanie, by sprawdził pan teorię swojej małej przyjaciółki. Mam nadzieję, że się nie myli. W drogę.

Patrząc na mapę, West postawił pierwszy niepewny krok na głównej ścieżce i obrócił się w lewo. Teraz miał przed sobą tylko morze piasku.

Wysunął nogę do przodu i... jego but stanął na twardej powierzchni, na kamiennej ścieżce ukrytej pod kilkucentymetrową warstwą piasku.

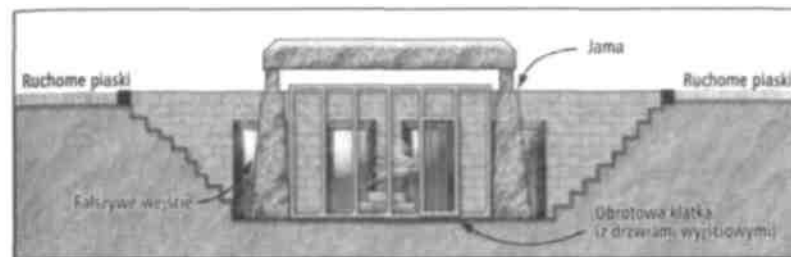
Lily odetchnęła z ulgą.

West ostrożnie sprawdził, czy coś się kryje pod piaskiem po obu stronach ścieżki. Był tam tylko piasek.

- Wygląda na to, że znaleźliśmy właściwą drogę - powiedział.

Po zrobieniu kopii rysunku dla dwóch żołnierzy, którzy mieli pozostać na posterunku, cała grupa ruszyła za Westem.

Kierowali się mapą, a gdy tak szli po piasku, wyglądało, jakby stąpali po wodzie. Dotarli do ściany po lewej stronie, potem ruszyli wzdłuż niej, następnie skierowali się ku środkowi sali i wreszcie znaleźli się przy pawilonie.



Altana

Ku ich zaskoczeniu podłoga altany nie znajdowała się na poziomie piasku, lecz trzy metry niżej. Grube, solidne kamienne brzegi skutecznie zapobiegały zasypaniu przez piach.

Krótkie, wąskie kamienne schody wiodły w dół. Jama, w której wybudowano pawilon, miała także sześcioboczny kształt. W każdej ze ścian znajdowały się wykute w skale wejścia. Nad budowlą górował potężny, przysadzisty dach, spoczywający na kolumnach i wystający tylko kilkadziesiąt centymetrów nad poziom piasków. Wewnątrz wyłożonej kamieniami jamy stała cylindryczna klatka wykonana z brązu, wysoka na trzy i pół metra, składająca się z pionowych prętów.

Podczas gdy w ścianach jamy było sześć otworów, to w klatce tylko jeden, od strony schodów, którymi West właśnie schodził.

- Obrotowa klatka... - powiedział Zajid. - Kiedy wejdziemy do środka, klatka zacznie się kręcić. Będziemy musieli wybrać właściwe drzwi. Ale już wchodząc do klatki, uruchomimy mechanizm kolejnej pułapki. Najpierw trzeba się z nią uporać, a dopiero potem wybrać odpowiednie drzwi.

- To tak, jak z tą tonącą klatką w Tunezji - zauważył Kubaś Puchatek.

W samym środku jamy, na bogato zdobionym podium, stała olbrzymia statua wyrzeźbiona w czarnym wapieniu. Przedstawiała lwa ze skrzydłami, odbijającego się tylnymi łapami do skoku, podczas gdy przednie były uniesione wysoko w górę, a skrzydła szeroko rozpostarte. Posąg miał półtora metra wysokości, a oczy lwa stanowiły dwa błyszczące czerwono rubiny.

- Studnia uskrzydłonego lwa... - powiedział Zajid do Westa. - Niemcy też o niej wspominają.

Szybko odnaleźli odpowiednią stronę w dzienniku Hesslera.

DRUGA INSKRYPCJA Z GROBOWCA IMHOTEPY III:  
TYLKO NAJWAŁECZNIEJSZE DUSZE,  
MOGĄ POKONAĆ STUDNIE USKRZYDLONYCH LWÓW.  
LECZ STRZEŻCIE SIĘ GROTY NINGIZZIDY,  
TEMU, KTO WEJDZIE DO GROTY KRÓLA - WĘŻA,  
DAM JEDNĄ TYLKO RADĘ:  
PORZUĆ WSZELKĄ NADZIEJĘ,  
STAMTĄD NIE MA UCIECZKI.

USKRZYDLONE LWY - POWSZECHNY W PERSJI/MEZOPOTAMII POSĄG  
NINGIZZIDA - ASYRYJSKI BÓG WĘŻY  
MOŻLIWE ODNIESIENIE DO WISZĄCYCH OGRODÓW  
BABILONU???"

- Hessler miał rację - powiedział Zajid. - To jest odniesienie do wiszących ogrodów.

Nagle ich uszu dobiegły odgłosy wystrzałów.

- Majorze! Amerykanie są już przy schodach! - meldował żołnierz. - Na razie dajemy sobie radę, ale jest ich coraz więcej. Nie uda nam się ich odeprzeć!

- Trzymajcie ich tam, jak długo się da, Shamburg - powiedział Mściciel. - Potrzebujemy czasu.

Odwrócił się do Westa.

- Co to za pułapka?

West zawahał się.

- Myślę, że Zajid ma rację. Klatka obraca się w kółko, aż wreszcie jej wejście zrówna się z właściwym wejściem w ścianie. A właściwe wejście to te drzwi, dokładnie naprzeciw nas.

- Sprawdź to - polecił Mściciel, popychając Westa naprzód. - Schaefer, idź z nim. Będziesz go osłaniał.

Oślaniany przez izraelskiego żołnierza, West ostrożnie przeszedł przez otwór wejściowy i znalazł się w klatce.

Cały czas w uszach dzwięczało mu ostrzeżenie Imhotepa: „Tylko najwałeczniejsze dusze mogą pokonać...”.

Kiedy West wraz z towarzyszącym mu żołnierzem znaleźli się pośrodku jamy, tuż obok posągu skrzydłatego lwa, uruchomił się zdradziecki mechanizm.

Teraz wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Z przeszywającym uszy zgrzytem metalu ocierającego się o metal okrągła klatka zaczęła się bardzo szybko obracać, zatrzymując się tylko na ułamek sekundy przy każdym z sześciu otworów.

Dalej było jeszcze gorzej.

Z góry ze świstem zaczął się wsypywać do klatki piasek. Otworzyły się skryte wcześniej w kamiennych ścianach otwory, przez które piasek mógł swobodnie wpadać do jamy. Warstwa piasku w krótkiej chwili sięgnęła już Westowi do kolan i nadal rosła. W końcu, stojąc w obracającej się klatce, zasypywany przez piach, West stracił orientację. Wiedział jednak, że takie było właśnie założenie konstruktorów tej pułapki. Intruz miał wpaść w panikę, stracić orientację i wybrać niewłaściwe drzwi, za którymi czekały zapewne jeszcze gorsze niespodzianki.

Żołnierz, który mu towarzyszył, wpadł w panikę.

Kiedy klatka na moment przystanęła przy kolejnych drzwiach, niewiele myśląc, przeszedł przez nie i znalazł się na schodach do złudzenia przypominających te, którymi schodził do klatki. Tyle, że te prowadziły donikąd. To był ślepy zaułek i na dodatek ciasny, niewiele większy od postawionej pionowo trumny.

I wtedy, z głośnym hukiem opadła wielka, wysoka na dwa i pół metra płyta z brązu, zamykając wejście do pułapki, w której znalazł się Schaefer, a z góry posypała się lawina piasku. Przez małe okienko umieszczone w płycie można było dostrzec, co dzieje się w środku.

Schaefer zaczął krzyczeć, kiedy piasek posypał mu się na głowę. Wystarczyło jednak tylko kilka sekund, by niewielkie pomieszczenie wypełniło się nim po brzegi. West patrzył z przerażeniem na Schaefera, któremu piach w końcu zatkał usta.

Krzyk ustał.

West został sam w klatce.

Jama wciąż wypełniała się piaskiem, jego warstwa sięgała mu już do pasa.

Wciąż miał przed oczami widok umierającego Schaefera. Zaczął wpadać w panikę. Nie wiedział, które drzwi są właściwe.

„Tylko najwaleczniejsze dusze...”.

„Tylko najwaleczniejsze...”.

Przestań panikować, Jack. Na miłość boską, przestań panikować...

I wtedy usłyszał krzyk Lily.

Obejrzał się i zobaczył ją za prętami wirującej klatki. Klęczała na schodach i próbowała dojrzeć Westa.

- Tato! Niiieeee...! - krzyknęła.

I nagle w całym tym zamęcie, w obracającej się klatce, w morzu piasku zasypującego jamę, dla Westa zatrzymał się czas.

Tato?

Czy ona powiedziała tato?

W krótkiej jak mgnienie oka chwili poczuł potężny przypływ adrenaliny. Czegoś takiego doświadczył tylko raz w życiu, we wnętrzu wulkanu w Ugandzie, dokładnie dziesięć lat temu, kiedy po raz pierwszy wziął na ręce nowo narodzone dziecko.

Nie... zamierzam... umierać...

Nie zamierzam jej zasmucać.

Jego umysł zaczął pracować jasno.

Tylko najwaleczniejsze pieprzone dusze...

I w końcu do niego dotarło: Ludzie waleczni nie wpadają w panikę. W obliczu niebezpieczeństwa zachowują spokój.

Racja.

Odzyskał panowanie nad sobą, przestał panikować, zaczął myśleć. Nie poddawał się emocjom. Rezultat pojawił się natychmiast.

A właściwie najbardziej pomógł mu krzyk Lily.

Według mapy odpowiednie wejście znajdowało się dokładnie naprzeciw miejsca, gdzie stała teraz Lily.

Dzięki niej West zyskał przewagę. Zwykli rabusie nie zostawiliby nikogo na zewnątrz, w wejściu - weszliby wszyscy razem do klatki choćby po to, by skraść rubiny z oczu lwa. Uruchomiliby przy tym pułapkę, wpadli w panikę i zginęli.

- Nie martw się szkrabie! - zawołał. - Jeszcze żyję!

Zaczął z trudem brnąć w piasku, minął posąg skrzydłatego lwa, aż wreszcie znalazł się po przeciwnej stronie niż Lily. Piasek sięgał mu już do piersi.

Klatka obracała się i wreszcie jej otwór wejściowy zrównał się z otworem w ścianie, który zdaniem Jacka był właściwy. Kiedy klatka zatrzymała się na chwilę, z wysiłkiem przedarł się przez grubą warstwę piachu i znalazł się w małym pomieszczeniu wielkości trumny - dokładnie takim samym, do jakiego chwilę wcześniej wszedł Schaefer. Przez krótką, przerażającą chwilę pomyślał, że popełnił wielki, niewybaczalny błąd.

Nie. Nie popełnił.

To pomieszczenie wcale nie było zamkniętą przestrzenią. Po prawej stronie znajdował się zakręt, za którym ciągnął się krótki korytarz, zakończony schodami prowadzącymi w górę.

West wspiął się po stopniach i pojawił z powrotem na powierzchni piaszczystego morza, tyle że po drugiej stronie studni skrzydlatego lwa.

Wchodząc na ścieżkę u góry, musiał uruchomić jakiś sekretny mechanizm, gdyż klatka nagle przestała wirować, a piasek zaczął znikać z jamy. Po drugiej stronie studni zobaczył Mściciela.

- Możecie wszyscy przechodzić! - zawołał. - Możecie się poczuć zdezorientowani, ale będę na was czekał we właściwym wejściu. Po prostu przyjdźcie do mnie.

W ten sposób cała reszta ekipy bezpiecznie znalazła się koło Westa.

Przechodzili w dwóch grupach. Za każdym razem jama wypełniała się piaskiem, a klatka zaczynała szybko wirować, ale ponieważ wiedzieli, które drzwi wybrać, po prostu śmiało przechodzili przez klatkę. Piasek nie zdążył sięgnąć im nawet do kolan.

Kiedy Lily pojawiła się po drugiej stronie, wpadła w objęcia Westa i mocno się do niego przytuliła.

- Nie zostawiaj mnie - szepnęła.

Przycisnął ją mocno do siebie.

- Nieważne, jak będzie źle, szkrabie, nigdy cię nie opuszczę. Pamiętaj o tym.

Z mapą w rękę przeszli drugą część ścieżki i dotarli do stojącego pośrodku olbrzymiej jaskini zikkuratu.

Jak jakiś pozaziemski statek kosmiczny, ze sklepienia zwisał nieprawdopodobnie wielki stalaktyt, który przed wiekami nazwano wiszącymi ogrodami Babilonu.

Szybko wspięli się na szczyt zikkuratu.

Bardzo szybko. Na szerokich schodach prowadzących na górę nie napotkali ani jednej pułapki.

Z początku West był tym faktem zaskoczony, ale później zdał sobie sprawę, że to jest pierwszy nienaruszony cud świata, jaki zobaczyli.

Wszystkie pozostałe fragmenty złotej kopuły - te powiązane z kolosem, Faros, mauzoleum, posągiem Zeusa i świątynią Artemidy - były wyjęte z oryginalnych budowli. Chronił je system pułapek skonstruowany już po tym, jak każdy z cudów świata uległ zniszczeniu.

W przypadku wiszących ogrodów było inaczej. Pozostały nietknięte. I dlatego fragment kopuły znajdował się tu dokładnie w tym samym miejscu, gdzie został przed wiekami złożony.

Dotarło także do Westa, że Imhotep III uszanował sam cud, który przyszło mu chronić. Otoczył go wprawdzie szeregiem pułapek, ale samego cudu nie ośmielił się tknąć.

Tymczasem z oddali słyhać było odgłosy wystrzałów. To dwaj izraelscy żołnierze z zapamiętaniem starali się opóźnić marsz wroga.

Kiedy znaleźli się na szczycie zikkuratu, okazało się, że od nieco wyszczerbionego, nierównego koniuszka stalaktytu dzielą ich tylko dwa metry.

Nie mieściło im się w głowie, że stoją pod tak niewyobrażalnie wielkim tworem natury. Był zbyt duży, zbyt potężny, by ogarnąć go rozumem. Wyglądał jak podwieszony rufą do sufitu olbrzymi statek pasażerski, którego dziób zwiślał tuż nad ich głowami.

W czubku stalaktytu wywiercono otwór, a właściwie szyb, prowadzący w głąb, do wnętrza.

Szczyt zikkuratu był kwadratowy i płaski, miał jakieś pięć na pięć metrów. Ale prawie całą jego powierzchnię zajmował ogromny kwadratowy otwór, którego zarysy nikały w mroku.

Przypominający studnię otwór miał zamocowane w ścianie specjalne uchwyty, po których można było zejść. Środek studni znajdował się w jednej linii z środkiem szybu, wywierconego w stalaktycie.

Zajid zajął się odczytywaniem inskrypcji wyrytej na brzegu otworu.

- To jest wejście dla kapłanów - wyjaśnił Westowi. Obaj spojrzeli na Mściciela.

Izraelski oficer zdawał się nie rozumieć znaczenia tej informacji, albo ją lekceważył. Zajid i West zrozumieli się bez zbędnych słów - postanowili nie wyjaśniać niczego Mścicielowi.

West, Kubuś Puchatek i Długi wyjęli z plecaków swój sprzęt wspinaczkowy i zaczęli montować nad studnią specjalny trójnóg.

Po kilku minutach nad kwadratowym otworem stała dziwna konstrukcja, rodzaj drabiny sięgającej otworu w wierzchołku stalaktytu.

- Ruszaj. - Mściciel szturchnął Westa.

West wspiął się po drabinie i zniknął w wywierconym otworze.

W ciasnym pionowym tunelu także zamontowano w ścianie uchwyty, dzięki którym wspinaczka nie sprawiała żadnych trudności. Za to na pewno źle by się tu czuł ktoś cierpiący na klaustrofobię, gdyż było tu ciasno, a ściany lśniły od wilgoci.

West oświetlał sobie drogę lampą zamontowaną na hełmie strażackim i wspinał się ostrożnie w górę, aż w końcu dotarł do poziomego tunelu prowadzącego na zewnątrz.

Tam wyszedł na ścieżkę, która spiralnie wiodła wokół stalaktytu.

W świetle flar, które wcześniej odpalił, spojrzął z góry na jaskinię. Widok zapierał dech w piersiach. Widział daleko w dole zikkurat ze wspaniałymi schodami, morze piasku wokół, a pośrodku studnię skrzydlatego lwa i rozchodzące się od niej promieniście ścieżki. Teraz, z góry, spostrzegł, że studnia ma swoją bliźniaczą siostrę po drugiej stronie zikkuratu. Od tej drugiej studni odchodziły identyczne promieniste ścieżki.

Przypomniał sobie słowa Imhotepa III: Ogrody zostały skonstruowane jak lustrzane odbicie, gdzie wejście i wyjście są jednakie.

Tam musi być drugie wejście, pomyślał. Zdał też sobie sprawę, że Mściciel i Izraelczycy musieli o nim wiedzieć - właśnie tamtędy zamierzali opuścić jaskinię i uciec Amerykanom.

A więc Mściciel nie był takim ignorantem, za jakiego zamierzał uchodzić.

- Dalej, kapitanie - powiedział Mściciel, stając obok Westa i wrywając go z zamyślenia. Reszta zespołu stanęła nieco z tyłu. - To jeszcze nie koniec.

West poprowadził grupę spiralną ścieżką w górę. Było tu wilgotno, wyjątkowo bujna roślinność przypominała tę, która rośnie w lasach deszczowych - potrzebowała do życia raczej wody niż światła słonecznego. Chwilami wędrówkę utrudniały rośliny, które tak się rozrosły, że zajęły całą powierzchnię ścieżki i zwisały z jej krawędzi.

West musiał torować sobie drogę maczetą.

Szli coraz to wyżej i wyżej w stronę sklepienia olbrzymiej groty.

Rozległe morze piasku i sam zikkurat stawały się coraz mniejsze, coraz odleglejsze. Znajdowali się już na wysokości około stu dwudziestu metrów. W pewnym momencie wędrówki natknęli się na coś niezwykłego - spory klomb róż. Białych róż.

- Jak one sobie radzą bez światła słonecznego? - zapytał Kubuś Puchatek.

West też się nad tym wcześniej zastanawiał, ale teraz znalazł wreszcie odpowiedź. W skalnym sklepieniu jaskini wydrążono niewielkie otwory. Miały średnice ledwie kilku centymetrów, ale to wystarczyło, by sączyły się przez nie promienie słoneczne.

West zauważył, że na róże każdego dnia przez kilka chwil padało z niektórych otworów światło, dzięki czemu przetrwały i rosły.

- Biała perska róża pustynna - westchnął. - Jednak całkowicie nie wyginęła.



- Dalej. - Mściciel go popchnął, zupełnie nie - zainteresowany epokowym odkryciem. - Położę ci je na grobie.

Przyspieszyli kroku.

W kilku miejscach ścieżka niknęła w głębi stalaktytu i biegła w jego wnętrzu. Tam napotykali inne, pionowe tunele. Wyglądało na to, że cały stalaktyt jest poprzecinany licznymi wąskimi szymbami.

Kładka i najświętsze sanktuarium

Dotarli wreszcie do miejsca, gdzie stalaktyt stykał się ze sklepieniem jaskini. Tam natknęli się na spróchniałą drewnianą kładkę wiodącą tuż pod sklepieniem, zawieszoną na kilku dźwigarach w kształcie litery U. Kładka miała około pięćdziesięciu metrów długości i kończyła się niedaleko od bardzo dużego otworu w suficie. Dalej do otworu prowadziły już tylko uchwyty zamocowane w sklepieniu. Uchwyty od morza piasku dzieliło około stu pięćdziesięciu metrów.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział West. - Oto cel naszej podróży.

- Idź dalej - rozkazał Mściciel. - Możesz zabrać ze sobą Araba. Dziewczynka zostanie ze mną. Będzie moją polisą ubezpieczeniową.

West i Kubuś Puchatek ruszyli wąską kładką nad otchłanią jaskini. Drewno niebezpiecznie skrzypiało im pod nogami. W dół spadał kurz i okruchy skalne. Dwukrotnie kładka zakołysała się tak mocno, jakby miała za chwilę runąć.

Wreszcie dotarli do jej końca.

- Idę pierwszy - powiedział West, przypatrując się uchwytom. - Jak dojdę, zaczepię linę. Jeśli kopuła jest tam na górze, będziemy tej liny potrzebowali.

Kubuś Puchatek skinął głową.

- Za to, że mierzą do Lily z pistoletu, mam ochotę ich zabić.

- Ja też. Ale musimy przeżyć. Póki oddychamy, mamy szansę coś zrobić - odparł West. - Musimy przeżyć.

- Uważaj na siebie.

- Będę uważał, przyjacielu.

Po tych słowach złapał pierwszy uchwyt i ruszył w dalszą drogę sto pięćdziesiąt metrów nad morzem piasku.

Na tle olbrzymiego stalaktytu sylwetka Westa uczeponego uchwytów pod sklepieniem jaskini wydawała się mikroskopijna.

Jak zawsze, obok Jacka leciał nieodłączny Horus.

West, ciągnąc za sobą linę, której drugi koniec pozostał w rękach Kubusia Puchatka, dotarł wreszcie do olbrzymiego otworu w sklepieniu. Otwór miał kształt zwężającego się ku górze stożka.

Uwagę Westa przykuł najwyższy punkt otworu. Znajdowała się tam wykuta w skale pozioma kwadratowa półka wielkości dużej lodówki.

W przeciwieństwie do otaczających ją surowych skał cała była ozdobiona ornamentami, złoceniami i kamieniami szlachetnymi. Wyglądała jak kapliczka:

Z miejsca, w którym teraz stał, nie mógł zobaczyć, co się na niej znajduje.

Sięgnął ręką w kierunku najbliższego uchwytu i podciągnął się na rękach.

Mozolnie piął się w górę, aż wreszcie dotarł do skraju półki, z wysiłkiem podciągnął się jeszcze wyżej i to, co zobaczył, wprawiło go w osłupienie.

Złota płyta będąca fragmentem kopuły, leżała przed nim, na samym środku tak trudno dostępnego ołtarza.

Był to jeden ze środkowych fragmentów kopuły, wielkości mniej więcej kosza na bieliznę. Zbyt wielki, by jeden człowiek mógł go unieść. West wbił w ścianę hak i przywiązał do niego linę.

- Puchatek - zawołał do mikrofonu. - Możesz tu przyjść? Potrzebuję twojej pomocy. Mściciel. Przyślij tu jednego ze swoich ludzi, do miejsca, gdzie przywiązaliśmy linę. Odbierze od nas kawałek kopuły.

Po mozolnej wspinaczce Kubuś Puchatek dołączył do Westa. Wspólnymi siłami wyciągnęli złotą płytę z niszy, obwiązali ją linami i ostrożnie spuścili w dół.

Mocno obwiązana linami płyta powędrowała ku kładce, gdzie czekał już Mściciel. Jego oczy pałały chciwością.

- Masz ją? - zapytał West przez radio.

- Tak. Mam. Dziękuję, kapitanie West. To byłoby wszystko. Żegnaj.

Przeciął linę, która opadła swobodnie.

West to zobaczył.

- Cholera. O cholera! - Minał Kubusia Puchatka i szybko zaczął schodzić po poręczach w dół. Kiedy znalazł się na wysokości sklepienia jaskini, zobaczył, jak Mściciel i jego trzech ludzie biegną po kładce, rzucając za siebie trzy granaty ręczne.

Granaty uderzyły o deski kładki i eksplodowały.

Kładka przestała istnieć. Resztki desek oderwały się od mocujących je uchwytów i powolnym ruchem zaczęły spadać.

West patrzył bezradnie na to, co się dzieje. Jedyne drzewo prowadzące do stalaktytu właśnie przestało istnieć, a ich położenie stało się nie do pozazdroszczenia.

W rękach Izraelczyków znajdowała się Lily i fragment kopuły, do drzwi pukali już Amerykanie, a West i Kubuś Puchatek pozostawieni własnemu losowi, wiszący pod sklepieniem gigantycznej jaskini, nie mieli żadnych szans na powrót.

Mściciel z ponurą satysfakcją patrzył na spustoszenie, które uczyniły granaty, złapał Lily i ruszył z nią w stronę ścieżki okalającej stalaktyt.

- Kapitan West i ten Arab nie będą nam już potrzebni. Ty - wyjął pistolet - też nie, panie Zajid...

Ale Mustafa Zajid instynktownie wyczuł, co się szykuje, i nim Mściciel wyszarpnął z kabury pistolet, rzucił się do ucieczki i wkrótce zniknął w jednym z tuneli.

- Daleko nie ucieknie. Idziemy. Pora stąd wyjść. - Trzymając Lily mocno za rękę, ruszył ścieżką ku wyjściu.

- Myśliwy! - wydyszał Kubuś Puchatek. - Mam kłopot.

West ruszył z powrotem w górę, żeby sprawdzić, co się dzieje z Puchatkiem.

Kubuś był cięższy od niego i nie miał tak silnych rąk. Pewne było, że długo w tej pozycji nie wytrzyma.

Wreszcie West dotarł do niego.

- Powieś się, przyjacielu. O, przepraszam, to nie była zamierzona gra słów. - Obwiązał Puchatka pod pachami luźno teraz zwisającą liną, odciążając w ten sposób jego rękę.

Sam West mógł na swojej protezie wisieć bardzo długo - ale nie wieczność.

- Co z Izraelczykami? - zapytał Kubuś Puchatek.

- Zniszczyli kładkę. Zabrali kopułę i wzięli ze sobą Lily. Jesteśmy zdani na siebie.

- Jeśli jeszcze kiedykolwiek spotkam Długiego, uduszę go - zapowiedział Kubuś Puchatek. - A wiesz, przez chwilę miałem nawet wrażenie, że stał się jednym z nas. Ale myliłem się. Cholerny zdrajca.

- Teraz mamy inny problem: jak z tego wyjść cało.

Oddział Izraelczyków z Lily i zdobytą złotą płytą szedł ścieżką wokół stalaktytu. W pewnej chwili dostrzegli swoich dwóch kolegów biegnących przez jaskinię.

- Majorze! - dało się słyszeć w słuchawce. - Amerykanie pokonali schody! Nie udało się ich dłużej zatrzymać!

- Zatrzymaliście ich wystarczająco długo! Mamy dziewczynkę i kopułę - odpowiedział Mściciel. - Spotkamy się przy zikkuracie i idziemy na drugą stronę.

Długi biegł tuż za Mścicielem, milczący, z zaciśniętymi zębami, nieobecny wzrokiem, pogrążony w myślach.

Kiedy Izraelczycy dotarli na sam dół stalaktytu, ujrzeni Zajida znikającego w kwadratowej studni na szczycie zikkuratu - w wejściu dla kapłanów.

Mściciel nie przejął się tym. Choć zabicie terrorysty przyniosłoby mu znaczny splendor, to Zajid nie był teraz najważniejszy. Przede wszystkim należało się stąd wydostać.

Wreszcie Mściciel stanął na szczycie zikkuratu, a wtedy dostrzegł Amerykanów wpadających do jaskini. Spodziewał się, że pojawi się cała armia, tymczasem do jaskini weszło tylko dziesięciu ludzi.

Co więcej, wcale nie zamierzali ruszyć przez morze ruchomych piasków. Przeciwnie, ta grupka ludzi zaczęła wspinać się po ścianie nad wejściem, ścianie, która zasłaniała niegdyś olbrzymie łukowate wejście do jaskini.

- Och, nie - jęknął Mściciel.

Żołnierze, wspiąwszy się po ścianie, zaczęli umieszczać w niej potężne ładunki wybuchowe. Pracowali w pośpiechu, a kiedy ładunki znalazły się na swoim miejscu, szybko zniknęli.

Rezultat ich pracy był, można powiedzieć, bombowy.

Po serii dwudziestu detonacji olbrzymia ściana odgradzająca jaskinię od świata została rozerwana. Ładunki zostały w niej umieszczone w taki sposób, że eksplozja wyrzuciła całą lawinę odłamków skalnych na zewnątrz. Tylko kilka niewielkich głazów spadło bezpośrednio do jaskini. W ścianie powstały olbrzymie otwory, przez które po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat przeniknęło światło słońca. W jaskrawych promieniach wiszące ogrody ukazały się w całym swym majestacie.

Po chwili nadwerężone eksplozjami resztki muru runęły z potwornym hukiem, tworząc szerokie na pięćdziesiąt metrów wrota, przez które wleciały amerykańskie śmigłowce.

West nie wierzył własnym oczom.

Nie dość, że Mściciel pozostawił go na pewną śmierć w otworze pod sklepieniem, to teraz na dodatek całą jaskinię rozświetliło ostre światło słoneczne.

Wokół krążyło najpierw sześć, potem siedem i wreszcie osiem amerykańskich śmigłowców. Przelatywały nad starożytnym zikkuratem, wznosiły się pod samo sklepienie jaskini, latały wokół stalaktytu, wypatrując wrogów i szukając fragmentu złotej kopuły.

Hałas silników ogłuszał, a pracujące śmigła wywoływały zawirowania powietrza.

Jeden z black hawków znalazł się tuż nad Westem. West patrzył na wirujące płyty i pomyślał, że gdyby teraz któryś spadł, śmierć przynajmniej przyszedłaby szybko.

Załoga helikoptera nie dostrzegła Westa i Kubusia Puchatka. Byli zbyt zajęci obserwacją stalaktytu. Kiedy śmigłowiec zbliżył się nieco do stalaktytu i znajdował się już wprost pod nimi, West dostrzegł możliwość ratunku. Pomysł był zupełnie szalony, ale miał szansę powodzenia. Niewiele myśląc, zaczął działać.

- Puchatek, złap się uchwytu. Potrzebna mi lina i karabińczyk.

Kubuś Puchatek bez słowa wykonał polecenie. West połączył karabińczyk z pięćdziesięciometrową liną.

- Okay - powiedział West. - A teraz puścisz uchwyt i obejmiesz mnie mocno w pasie.

- Co?!

- Zrób to!

Kubuś Puchatek zawisł na Weście i wtedy Jack puścił uchwyt.

Zaczęli spadać. A kiedy przelatywali obok ogona śmigłowca, West rzucił karabińczyk z dowiązaną do niego liną w kierunku koła maszyny. Lina owinęła się wokół koła i zacisnęła, tworząc mocną pętlę. Teraz West i Kubuś Puchatek wisieli na linie podchepionej do tylnego koła śmigłowca.

Maszyna tylko lekko się zakołysała pod ich ciężarem, a kiedy zbliżyła się jeszcze bardziej do stalaktytu, obu mężczyznom udało się zeskoczyć wprost na wijącą się wokół niego ścieżkę. I tak, nieoczekiwanie, wrócili do gry.

- Nigdy bym się nie spodziewał, że ucieszy mnie widok Judaha - powiedział West. - Chodź. Musimy ratować Lily.

Pognali ścieżką w dół.

Chaos. Zamęt. Oślepiające światło. Ryk silników helikopterów.

A teraz na dodatek setki amerykańskich żołnierzy wpadających do jaskini przez nowo powstałe przejście.

Oddział Mściciela był już na dole, u podstawy zikkuratu, po stronie przeciwnej do tej, z której przyszedł, i zamierzał teraz przejść ukrytą ścieżką przez piaszczystą powierzchnię. Ta strona była lustrzanym odbiciem poprzedniej.

Izraelczycy dotarli do drugiej studni, podzielili się na dwie grupy i zeszedli po schodach, gdzie ujrzeli bliźniaczy posąg skrzydlatego lwa.

Mściciel wraz z dwoma żołnierzami, którzy nieśli kopułę, poszedł pierwszy. Pułapka została uruchomiona. Klatka zaczęła się obracać, piasek wsypywał się do środka. Bez problemu odkryli właściwe drzwi i bezpiecznie znaleźli się po drugiej stronie.

Druga grupa składała się z Długiego, Lily i kolejnych dwóch żołnierzy.

Mechanizm pułapki znów zaczął pracować.

Piasek sypał się szerokim strumieniem, klatka obracała. Brnęli po kolana w piasku w kierunku wyjścia.

Nagle Lily potknęła się i upadła.

Utknęła na czworakach w rosnącej stercie piachu.

Krzyknęła przerażona.

Długi i obaj żołnierze obejrzeni się za siebie. Zobaczyli, jak próbuje się podnieść. Byli przy samym wyjściu, a otwór w klatce już za moment miał się z nim zrównać, otwierając im drogę ucieczki. Mściciel zawołał z zewnątrz.

- Zostaw ją! Mamy kopułę! Ona była tylko premią! Najważniejsza jest kopuła. Jak jej stąd nie wyniesiemy, wszystko na nic! No, dalej!

Żołnierzom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Rzucili się do wyjścia i po chwili byli już bezpieczni.

Długi zawahał się. Patrzył wciąż na Lily, która na próżno usiłowała wstać. Zwały piasku otaczały ją, krępowały ruchy, sięgały już do szyi, wciągały na dno.

- Cohen! - zawołał ponownie Mściciel. - Zostaw ją! To rozkaz!

Długi spojrział ponownie na Lily i podjął decyzję.

W towarzystwie lecącego obok Horusa West i Kubuś Puchatek pędzili wąską ścieżką wokół stalaktytu. Nagle liście okolicznych roślin zostały podziurawione przez grad kul wystrzelonych ze śmigłowca.

Tuż obok nich zawisł w powietrzu apache, a strzelec pokładowy mierzył wprost w nich.

Zniknęli w najbliższym tunelu, nim z małego, sześciolufowego działka zdążyła się posypać kolejna porcja pocisków. Tunelem dotarli do centralnego, pionowego szybu wydrążonego w stalaktycie.

- Oni strzelają do wiszących ogrodów! – wykrzyknął Kubuś Puchatek. - Amerykanie nie mają żadnego szacunku dla historii!

Chwilę później, zapierając się rękami i nogami o ściany, zsuwali się w dół szybu.

West wyskoczył z szybu na wierzchołek zikkuratu, rozglądając się wokół, by sprawdzić, gdzie znajduje się w tej chwili izraelski oddział.

- Jezu, nie... - jęknął.

Dostrzegł Mściciela i czterech żołnierzy znikających w wyjściu na końcu jaskini.

Nie było z nimi Długiego.

Nie było też Lily.

Spojrzenie Westa padło na studnię. Pod baldachimowatym dachem zauważył, że studnia jest cała wypełniona piaskiem.

- Och, nie. Nie... - West patrzył z przerażeniem na studnię.

Na domiar złego na ścieżkach otaczających studnię wylądowały właśnie dwa amerykańskie śmigłowce. Wypadli z nich żołnierze i zaczęli zbliżać się z przeciwnych stron. Z jednego z helikopterów wysiadł Marshall Judah i głośno wydawał polecenia.

- Och, Lily... - westchnął przygnębiony West.

Jeden z żołnierzy, stojący najbliżej sześciobocznej studni, odwrócił się.

- Pułkowniku, lepiej niech pan na to spojrzy - powiedział do Judaha.

Judah podszedł do krawędzi studni.

To, co zobaczył, w najwyższym stopniu go zaskoczyło. Do górnej kraty klatki przyciśnięte były usta, nos i oczy Lily. Całą resztę twarzy pokrywała warstwa piasku. Dziewczynka z trudem, lecz oddychała.

Judah zastanawiał się, w jaki sposób mogła się znaleźć w takiej pozycji.

Klatka, podobnie jak cała studnia, miała co najmniej trzy i pół metra wysokości. Gdyby przysypał ją piasek, nigdy nie udałoby się jej wygrzebać, sięgnąć prętów klatki i podciągnąć.

Zdał sobie sprawę, że tam musi być ktoś jeszcze. Ktoś, kto ją podtrzymuje.

I wtedy Judah dostrzegł to. Z trudem, bo rzecz była niewielka.



Dostrzegł wylot lufy karabinu wystający centymetr ponad powierzchnię piasku, tuż przy twarzy Lily. Rozpoznał tę broń. To był karabin wyborowy Barrett.

Tym razem użyto lufy do zupełnie innego celu niż strzelanie. Komuś, kto podtrzymywał Lily, posłużyła ona jako rurka do oddychania.

Kiedy po chwili piasek zniknął, Judah zobaczył to, co podejrzewał. Na postumencie ze skrzydlatym lwem stał Długi, przy ustach miał drugi koniec lufy karabinu. Na jego ramionach w pozie baletnicy, na palcach balansowała ciałem Lily.

Całe szczęście, że tak się zakończyła ta historia, i to z dwóch powodów: po pierwsze Lily i Długi przeżyli, a po drugie - Judah postanowił ich nie zabijać.

Mściciel i jego oddział nie mieli tyle szczęścia.

U wylotu tajnego przejścia do wiszących ogrodów czekał na nich oddział CIEF, dowodzony przez Cala Kallisa. A Kallis miał wyraźny rozkaz - żadnej litości.

Kiedy Izraelczycy wydostali się na światło dzienne, ujrzeli śmigłowiec, który miał ich ewakuować, leżący na boku, lizany jęzorami ognia, kompletnie zniszczony. Piloci byli martwi.

Ludzie Kallisa natychmiast ich otoczyli. Izraelczycy zostali rozbrojeni, a następnie Cal Kallis osobiście strzelił każdemu w głowę. Ostatni zginął Mściciel. Przez cały ten czas z twarzy Kallisa nie zniknął uśmiech. Takie właśnie zadania najbardziej lubił.

Kiedy było po wszystkim, zabrał na pokład śmigłowca fragment kopuły i odleciał, pozostawiając martwe ciała Izraelczyków na pożarcie sępom.

West patrzył bezradnie, jak Lily i Długi są wpychani na pokład śmigłowca Judaha.

Z zamyślenia wyrwał go grad pocisków, wystrzelonych z dwóch apache'ów, które nieoczekiwanie wychyły z za stalaktytu.

Horus zaskrzeczał.

West ruszył zbyt późno. Kubuś Puchatek zdążył w porę, ratując Westowi życie. Zepchnął go z linii ognia wprost w otchłań kwadratowego otworu na szczycie budowli.

Na dole Judah rozejrzał się, szukając przyczyny wybuchu strzelaniny.

Zdążył dojrzeć na wierzchołku zikkuratu dwie postacie: Kubusia Puchatka i Westa. Widział, jak Puchatek wpycha Westa do studni zwanej wejściem dla kapłanów.

- Jack... - szepnął Judah. - Niestety, twoja misja dobiegła końca. Czas umierać.

Judah wrócił do helikoptera, gdzie w charakterze jeńców znajdowali się już Lily i Długi. Śmigłowiec wzbił się w powietrze i wyleciał z jaskini, a za nim pozostałe. Także żołnierze tłumnie wypełniający jaskinię zaczęli się już wycofywać.

Kiedy w jaskini nie pozostał ani jeden żołnierz, Judah, nie odrywając oczu od szczytu zikkuratu, miejsca, gdzie po raz ostatni widział Westa żywego, wydał ostatni rozkaz.

- Ostrzelać stalaktyt. Rozwalić go.

Pilot zawahał się.

- Pułkowniku, ale to jest historycz...

- Wal do tego stalaktytu albo wyrzucę cię z helikoptera.

Pilot bez słowa zastosował się do polecenia.

Kilka chwil później ze śmigłowca zostały wystrzelone trzy pociski Hellfire. Ich lot znaczyły smugi dymu.

Kiedy trafiły w stalaktyt, nastąpiła potężna eksplozja. Posypała się lawina skał i resztek roślin.

Na moment zapadła cisza, a potem olbrzymi stalaktyt zaczął z wolna odrywać się od sklepienia jaskini, przechylił się i w końcu runął.

Hałas był tak ogłuszający, jakby właśnie w tej chwili następował koniec świata.

Ogromne bloki skalne wciąż odrywały się od sufitu, a cały stalaktyt już uderzył w zikkurat.

Wierzchołek stalaktytu trafił w sam środek piętnastopiętrowej budowli, zgniatając ją niczym aluminiową puszkę, burząc, kompletnie niszcząc. Następnie wielka stożkowata bryła przechyliła się jak przewracające się drzewo i spadła na piaszczystą powierzchnię jaskini.

Stalaktyt uderzył w morze piasku z impetem, z jakim zestrzelony samolot uderza w powierzchnię oceanu. Fala piasku uniesionego pod wpływem wstrząsu zasypała ściany jaskini.

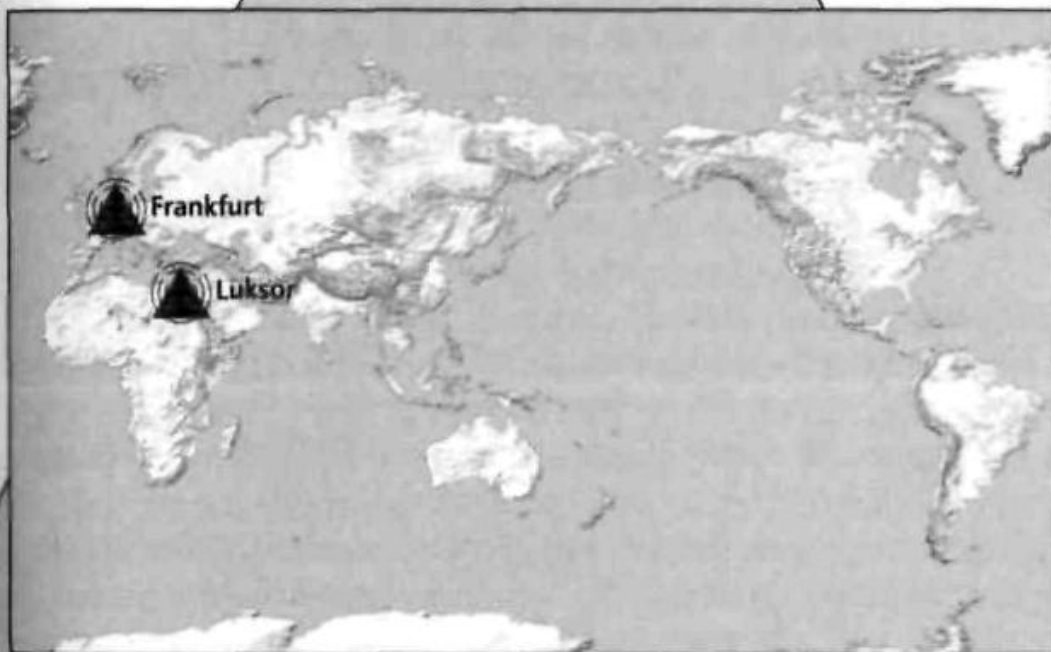
W końcu, powoli, bardzo powoli, stalaktyt - baśniowe wiszące ogrody Babilonu - legł na boku, do połowy zanurzony w rozległym morzu ruchomych piasków.

Tak więc Amerykanie odlecieli z gór Zagros ze wszystkim, co zamierzali zdobyć: z Lily i fragmentem kopuły.

A gdzieś w dole, pod zwałami gruzu, jaki Amerykanie po sobie pozostawili, znajdowały się, bez szans na ocalenie, dwie osoby - Jack West i Kubuś Puchatek.

# **MISJA SZÓSTA**

## **GROBOWIEC ALEKSANDRA**



**FRANKFURT, NIEMCY**  
**LUKSOR, EGIPT**  
**19 MARCA 2006**  
**DZIEŃ PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU**

MESSE TOWER

FRANKFURT, NIEMCY

19 MARCA 2006, GODZ. 15.00

1 DZIEŃ PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU

Gdy niszczone wiszące ogrody Babilonu, Mistrz, Zoe i Kędzierzawy byli przewożeni pod strażą z lotniska w bazie wojskowej we Frankfurcie do samego miasta.

Kiedy pojmano ich w Rzymie, zostali przetransportowani samolotem do Niemiec. Całą noc przetrzymywano ich w bazie na peryferiach Frankfurtu, a teraz mieli trafić do głównej siedziby koalicji europejskiej - biurowca Messe Tower w centrum miasta.

Messe Tower jest jednym z najwyższych drapaczy chmur w Europie. Ma pięćdziesiąt pięter i słynie ze swej charakterystycznej architektury, wieńczy go bowiem potężna szklana piramida. Co więcej, choć mało kto o tym wie, ta piramida jest „pocięta” w poziomie na wzór złotej kopuły.

Kiedy na wierzchołku budowli przypominającej wieżę stoi piramida, to ta budowla zyskuje nowe miano - staje się obeliskiem.

Symbolem kultu słońca.

Teorie spiskowe głoszą, że Messe Tower, Canary Wharf Tower w Londynie i stary World Financial Center w Nowym Jorku - wszystkie w kształcie olbrzymich obelisków - stanowią współczesną triadę superobelisków, zbudowanych przez wyznawców dwóch odłamów kultu słońca: Kościół katolicki i masonów.

Mistrz przypomniał sobie o tych teoriach, kiedy wraz z Zoe i Kędzierzawym był wieziony, z kajdankami na rękach, na najwyższe piętro Messe Tower.

Znajdowali się teraz wewnątrz szklanej piramidy. Pochyłe tafle szyb pozwalały obejrzeć zupełnie wyjątkową panoramę Frankfurtu i okolic.

Czekał tu na nich Francisco del Piero.

- Maximilian Epper! Stary druhu! Przyjacielu z seminarium! Kościół stracił wspaniały umysł, kiedy odszedłeś. Cieszę się, że cię znowu widzę, przyjacielu.

- Nie jestem twoim przyjacielem, Francisco. O co tu chodzi?

- O co tu chodzi? O to, co zawsze, Max - o władzę. O naturalne dążenie człowieka do panowania nad innym człowiekiem. Możesz to nazwać meczem Europa kontra Ameryka lub Kościół kontra masoneria. To nie jest istotne. Wszystko to jedno i to samo. Bezpardonowa walka o władzę, która trwa od wieków i znajdzie swoją kulminację jutro, kiedy nastąpi zjawisko pojawiające się raz na pięć tysięcy lat, zapewniające władzę absolutną - kiedy pojawi się plama słoneczna Tartar.

Mistrz spojrział na Zoe.

- Teraz już rozumiesz, dlaczego nie zostałem księdzem. - Następnie zwrócił się do del Piera:

- Amerykanie mają cztery części kopuły. Wy macie jedną, a dwie są jeszcze nieodnalezione.

- Max. Nieważne, kto ma te kawałki teraz, ważne, kto je będzie miał w odpowiedniej chwili - odparł del Piero. - A wkrótce wszystkie znajdą się w naszych rękach. Dzięki waszemu nieustraszonemu kapitanowi Westowi wiemy już, że grobowiec Aleksandra Wielkiego znajduje się w Luksorze, a jego dokładne położenie wskaże nam promień wschodzącego słońca, który przejdzie przez otwory w obeliskach luksorskiej świątyni. Amerykanie także o tym wiedzą.

Ale kiedy zjawią się w Luksorze, my już będziemy tam na nich czekać. Jak już powiedziałem, nieważne, kto ma fragmenty kopuły teraz, ważne, kto je będzie miał, kiedy pojawi się Tartar. A tym kimś będziemy my.

- My? - zapytał Mistrz.

- Ach, przepraszam. Nie przedstawiłem ci mojego małego przyjaciela i największego sojusznika...

Del Piero usunął się na bok i odsłonił chłopca, czarnowłosego, ciemnookiego, z wyjątkowo czarnymi, zmarszczonymi brwiami. Sposób, w jaki stał przed Mistrzem i na niego patrzył, wyrażał denerwujące poczucie wyższości.

- Max, to jest Aleksander, syn wyroczni Siwy, specjalista od języka Tota i od Tartaru.

- Witaj - powiedział Mistrz. Chłopiec nie odezwał się.

- Opiekuję się nim od dnia jego narodzin - kontynuował del Piero.

- Chciałeś powiedzieć, od dnia, kiedy wykradłeś go z ramion matki...

- Od dnia narodzin jest przygotowywany na chwilę, która ma jutro nadejść. Jak nikt zna język Tota. Doskonale rozumie, na czym ma polegać ceremonia. Ten chłopiec narodził się po to, by rządzić, a ja osobiście wpołem mu sposób myślenia wodza. Jest silny i mądry. I bezkompromisowy. Nie toleruje słabości i głupoty.

- Zawsze myślałem, że najwięksi władcy rządzili dla słabych - powiedział Mistrz - a nie nimi.

- Och, Max. Uwielbiam twój idealizm! Taki mądry człowiek, a tak się myli. A co powiesz na taką teorię: silny panuje, słaby pozwala nad sobą panować. Zdarzają się ludzie stworzeni do rządzenia, reszta musi się podporządkować. Pojutrze znajdziesz się w tej drugiej, liczniejszej grupie.

Zoe spojrzała na Aleksandra. Odwzajemnił spojrzenie - zimne, pozbawione emocji.

- Słuchaj, dziecko - powiedziała. - Grałeś kiedyś w Splinter Cell na dwa komputery?

Del Piero wzruszył ramionami, nic nie rozumiejąc. Ale chłopiec wiedział, co to jest Splinter Cell.

- To gra. Gry są narzędziem, dzięki któremu my, władcy, dajemy motłochowi odrobinę zadowolenia - odparł chłopiec. - Gry są dla głupców. Ja nie gram.

- Naprawdę? Niektóre gry uczą nas rzeczy, które potem możemy wykorzystać w codziennym życiu - powiedziała Zoe. - Nigdy o tym nie pomyślałeś?

- Ja nie mam codziennego życia.

- Chcesz wiedzieć, czego się nauczyłam dzięki tej grze?

- Oświeć mnie.

- Dobrze jest wiedzieć, kto cię wspiera - rzekła Zoe. - Mam pytanie, Aleksandrze. Gdyby nadeszły trudne chwile, kto cię wesprze? - Skinęła na del Piera. - On? - Spojrzała na otaczających ich strażników. - A może oni?

- A kto, jeśli wolno spytać, wesprze was? - odparował del Piero.

- Jack West.

- Ach, słynny kapitan West... - Del Piero pokiwał głową. - Ostatnio słyszałaś o jego wczorajszych wyczynach w Paryżu, więc trochę nie jesteś na bieżąco. Wasz przyjaciel, pan West, dzisiaj pojawił się w południowym Iraku, gdzie odnalazł ni mniej, ni więcej tylko wiszące ogrody Babilonu.

- Brawo, Jack... - powiedziała Zoe.

Mistrz zmarszczył brwi. Nic nie wiedział o ostatniej misji Westa w Iraku, ani tym bardziej o zasadzce, jaką Amerykanie urządzili w Kenii, o utracie fragmentu kopuły i śmierci Wielkouchego i Doris.

- Przykro mi, że muszę zepsuć pani humor, pani Kissane - rzekł del Piero - ale obawiam się, że kapitan West natknął się w Iraku na amerykańską armię liczącą dziesięć tysięcy żołnierzy. Co się tak naprawdę wydarzyło, nie wiem. Z nasłuchu dowie działem się tylko, że doszło do starcia.

- I...? - Mistrz nie potrafił ukryć swojego niepokoju.

Del Piero wręczył mu kartkę z podsłuchaną piętnaście minut wcześniej rozmową.

**PRZECHWYCONA TRANSMISJA:**

SAT BT - 1009/ 19.03.2006 - 1445

A 44 - TEKST

OD: NIEZNANE ŹRÓDŁO/SIŁY ZBROJNE USA (IRAK)

DO: NIEZNANY ODBIORCA, MARYLAND (USA)

**GŁOS 1 (JUDAH):** Misja w Haricie zakończona sukcesem. Mamy kawałek z wiszących ogrodów oraz dziewczynkę. Lecimy do Egiptu. W Luksorze będziemy dwudziestego marca o drugiej w nocy czasu lokalnego. Musimy tam być o świcie, żeby wykonać pomiary obelisków.

**GŁOS 2 (USA):** A co z koalicją narodów? Jakies wieści?

GŁOS 1 (JUDAH) : Starliśmy się z nimi w wiszących ogrodach. Prawie nie stawiali oporu. West nie żyje. Potwierdza to brak sygnału z chipa, który mu wszczepiliśmy. Czy wszystko do następnego etapu gotowe?

GŁOS 2 (USA) : Tak jest. Rząd egipski został poinformowany o waszym przybyciu do Luksoru. Będą współpracować. Oczywiście nie za darmo. W Gizie stoi już rusztowanie, dokładnie takie, jak sobie życzyłeś. Cała okolica jest zamknięta dla osób postronnych pod pozorem prac konserwatorskich.

GŁOS 1 (JUDAH): Dziękuję. Radzę od tej chwili utrzymywać dalszy przebieg operacji w tajemnicy. Zabieram ze sobą tylko stu ludzi, nie więcej . Nie chcemy wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania.

GŁOS 2 (USA) : Będzie, jak pan każe.

Twarz Mistrza spochmurniała, kiedy przeczytał słowa: West nie żyje.

- Amerykanie są zbyt łatwowierni - powiedział del Piero, robiąc krok naprzód. - Kiedy zjawią się w Luksorze, na ich stu ludzi będzie czekało trzy razy więcej Europejczyków. Kapitana Westa będziesz opłakiwał kiedy indziej, Max, bo teraz jesteś mi jeszcze potrzebny.

Najwyższy czas, żebyś dołączył do mnie w tym ostatnim etapie podróży, która pozwoli Aleksandrowi wypełnić swoje przeznaczenie. Pora spotkać się z Amerykanami i wykraść im kopułę. Lecimy do Luksoru.\



WEJŚCIE DLA KAPŁANÓW  
WISZĄCE OGRODY BABILONU  
NA WSCHÓD OD MIASTA HARITHA, IRAK  
19 MARCA 2006 GODZ. 18.00 CZASU LOKALNEGO  
GODZ. 14.00 WE FRANKFURCIE  
DZIEŃ PRZED POJAWIENIEM SIĘ TARTARU

Kiedy stalaktyt z wiszącymi ogrodami Babilonu runął na stojący pod nim zikkurat, Jack i Kubuś Puchatek biegli już długim kamiennym tunelem, którego strop zawalał się tuż za ich plecami. Spadający strop tunelu zdawał się ich gonić, zupełnie jak rozwarte szczęki jakiegoś upartego potwora.

Gdy West usłyszał odgłosy eksplodujących pocisków, pojął intencje Judaha.

- On chce zwalić nam te ogrody na głowę! - krzyknął do Kubusia Puchatka. - Biegiem!

Rzucili się do ucieczki. Nad ich głowami frunął Horus.

Najpierw pionowym szybem w dół, omijając po drodze kilka pułapek, aż dotarli do poziomego tunelu, w którym się teraz znajdowali.

Wtedy stalaktyt runął na budowlę, miażdżąc ją. Zdesperowani uciekali przed walącym się sufitem. O mało nie wpadli w sidła kolejnej, czyhającej na nich pułapki.

Pojawiła się przed nimi zupełnie nieoczekiwanie - wąska, ale za to bardzo głęboka grota wykuta w czarnej, twardej skale.

Na dole widać było piasek. Choć dużo mniejsza, to jednak przypominała pierwszą grootę z ruchomymi piaskami. Tu także wylot tunelu znajdował się przy stropie, a dalszy ciąg dokładnie po drugiej stronie. Obie części tunelu łączyło około trzydziestu uchwytyw zamocowanych w sklepieniu.

Od poprzedniej różniły ją inskrypcje pokrywające ściany groty. Pełno tu było wizerunków węży, a na samym środku głównej ściany wykuto podobiznę olbrzymiego węża oplatającego drzewo.

- Ningizzida, bóg - wąż... - powiedział West, patrząc na inskrypcję. - To jest grota Ningizzidy...

Nagle uwagę Westa zwrócił jakiś ruch w drugiej części tunelu. Stał tam ktoś, kto dopiero co przemierzył grootę, korzystając z uchwytyw w sklepieniu.

Tajemnicza postać odwróciła się i skrzywiła, widząc Westa.

To był Mustafa Zajid.

- Zajid! Które uchwyty są bezpieczne?!

Zajid spojrział na Westa przebiegle.

- Boję się, że nie jestem już waszym doradcą, kapitanie! Ale dziękuję za uwolnienie mnie z Guantanamo. Pozwolił mi pan kontynuować badania nad kopułą. Podzielę się z panem jeszcze jedną informacją, o której zapewne dobry profesor Epper zapomniał panu wspomnieć: żeby ujarzmić Tartar, pańska

dziewczynka musi zostać złożona w ofierze. Dziękuję i żegnajcie. Dalej musicie sobie radzić sami!

Z tymi słowami terrorysta zniknął, rozpląnął się w ciemnościach panujących w tunelu.

- Myśliwy! Co robimy? - spytał Puchatek.

West obejrzał się. Strop tunelu się zapadał. Pozostanie tu oznaczało pewną śmierć. Przeniósł wzrok na groty Ningizzidy i przypomniał sobie notatkę z dziennika Hesslera.

LECZ STRZEŻCIE SIĘ GROTY NINGIZZIDY,  
TEMU, KTO WEJDZIE DO GROTY KRÓLA - WĘŻA,  
DAM JEDNĄ TYLKO RADE: PORZUĆ WSZELKĄ NADZIEJĘ,  
STAMTĄD NIE MA UCIECZKI.

A więc wejście do groty także oznaczało śmierć.

Pewna śmierć kontra pewna śmierć. Cóż za wybór.

- Do diabła z tym - powiedział West. - Łapiemy uchwyty... W drogę!

W samą porę ruszyli naprzód, bo po chwili tunel, którym przybiegli, zawalił się do reszty.

Ósmy z kolei uchwyt, który wziął w rękę West, wysunął się ze stropu. West spadł...

Kubuś Puchatek ruszył dalej. Dla niego pechowy był dziesiąty uchwyt. On także poszybował w dół, wprost ku powierzchni ruchomych piasków. Już po chwili dołączył do Jacka, znaleźli się w grocie, z której nie było żadnego wyjścia.

West i Kubuś Puchatek wylądowali z głuchym trzaskiem na piasku. West położył się na plecach, żeby równomierniej rozłożyć ciężar ciała i powstrzymać opadanie... Okazało się jednak, że na głębokości metra jego stopy wyczuły twarde gruntu.

Tak więc obaj stali teraz zanurzeni po pas w piasku. Ściany groty były gładkie i śliskie, wykute w diorytowej skale.

- Nie jest tak źle... - powiedział Kubuś Puchatek. - Nie wiem dlaczego Imhotep powiedział, że stąd nie ma wyjścia.

W tej samej chwili sklepienie groty - płaski, ogromny blok skalny z zamocowanymi w nim uchwytnymi zaczął się obniżać. Brzegi stropu idealnie przylegały do bocznych ścian groty.

Pomysł Imhotepa był istic szatański - ważąca pewnie ze dwie tony kamienna bryła miała intruza wepchnąć pod powierzchnię ruchomych piasków.

Tylko szybującemu z prędkością błyskawicy Horusowi udało się w porę umknąć przed pułapką. Kiedy strop zaczął się obniżać, pofrunął szybko jak rakietka w głąb tunelu.

Teraz Horus znajdował się nad sklepieniem i miał przed sobą cały mechanizm napędzający tę piekielną pułapkę. Skalny blok był podwieszony na dwóch grubych łańcuchach, wynurzających się z głośnym brzękiem z otworów we właściwym stropie.

Kubuś Puchatek dostrzegł w grotcie jakiś ruch.

Z niewielkiego otworu w ścianie wyłonił się nienaturalnie wielki pyton i zanurkował w warstwie piasku.

- Myśliwy!

- Wiem. Z tej strony są jeszcze trzy następne - odparł West i zawołał: - Horus! Napełnij dzban! Napełnij dzban!

W ścianach groty znajdowały się jeszcze trzy otwory. W każdym z nich pojawiały się co chwila oślizgłe cielska pytonów.

- Ningizzida... - powiedział West, patrząc na węże. - Asyryjski bóg pod postacią węża, znany też jako bóg drzewa życia. Chrześcijaństwo zaadaptowało go do swojej religii i umieściło w ogrodzie Edenu jako węża, który skusił Ewę do zjedzenia jabłka.

Tymczasem strop obniżał się nadal, był już w połowie wysokości.

Węże sunęły po piasku. Jeden z nich owinał się wokół prawej nogi Westa i wznosił cielsko, szeroko otwierając pysk. West nie miał przy sobie broni, żeby go zastrzelić, więc niewiele myśląc, wepchnął mu do gardła jeden koniec stalowego krzyżaka.

Wąż ześlizgnął się z ciała Westa i gwałtownie potrząsając łbem, zniknął w piasku.

- Horus! - krzyknął West. - Co ty tam robisz?!

Horus wleciał do szybu, z którego wysuwał się łańcuch podwieszony na dużym, wykonanym z brązu bloku. Następnie wpadł do drugiego, szerszego

szybu. W tym drugim szybie ciągnął się dalej łańcuch. Na końcu znajdował się olbrzymi gliniany dzban. Miał trzy metry średnicy i był chyba największym dzbanem świata. Obok, z wykonanego ludzką ręką koryta, sączył się niewielki strumień wody.

Obecnie dzban był przechylony na prawy bok. Gdyby stał prosto, woda ze strumyka wlewałaby się do niego. Wtedy, pod ciężarem łańcuchy przestałyby się opuszczać. Proces opadania stropu zostałby powstrzymany.

Ten rodzaj mechanizmu był często używany przez Egipcjan do konstruowania pułapek.

Wynalazcą urządzenia był Imhotep I. Mechanizm był wyjątkowo nieskomplikowany; aby zadziałał, potrzebne były tylko trzy rzeczy: grawitacja, woda i blok.

West, uwiesiwszy się na niewłaściwym uchwycie, zwolnił zaczep, który przewrócił dzban.

Napełniony dzban idealnie równoważył ciężar kamiennego stropu. Ale kiedy z dzbana zaczęła wylewać się woda, sufit zaczął się obniżać.

Gdzieś w podłodze groty znajdował się kolejny przycisk. Kiedy w końcu strop opadnie i dotknie go, dzban powróci do pierwotnej pozycji, napełni się wodą i uniesie strop.

Biorąc to wszystko pod uwagę, z groty Ningizzidy faktycznie nie było ucieczki. Nie istniały żadne sztuczki, zagadki, ukryte przejścia. Nikt, kto się tu znalazł, nie miał szansy się wydostać.

Chyba że za kompana miał Horusa.

Horus przeleciał przez jeden szyb, minął blok, wpadł do drugiego szybu i dotarł wreszcie do dużego glinianego dzbana. Wylądował na nim i podskakując wokół, szukał zaczepu, który przywróciłby dzbanowi właściwe położenie.

Tymczasem strop w dalszym ciągu się obniżał. Od piasku dzieliły go już tylko dwa metry.

Wężę krążyły w pobliżu. Jeden z nich w pewnym momencie zniknął pod piaskiem, by po chwili wyłonić się tuż obok Kubusia Puchatka i okręcić się wokół jego ciała. Gwałtownymi skurczami próbował złamać mężczyźnie kręgosłup. Kubuś Puchatek sięgnął po nóż i ciało węża zastygło w bezruchu, a głowa odpadła od tułowia.

Pozostało już tylko półtora metra.

West zaczął się denerwować.

Metr.

Pytony kolejno znikwały w otworach w ścianie, tak jakby zdawały sobie sprawę, co się święci.

- Horus...! - wrzasnął West.

A Horus w tym czasie cierpliwie szukał zaczepu, dokładnie tak, jak go tego nauczono. W końcu go znalazł: mały zakrzywiony haczyk. Wystarczyło go uwolnić, a dzban zacząłby napęcznieć się wodą.

Horus zaczął metodycznie uderzać w haczyk dziobem.

Pół metra...

- Horus! Dalej! Dasz radę! Przecież ćwiczyliśmy to w domu! - wołał West. Trzydzieści centymetrów...

Z piasku Westowi i Kubusowi Puchatkowi wystawały teraz tylko zadarte w górę głowy. Dziesięć centymetrów...

- Nabierz powietrza - powiedział West.

Haczyk, mimo usiłowań Horusa, nie ustępował.

Strop opadł zupełnie, wpychając Westa i Kubusia Puchatka pod powierzchnię piasku.

Horusowi nareszcie udało się złapać dziobem haczyk i pociągnąć go...

Reakcja mechanizmu była natychmiastowa. Z lekkim szarpnięciem dzban wyprostował się na swoich zawiasach, a do pustego wnętrza zaczęła napływać woda. Coraz cięższy dzban zaczął powoli się obniżać, ciągnąc za sobą przymocowany do niego łańcuch.

Dalej, poprzez system bloków, łańcuch pociągnął w górę kamienny blok stropu.

Kiedy strop nieco się uniósł, spod piasku wyłoniły się głowy Westa i Kubusia Puchatka. Otwartymi ustami chciwie łapali powietrze.

Zawiśli na dwóch uchwytych zamocowanych w stropie i pozwolili się wywindować w górę.

Napędzany wodnym mechanizmem Imhotepa strop znalazł się ponownie na swoim miejscu, a West i Kubus Puchatek wisieli uczepieni uchwytów tuż przy wylocie tunelu, gdzie siedział teraz dumny z siebie Horus i radośnie wpatrywał się w Westa.

Wskoczyli do tunelu i podziękowali Horusowi, dając mu do zjedzenia szczura.

- Dziękuję ci, przyjacielu. Dobrze się spisałeś - pochwalił West. - Uratowałeś nam tyłki. Imhotep nie przewidział, że rabusie mogą mieć takich przyjaciół jak ty. A teraz wiejmy stąd.

Ruszyli biegiem wzdłuż tunelu.

Dziesięć minut później wyłonili się z niewielkiej rozpadliny w skalistym zboczu góry, jałowym, opustoszałym zboczu kończącym się jałową, opustoszałą doliną, z której nie było żadnego wyjścia. Dolina znajdowała się po stronie irańskiej, z dala od głównego wejścia do jaskini, które było po stronie irackiej.

Okolica była tak niedostępna i ponura, że chyba żaden człowiek nie zapuścił się tu przez ostatnie dwa tysiące lat.

West przypomniał sobie o Mustafie Zajidzie. Nigdzie go nie było widać. Cóż z nim się stało? A może w którymś momencie ich wspólnej podróży udało mu się zawiadomić swoich kompanów, żeby go stąd zabrali?

West doszedł do wniosku, że kiedy znaleźli się w opuszczonym obozie terrorystów w Arabii Saudyjskiej, Zajid musiał uruchomić sygnał lokalizatora. Przecież oprócz skrzyni z dokumentami zabrał stamtąd także inne rzeczy, choćby to piękne czarne pudełko wypełnione piaskiem.

Przypomniał sobie poza tym, jak przechwycili sygnał wysłany z pokładu Halikarnasa w drodze do Iraku. Początkowo sądził, że sygnał wysłał Długi, informując Izraelczyków o ich położeniu.

Jednak później, już w jaskini, Mściciel powiedział do Długiego coś, co kazało Westowi zmienić zdanie. Mściciel, kiedy się pojawił, powiedział: „Przepraszam, że robię ci niespodziankę”.

Długi nie wiedział o zbliżającym się spotkaniu z oddziałem Mściciela.

Izraelczycy namierzali Długiego, a on o tym nie wiedział. Teraz West był przekonany, że namierzali go od samego początku, pewnie za pomocą jakiegoś chipa chirurgicznie wszczepionego pod skórę, o którym Długi nie miał nawet pojęcia.

Tamten sygnał z Halikarnasa mógł zatem wysłać Zajid, informując towarzyszy o swoim położeniu, choć West w to wątpił.

Przyszło mu do głowy inne rozwiązanie tej zagadki, które sprawiło, że ścierpła mu skóra.

Teraz West martwił się, czy uwolnienie Zajida z bazy w Guantanamo nie rozpęta nowej fali terroru na świecie.

Zajid na pewno nie przestanie zajmować się kopułą, nie teraz, kiedy wie, gdzie szukać ostatniej jej części, kiedy jest tak blisko. Terrorysty nie zrezygnują z takiej okazji. Zajid jeszcze się pojawi.

West wywołał przez radio Sky Monstera. Samolot miał wylądować na odległym, płaskim krańcu doliny. Nie zwlekając, ruszyli na miejsce spotkania.

Nie spostrzegli samotnej postaci, która przykłękała za skalnym głazem wysoko nad nimi i obserwowała każdy ich ruch, śledziła ich z bezpiecznej odległości.

Dwadzieścia pięć minut później West i Kubuś Puchatek z Horusem, brudni, obdarci i posiniaczeni, wchodzili po tylnej rampie na pokład Halikarnasa.

W kabinie West chodził tam i z powrotem, głośno myśląc. Kubuś Puchatek i Sky Monster bez słowa go obserwowali.

- Judah znał każde nasze planowane posunięcie - mówił do siebie West. - Polecieliśmy do Sudanu, za chwilę się tam pojawił. W Tunezji to samo. A w Kenii znalazł się nawet przed nami. Czekał na nas. A teraz Irak.

- Tak jakby nas cały czas namierzał - powiedział Kubuś Puchatek. - Jakiś lokalizator?

West zacisnął wargi, przypominając sobie słowa Judaha: „Gdziekolwiek pójdziesz, tam i ja się znajdę. Nie ma takiego miejsca na ziemi, gdzie mógłbyś się przede mną ukryć”.

- Tak, on chyba rzeczywiście cały czas nas namierza.

- Co? W jaki sposób?

West spojrzął na Kubusia Puchatka.

- Cztery dni. Cztery dni wyjęte z mojego życiorysu.

- O czym ty mówisz? - zapytał Sky Monster.

- Zajid miał chipa w karku. Wszczepiono mu go, kiedy był więziony na Kubie. Dzięki niemu mogli go cały czas namierzać. A ja nie mogę się doliczyć czterech dni w swoim życiu. Czterech dni, kiedy byłem w rękach Amerykanów.

West poderwał się gwałtownie i wziął do ręki analizator widma, ten sam, którego użył wcześniej do wykrycia chipa w karku Zajida.

Uruchomił urządzenie i przeciągnął nim wzdłuż całego ciała Kubusia Puchatka. Nic. Żadnej pluskwy.

Przyszła kolej na Sky Monstera. Także nic, tak jak się tego spodziewał.

West spojrzął na pozostałych i skierował urządzenie w swoją stronę.

Nogi - nic.

Biodra - nic.

Klatka piersiowa - nic.

Kiedy analizator zrównał się z głową Westa, zaczął głośno brzęczeć.

Kubuś Puchatek i Sky Monster wstrzymali oddech.

West zamknął oczy, przeklinając siebie w duchu.

Cały czas był przekonany, że wśród nich jest zdrajca - Długi albo Zajid, a tymczasem nie było żadnego zdrajcy.

To on za każdym razem naprowadzał Amerykanów na pozycje swojego oddziału.

Cztery dni jego życia, cztery dni spędzone w amerykańskim szpitalu wojskowym po wypadku na ćwiczeniach w Coronado.

Cztery dni, podczas których Amerykanie wszczepili mu chip, dzięki czemu przez wszystkie następne lata mogli go śledzić.

Ale po co? Kto wie, może dlatego, że był zdolny, albo dlatego, że chcieli śledzić wszystkich, zarówno wrogów, jak i przyjaciół.

West nie mógł w to uwierzyć. Australia była najbliższym sojusznikiem Ameryki, a została potraktowana w taki sposób. Wszystko wskazywało na to, że Ameryka jednakowo traktuje sojuszników i wrogów. Nie, nawet nie. Sprawa wydaje się prostsza: Ameryka traktuje każdego jak wroga.

Pomyślał o Judahu. Pośród rozlicznego sprzętu, jakim dysponował, znajdował się komputer z odbiornikiem GPS. Na ekranie jest mapa świata, a na niej mały migający punkcik - to Jack West. Ten punkcik miga już od blisko piętnastu lat.

Amerykanie wiedzieli o ich bazie w Kenii od samego początku.

O kopalni w Sudanie dowiedzieli się w chwili, gdy znalazł się tam West. To samo z Tunezją. Znaczyło to również, że Amerykanie zdawali sobie sprawę, iż to West uprowadził Zajida z bazy w Guantanamo. Na pewno im się to nie spodobało.

West miotał się po kabinie obserwowany przez Kubusia Puchatka i Sky Monstera. Sięgnął po generator impulsów elektromagnetycznych, którym wcześniej unieszkodliwił chip w karku Zajida. Wycelował go w swoją głowę, jakby zamierzał popełnić samobójstwo, i nacisnął spust.

W tej samej chwili na pokładzie śmigłowca lądującego właśnie w Basrze operator przy komputerze z odbiornikiem GPS nagle się poderwał.

- Pułkowniku Judah! Straciliśmy sygnał z lokalizatora Jacka Westa.

- Gdzie się wtedy znajdował?

- Jeśli wierzyć GPS - owi, w okolicy wiszących ogrodów.

Judah się uśmiechnął.

- Lokalizator był wszczepiony w żywe tkanki mózgu. Jeśli West umarł, chip umarł wraz z nim. Musiał zostać ranny, kiedy runął zikkurat. Spoczywaj w pokoju, Jack. Nie zdążyłeś się dowiedzieć, że to ty byłeś naszym przewodnikiem. Na szczęście już nie jesteś potrzebny. Kallis! Nakarm ludzi, uzupełnij amunicję i lecimy do Luksoru.





ŚWIĄTYNIA W LUKSORZE  
WSCHODNI BRZEG, LUKSOR



ŚWIĄTYNIA GROBOWA HATSZEPSUT  
ZACHODNI BRZEG, LUKSOR

MIĘDZYNARODOWY PORT LOTNICZY W LUKSORZE  
LUKSOR, POŁUDNIOWY EGIPT  
20 MARCA 2006, GODZ. 02.00  
DZIEŃ POJAWIENIA SIĘ TARTARU

We wczesnych godzinach rannych, w dzień, kiedy na Słońcu miała pojawić się plama Tartar, trzystu żołnierzy z Europy czekało na posterunkach wokół dworca lotniczego w Luksorze na chwilę, kiedy zjawią się siły amerykańskie.

Przedzielony przez wody Nilu na dwie części Luksor jest całkiem sporym miastem, utrzymującym się głównie z turystyki. Na wschodnim brzegu Nilu znajdują się świątynie w Karnaku i Luksorze, jedne z najbardziej urzekających miejsc w Egipcie. Świątynia luksorska leży tuż przy brzegu rzeki, oddzielona od niej tylko wspaniałym bulwarem zwanym Corniche.

Na zachodnim brzegu nad miastem góruje pasmo wysokich, nagich, postrzępionych wzgórz, wyrastających z pustynnej równiny. Najbardziej znaną doliną pośród tych wzgórz jest słynna Dolina Królów - niezwykle zbiorowisko grobowców, pełnych niegdyś skarbów należących do faraonów. Tu znajduje się grobowiec Tutenchamona, Ramzesa Wielkiego i setek innych. Do dziś co kilka lat odnajdywany jest kolejny grobowiec.

Na tym samym zachodnim brzegu znajduje się jedno z najbardziej tajemniczych miejsc starożytnego Egiptu - świątynia grobowa wspaniałej kobiety - faraona Hatszepsut.

Zbudowana u podnóża skalistego wzgórza, świątynia składa się z trzech olbrzymich tarasów wspartych na kolumnadach, stopniowo się cofających, jak trzy stopnie boskich schodów. Środkiem przez wszystkie trzy tarasy wiodły gigantycznych rozmiarów schody.

Z honorowego miejsca, w którym się znajduje, u podnóża skalnego urwiska, świątynia dumnie góruje nad miastem, zwracając swe oblicze ku słońcu. Ma wielkość trzech boisk futbolowych i stanowi unikatowy zabytek.

Niestety, cieszy się także złą sławą.

To właśnie tam, w listopadzie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku, sześciu muzułmańskich terrorystów, uzbrojonych w broń maszynową, z zimną krwią zamordowało sześćdziesięciu dwóch turystów. Terroryci przez godzinę polowali na niewinnych ludzi, usiłujących skryć się za kolumnami świątyni, a na koniec sami popełnili samobójstwo.

Luksor jest przesiąknięty historią, zarówno starożytną, jak i współczesną.

Lotnisko w Luksorze jest położone na wschodnim brzegu. Amerykańskie samoloty podchodziły do lądowania w ciemnościach, z przygaszonymi światłami: dwa transportowe C - 130 Hercules i na końcu jeden reprezentacyjny lear. Siły amerykańskie nie były liczne; wystarczająco duże, aby bezpiecznie przewieźć zdobyc, lecz na tyle małe, by nie budzić niepotrzebnego zainteresowania.

Rząd egipski, jak zwykle potrzebujący amerykańskiego poparcia i pieniędzy, bez mrugnięcia okiem zgodził się na otwarcie swoich granic dla armii Stanów Zjednoczonych.

Rząd egipski nie wiedział za to nic o trzystu - osobowym oddziale sił europejskich, który w tej chwili otaczał lotnisko w Luksorze.

Ojciec Francisco del Piero siedział w toyocie land cruiser zaparkowanej przed lotniskiem i czekał na rezultaty działania swoich francuskich i niemieckich żołnierzy. Razem z nim w samochodzie był Mistrz, Zoe i Kędzierzawy - skuci kajdankami i unieruchomieni. Obok siedział mały Aleksander, a w dużej stalowej skrzyni spoczywał fragment złotej kopuły, wyjęty wcześniej z ołtarza w Bazylice Świętego Piotra.

Z pierwszego herculesa wyjechały na pas startowy dwa humvee, pomalowane w pustynne barwy ochronne, i zatrzymały się koło małego leara, który przewoził wszystkie części kopuły.

Z samolotu wysiedli żołnierze i zajęli się ochroną grupki mężczyzn, niosących pięć różnej wielkości walizek podróżnych marki Samsonite. Walizki powędrowały na tylną skrzynię trzeciego humvee, który właśnie nadjechał, tym razem czarnego.

Złota kopuła.

Europejczycy w absolutnej ciszy opuścili swoją kryjówkę.

Francuscy i niemieccy komandosi wyskoczyli z cienia, z noktowizorami na głowach i pistoletami maszynowymi zaopatrzonymi w tłumiki, i pobiegli w stronę wroga.

Amerykanie zgromadzeni wokół leara nie mieli żadnych szans.

Pod gradem pocisków padali w kałużach krwi na pas startowy. Podobny los spotkał kierowców humvee - komandosi z Europy dosłownie rozerwali ich na strzępy.

Wszystko trwało ledwie kilka minut.

Kiedy del Piero usłyszał meldunek: „czysto”, uruchomił samochód i wjechał na pas startowy.

Podszedł do żołnierzy otaczających czarny samochód, zaparkowany obok małego odrzutowca.

Z uśmiechem pełnym satysfakcji podszedł do skrzyni pojazdu, otworzył ją, po czym sięgnął po jedną z walizek.

Otworzył walizkę. W środku było kilka bezwartościowych cegieł i kartka papieru z notatką:

Uważaj, ojcie del Piero.

Nie obryzgaj się krwią.

Judah.

Del Piero otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

Obrócił się na pięcie i...

...wybuchła wokół kanonada. Pociski z karabinów snajperskich świstały w powietrzu tuż koło jego głowy. Wystarczyła chwila i każdy z otaczających go dziesięciu żołnierzy leżał martwy, z głową w kałuży krwi, ciałem poskręcanym jak u szmacianej lalki.

Przy życiu pozostał tylko del Piero. Jedyne on trzymał się na nogach. Strzelcy okazali się niewiarygodnie precyzyjni.

Wszędzie wokół pełno było krwi, odłamków kości, resztek mózgow. Twarz del Piera też była zbryzgana krwią.

Dopiero w tej chwili z ukrycia wyszły siły amerykańskie, bez mała tysiąc żołnierzy, które ulokowały się w okolicznych domach i sieci kanalizacyjnej Luksoru, nim na miejsce przybyli żołnierze del Piera.

Amerykanie byli teraz bezlitośni, tak jak wcześniej bezlitośni byli Europejczycy. Zastrzelono nawet tych żołnierzy, którzy się poddali.

Nikt nie pozostał przy życiu. Nikt, prócz del Piera i czterech pozostałych osób siedzących w toyocie: Mistrza, Zoe, Kędzierzawego i Aleksandra.

Dopiero teraz przyleciał do Luksoru właściwy amerykański konwój.

Pierwszy był tylko pozornym celem, a ludzie zostali spisani na straty - żywe przynęty, które miały wywabić europejskich żołnierzy.

Teraz, kiedy lotnisko było już bezpieczne, przyleciał Judah learem, w asyście dwóch myśliwców F - 15, a za nimi co najmniej sześć olbrzymich herculesów.

Samoloty lądowały jeden po drugim, a ich reflektory rozświetliły jasnym blaskiem niebo wokół lotniska.

Samolot z Judahem na pokładzie zatrzymał się obok pierwszego leara.

Del Piero nadal stał w miejscu, pośród zwłok, jak złodziej złapany na gorącym uczynku, otoczony teraz przez żołnierzy z oddziału CIEF.

Judah niespiesznie wysiadł z odrzutowca, zmierzył zimnym spojrzeniem del Piera i wskazał na krew na jego twarzy.

- Ojczy del Piero. Mój stary nauczycielu. Jak miło znowu cię widzieć. Nie posłuchałeś mojego ostrzeżenia. Mówiłem, żebyś wystrzegał się bryzgającej krwi.

Del Piero nie odezwał się.

Zza pleców Judaha wyłoniła się jakaś postać: stary, bardzo stary mężczyzna, sękaty i zgarbiony. Jego łysą czaszkę pokrywały plamy, miał na sobie skórzany płaszcz i okulary ze szklami grubymi jak dno butelki, zza których spozierały małe, sprytne oczka.

- Ojczy, chyba się nie znacie. To jest Hans König - po wiedział Judah. - Od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku jest gościem rządu amerykańskiego i od wielu, wielu lat zajmuje się poszukiwaniem kopuły.

Del Piero wstrzymał oddech.

- König i Hessler. Dwaj niemieccy naukowcy...

- Pułkownik Judah! - zawołał Cal Kallis zza toyoty del Piera. Stał przy tylnym zderzaku samochodu, nad otwartą w tej chwili skrzynią, z której wyjmował złotą płytę. - Mamy jeszcze jedną część. Mamy też chłopca... i kilkoro ludzi Westa.

Kallis prowadził Aleksandra przed sobą. Dalej szli skuci Mistrz, Zoe i Kędzierzawy, pilnowani przez ludzi Kallisa. Judah się skrzywił.

- Dlaczego, ojczy? Jaki miałeś powód, żeby zabierać tych dobrych ludzi w swoją misję? Domyślam się, że ten sam, który każe mi zabrać ciebie ze sobą.

W oczach del Piera pojawił się strach. Judah był zadowolony.

- Co nam mówi Pismo Święte? „A jak chcecie, aby ludzie wam czynili, czyńcie im tak samo i wy”. Cóż za ironia!

Przyjrzał się chłopcu. To samo uczynił König.

- Więc to on. Syn wyroczni. Aleksander, jeśli się nie mylę. - Judah skłonił się z szacunkiem. - Nazywam się Marshall Judah, ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Miło mi cię poznać.

Chłopiec, po którym nie widać było strachu, odwzajemnił spojrzenie, ale nie odezwał się słowem.

- Miło mi także przedstawić ci twoją siostrę - ciągnął pułkownik.  
Judah usunął się w bok i przed chłopcem stała teraz Lily, nieco zawstydzona, z nogami skrzyżowanymi w kolanach i pochyloną głową.

Tuż przed świtem Luksor zasnęła gęsta mgła. Przez jej opary przebijała się teraz kolumna ciężkich pojazdów wojskowych. To armia amerykańska jechała do świątyni w Luksorze.

Świątynia znajdowała się przy samym brzegu Nilu. Olbrzymiego wejścia strzegły dwa posągi Ramzesa II siedzącego na tronie i jedyny pozostały tu obelisk, dumnie pnący się ku niebu. Drugi od dawna znajdował się w Paryżu.

W skład kolumny wojska wchodziły humvee, jeepy, motocykle i jeden śmigłowiec Apache, osłaniający ją z powietrza. W środku kolumny poruszał się jeszcze spory pojazd gąsienicowy, na którym zamontowano dźwig z wysuwającym ramieniem.

Przed świątynią, w świetle reflektorów, Amerykanie unieśli ramię dźwigu dokładnie w tym miejscu, gdzie niegdyś stał drugi, bliźniaczy obelisk.

Na końcu ramienia dźwigu znajdował się specjalny kosz, taki, jakiego używa się do naprawy linii elektrycznych. Kosz mógł pomieścić trzy osoby. W górę dźwig wywindował Judaha, Kallisa i Königa.

- Herr König - powiedział Judah. - Ma pan kopię dziennika swojego kolegi?

Stary, zgarbiony König trzymał w ręku zrobioną po kryjomu kopię dziennika Hesslera.

- Tak jest, Herr Judah - syknął.

Kiedy kosz znalazł się w pobliżu istniejącego obelisku, König zaczął odcyfrowywać wyryte na nim hieroglify, a następnie odnalazł odpowiednią stronę w dzienniku:

Z TAJEMNEJ EWANGELII ŚWIĘTEGO MARKA  
O ŚWICIE W DZIEŃ SĄDU,  
W OSTATNI STRASZNY DZIEŃ,  
W TEJ JEDYNEJ ŚWIĄTYNI NOSZĄCEJ OBA ICH IMIONA.  
NAWLECZ POTĘGĘ RE PRZEZ UCHA  
WZNIOSŁYCH IGIEŁ RAMZESA WIELKIEGO,  
OD DRUGIEJ SOWY PIERWSZEJ IGŁY  
DO TRZECIEJ DRUGIEJ IGŁY... ...  
I TAK ODNAJDZIESZ GROBOWIEC ISKANDERA,  
TAM ZNAJDZIESZ PIERWSZY FRAGMENT KOPUŁY.

Na szczycie obelisku znaleźli trzy hieroglify przedstawiające sowy. Podobnie jak zrobił to West w Paryżu, Judah sięgnął do symbolu słońca, wyrytego nad drugą sową, wyciągnął stamtąd niewielki kamień. Z drugiej strony obelisku znalazł taki sam symbol, tu również wyciągnął kamień.

Po chwili w obelisku pojawił się poziomy otwór biegnący na wylot ze wschodu na zachód.

Teraz dźwig przetransportował kosz w miejsce, gdzie niegdyś stał drugi obelisk.

- Ma pan wyniki pomiarów, Herr König?

- Dokładne co do milimetra, Herr Judah. Przy użyciu wysokościomierza i cyfrowego pochyłościomierza wyliczyli precyzyjnie wysokość i kąty, a następnie zamocowali do kosza stalowy cylinder, mający zastąpić otwór w obelisku.

Kiedy skończyli, na wschodzie, nad horyzontem zaczęła wyłaniać się właśnie pomarańczowa tarcza słońca. Nastął świt dnia Tartaru.

Wszyscy natychmiast zauważyli wyjątkową moc wschodzącego słońca.

Tego dnia, w dzień pojawienia się Tartaru, było o wiele goręcej. Słońce dosłownie paliło, mimo utrzymującej się jeszcze nisko nad ziemią mgły, której snujące się pasma tworzyły teraz małe obłoczki.

W końcu promienie słońca natrafiły na górną część obelisku. Wysoka skalna iglica załśniła majestatycznie.

Amerykańscy żołnierze obserwowali to wszystko z podziwem.

Na twarzy Judaha gościł wyraz triumfu.

Mistrz siedzący w samochodzie obserwował zjawisko w milczeniu.

Światło słoneczne wniknęło wreszcie do otworu w obelisku, przeszło na wylot, sięgnęło cylindra zastępującego drugi obelisk i wtedy potężny strumień światła przebił się przez mgłę niczym promień lasera, powędrował od świątyni na zachód, wysoko nad wodami Nilu, nad budynkami na zachodnim brzegu, wprost ku urwistym wzgórzom, które broniły dostępu do Doliny Królów.

Strumień światła bardzo precyzyjnie wskazał miejsce, gdzie u zbocza urwiska znajdował się wyjątkowy zabytek cywilizacji egipskiej - trzy potężne tarasy i wiodące w górę schody.

To była świątynia Hatszepsut.



WNĘTRZE ŚWIĄTYNI HATSZEPSUT  
LUKSOR, EGIPT

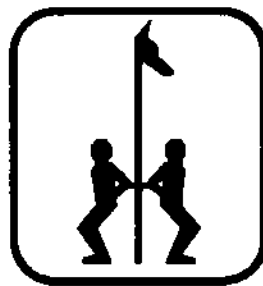
20 MARCA 2006, GODZ. 06.30

DZIEŃ POJAWIENIA SIĘ TARTARU

Amerykanie działali błyskawicznie.

Promień światła padł na miejsce położone po lewej stronie najwyższego tarasu świątyni.

Znajdowało się tam sklepienie przejście, tak starannie zamaskowane, że wydawało się częścią ściany. U góry widniał jednak znajomy symbol, na który do tego dnia nikt nie zwrócił szczególnej uwagi.



Kiedy Marshall Judah zobaczył ten znak, w jego oczach widać było oznaki zadowolenia.

Pokonanie drzwi zajęło dosłownie chwilę.

Tyle że za drzwiami czekały pułapki.

Ze szczelin w stropie korytarza błyskawicznie wysunęły się długie ostrza, z których jedno ścięło głowę nieostrożnemu żołnierzowi. Dalej była częściowo zatopiona komnata, gdzie w wodzie sięgającej kolan można było natrafić na ostrza zdolne odciąć nogi. Na szczęście, dzięki swoim wcześniejszym badaniom, König znalazł sposób na bezpieczne przejście.

Marshall Judah wyłonił się zza drzwi i stanął na podeście, z którego roztaczał się widok na wielką podziemną grootę.

Była mniejsza niż jaskinia, w której znaleźli wiszące ogrody Babilonu, ale za to przewyższała tamtą artyzmem.

Każdy centymetr ścian został ozdobiony.

Grota przypominała swoim wyglądem podziemną katedrę z niebotycznie wysokimi ścianami, łukowatym sklepieniem i czterema rozległymi świętymi stawami, które umieszczono względem siebie tak, że tworzyły kształt wielkiego krzyża. Sklepienie podtrzymywały wielkie kamienne kolumny.

W miejscu połączenia ramion krzyża, centralnym punkcie olbrzymiej podziemnej sali, znajdowało się podwyższenie otoczone w czterech rogach obeliskami. Na podwyższeniu spoczywał bogato zdobiony szklany sarkofag.

Bogato zdobiony to najskromniejszy opis tego, co zastali.

Szkło misternie zdobione złotem. A nad sarkofagiem wysoki baldachim, cały ze złota. Filary, które go podtrzymywały, nie miały formy prostych słupów, były spiralnie poskręcane i przypominały raczej zastygnięte pnącza winorośli.

- Grobowiec Aleksandra Wielkiego... - westchnął König.

- Mówiło się o tym, że był wykonany ze szkła - rzekł Mistrz.

- Zaraz, zaraz, to mi coś przypomina... - powiedział Judah. Za nim stał Francisco del Piero, skuty kajdankami, z pochyloną głową, milczący. Starał się być jak najmniej widoczny.

Judah zwrócił się do Königa.

- Niech pan pomierzy tę komnatę. Chcę znać jej długość, szerokość i wysokość.

König przystąpił do pracy i dzięki laserowym urządzeniom już po minucie meldował:

- Sto dziewięćdziesiąt dwa metry długości, sto sześćdziesiąt metrów szerokości w najszerszym miejscu. Wysokość w środkowej części... sto trzydzieści pięć metrów.

Mistrz ledwie zdołał stłumić wybuch śmiechu.

König obejrzał się.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- Niech zgadnę - odpowiedział Mistrz. - Wysokość baldachimu nad sarkofagiem, tego z poskręcanymi filarami, wynosi dwadzieścia dziewięć metrów.

König wycelował swoje laserowe urządzenie, dokonał pomiaru i... obrócił się zaskoczony do Mistrza.

- Dokładnie dwadzieścia dziewięć metrów. Skąd pan to wiedział?

- Stąd, że ta grotta ma dokładnie takie same wymiary jak Bazylika Świętego Piotra w Rzymie.

Judah obrócił się, by spojrzeć w twarz del Piera, ale ten jeszcze niżej pochylił głowę, choć wydawało się to już zupełnie niemożliwe.

- Skoro wszystko w Kościele rzymskokatolickim jest wiernym odzwierciedleniem egipskiego kultu słońca, to dlaczego inaczej miało być z Bazyliką Świętego Piotra? - ciągnął Mistrz. - Jej rozmiary są powieleniem rozmiarów tego świętego miejsca; miejsca, gdzie spoczywa najcenniejsza część złotej kopuły, sam jej wierzchołek.

Zbliżyli się do wielkiego ołtarza pośrodku groty, na którym spoczywał złoto - szklany sarkofag.

Wewnątrz dojrzeliby tylko biały pył, doczesne szczątki największego wodza w dziejach świata, człowieka, który rozkazał pociąć kopułę na części i ukryć je w różnych zakątkach znanego wówczas świata.

Szczaćki Aleksandra Wielkiego.

Prócz białego pyłu zachował się jeszcze tylko wykonany z brązu macedoński hełm i błyszczący srebrny miecz. W górnej części kupki prochu,

tam gdzie zapewne niegdyś spoczywał tors zmarłego, leżała mała bryła złota w kształcie ostrosłupa.

Wierzchołek złotej kopuły.

Bez zbędnych ceregieli Judah nakazał otworzyć sarkofag. Czterech ludzi podeszło i chwyciło za narożniki grobowca. Del Piero postąpił do przodu.

- Na miłość boską, ostrożnie!

Mężczyźni, nie zwracając na niego uwagi, gwałtownie poderwali szklane wieko do góry.

Judah podszedł do sarkofagu i obserwowany w skupieniu przez wszystkich sięgnął do środka, zagłębił dłoń w szczątkach Aleksandra Wielkiego i wyjął wierzchołek złotej kopuły.

Bryła złota miała kształt małej piramidy, której podstawa była niewiele większa od rozmiarów typowej książki. Emanowała z niej moc. Więcej nawet, emanowała z niej moc, artyzm i wiedza, jakiej ludzkość nie znała.

To wszystko przekraczało granice ludzkiego poznania.

Kryształ osadzony na samym wierzchołku lśnił niczym brylant.

Judah patrzył na złotą bryłę z nabożeństwem.

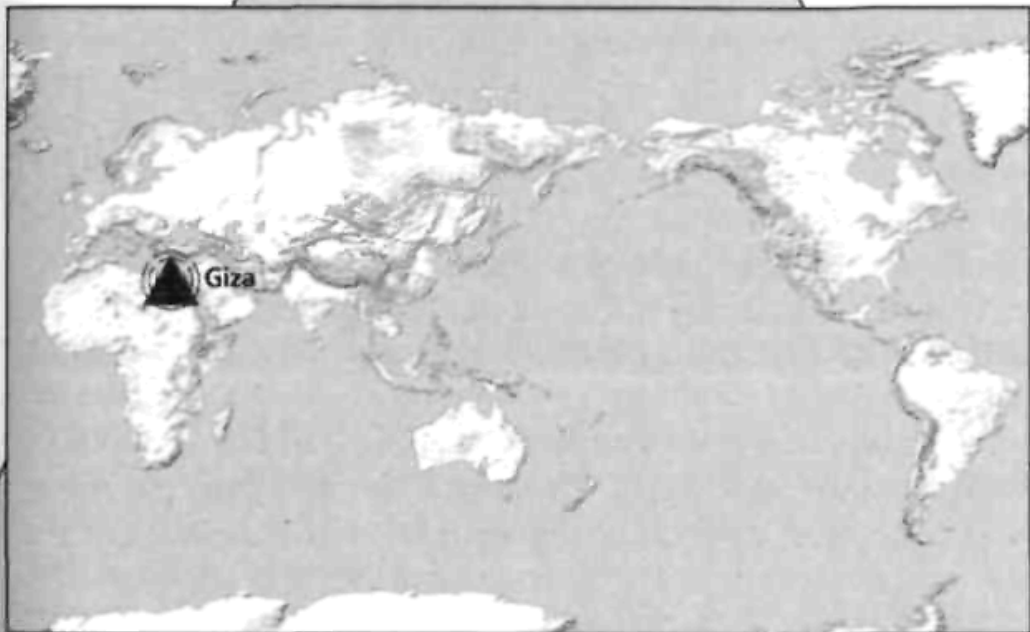
W jego rękach znalazły się wszystkie części złotej kopuły. Od czasów Aleksandra Wielkiego nikt nie posiadał takiej władzy.

Wyszczrzył w uśmiechu zęby.

- Czas zapanować nad potęgą Re. Tartar pojawi się nad Gizą w południe. W drogę. Przed nami tysiąc lat władzy.

# **MISJA SIÓDMA**

## **PIRAMIDA CHEOPSA**



**GIZA, EGIPT**  
**20 MARCA 2006**  
**DZIEŃ POJAWIENIA SIĘ TARTARU**

## PIRAMIDA CHEOPSA W GIZIE

To jest pewnie jedyna budowla na ziemi, której nazwę zna każdy człowiek. Piramida Cheopsa.

Największym nieporozumieniem dotyczącym siedmiu cudów świata jest to, że zalicza się do nich wszystkie trzy piramidy w Gizie. Tymczasem piramidy Chefrena i Mykerinosa, choć są wspaniałymi zabytkami, to jednak nie zasłużyły na to miano. Jedyne piramidę Cheopsa starożytni Grecy uznali za cud.

Sam jej widok zapiera dech w piersiach, a rozmiary wprawiają w osłupienie: sto trzydzieści siedem metrów wysokości i sto czterdzieści metrów długości każdego boku podstawy. Jeżeli dodać brakującą, zaginioną już w starożytności, złotą kopułę, to otrzymalibyśmy idealną symetrię - jej wysokość wynosiłaby dokładnie tyle samo co długość każdego z boków podstawy.

Obliczono, że ciężar piramidy przekracza dwa miliony ton. W jej wnętrzu mieszczą się przepiękne, skomplikowane systemy korytarzy, wykonane z dokładnością, która do dziś musi budzić podziw.

Przetrwała czasy faraonów i królów, wojny plemienne i światowe, trzęsienia ziemi i burze piaskowe.

Jej miłośnicy twierdzą, że ma nadzwyczajną moc - ponoć w jej wnętrzu nie rozwijają się bakterie. Rośliny rosną dużo szybciej. Ludzie cierpiący na artretyzm i raka wracają do zdrowia.

Niezależnie od tego, w co kto wierzy, jest w tej budowli coś, co przyciąga ludzi. Opiera się czasowi, jest niewyobrażalna. Do dziś tak naprawdę nie wiadomo, w jaki sposób powstała.

To jedyne dzieło ludzkich rąk, które oparło się niszczącemu działaniu czasu i przyrody, jedyny cud świata, który przetrwał do czasów współczesnych.

Piramida Cheopsa nie ma sobie równych na całym świecie.

PIRAMIDA CHEOPSA  
GIZA (PRZEDMIEŚCIA KAIRU), EGIPT  
20 MARCA 2006, GODZ. 11.00  
DZIEŃ POJAWIENIA SIĘ TARTARU

Nad przedmieściami Kairu króluje potężna bryła piramidy Cheopsa. Bloki mieszkalne, które zbudowano cztery i pół tysiąca lat później, wydają się przy niej co najmniej mizerne. Stoi w miejscu, gdzie bujna zieleń doliny Nilu styka się z krańcem Pustyni Zachodniej, na wzniesieniu zwanym płaskowyżem Giza.

Obok niej wznoszą się piramidy Chefrena i Mykerinosa - mniejsze i nie tak olśniewające, a przed nimi posąg tajemniczego, leżącego Sfinksa.

Było już prawie południe i słońce zbliżało się do najwyższego punktu swej wędrówki po niebie. Panował upał, było bardzo gorąco, nawet jak na Kair. Temperatura sięgała czterdziestu dziewięciu stopni i wciąż rosła.

Ze wszystkich zakątków świata docierały informacje o wyjątkowo upalnej pogodzie: z Chin, Indii, nawet z Rosji. Wszędzie notowano rekordowo wysokie temperatury. Upały stały się przyczyną zasłabnięć wielu ludzi.

Działo się coś niedobrego. I miało związek ze słońcem, jak twierdzili komentatorzy telewizyjni. Meteorologowie uściślali: To plama słoneczna.

W Stanach Zjednoczonych wszystkie poranne programy telewizyjne zajmowały się tylko tym tematem, oczekując reakcji Białego Domu i przemówienia prezydenta.

Przemówienia nie było.

Biały Dom tajemniczo milczał.

W Kairze rząd był bardzo przychylnie usposobiony do działań wojsk amerykańskich.

Płaskowyż został zamknięty dla cywilów i turystów na cały dzień - wszystkich wejść strzegła armia egipska. W dodatku oddziałom Judaha, które przybyły tu w ciągu nocy, pozostawiono swobodę działania.

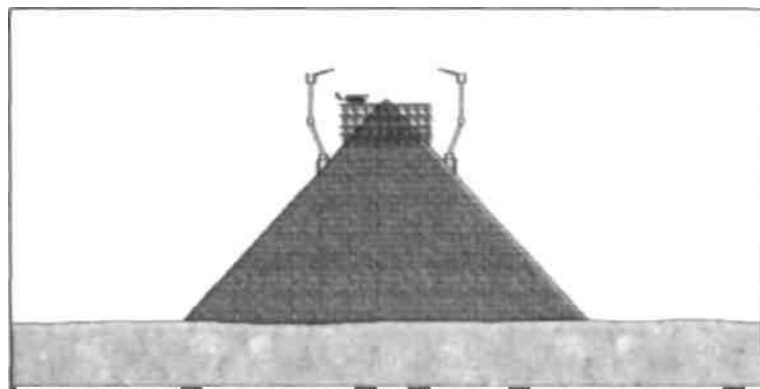
Rzeczywiście, kiedy Judah przebywał rano w Luksorze, oddziały CIEF sumiennie pracowały, szykując się na jego przyjazd. Ich zadaniem było przygotowanie olbrzymiego rusztowania, które teraz pokrywało wierzchołek piramidy.

Rusztowanie składało się z olbrzymiej płaskiej platformy wykonanej z drewna, otaczającej szczyt piramidy. Platforma przypominała nieco lądowisko dla śmigłowców, była kwadratowa, każdy z jej boków miał trzydzieści metrów długości i zbudowano ją na tej samej wysokości co wierzchołek piramidy. W rzeczywistości w platformie wycięto pośrodku otwór, dzięki któremu do szczytu piramidy był dostęp, co umożliwi Judahowi dokonać odpowiedniego rytuału.

Pionowe wsporniki platformy spoczywały na schodkowych bokach piramidy, podobnie jak dwa dźwigi wznoszące się wysoko nad platformą. W

koszach wieńczących ramiona dźwigów czuwali teraz żołnierze oddziału CIEF, uzbrojeni w stingery i działka przeciwlotnicze.

Nie było nikogo, kto zdołałby zakłócić ceremonię.



### Piramida Cheopsa w dniu pojawienia się Tartaru

Dokładnie o jedenastej przed południem pojawił się śmigłowiec Super Stallion CH - 53E z Marshalllem Judahem na pokładzie, dwunastoma komandosami CIEF dowodzonymi przez Cala Kallisa i siedmioma częściami gotowej do złożenia w całość złotej kopuły.

Super stallion wylądował na platformie i w podmuchach wiatru, które wywołały jego łopaty, złota kopuła została przeładowana na specjalne kołowe wózki.

Otoczony ze wszystkich stron przez uzbrojonych komandosów Judah wysiadł ze śmigłowca w towarzystwie dwojga dzieci - Aleksandra i Lily.

Za nimi pojawili się Mistrz i del Piero, obaj skuci kajdankami, pod strażą. Judah zabrał ich tu chyba tylko po to, by byli świadkami jego triumfu.

Zoe, Kędzierzawy i Długi znajdowali się w black hawku, który leciał bezpośrednio za maszyną Judaha i wylądował u podstawy piramidy. Tę trójkę Judah przetrzymywał głównie po to, by zaszantażować Lily. Powiedział jej bowiem, że jeśli nie będzie posłuszna, Zoe, Długi i Kędzierzawy zginą.

W czasie krótkiej podróży z lotniska w Kairze do piramid Lily siedziała obok Aleksandra i próbowała z nim porozmawiać.

- Cześć. Mam na imię Lily - zaczęła.

Aleksander spojrzał na nią z wyższością, jakby zastanawiał się, czy odpowiedzieć, czy nie.

- Mam na imię Aleksander... moja młodsza siostra.

- Młodsza? Nie wygłupiaj się! Jesteś ode mnie starszy zaledwie o dwadzieścia minut - powiedziała ze śmiechem Lily.

- Tak czy inaczej pierwszy się urodziłem - rzekł Aleksander. - A starszy ma pewne przywileje. Choćby szacunek.

- Założę się, że czasem zapominasz o swoich domowych obowiązkach - rzekła Lily.

- Co to są domowe obowiązki? - zapytał całkiem serio.

- Domowe obowiązki? - Lily powtórzyła z niedowierzaniem. - Wiesz, to takie rzeczy jak sprzątanie końskiego łajna w stajni. Zmywanie naczyń po obiedzie.



- Nigdy w życiu nie zmywałem naczyń. Ani nie sprzątałem stajni. Takie rzeczy nie przystają mojej pozycji.

- Żadnych obowiązków?! - wykrzyknęła Lily. - Człowieku, jesteś szczęściarzem! Jezu, żadnych obowiązków...

Chłopiec zmarszczył brwi zaniepokojony.

- Dlaczego robisz takie rzeczy? Jesteś wysokiego stanu. Dlaczego w ogóle pozwoliłaś, by zmuszono cię do wykonywania takich prac?

Lily wzruszyła ramionami: Tak naprawdę nigdy nie zastanawiała się nad tym.

- Wydaje mi się... Hmm... nawet jeśli nie lubię tych zajęć, to wykonuję je, żeby być częścią rodziny. Tak, być częścią rodziny. To pomaga.

- Ale przecież ty jesteś lepsza od nich. Po co miałabyś pomagać zwykłym ludziom?

- Lubię im pomagać. Bo... bo ich kocham.

- Siostró, siostró. Narodziliśmy się, by władać tymi ludźmi, a nie im pomagać. Nie sięgają ci do pięt, to twoi niewolnicy.

- To moja rodzina - upierała się Lily.

- Rządzi się w samotności - powiedział Aleksander takim tonem, jakby wyuczył się tego zdania na pamięć. - Oczekiwałem, że będziesz silniejsza, siostró.

Lily nie odezwała się już słowem. Chwilę później dotarli pod piramidę Cheopsa.

Była godzina jedenasta trzydzieści w dzień pojawienia się Tartaru. Pozostało trzydzieści minut do chwili, gdy paląca plama słoneczna zatrzyma się wprost nad wierzchołkiem piramidy. Właśnie zaczynała się starożytna ceremonia, którą po raz ostatni odprawiono ponad cztery i pół tysiąca lat temu.

Judah stał na platformie, ze względu na swój lęk wysokości przypięty liną asekuracyjną.

Spojrzał na nagi wierzchołek piramidy i przeczytał wyrytą na nim starożytną inskrypcję.

Skulcie się ze strachu, krzyczcie z rozpaczą,

Żałośni śmiertelnicy

Gdyż ten, który dał wielką moc,

Teraz ją odbierze.

Jeśli benben nie zostanie umieszczony w świętym miejscu

Na świętej ziemi, na świętej wysokości,

W ciągu siedmiu wschodów słońca od przybycia Proroka

boga Re,

Siódmego dnia w samo południe,

Ognie nieprzejednanego Niszczyciela Re pochłoną nas

wszystkich.

Obok inskrypcji, na samym środku wierzchołka piramidy znajdowało się płytkie wgłębienie w kształcie ludzkiej postaci. Głowa była zniszczona przez czas, ale nie było wątpliwości, że jest to Anubis, straszliwy bóg podziemi, przedstawiany z głową szakala.

W samym środku postaci, a zarazem na samym środku wierzchołka piramidy znajdował się otwór wielkości piłki tenisowej. Wyglądał jak kamienny tygiel.

Judah doskonale wiedział, jakie jest przeznaczenie tego tygla. Niemiecki archeolog Hessler również:

RYTUAŁ MOCY  
NA WYSOKIM OLTARZU RE,  
GDZIE SERCE OFIARY SPOCZYWA  
W OBJĘCIACH MŚCIWEGO ANUBISA,  
NAPEŁNIJ MARTWE SERCE BOGA  
JEDNYM DEBENEM SWEJ OJCZYTEJ ZIEMI,  
WYPOWIEDZ TO STAROŻYTNE PRZYWOŁANIE ZŁA,  
A CAŁA ZIEMSKA MOC BĘDZIE W TWOIM WŁADANIU  
PRZEZ TYSIĄC LAT.

Napełnij martwe serce boga  
Jednym debenem swej ojczystej ziemi...

Deben był starożytną egipską miarą wagi i równał się dziewięćdziesięciu trzem gramom.

Judah wyciągnął z kieszeni szklaną fiolkę. W środku znajdowała się garść ziemi koloru bursztynu, zebranej na pustyni Utah. Taki rodzaj ziemi występował tylko na terenie Stanów Zjednoczonych.

Odmierzył dokładnie dziewięćdziesiąt trzy gramy - jeden deben - i wsypał ziemię do tygla.

Przyjrzał się z dumą swemu dziełu i zawołał:

- Panowie! Montujemy kopułę!

Kawałek po kawałku ludzie Judaha zaczęli wznosić złotą kopułę. Największa część, ta z Faros, znalazła się na dole. Wyżłobiona w jej dnie postać Anubisa idealnie pasowała do postaci wyżłobionej na wierzchołku piramidy.

W wierzchołku znajdowało się także płytkie zagłębienie, które pozwalało „ofierze”, czyli jednemu z dzieci, podpełznąć do Anubisa, kiedy nadejdzie właściwy moment.

Wraz z każdym kolejnym kładzionym fragmentem kopuła zaczęła nabierać kształtu.

Wyglądało to niezwykle dostojnie. Potężna i błyszcząca - złota korona wieńcząca i tak niezwykłą budowlę. Ciąg kryształów biegł przez środek kopuły idealnie w dół, wprost do miejsca, gdzie znajdowało się serce Anubisa.

Zadowolony Judah koordynował prace.

Przyszła kolej na ostatnią część, sam czubek piramidy, fragment znaleziony tego ranka w grobowcu Aleksandra Wielkiego.

I wreszcie, po prawie pięciu tysiącletniach, kopuła znów była w całości.

Piramida Cheopsa w Gizie wyglądała teraz tak, jak w roku dwa tysiące pięćset sześćdziesiątym szóstym przed naszą erą.

Była godzina jedenasta pięćdziesiąt.

Do pojawienia się Tartaru pozostało dziesięć minut.

Judah odwrócił się do dzieci.

- Przyszło mi dokonać historycznego wyboru - powiedział. - Które z dzieci złożyć w ofierze potędze Słońca...

- W ofierze? - wzdrygnął się Aleksander. - O czym pan mówi?

- Po to właśnie się narodziłeś, chłopcze - odparł Judah. - To jest rola, którą masz odegrać tu na ziemi.

- Moją rolą jest rządzenie... - Aleksander rzucił niepewne spojrzenie na del Piera.

- Obawiam się, że zostałeś wprowadzony w błąd - powiedział Judah. - Znalazłeś się na świecie po to, żeby odczytać Słowo Tota, a potem umrzeć w imię korzyści, jakie miał odnieść ojciec del Piero i jego przyjaciele. Chociaż jestem pewny, że po śmierci czciłiby cię bardzo gorliwie. Nie wiem tylko, czy jest to dla ciebie jakimś pocieszeniem. Pewnie ojciec del Piero zapomniał ci o tym powiedzieć.

Oczy Aleksandra rozbłysły gniewem. Lily milczała z opuszczoną głową.

- Kogo mam wybrać? - zastanawiał się Judah.

- Ją - szybko rzucił Aleksander. - Ona nawet nie zdaje sobie sprawy ze swojego znaczenia. W przeciwieństwie do mnie.

Judah skrzywił się.

- Czyżby? Nie, chłopcze. Lubię ją, bo siedzi cicho. W przeciwieństwie do ciebie. Wybieram zatem... ciebie.

Mówiąc to, chwycił chłopca i wcisnął do zagłębienia pomiędzy kopułą a wierzchołkiem piramidy. Wymachując pistoletem, zmusił Aleksandra do wpełznięcia głębiej, wprost w objęcia Anubisa.

Chłopiec, szlochając, znalazł się teraz pomiędzy złotą kopułą i jej kryształami a tygłem wypełnionym ziemią przywiezioną ze Stanów Zjednoczonych.

O jedenastej pięćdziesiąt pięć Judah zajął pozycję. W rękę trzymał kartkę z rytuałem mocy przepisany słowo w słowo z siedmiu części kopuły.

- Przygotować się do ceremonii! Zostało pięć minut!

I wtedy jeden z obserwatorów na północnym dźwigu wypatrzył na niebie mały, czarny punkcik...

Wyglądało to na zbliżający się szybko i obniżający pułap samolot.

Boeing 747. Czarny boeing.

Halikarnas.

Halikarnas mknął z prawie naddźwiękową prędkością w dół. Wszystkie działka były wycelowane na wprost. Za sterami siedział Sky Monster i wydierał się:

- Hej! Dalej, jankeskie popaprańce! Puchatek, zaczynamy rock and rolla?!

Kubuś Puchatek odpowiedział ze swojego stanowiska w wieżycze na lewym skrzydle:

- Zróbmy małą rozpierduchę!

- Mam nadzieję, że silniki hamulcowe Mistrza zadziałają, bo inaczej będzie straszne nieszczęście... Cholera! Leca! - odpowiedział Sky Monster.

Amerykanie wystrzelili w kierunku nadlatującego samolotu dwa stingery.

Rakiety przemknęły nad piramidą i błyskawicznie zbliżały się do jumbo jeta, ale Kubuś Puchatek zdołał obie unieszkodliwić w locie - jedną za pomocą folii zakłóceń, a drugą zniszczył, posyłając w jej kierunku pocisk przechwytyjący Hummingbird, francuski wynalazek z lat dziewięćdziesiątych, w który była uzbrojona armia iracka, skonstruowany specjalnie do niszczenia stingerów. Kiedy West znalazł Halikarnasa, ten był wyposażony w dziesięć zupełnie nowych pocisków tego typu.

Teraz Amerykanie zaczęli strzelać z działek przeciwlotniczych.

W stronę samolotu pofrunęły pociski smugowe. Było ich tak dużo, że zasłoniły całe niebo, ale Sky Monster zrobił unik, przechylając Halikarnasa na skrzydło. W tej samej chwili Kubuś Puchatek odpalił pocisk powietrze - ziemia Hellfire.

Hellfire wyleciał spod kadłuba samolotu i spiralnym ruchem pofrunął w kierunku jednego z dźwigów, umieszczonych na szczycie piramidy.

Kosz na końcu ramienia dźwigu rozpadł się na miliony kawałków, a żołnierze, którzy się w nim znajdowali, po prostu wyparowali. Judah i wszyscy pozostali obrócili się gwałtownie na dźwięk eksplozji.

Z kosza drugiego dźwigu żołnierze nadal strzelali w kierunku samolotu i posyłali w niebo kolejne stingery, które Kubuś Puchatek za każdym razem skutecznie unieszkodliwiał.

W pewnym momencie Sky Monster krzyknął:

- Puchatek! Trzymaj się! Jesteśmy na miejscu! - I szepnął sam do siebie: - O Boże, Mistrzu, mam nadzieję, że dobrze zamontowałeś...

Samolot leciał w dół jak rakieta, która wymknęła się spod kontroli. Nagle Sky Monster zadarł dziób w górę, ściągając do siebie drążek sterowy, i gwałtownie zmniejszył ciąg, doprowadzając do przeciągnięcia. Samolot przypominał teraz rumaka z dziobem zadartym wysoko w górze i ogonem skierowanym ku ziemi...

Sky Monster wstrzymał oddech i wcisnął zestaw przycisków na konsoli podpisanych: system silników ciągu wstecznego.

To, co się teraz wydarzyło, zaskoczyło wszystkich znajdujących się na szczycie piramidy. Wszystkich prócz Mistrza.

Halikarnas opadał z zadartym dziobem i nagle powietrze rozerwał grzmot potężniejszy od tysiąca burz. Ten dźwięk pochodził z ośmiu silników ciągu wstecznego Harrier, które zostały wcześniej zamontowane w samolocie przez Mistrza.

Efekt był zdumiewający - olbrzymi czarny jumbo jet przestał opadać i z ogłuszającym hałasem zawisł w powietrzu dwieście metrów nad ziemią, tylko o kilkaset metrów od piramidy Cheopsa.

Sky Monster skierował samolot bliżej piramidy, tak że lewe przednie drzwi znalazły się na wysokości platformy zbudowanej na wierzchołku.

Ten widok zapierał dech w piersiach - masywny, czarny jumbo jet, najeżony lufami działek i podwieszonymi rakietami, wisiał w powietrzu tuż przy czubku piramidy Cheopsa w Gizie.

Z platformy wyglądało to tak, jakby jakiś potężny rozdrażniony bóg - ptak sfrunął z niebios, by wylądować swą złość.

Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, jedyny ocalały amerykański dźwig został skierowany w stronę samolotu. Już miał się posypać grad pocisków, ale Kubuś Puchatek w swojej wieżyczce na lewym skrzydle był szybszy. Otworzył ogień, dziurawiąc dźwig jak ser szwajcarski, a żołnierzy zamieniając w krwawą miazgę.

Judah oniemiał.

Spojrzał na słońce, potem na zegarek. Do dwunastej brakowało trzydziestu jeden sekund.

- Powstrzymajcie ich! - krzyczał do swoich ludzi. - Powstrzymajcie! Potrzebujemy tylko trzydziestu sekund!

Zaabsorbowany pojawieniem się Halikarnasa Judah nie zauważył drugiego, małego statku powietrznego, zbliżającego się do piramidy od strony Pustyni Zachodniej.

To był człowiek z doczepionymi do tułowia skrzydłami. Leciał nisko nad pustynią i dopiero w ostatniej chwili wzniósł się i wylądował na platformie przy kopule, po przeciwnej stronie niż Halikarnas.

To był Jack West.

Z powrotem wśród żywych i wściekły jak diabli.

West wylądował z rozpostartymi skrzydłami i pistoletami Desert Eagle w obu dłoniach. Kiedy tylko jego stopy spoczęły na platformie, zaczął strzelać, kładąc trupem od razu czterech żołnierzy CIEF.

Jednym palcem zwolnił blokadę, skrzydła wypięły się i opadły na platformę. Teraz już nic nie krępowało jego ruchów.

Ruszył biegiem.

W odpowiedzi na nieoczekiwaną wizytę Halikarnasa, z bazy u podnóża piramidy poderwały się cztery śmigłowce: trzy bojowe Apache i jeden potężny Super Stallion, którego Judah użył wcześniej do przetransportowania kopuły do Gizy.

Piąty helikopter - Black Hawk - poleciał za pierwszą czwórką, choć spóźnił się ze startem, tak jakby na pokładzie doszło do jakiejś przepychanki. W końcu jednak po kilku sekundach wystartował, wzniósł się w powietrze i skierował w stronę szczytu piramidy, gdzie toczono bitwę.

Tymczasem na platformie zapanował chaos.

Halikarnas przycumował do niej niczym pozaziemski statek kosmiczny, Kubuś Puchatek ze swojej obrotowej wieżyczki na skrzydle raził ogniem, amerykańscy żołnierze bądź padli martwi, bądź czym prędzej szukali schronienia za walizkami, w których przywieziono części kopuły, a nawet za samą kopułą. Pozostali umykali na niższe poziomy platformy.

W całym tym zamieszaniu Mistrz rzucił się w kierunku Lily, by ją osłonić.

Del Piero podbiegł do kopuły, rzucił się na ziemię i sięgnął do zagłębienia po Aleksandra.

- Nie tak szybko, ojcze! - usłyszał głos za plecami. Obrócił się...

...i zobaczył tuż przed swoimi oczami wylot lufy glocka, trzymanego przez Marshalla Judaha.

Pistolet wystrzelił i strzępy mózgu księdza zbryzgały boczną ścianę kopuły.

Otoczony grupą żołnierzy CIEF Judah stał przed kopułą i zerkał to na zegarek, to w niebo.

Wreszcie wskazówki doszły do godziny dwunastej. Zaczęło się.

Przypominało to promień lasera wysłany wprost z nieba.

Promień jaskrawobiałego światła biorący swój początek z powierzchni Słońca, przeciął niebo i trafił prosto w kopułę osadzoną na szczycie piramidy.

Kopuła za pośrednictwem znajdującego się na jej wierzchołku kryształu pochłonęła ten olbrzymi strumień energii, zatrzymując go w swoim wnętrzu. Sprawiało to wrażenie, jakby kopułę ze Słońcem połączyła prosta, jaskrawa nić czystej energii.

Widok zapierał dech w piersiach. Piramida z nadbudowaną na szczycie platformą, przy której zacumował olbrzymi boeing, latające dookoła śmigłowce i strumień energii płynącej prosto z nieba.

To wszystko było niewiarygodne, nieprawdopodobne, nie z tej ziemi.

Ale działało się naprawdę. Tak jakby tajemnicza i uśpiona na wiele stuleci piramida wreszcie doczekała się chwili, dla której została zbudowana.

Platforma cała się jarzyła. Tu, w samym epicentrum potężnego promienia słonecznego, ten blask był oślepiający. I jeszcze dźwięk - ogłuszający hałas wywołany przez strumień energii i towarzyszący mu ryk silników Halikarnasa.

W samym środku całego tego zgiełku przed złotą kopułą stał Marshall Judah. Wyciągnął w jej stronę rękę i w starożytnym, martwym od tysiącleci języku, zaczął recytować zaklęcie.

Rytuał mocy.



Rytuał mocy miał siedem wersów.

Judah rozpoczął recytację, a w tym czasie działo się wiele interesujących rzeczy.

Kubuś Puchatek toczył walkę z załogami czterech amerykańskich śmigłowców. Stracił już celnym strzałem jednego apache'a, a teraz wystrzelił pocisk Hellfire w kierunku super stalliona. Pocisk roztrzaskał przednią szybę śmigłowca w chwili, gdy ten znajdował się tuż przy platformie.

Śmigłowiec eksplodował, zamieniając się w kulę ognia, a spadając, ściał obracającymi się wciąż łopatami niższe kondygnacje platformy. Leżał teraz pod kątem pięćdziesięciu dwóch stopni, gdyż taki jest kąt nachylenia boku piramidy, w miejscu gdzie podpory platformy wspierają się o piramidę. Kadłub, roztrzaskany i pognieciony, płonął, ale łopaty wciąż jeszcze się obracały.

Judah wyrecytował już dwa wersy...

Kubuś Puchatek obrócił się wraz z całą wieżyczką i wycelował teraz w amerykańskiego black hawk'a. Nim zdążył wystrzelić rakietę, ze zdumieniem stwierdził, że załoga black hawk'a właśnie zaczęła strzelać do swojego apache'a.

I wtedy przez szybę zobaczył załogę tego śmigłowca - to była Zoe i Kędzierzawy. W trakcie wcześniejszego zamieszania udało im się uciec strażnikom, skraćć helikopter i włączyć do walki.

Nagle jeden z żołnierzy wskoczył na skrzydło Halikarnasa, próbując podejść Puchatka zamkniętego w wieżyczce strzelniczej.

Kubuś Puchatek nie zdążył na czas obrócić wieżyczki. Żołnierz był już tuż przy wieżyczce i podniósł do oczu karabin...

Bum!

Żołnierz upadł trafiony w potylicę jednym celnym pociskiem, wystrzelonym z karabinu snajperskiego przez...

...Długiego, siedzącego na pokładzie black hawk'a.

Puchatek zobaczył Długiego żywego i w dobrym towarzystwie i przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

Judah wyrecytował już cztery wersy...

West.

West walczył właśnie z ośmioma ludźmi osłaniającymi Judah'a: sześcioma żołnierzami CIEF, Königiem i Kallisem.

Ruszył biegiem naprzód z zaciętą miną, skupionym spojrzeniem, pistoletami w wyciągniętych rękach.

Ponownie pojawił się stary doświadczony żołnierz, Jack West. Żołnierz, którego w pewien sposób ukształtował Marshall Judah. Jack był teraz bezlitosny. Zastrzelił czterech żołnierzy, trafiając ich prosto między oczy. Jeden strzał, jeden trup. Kolejnego zaszedł od tyłu i skręcił mu kark, a potem użył do osłony przed strzałami Kallisa. W międzyczasie z M - 4, należącego do martwego żołnierza, zastrzelił kolejnych dwóch. Nieoczekiwanie doskoczył do Westa z boku stary, przebiegły hitlerowiec König, trzymający nóż w ręku. Dwa ciosy prosto w nos sprawiły, że spadł z platformy.

Judah kończył szósty wers...

- Powstrzymaj go! - krzyknął Judah do Kallisa, nim zaczął recytować ostatni wers.

W blasku słońca, wśród wycia wiatru West stał teraz twarzą w twarz z Kallisem, za którego plecami krył się Judah.

Z tego starcia tylko jeden z nich mógł wyjść zwycięsko.

Była jednak jeszcze jedna osoba zaangażowana w całe to zdarzenie. Dzięki trwającemu zamieszaniu, niezauważony przez nikogo, otworzył drzwi nad lewym skrzydłem Halikarnasa i wyszedł skulony, trzymając w ręku jakiś niewielki przedmiot.

Ze skrzydła zeskoczył na drewnianą platformę i ruszył, wciąż przez nikogo niezauważony, w kierunku Mistrza i Lily.

West i Kallis stali naprzeciwko siebie. Dokładnie w tej samej chwili unieśli broń i wystrzelili, niczym rewolwerowcy z Dzikiego Zachodu. Obaj mieli puste magazynki.

- Psiakrew! - krzyknął Kallis.

- Nie... - jęknął West.

Wiedział, że teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Spojrzenia Westa i Judaha spotkały się na krótką chwilę.

West się spóźnił - o kilka sekund.

Z wyrazem szaleństwa na twarzy, w świetle Tartaru, w dzień jego pojawienia się, Marshall Judah wypowiadał ostatnie słowa rytuału mocy, wbijając triumfalnie wzrok w niebiosy.

Nic się nie wydarzyło.

Prawdę mówiąc, West nie miał pojęcia, co miałyby się wydarzyć. Czy niebo powinno pociemnieć? Czy może powinna się zatrząść ziemia? Czy Judah powinien zamienić się w przerażającego, wszechpotężnego smoka? A może pistolet Westa winien się rozsypać w pył?

Cokolwiek miałyby się wydarzyć, co dałoby świadectwo, że Stany Zjednoczone Ameryki posiadały na cały tysiąc lat niekwestionowaną władzę nad resztą świata, nie wydarzyło się w dostrzegalny sposób.

Wreszcie West zobaczył, że rzeczywiście nic się nie stało.

Z drugiej strony platformy, przechodząc na czworakach nad ciałami zabitych amerykańskich żołnierzy, którzy mieli pilnować zagłębienia pomiędzy kopułą a platformą, oddalał się mały chłopiec - Aleksander.

W chwili gdy Judah wypowiadał magiczne słowa rytuału mocy, chłopca nie było w miejscu, gdzie powinien się znajdować, w miejscu przeznaczonym dla ofiary.

To dlatego właśnie rytuał się nie powiódł.

Judah także spostrzegł chłopca.

- Nie! Nie! - krzyknął.

Aleksander podpełzł do brzegu platformy, zobaczył martwe ciało del Piera, wychylił się i zsunął na niższy pokład.

West obserwował znikającego na dolnym pokładzie platformy Aleksandra, ale dostrzegł błysk noża, trzymanego przez Kallisa.

Jack schylił się. Nóż przeszył powietrze nad jego głową. Poderwał się szybko, wytrącił Kallisowi nóż z ręki i wyprowadził najsilniejszy w swoim życiu cios lewą ręką - trafiając napastnika protezą prosto w twarz.

Na Kallisie nie zrobiło to większego wrażenia. Uśmiechnął się do Westa, wyszczerzając zakrwawione zęby, i zadał trzy potężne ciosy jeden po drugim. Każde uderzenie sprawiało, że West tracił równowagę i cofał się.

- Czujesz to?! Czujesz?! - wrzeszczał Kallis. - Czekałem na to cały pieprzony tydzień. Musiałem cię pozostawić żywego, byś mógł nas doprowadzić do kolejnych miejsc. Ale teraz koniec. Moi chłopcy dopadli twojego hiszpańskiego kumpla w Sudanie! Ale tego głupawego Irlandczyka w Kenii załatwiłem osobiście! Jeszcze żył, kiedy odlecieliście. Wiesz, taka kupa bełkoczącego zakrwawionego mięsa. Wpakowałem mu kulkę w skroń, by mu skrócić męki.

Czwarty cios. Po chwili piąty. Z nosa Jacka trysnęła krew. Stał już na skraju platformy, obejrzał się za siebie i zachwiał. Dokładnie dziesięć metrów niżej leżał rozbity wrak śmigłowca Super Stallion. Jego łopaty jak piła tarczowa wciąż jeszcze się obracały. Kallis też to zauważył.

- Dobicie tego młodego Irlandczyka sprawiło mi niekłamaną radość, ale najważniejsze jest to, że teraz będę mógł zabić ciebie. Do zobaczenia w piekle, West!

Pięść Kallisa pomknęła w stronę twarzy Westa, który desperacko rzucił się naprzód, wyciągając przed siebie lewą rękę. Od celności tego ciosu zależało jego życie. Pięść Westa dosięgła Kallisa o nanosekundy wcześniej.

Kallis zamarł w bezruchu.

Sztuczna, metalowa pięść Westa wbiła się głęboko w jego twarz, miażdżąc mu nos i łamiąc kości. Obficie połała się krew.

Mimo to Kallis był wciąż przytomny, wybałuszzył tylko oczy, cały drżał, a kończyny przestały reagować na polecenia wydawane przez mózg.

Pewne było, że długo nie pożyje.

- To za Wielkouchego - powiedział West, szarpnął Kallisa i zrzucił go z platformy.

Kallis, spadając dziesięć metrów w dół, w ostatnim przebłysku świadomości z przerażeniem ujrzał obracające się łopaty super stalliona...

Chciał krzyknąć, ale nie zdążył. W ułamku sekundy Cał Kallis został poszatkowany na krwawe ochłapy.

Na drugim końcu platformy Mistrz z przerażeniem obserwował walkę Westa z Kallisem. Chciał pomóc, ale nie mógł zostawić Lily samej.

Dopiero kiedy zobaczył, jaki morderczy cios zadał jego przyjaciel Kallisowi, kiedy zobaczył rozbrzgującą się krew sierżanta, pomyślał, że mają jeszcze szansę...

Mistrz został podstępnie zaatakowany z tyłu... przez postać, która wcześniej wysiadła z Halikarnasa.

Upadł i pociemniało mu przed oczami.

Nim stracił na dobre przytomność, usłyszał jeszcze krzyk Lily:

- Nie! Zostaw Aleksandra! Weź mnie!

Z twarzą oblepioną krwią i kurzem West podniósł się znad brzegu platformy i odwrócił w kierunku kopuły.

Przed sobą ujrzał wylot lufy glocka, trzymanego przez Marshalla Judaha. Zamarł.

- Możesz być z siebie dumny, Jack! - zawołał Judah. - To twoja robota! Ty nas doprowadziłeś do tego punktu. Ale i tak cały czas pracowałeś dla mnie! Jeśli coś pomyślałeś, ja pomyślałem o tym pierwszy. Jeśli coś zrobiłeś, ja zrobiłem to wcześniej. Jeśli coś masz, ja mam to już od dawna. Teraz nawet twoją dziewczynkę, której mogę użyć do odprawienia rytuału. Niestety nie dożyjesz chwili, kiedy wypełni się jej przeznaczenie! Żegnaj, Jack!

Judah zamierzał nacisnąć spust...

- Nieprawda! - West przekrzyczał hałas. - Mam coś, czego ty nie masz. Coś, co kiedyś należało do ciebie!

- Co?

- Horsa!

W tej chwili niewyraźny brązowy kształt runął z powietrza wprost na Judaha. Judah krzyknął, a jego twarz zalała się krwią. Mimowolnie podniósł ręce do oczu.

Horus odleciał, trzymając w ostrych pazurach coś białego, okrągłego, ciągnącego za sobą postrzępiony krwawy ochłap.

To było lewe oko Judaha, lewe oko ze strzępem nerwu wzrokowego.

- Moje oko! Moje oko! - zawył Judah, padając na kolana.

Drugim, zdrowym okiem spostrzegł, co dzieje się przy kopule, i krzyknął jeszcze donośniej:

- O Boże, nie!

West obejrzał się i zobaczył, jak koszmar zamienia się w rzeczywistość.

Mustafa Zajid, ogłuszywszy Mistrza, zmusił Lily do zajęcia miejsca w zagłębieniu przeznaczonym dla ofiary, z tygła wysypał ziemię Judaha i zamienił ją na piasek ze swojego zdobionego pudełka, a teraz czytał z kartki Judaha magiczny tekst rytuału mocy.

To właśnie Zajid wyślizgnął się przed chwilą z samolotu, w którym ukrył się jeszcze w Iranie po wydostaniu się z jaskini wiszących ogrodów.

To on śledził Westa i Kubusia Puchatka, kiedy szli na umówione ze Sky Monsterem spotkanie w dolinie. Udało mu się niepostrzeżenie dostać do samolotu przez otwór wysuniętego podwozia. Jak słusznie podejrzewał, West zdecyduje się na jeszcze jedną, ostatnią konfrontację z Amerykanami i przyleci do Gizy. Kiedy już był na pokładzie, zakradł się do swojej starej skrzyni i wyjął z niej cenne pudełko, wypełnione piaskiem, który tak długo trzymał w ukryciu w swojej kryjówce w Arabii Saudyjskiej, piaskiem, który występował tylko tutaj, na Półwyspie Arabskim, piaskiem, który zapewniłby światu muzułmańskiemu tysiącletnią, niezachwianą władzę.

A teraz tutaj, na platformie, uderzeniem w tył głowy ogłuszył Mistrza. Spostrzegł Aleksandra uciekającego na niższą kondygnację platformy. Zamierzał go złapać, lecz wtedy nieoczekiwanie odezwała się Lily:

- Nie! Zostaw Aleksandra! Weź mnie!

Teraz pozostawało mu przeczytać siedem wersów.

Zajęło mu to piętnaście sekund.

Na szczycie piramidy Cheopsa w Gizie, w oślepiającym blasku strumienia słonecznego światła, płynącego wprost z Tartaru, w dźwięku wyjącego wiatru, w potwornym upale, ku przerażeniu wszystkich, którzy stali się mimowolnymi i zupełnie bezradnymi świadkami tego zdarzenia - Mustafa Zajid szatańskim głosem odczytywał ostatnie słowa rytuału mocy.

Tym razem West nie miał wątpliwości, że rytuał został dopełniony.

Wyglądało to na koniec świata.

Rozbłyśki światła.

Grzmoty.

Ziemia się zatrzęsała.

To, co wydarzyło się później, przyćmiło najwspanialsze pokazy fajerwerków.

Oślepiająco biały strumień światła płynący z Tartaru zaczął pulsować, podwajając swą intensywność.

Nieziemsko głośny trzask pioruna sprawił, że Westowi zaczęło dzwonić w uszach. Gorąca biała kula energii spadła jak grom z nieba, sunęła wzdłuż promienia światła ku kopule, aż ta, przez swoje kryształy, wchłonęła ją.

Wewnątrz ta czysta energia, przechodząc przez kolejne siedem warstw kryształów, dzieliła się na mniejsze, coraz intensywniejsze strugi jaskrawego światła.

Aż w końcu taki wąski strumień światła trafił prosto w serce Lily.

Dziewczynka skuliła się. Promień światła przeszył jej pierś i natrafił na piasek w tyglu.

W oślepiającym rozbłyśku piasek zamienił się w jednej chwili w popiół.

Z zewnątrz widać było, jak kopuła rozjarza się oślepiającym blaskiem, gdy zbliżała się do niej gorejąca kula energii, lecz gdy tylko zniknęła w jej wnętrzu, wszystko ucichło, stało się zwyczajne. Słychać już było tylko pracę silników Halikarnasa i ciche, głębokie brzęczenie dochodzące z wnętrza kopuły.

West mógł tylko stać, patrzeć i zastanawiać się, co dzieje się z Lily tam w środku. Czy przeżyła? Czy może rację miał Zajid, gdy mówił, że umrze podczas ceremonii?

Zajid stał obok kopuły z triumfalnie wzniesionymi ramionami i twarzą skierowaną ku niebu.

- Tysiąc lat! Tysiąc lat panowania islamu!

Obrócił się do Westa. Oczy mu płonęły, ramiona rozrzucił szeroko na boki.

- Rytuał został dokonany, niewierny! A to oznacza, że mój lud jest niepokonany! A ty pierwszy odczujesz moc mojego gniewu!

- Czyżby? - powiedział West, zmieniając magazynek w swoim pistolecie i celując w Zajida.

- Strzelaj! - zachęcił go Zajid. - Pociski się mnie nie imają!

- Spróbujmy - odparł West i pociągnął za spust.

Kula trafiła Zajida w klatkę piersiową i odrzuciła go w tył. Trysnęła krew, terrorysta padł na kolana; na jego twarzy malowało się zdziwienie. Był wstrząśnięty.

Spojrzał na ranę na swej piersi, potem przeniósł wzrok na Westa.

- Jak to...?

- Wiedziałem, że lecisz z nami samolotem - powiedział West. - Wiedziałem, że będziesz próbował skryć się gdzieś pod pokładem. Jak inaczej zdołałbyś tu dotrzeć? Poświęciłeś kopule całe swoje życie, nie mógłbyś się teraz biernie przyglądać. Postanowiłem ci trochę pomóc.

- A piasek?

- Kiedy się schowałeś w luku samolotu, pozwoliłem sobie zamienić zawartość twojego pudełka - odparł West. - To nie był piasek z Półwyspu Arabskiego. Do tygła wsypałeś ziemię z mojej ojczyzny. Dokonałeś rytuału mocy dla mojego ludu, nie swojego. Dziękuję.

Zajid był wstrząśnięty. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Twoja ziemia? Ale to znaczy, że...

Nie dokończył zdania, gdyż w tej chwili życie go opuściło. Mustafa Zajid padł martwy na drewnianą platformę.

- West! - rozległ się nagle przejmujący krzyk.

West obrócił się i zobaczył Marshalla Juda - ha, który rzucił się gwałtownie w jego kierunku, zboczony krwią, z pustym oczodołem i karabinem szturmowym M - 4, zabranym jednemu z martwych żołnierzy.

Stanęli naprzeciw siebie.

Judah nie mógł spuszczać.

Nacisnął spust.

Karabin dosłownie eksplodował w jego dłoniach. Musiał się zaciąć. Lufę rozerwało na setki kawałków.

Judah wzdrygnął się zaskoczony, potem spojrzał z przerażeniem na Westa i powiedział:

- O, mój Boże. Ty... Ty masz... moc...

West zrobił krok w kierunku Judaha.

- Judah, mogę ci wybaczyć, że wszczepiłeś mi chip. Mogę ci wybaczyć, że biłeś Horusa. Ale jest jedna rzecz, której wybaczyć ci nie mogę: tego, że zabiłeś Doris Epper. Za to musisz zapłacić.

Mówiąc to, Jack sięgnął po linę ubezpieczającą, do której był przypięty Judah, i odpiął ją.

Judah cofnął się parę kroków, zbliżając się do krawędzi platformy, gdzie znajdowało się skrzydło Halikarnasa. Uniósł rękę.

- Posłuchaj, Jack. Obaj jesteśmy żołnierzami, a żołnierz czasem musi...

- To była egzekucja. Teraz mam zamiar dokonać twojej egzekucji - powiedział West i rzucił trzymany w ręku koniec liny daleko za Judaha... prosto w pracujący na wolnych obrotach silnik samolotu.

Judah widział, jak lina przelatuje nad jego głową i wpada do ziejącej paszczy silnika. Zobaczył przyszłość. Zdał sobie sprawę z tego, co nastąpi za chwilę, i w jego jedynym zdrowym oku pojawił się strach.

Chciał krzyknąć, ale głos uwiązł mu w gardle, gdy potężna turbina wessała koniec liny i zaczęła ją wciągać.

Gwałtowne szarpnięcie zważyło go z nóg, lina pociągnęła za sobą. Wpadł do komory silnika, w której został poszatkowany przez obracające się łopaty wirnika.

Nagle na szczycie piramidy zapanowała cisza.

Na widok przerażających rozbłysków i śmierci swoich kolegów na platformie reszta sił amerykańskich stacjonująca u podstawy piramidy wycofała się, pozostawiając Westa i Mistrza samych.

Po chwili na platformie wylądował black hawk z Zoe, Kędzierzawym i Długim. Z Halikarnasa wysiadł z kolei Kubuś Puchatek.

Tymczasem West czołgał się w zagłębieniu prowadzącym wprost w ramiona Anubisa. Musiał sprawdzić, co stało się z Lily.



West czołgał się wąskim tunelem wykutym pod złotą kopułą.

Kiedy dotarł do Lily, znalazł ją leżącą bez ruchu wewnątrz niewielkiej groty. Oczy miała zamknięte. Leżała tak spokojnie... Nie oddychała.

- Och, Lily... - szepnął zrozpaczony i uniósł się na łokciach.

Pochylił się nad nią. Szukał w jej twarzy jakiejś oznaki życia.

Nic. Nie poruszyła się.

Był zupełnie przybity, opuściły go siły, zamknął oczy.

- Och, Lily. Przepraszam... Przepraszam... Schylił głowę, z oczu popłynęły mu łzy.

- Kochałem cię, szkrabie.

Teraz w grocie rozświetlonej przez kopułę złotą poświatą pochylał się nad ciałem wesołej, małej dziewczynki, której strzegł, którą wychowywał przez ostatnie dziesięć lat, i gorzko płakał.

- Ja też cię kocham, tato... - wyszeptał słaby głosik.

West gwałtownie uniósł głowę i otworzył szeroko oczy.

Lily patrzyła na niego. Oczy miała zasnute mgłą, wzrok nieobecny. Ale żyła i uśmiechała się do niego.

- Żyjesz... - szepnął zdumiony West. - Ty żyjesz! Uniósł ją w ramionach i czule przytulił.

- Ale jak...? - zapytał.

- Później ci opowiem - odparła. - Wyjdźmy stąd, proszę.

- No pewnie - szepnął. - No pewnie.

Wkrótce Halikarnas, dzięki zamontowanym przez Mistrza silnikom, wznosił się pionowo w górę.

Kiedy osiągnął odpowiednią wysokość, obrócił się dziobem w dół i zaczął swobodnie opadać. Dłuższą chwilę pędził w kierunku ziemi, a kiedy osiągnął prędkość umożliwiającą lot, pilot uruchomił właściwe silniki. Samolot w ostatniej chwili wzbił się w niebo i błyskawicznie oddalił od piramid.

W tyle pozostała piramida Cheopsa z na wpół zniszczoną platformą i spoczywającymi nieco niżej płonącymi szczątkami śmigłowców i dźwigów. Zadanie posprzątania tego bałaganu spoczywało teraz na egipskim rządzie, który tak ochoczo wspierał działania Amerykanów.

Najistotniejsze było jednak zapewne to, że piramida znowu stała się o trzy metry niższa. West ze swoimi ludźmi zabrali złotą kopułę.

W kabinie Halikarnasa wszyscy zgromadzili się wokół Lily, tuląc ją, całując, poklepując przyjaźnie. Kubuś Puchatek uściskał ją.

- Dobra robota, młoda! Dobra robota!

- Dziękuję, że wróciłeś po mnie, Puchatku - odpowiedziała.

- Nigdy bym cię nie opuścił.

- Ani ja - rzekł Długi, robiąc krok naprzód.

- Dziękuję, Długi. Dziękuję, że uratowałeś mi życie w wiszących ogrodach. Że zostałeś ze mną, choć mogłeś sobie pójść.

Długi bez słowa skinął głową. To był gest przeznaczony dla Lily, dla wszystkich pozostałych, ale przede wszystkim dla Kubusia Puchatka.

- Nie zdarza się to często - powiedział - ale bywają chwile w życiu człowieka, kiedy trzeba dokonać wyboru. Zdecydować, o co się walczy. Ja takiego wyboru już dokonałem, Lily. Postanowiłem walczyć u twojego boku. To nie był łatwy wybór, ale nie mam wątpliwości, że właściwy.

- Na pewno był właściwy - powiedział Kubuś Puchatek, kładąc dłoń na ramieniu Długiego. - Jesteś dobrym człowiekiem, Izraelczyku... to jest, chciałem powiedzieć... Długi. Będę zaszczycony, jeśli pozwolisz, bym nazywał cię swoim przyjacielem.

- Dziękuję - odparł Długi z uśmiechem. - Dziękuję ci, przyjacielu.

Kiedy skończyło się wzajemne poklepywanie po ramionach, West zapragnął się wreszcie dowiedzieć, w jaki sposób Lily udało się przeżyć.

- Poszłam tam z własnej woli - powiedziała zwyczajnie Lily.

- Nie rozumiem.

Dumna z siebie Lily wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Na ścianie komory wulkanu, tam gdzie się urodziłam, znajdowała się inskrypcja. Sam ją zresztą czytałeś.

Ochoczo wpadnij w objęcia Anubisa, a żyć będziesz

Mimo nadejścia Re,

Wejdziesz wbrew swej woli, twoi pobratymcy władać będą tysiąc lat,

Lecz ty zginiesz.

Nie wchodź w ogóle, świat także zginie.

- Podobnie jak Egipcjanie sądziliśmy, że jest to tylko odniesienie do boga Horusa, który w zamian za zaakceptowanie śmierci zostaje nagrodzony swojego rodzaju życiem pozagrobowym. Ale to był błąd. Ta inskrypcja odnosiła się do mnie i Aleksandra – do dzieci wyroczni. Nie chodziło o obojętne zaakceptowanie śmierci. Chodziło o obojętne wejście do groty Anubisa.

Wchodząc tam z własnej, nieprzymuszonej woli, ratowałam własne życie. Gdybym weszła tam pod przymusem, umarłabym. Ale gdybym w ogóle nie weszła i rytuał nie zostałby dopełniony, wszyscy byście zginęli. A ja... A ja nie chciałam tracić rodziny.

- Nawet jeżeli to oznaczało danie absolutnej władzy Zajidowi? - zapytał Kubuś Puchatek z niedowierzaniem.

Lily obróciła się w jego stronę z błyszczącymi oczami.

- Zajid nigdy nie zostałby władcą - oświadczyła. - Kiedy mnie złapał, zobaczyłam ziemię w tym jego pudełku. - Zwróciła się teraz do Westa. - To była taka sama ziemia, jaką już wielokrotnie wcześniej widziałam. Od dawna mnie to nurtowało. Znajdowała się w szklanym dzbanku na półce w gabinecie taty. Kiedy zobaczyłam ją w pudełku Zajida, poznałam od razu i zrozumiałam, że to nie Zajid zdobędzie władzę.

- Czy del Piero też o tym wiedział? - zapytał Kubuś Puchatek. - Czy to dlatego traktował Aleksandra jak małego imperatora, gotowego do rządzenia? Czy del Piero chciał, żeby Aleksander wszedł do groty z własnej woli?

- Sądzę, że tak - wtrącił West. - Ale tu było coś jeszcze. Del Piero był kapłanem i myślał jak kapłan. Chciał, żeby Aleksander przeżył, ale nie po to, by władał światem. Chciał mieć w nim nowego zbawiciela, symbol dla swojej nowej religii. Chciał mieć nowego Chrystusa.

Przez cały ten czas Mistrz siedział samotnie w kącie, ze zwieszoną głową. Zoe przysiadła się i wzięła go za rękę. Ona też była wstrząśnięta po śmierci brata - Wielkouchego. Podeszła Lily, położyła im ręce na ramionach.

- Tak mi przykro z powodu Doris, Mistrzu - powiedziała z niezwykłą w jej wieku powagą. - I z powodu Wielkouchego też, Zoe.

Po policzkach Mistrza popłynęły łzy. Oczy miał zaczerwienione. Dopiero na platformie dowiedział się, że Doris zginęła z ręki Judaha.

- Umarła, żeby nas ratować - rzekła Lily. - Dała nam znak, że mamy uciekać. Oddała za nas życie.

- Była moją żoną przez czterdzieści pięć lat - odparł Mistrz. - Najwspanialsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem. Była całym moim życiem, moją jedyną rodziną.

- Tak mi przykro - szepnęła Lily.

Wzięła go za rękę i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Jeśli zechcesz, ja będę twoją rodziną.

Mistrz spojrzał na nią mokrymi od łez oczami... i pokiwał głową.

- Tak, Lily. Bardzo chcę.

Kilka godzin później Mistrz zastał Westa siedzącego samotnie w swoim gabinecie w ogonie Halikarnasa.

- Mam do ciebie pytanie, Jack. Co teraz będzie? Mieliśmy odprawić rytuał pokoju, a tymczasem odbył się rytuał mocy. Twój kraj jest teraz krajem wybranym. Czy Australijczycy są gotowi do przyjęcia takiej odpowiedzialności?

- Max. Wiesz, skąd pochodzę. Wiesz, jacy jesteśmy. Nie jesteśmy ani agresorami, ani nie podlegamy do wojny. Poza tym mój naród nie wie, jaką dysponuje mocą. I dobrze.

Mistrz pokiwał z wolną głową.

- Jeśli ty im nie powiesz, ja na pewno tego nie zrobię - powiedział West.

- Umowa stoi - odparł Mistrz. - Dziękuję, Jack. Jeszcze raz ci dziękuję.

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się do siebie.

Halikarnas mknął w przestworzach w stronę Kenii, do domu.

FARMA O'SHEA  
HRABSTWO KERRY, IRLANDIA  
9 KWIETNIA 2006, GODZ. 16.30

Po raz drugi w ciągu ostatnich dziesięciu lat samotna stara farma na szczycie wzgórza, z którego rozciągał się widok na Atlantyckie, stała się miejscem ważnego międzynarodowego spotkania. Pojawiły się zupełnie nowe twarze, ale skład narodowy pozostał bez zmian - te same dziewięć państw. Doszło tylko jedno państwo - Izrael.

- Spóźniają się - warknął delegat arabski, szejk Anzar al - Abbas. - Znowu.  
- Zaraz tu będą - powiedział delegat Kanady tak jak przed dziesięcioma laty.

Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi i chwilę później do pokoju wszedł Max T. Epper.

Tym razem nie było z nim Jacka Westa. Za to towarzyszyła mu dziewczynka. Lily.

- Gdzie kapitan West? - dopytywał Abbas.

Mistrz skłonił z szacunkiem głowę.

- Kapitan West prosi o wybaczenie. Ponieważ jego misja zakończyła się sukcesem, pozwolił sobie uznać, że nie będziecie mieli państwo nic przeciwko temu, jeśli nie weźmie udziału w tej naradzie. Przekazał mi tylko, że ma do załatwienia kilka ważnych spraw. Korzystając z okazji, pragnę przedstawić państwu młodą damę, wobec której mamy głęboki dług wdzięczności. Panie i panowie, poznajcie, proszę, Lily.

Następnie Mistrz zaczął zdawać delegacjom koalicji relację z wypadków, które zaszły w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Oczywiście, o niektórych aspektach sukcesu ich misji nie musiał wspominać, były powszechnie znane: jak choćby to, że na ziemi nie doszło do kataklizmu wywołanego energią słoneczną oraz że Ameryka nie stała się niezwykła, na co wskazywały nieustające problemy z zaprowadzeniem porządku na Bliskim Wschodzie. Wspominał w kilku słowach o dziwacznej bitwie, jaka rozegrała się na szczycie piramidy, choć na szczęście zniszczenia samej piramidy były niewielkie, a rząd egipski wręcz zaprzeczył, jakoby cokolwiek się wydarzyło. Wpływ na to miała zapewne amerykańska pomoc finansowa.

Mistrz opowiadał uczestnikom spotkania o dorastaniu Lily w Kenii, o poszukiwaniach siedmiu części złotej kopyły, o dołączeniu do oddziału Mustafy Zajida, o stratach, jakie ponieśli - o śmierci Noddy'ego, Wielkouchego i swojej żony Doris, i w końcu, o ostatecznej konfrontacji z Amerykanami i Mustafą Zajidem na platformie w Gizie.

W tej ostatniej relacji Mistrz musiał nieco się rozminąć z prawdą.

Ponieważ świat nie przestał istnieć - Słońce nie zamieniło go w płonącą kulę, a żadne z państw nie pretendowało do roli niepokonanego

supermocarstwa, Mistrz wyjaśnił, że w końcu na wierzchołku piramidy Cheopsa odprawiono rytuał pokoju, a nie mocy.

Poinformował nawet zebranych o losie chłopca, Aleksandra. Po bitwie odnaleziono go i umieszczono pod opieką zaufanych przyjaciół Mistrza, którzy pomogą mu wrócić do normalnego życia... oraz będą obserwować proces jego dorastania i losy jego przyszłego potomstwa.

- I tak oto, panie i panowie, nasza misja dobiegła końca - podsumował Mistrz. - Ten temat nie powróci przez najbliższe cztery i pół tysiąca lat. Na szczęście wtedy ktoś inny będzie się zajmował problemem złotej kopuły.

Delegaci wstali i zaczęli bić brawo. A potem podekscytowani gratulowali sobie nawzajem i dzwonili do swoich ojczyzn, by podzielić się dobrymi wiadomościami.

Tylko jedna osoba siedziała nieporuszona przy stole - szejk Abbas.

- Mistrzu! - próbował przekrzyczeć harmider. - Zapomniałeś wspomnieć o jednej rzeczy. Gdzie jest złota kopuła?

W sali zapadła cisza.

Mistrz zmierzył wzrokiem Abbasa.

- To jest właśnie jedna z przyczyn dzisiejszej nieobecności kapitana Westa.

- Gdzie zamierza ją ukryć?

Mistrz przekrzywił głowę.

- Wierz mi, Anzar, im mniej ludzi będzie знаło miejsce przechowywania kopuły, tym lepiej. Do tej pory nam ufałeś, zaufaj, proszę, jeszcze ten jeden raz. Chciałbym powiedzieć wam o jeszcze jednej sprawie. Kapitan West przeszedł do rezerwy. Zamierza zaszyć się w takim miejscu, gdzie nikt go nie znajdzie. Jeśli go znajdziecie, znajdziecie także kopułę. Ale współczuję temu, kto podejmie się takiego zadania.

Wyglądało na to, że odpowiedź Mistrza zadowoliła Abbasa.

Odgłosy uroczystości dochodzące z farmy dało się słyszeć jeszcze długo w nocy.

Następnego ranka Mistrz i Lily wyjechali z Irlandii. Kiedy na lotnisku w Cork wsiadali na pokład prywatnego samolotu, Lily zapytała:

- Mistrzu, dokąd pojechał tata?

- Już ci mówiłem: zakończyć kilka spraw.

- A co potem? Jak już skończy, dokąd pojedzie?

Mistrz spojrzał na nią z ukosa.

- Naprawdę nie wiem, Lily. Tylko ty to wiesz. Dla naszego wspólnego bezpieczeństwa Jack nie powiedział nikomu, gdzie ma zamiar osiąść na stałe. Ale wspomniał mi, że zadał ci kiedyś zagadkę, która, jeśli ją rozwiązesz, doprowadzi cię wprost do jego nowego domu. Tak więc wszystko w twoich rękach, skarbie. Jeśli chcesz go odszukać, musisz rozwiązać zagadkę.

WIELKA PUSTYNNIA PIASZCZYSTA  
PÓŁNOCNO - ZACHODNIA AUSTRALIA  
25 KWIEŚNIA 2006, GODZ. 11.30

Toyota z napędem na cztery koła mknęła pustą autostradą przecinającą pustynię.

Lily z miejsca dla pasażera przyglądała się najbardziej niegościnnym krajobrazom, jakie w życiu widziała. Za kierownicą siedział Mistrz, na tylnym siedzeniu Zoe. Lily pokręciła głową. Stwierdziła, że nie ma chyba na ziemi miejsca bardziej odległego od cywilizacji niż ta okolica.

Z każdej strony otaczały ich poszarpane, skaliste wzgórza. Nigdzie ani kropli wody. Wiatr nawiewał piasek na drogę. Wydawało się, że za chwilę autostrada zniknie.

To był wyjątkowy rodzaj piasku, pomarańczowoczerwony, zupełnie taki jak ten, który West trzymał w swoim szklanym dzbanie.

Od kilku godzin nie minął ich żaden samochód. Tak naprawdę ostatnim żywym stworzeniem, jakie widzieli, był wielki krokodyl wygrzewający się na brzegu prawie zupełnie wyschniętej rzeki. Było to dobre kilka godzin temu. Przejeżdżali przez mostek nad rzeką i tam właśnie zobaczyli gada.

Znak przed mostem informował, że ta rzeczka ma nawet swoją nazwę, i to całkiem stosowną: rzeka Styks, tak samo jak rzeka w piekle. Kilka kilometrów dalej znajdowało się skrzyżowanie. Mieli do wyboru trzy drogi. W lewo - Simpson's Crossing, osiemdziesiąt kilometrów. Prosto - Dolina Śmierci, sto dwadzieścia kilometrów. Droga w prawo miała doprowadzić ich do miejsca zwanego Franklin Downs.

- Jedź prosto - powiedziała Lily. - Do Doliny Śmierci.

- To musi być gdzieś tutaj... - rzekła po dwóch godzinach jazdy.

Spojrzała ponownie na kartkę z zagadką Westa.

Mój nowy dom to dom tygrysów i krokodyli.

Jeśli chcesz go odnaleźć, zapłać wioślarzowi, podejmij

wyzwanie psa i rusz w drogę

Wprost w otchłań śmierci,

Przez bramy piekieł.

Tam mnie znajdziesz, chronionego przez wielkiego łotra.

- Zapłać wioślarzowi, podejmij wyzwanie psa - powtórzyła Lily. - W mitologii greckiej, kiedy schodziło się do świata podziemnego, trzeba było przepłynąć rzekę Styks. Płaciło się przewoźnikowi i przechodziło koło Cerbera, psa pilnującego Hadesu. Rzekę Styks już znaleźliśmy.

Mistrz i Zoe wymienili spojrzenia.

- A Dolina Śmierci? - zapytała Zoe. - Dlaczego akurat tam?

- Następne dwie linijki: „Wprost w otchłań śmierci, przez bramy piekieł” - to fragment wiersza, którego uczył mnie Mistrz. Szarża lekkiej brygady. W tym wierszu sześciuset żołnierzy lekkiej kawalerii szarżuje na Dolinę Śmierci.

Po kilku minutach jazdy pokazały się rzędy niskich budynków.

Miasteczko Dolina Śmierci.

Przy drodze stała podniszczona tablica z napisem:

WITAMY W DOLINIE ŚMIERCI  
MIEŚCIE NAJLEPSZEJ DRUŻYNY  
PIŁKARSKIEJ TYGRYSÓW Z DOLINY ŚMIERCI

- Dom tygrysów i krokodyli - zacytowała Lily.

Dolina Śmierci okazała się prawie wymarłym miasteczkiem - raptem kilka drewnianych bud i dawno opuszczonych farm, do których prowadziły wyboiste, piaszczyste drogi.

Przez chwilę krążyli po miasteczku. Lily wyglądała przez okno, szukając jakiegoś znaku.

- Teraz musimy znaleźć „wielkiego łotra”... wielki łotr... Tam! Mistrzu! Zatrzymaj!

Zatrzymali się na końcu wyjątkowo długiej drogi gruntowej. Była tak długa, że farma, do której prowadziła, znajdowała się gdzieś za horyzontem. Ale na skrzyżowaniu z główną drogą stała stara, zardzewiała skrzynka na listy. Jak wiele podobnych skrzynek na prowincji, tak i ta była wykonana zapewne przez właściciela farmy.

Zbudowana ze starych części od traktora i zardzewiałej puszki po oleju, kształtem przypominała mysz. Miała nawet uszy i wąsy. A oprócz tego, na głowie miała koronę.

- Mysi król... - szepnęła. - Mysi król. To jest to.

- Skąd wiesz? - zapytała Zoe. Lily uśmiechnęła się chytrze.

- Mysi król to wielki łotr. Łotr z Dziadka do orzechów.

Samochód podskakiwał na wyboistej drodze.

Na jej końcu, z dala od szosy, znajdowała się niewielka cicha farma ukryta pośród niewysokich wzgórz. Słaby wiaterek wolno obracał wiatraczkiem przed domem.

Na werandzie stał mężczyzna ubrany w dżinsy i T - shirt. Jego lewa ręka lśniła metalicznie w słońcu.

To był Jack West.

Lily wyskoczyła z samochodu i rzuciła się Westowi w ramiona.

- Znalazłaś mnie - powiedział. - Zajęło ci to trochę czasu.

- Gdzie byłeś? - zapytała Lily. - Co to za sprawy do dokończenia, które zajęły ci cały miesiąc?

West uśmiechnął się.

- Wejdz i zobacz.

Minęli dom i znaleźli się przy wejściu do starej, opuszczonej kopalni, kryjącej się w zboczu niskiego piaszczystego wzgórza.

- Później zamierzam zrobić osuwisko i zasłonić wejście do kopalni, podobnie jak Imhotep Trzeci postąpił z wiszącymi ogrodami - mówił,



prowadząc ją do kopalni. - Nikt się nawet nie domyśli, że była tu jakaś kopalnia. Tym bardziej nikt nie będzie wiedział, co jest w środku.

Po przejściu szybami kopalnianymi około stu metrów dotarli do obszernej komory. Na jej środku stała złota kopuła. Wysoka prawie na trzy metry, błyszcząca, wspinała.

- Kubuś Puchatek i Długi pomogli mi przewieźć ją do Australii. No i oczywiście Sky Monster - powiedział West. - Pożegnałem się z nimi w porcie w Fremantle. Potem jeszcze poprosiłem ich o dostarczenie kilku innych rzeczy, które znaleźliśmy w trakcie misji. Mistrzu, przypuszczałem, że będziesz chciał coś z tego zachować dla siebie.

W rogu pomieszczenia, w półkolu stało kilka innych starożytnych skarbów: zwierciadło z latarni morskiej w Aleksandrii i kolumna z mauzoleum w Halikarnasie - obie rzeczy znalezione w Tunezji, w kryjówce Hamilkara.

- Nie zabrałeś głowy kolosa rodyjskiego? - zapytał żartobliwie Mistrz.

- Myślałem o tym, żeby za kilka miesięcy pojechać po nią, jeśli tylko zechcesz mi pomóc - powiedział West. - Przydałaby się pomoc. Ach, i Zoe...

- Tak, Jack...

- Pomyślałem, że spodobałby ci się kwiat, jako wyraz podziękii za dziesięć lat trudów. - Teatralnym gestem wyciągnął coś zza pleców i wręczył Zoe.

To była róża, biała róża, niespotykane piękna.

Zoe wytrzeszczyła oczy.

- Gdzie ją znalazłeś?

- Zobaczyłem w jednym takim ogrodzie - odparł West. - Ale już jej tam nie ma. Na szczęście ten gatunek jest raczej odporny i bardzo dobrze przyjął się w moim ogródku przed domem. Niedługo będę tu miał rozarium. Chodźcie. Jest gorąco. Pójdziemy do domu i napijemy się czegoś.

Wyszli z opuszczonej kopalni i ruszyli w stronę domu. Ich buty pokrywała warstwa dziwnej pomarańczowoczerwonej ziemi.

Ta ziemia jest rzeczywiście wyjątkowa, bogata w żelazo i nikiel, tylko tutaj taka występuje. W północno - zachodnim zakątku kraju, który, choć o tym nie wie, jest teraz najpotężniejszym państwem na ziemi. W Australii.

## PODZIĘKOWANIA

W pierwszej kolejności pragnę podziękować za inspirację egiptologowi Robertowi Bauvalowi. W swojej książce *Secret Chambers* twierdzi, że istnieje ścisły związek pomiędzy układem piramid a gwiazdami Pasa Oriona.

To z lektury tej książki dowiedziałem się, że złota kopuła faktycznie wieńczyła piramidę Cheopsa w Gizie. Kiedy autor znajdzie coś tak wielkiego i wspaniałego, co może stać się tematem powieści, jest to wyjątkowo cenne. Gdy przeczytałem o złotej kopule, skoczyłem na równe nogi i zacząłem tańczyć z radości. To było to.

Często spotykam się z pytaniem, skąd biorę pomysły. Odpowiedź jest taka: czytam mnóstwo książek niebeletrystycznych, a kiedy czyta się wystarczająco dużo, można natknąć się na takie perełki. Polecam tę książkę wszystkim, którzy interesują się starożytnym Egiptem. Czytelnicy znajdą tam informacje o ciemnych stronach starożytnego Egiptu, o języku Tota i o Sfinksie.

W domu mogłem liczyć na wsparcie i zachętę ze strony mojej żony Natalie. Czytała wszystkie moje szkice, wyrażała mi w pracach domowych i przede wszystkim zgodziła się, by nasza podróż poślubna do Egiptu zamieniła się w wyprawę badawczą.

Prawdę mówiąc, w Egipcie należałem do tego typu turystów, którzy pierwsi wysiadają z autokaru i ostatni do niego wracają, a na dodatek zadreęczają przewodników mnóstwem dziwnych pytań. Na przykład w Dolinie Królów zapytałem, czy jest hieroglif mówiący „śmierć rabusiom grobów”. (Oczywiście, że jest. W książce Bauvala jest nawet zdjęcie inskrypcji). Poza tym żadne z nas nie zapomni wyprawy do pełnych tajemnic komór pod czerwoną piramidą w Dahszur.

Dziękuję wszystkim z wydawnictwa Pan Macmillan za ich wysiłek. Miałem przyjemność współpracować z grupą ludzi, którzy potrafili tak wspaniale wylansować moją książkę (okładka naprawdę mi się podoba).

Dziękuję moim agentkom z działu literackiego William Morris Agency, Suzanne Gluck i Eugenie Furniss, które tak bardzo się o mnie troszczyły. Że nie wspomnę o wspaniałych ludziach z Los Angeles (szczególnie Alicii Gordon i Dannym Greenbergu).

Chciałbym również podziękować panu Davidowi Epperowi, który szczerze wspierał organizację charytatywną Bullant Charity Challenge, „wykupując” na aukcji nazwisko jednego z bohaterów książki. Dzięki temu jego syn Max Epper stał się profesorem Maksem Epperem, czyli Mistrzem. Dziękuję, Dave.

Na koniec chciałem jeszcze raz złożyć podziękowania rodzinie i przyjaciółom za ich wsparcie i wyrozumiałość. Mojej mamie i ojcu; mojemu bratu Stephenowi; przyjaciółom - Bec Wilson, Nik i Kimonowi Kozlina i, oczywiście, pierwszemu oficjalnemu czytelnikowi mojej książki, dobremu przyjacielowi Johnowi Schrootenowi. Skoro zaczął zaniedbywać krykieta, bo tak był zaabsorbowany lekturą, to dobry znak.

Wiercie mi, bardzo mnie wspieraliście. W mojej poprzedniej książce powiedziałem: „Ten, kto zna pisarza, nigdy nie przeceni potęgi waszego wsparcia”.

Matthew Reilly  
Sydney, Australia  
Październik 2005

## WYWIAD Z MATTHEW REILLYM O PISANIU POWIEŚCI SIEDEM CUDÓW STAROŻYTNOŚCI

CZYM RÓŻNIŁO SIĘ PISANIE SIEDMIU CUDÓW STAROŻYTNOŚCI ODPISANIA INNYCH PANA KSIĄŻEK?

TO ZABAWNE, ALE Z JAKICHŚ PRZYCZYŃ PODCZAS PISANIA DOŚWIADCZAŁEM UCZUCIA OSAMOTNIENIA BARDZIEJ DOTKLIWEGO NIŻ PRZY PISANIU POPRZEDNICH POWIEŚCI. JEŚLI JUŻ, TO W PODOBNYM STANIE DUCHA PISAŁEM CONTEST. DZIAŁO SIĘ TAK BYĆ MOŻE DLATEGO, ŻE SAM TEMAT KSIĄŻKI, SIEDEM CUDÓW STAROŻYTNEGO ŚWIATA, JEST TAK STARY, TAK ODLEGŁY, TAK NAM OBCY, ŻE WIĘKSZOŚĆ UTWORU POWSTAŁA RACZEJ W MOJEJ WYOBRAŹNI NIŻ NA PODSTAWIE WSPÓŁCZESNYCH ŹRÓDEŁ (Z KTÓRYCH CZĘŚĆ JEST RACZEJ MARNA). PODOBNIEM JAK W POWIEŚCI CONTEST MUSIAŁEM WYMYŚLIĆ POSTACIE OBCYCH, I TUTAJ PRZYSZŁO MI TWORZYĆ TE MISTYCZNE MIEJSCA, JAK CHOĆBY WISZĄCE OGRODY BABILONU, ZUPEŁNIE OD ZERA.

CZYM NOWYM CECHUJE SIĘ TA KSIĄŻKA?

ZASADNICZĄ RÓŻNICĄ POMIĘDZY SIEDMIOMA CUDAMI STAROŻYTNOŚCI A MOIMI POPRZEDNIMI KSIĄŻKAMI JEST WPROWADZENIE WĄTKU „RODZINY”. MIĘDZYNARODOWY ODDZIAŁ ŻOŁNIERZY CHRONIĄCYCH LILY STAJE SIĘ W KOŃCU RODZINĄ, Z „DZIADKAMI” (DORIS I MAX EPPER), SPRZECZAJĄCYM SIĘ „RODZEŃSTWEM” (KUBUŚ PUCHATEK, DŁUGI, WIELKOUCHY, ZOE) I PEŁNIĄCYM FUNKCJĘ „OJCA” JACKIEM WESTEM.

TEN TEMAT ROZPOCZĄŁEM JUŻ W POWIEŚCI HOVER CAR RACER I OGROMNIE PRZYPADŁ MI ON DO GUSTU. W KOŃCU, KIEDY SIĘ PISZE POWIEŚĆ SENSACYJNĄ, TRZEBA STWORZYĆ POSTACIE, NA KTÓRYCH BĘDZIE NAM ZALEŻAŁO, A TWORZĄC Z ŻOŁNIERZY - TWARDZIELI PSEUDORODZINNE ŚRODOWISKO, CZUŁEM, ŻE UDAŁO MI SIĘ ZBUDOWAĆ BARDZO SPECYFICZNĄ GRUPĘ, KTÓREJ POCZYNIANIOM CZYTELNICY ZECHCĄ KIBICOWAĆ.

SZCZEGÓLNIEM PODOBAŁ MI SIĘ SPOSÓB, W JAKI LILY NAZWAŁA PO SWOJEMU ŻOŁNIERZY, ZAMIENIAJĄC ICH PSEUDONIMY TWARDZIELI NA GŁUPIUTKIE, DZIECIĘCE PRZEZWISKA. W POWIEŚCI NIEUCHWYTNY CEL UŻYWAŁEM „POWAŻNYCH” PSEUDONIMÓW, A TU POSTANOWIŁEM WPROWADZIĆ ELEMENT ZABAWY I POSTAWIĆ TEN ŚRODEK WYRAZU NA GŁOWIE.

CZY TO PRAWDA, ŻE NA POTRZEBY TEJ POWIEŚCI STWORZYŁ PAN SPECJALNY JĘZYK?

NIE OŚMIELIŁBYM SIĘ TWIERDZIĆ, ŻE STWORZYŁEM JĘZYK! FAKTEM JEST, ŻE STWORZYŁEM ALFABET (CAŁKIEM PODOBNY DO PISMA KLINOWEGO), ŻEBY POKAZAĆ SŁOWO THOTA - CHOĆ JEST TO ZAPIS ANGIELSKICH SŁÓW, A NIE JAKIEGOŚ STWORZONEGO SZTUCZNIE JĘZYKA. BYŁOBY TO ZBYT TRUDNE I CZASOCHŁONNE. TAKIE RZECZY POZOSTAWIAM TOLKIENOWI!

ZAJĘŁO MI TO TROCHĘ CZASU, ALE BYŁO TEŻ ZABAWNE. TWORZYŁEM SYMBOLE ODPOWIADAJĄCE NASZEMU ALFABETOWI, A PRÓCZ TEGO NAZWY WŁASNE I SPECJALNE SYMBOLE, DOTYCZĄCE PEWNYCH WYBRANYCH OBIEKTÓW (NA PRZYKŁAD PIRAMIDA CHEOPSA, ALEKSANDER WIELKI CZY SŁOŃCE). JEŚLI KTOŚ MA CZAS I OCHOTĘ, MOŻE PRZETŁUMACZYĆ TEKSTY ZAPISANE TYM SPECJALNYM ALFABETEM Z POWROTEM NA ANGIELSKI, ALE, UWAGA, NIE BĘDZIE TO TAKIE PROSTE, GDYŻ NIE ZAWSZE SŁOWA SĄ ZAPISANE OD LEWEJ DO PRAWEJ STRONY.

W CHWILI KIEDY KSIĄŻKA SIĘ UKAŻE, ZAMIESZCZĘ NA SWOJEJ STRONIE INTERNETOWEJ CAŁY ALFABET, TAK ŻEBY KAŻDY ZAINTERESOWANY MÓGŁ ZOBACZYĆ, NA CZYM TO POLEGA.

JEŚLI NIE LICZYĆ JASONA CHASERA W HOVER CAR RACER, W SIEDMIU CUDACH STAROŻYTNOŚCI POJAWIA SIĘ PIERWSZY BOHATER AUSTRALIJCZYK. CO WPŁYŃĘŁO NA PAŃSKĄ DECYZJĘ, ŻEBY UCZYNIĆ JACKA WESTA OBYWATELEM AUSTRALII?

PASOWAŁO DO FABUŁY. PO PROSTU. CZĘSTO ZADAWANO MI PYTANIE, DLACZEGO BOHATERAMI MOICH POPRZEDNICH POWIEŚCI SĄ AMERYKANIE, I ODPOWIEDŹ JEST TAKA SAMA - BO PASOWAŁO TO DO FABUŁY (SZCZEGÓLNICIE W STACJI LODOWEJ).

W SIEDMIU CUDACH STAROŻYTNOŚCI ZALEŻAŁO MI SZCZEGÓLNICIE NA TYM, ŻEBY GŁÓWNY BOHATER NIE BYŁ AMERYKANINEM. ON MIAŁ DOWODZIĆ ODDZIAŁEM PRZEDSTAWICIELI MAŁYCH PAŃSTW PRZECIWKO POŁĄCZONYM POTĘGOM AMERYKI I EUROPY. DLATEGO POMYŚLAŁEM O BYŁYM ŻOŁNIERZU SAS Z AUSTRALII. POZA TYM WIEDZIAŁEM, ŻE ZAKOŃCZENIE KSIĄŻKI BĘDZIE WYMAGAŁO, BY JEDNO Z PAŃSTW POSIADŁO MOC TARTARU, A CZY NIE BYŁOBY WSPANIAŁE, GDYBY TO AUSTRALIA STAŁA SIĘ NAJPOTĘŻNIEJSZYM PAŃSTWEM ŚWIATA, WCALE O TYM NIE WIEDZĄC? (SWOJĄ DROGĄ TAK WŁAŚNICIE JEST, MOIM ZDANIEM).

KILKAKROTNIENIE W POWIEŚCI JEST WSPOMNIANY KOD LEONARDA DA VINCI DANA BROWNA. CZYTAŁ PAN TĘ KSIĄŻKĘ? CZY WYWARŁA ONA JAKIŚ WPŁYW NA PANA POWIEŚĆ?

FAKTYCZNIE, CZYTAŁEM KOD LEONARDA DA VINCI I BARDZO MI SIĘ PODOBAŁ. PRAWDEŃ MÓWIĄC, PRZECZYTAŁEM JĄ NA DŁUGO PRZEDTEM, NIM ZNALAZŁA SIĘ NA LISTACH BESTSELLERÓW. ODBYWAŁEM WTEDY CYKL SPOTKAŃ NA TEMAT NIEUCHWYTNEGO CELU, BYŁ TO ROK 2003, I GORĄCO POLECAŁEM LEKTURĘ KODU KAŻDEMU, KTO TYLKO CHCIAŁ MNIE SŁUCHAĆ.

NIEMNIEJ KOD LEONARDA DA VINCI NIE MIAŁ ISTOTNEGO WPŁYWU NA SIEDZEM CUDÓW STAROŻYTNOŚCI. WIĘKSZY WPŁYW MIAŁY PEWNIENIE FILMY Z INDIANĄ JONESEM. CHCIAŁEM STWORZYĆ FABUŁĘ

PODOBNA DO TEJ Z INDIANY JONESA, Z MNÓSTWEM ZDRADLIWYCH PUŁAPEK I WSPANIAŁYCH PRZYGÓD, ALE OSADZONĄ WE WSPÓŁCZESNOŚCI. PRZYCZYNA, DLA KTÓREJ W MOJEJ KSIĄŻCE JEST WSPOMNIANY KOD LEONARDA DA VINCI, JEST PROZAICZNA. TA POWIEŚĆ STAŁA SIĘ POWSZECHNIE ZNANA NA CAŁYM ŚWIECIE, WIĘC JEŚLI PISZE SIĘ KSIĄŻKĘ O KONSPIRACYJNYCH TEORIACH DOTYCZĄCYCH KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO ALBO AKCJA DZIEJE SIĘ W LUWRZE, NIE SPOŚÓB NIE WSPOMNIEĆ O KODZIE LEONARDA DA VINCI.

W SIEDMIU CUDACH STAROŻYTNOŚCI WYSTĘPUJE KILKU NIKCZEMNYCH DRANI Z AMERYKI. CZY JEST TO WIĘC POWIEŚĆ ANTYAMERYKAŃSKA?

MAM NADZIEJĘ, ŻE NIE JEST TO TAK ODBIERANE. AKURAT W TEJ KSIĄŻCE AMERYKANIE SĄ DRANIAMI, I TYLE. PRAGNĄ ZAWŁASZCZYĆ SOBIE POTĘGĘ TARTARU, WIĘC PRÓBUJĄ TO ZROBIĆ, A POSTĘPUJĄ TYLKO TROCHĘ PODLEJ NIŻ NASI BOHATEROWIE.

KLUCZOWĄ SPRAWĄ W SIEDMIU CUDACH STAROŻYTNOŚCI JEST TO, ŻE GŁÓWNI BOHATEROWIE SĄ SŁABSI, A MUSZĄ ZMIERZYĆ SIĘ Z NAJPOTĘŻNIEJSZYM PAŃSTWEM ŚWIATA, KTÓRYM W CHWILI OBECNEJ JEST AMERYKA. STANY ZJEDNOCZONE MAJĄ WIĘCEJ BRONI, CZOŁGÓW I SAMOLOTÓW NIŻ NASTĘPNY TUZIN PAŃSTW Z LISTY MOCARSTW RAZEM WZIĘTE. DLA GRUPKI NIEWIELKICH PAŃSTW WYSTĄPIENIE PRZECIWKO AMERYCE JEST WIELKIM I TRUDNYM WYZWANIEM. TAKA SYTUACJA JEST CIEKAWĄ OSNOWĄ FABUŁY.

PODOBNIENIE JAK WIELU INNYCH MAM ZASTRZEŻENIA DO NOWEGO AMERYKAŃSKIEGO IMPERIALIZMU POD RZĄDAMI GEORGE'A W. BUSHA, ALE W PRZECIWIENSTWIE DO INNYCH NIE POTĘPIAM ZA TO AMERYKI. W KOŃCU JEST JEDYNYM SUPERMOCARSTWEM PO OSTATNICH ZMIANACH, JAKIE ZASZŁY W ŚWIECIE. PODOBNIENIE JAK MY WSZYSCY MUSI TERAZ OKREŚLIĆ SVOJE MIEJSCE. BĘDZIE PRZY TYM POPEŁNIAĆ BŁĘDY. NA NIESZCZĘŚCIE WSZYSTKIE BŁĘDY, JAKIE POPEŁNI, BĘDĄ MIAŁY OLBRZYMI WPŁYW NA POZOSTAŁE PAŃSTWA. TRZEBA JEDNAK PRYZNAĆ, ŻE AMERYKA ROBI TEŻ DUŻO DOBREGO.

SAM NIE WIEM. ZAWSZE, ILEKROĆ SPOTYKAM SIĘ Z PRZYJACIÓLMI, NIEZMIENNIENIE BRONIĘ AMERYKI. MAM TAM WIELU PRZYJACIÓŁ I WSPÓŁPRACUJĘ Z BARDZO ZDOLNYMI MIESZKAŃCAMI NOWEGO JORKU I LOS ANGELES. NAPRAWDEŃ

ZDOLNYMI I MĄDRYMI. POZA TYM JESTEM PRZEKONANY, ŻE AMERYKA STANOWI PRZYKŁAD FANTASTYCZNEGO EKSPERYMENTU SPOŁECZNEGO. JEST TO KRAJ WIELKICH MOŻLIWOŚCI, GDZIE KRÓLUJE KAPITALIZM, A 280 MILIONÓW LUDZI ŻYJE W POKOJU POD RZĄDAMI PRAWA. TO JEST JAKIEŚ OSIĄGNIĘCIE.

SKORO NIEKTÓRZY AMERYKANIE UWAŻAJĄ, ŻE PRZEDSTAWIAJĄC ICH W TEJ KSIĄŻCE JAKO ŁAJDAKÓW, JESTEM ANTYAMERYKAŃSKI, TO CÓŻ MOGĘ NA TO PORADZIĆ? MUSZĘ OBERWAĆ, CHOĆ WIEM, ŻE NIE MAJĄ RACJI. Z DRUGIEJ STRONY BRYTYJCZYCY NIGDY SIĘ NIE SKARŻYLI, ŻE SĄ PRZEDSTAWIENI JAKO ŁAJDACY W STACJI LODOWEJ. ALE NA PRZYKŁAD WE FRANCJI DOTYCHCZAS NIE WYDANO MOICH KSIĄŻEK.

CZY ZOBACZYMY JESZCZE JACKA WESTA?

MYŚLĘ, ŻE JEST SZANSA NA PONOWNE POJAWIENIE SIĘ JACKA WESTA W KOLEJNEJ KSIĄŻCE. BARDZO DOBRZE MI SIĘ PISAŁO O NIM I JEGO PRZYGODACH, A TO JEST WARUNEK KONIECZNY, BY POSTAĆ POJAWIŁA SIĘ PO RAZ KOLEJNY. NAPISANIE POWIEŚCI ZAJMUJE MI ROK, WIĘC SKORO MAM SPĘDZIĆ CAŁY ROK Z JAKĄŚ POSTACIĄ, TO MUSZĘ JĄ LUBIĆ!

MAM JUŻ NAWET POMYSŁ NA KOLEJNE PRZYGODY...

TO BYŁ DLA PANA PRACOWITY ROK. SIEDEM CUDÓW STAROŻYTNOŚCI, HELL ISLAND I PRACA NAD EKRYNIZACJĄ POWIEŚCI CONTEST. JAK UDAŁO SIĘ PANU TO WSZYSTKO POGODZIĆ?

TAK, TO BYŁ RZECZYWIŚCIE PRACOWITY ROK. ALE PRACA DAŁA MI WIELE SATYSFAKCJI.

WŁAŚNIE SKOŃCZYŁEM SIEDEM CUDÓW STAROŻYTNOŚCI, KIEDY ZADZWONIONO DO MNIE Z RZĄDU FEDERALNEGO Z PYTANIEM, CZY NIE NAPISAŁBYM NOWELI W RAMACH KAMPANII BOOKS ALIVE. NA SZCZĘŚCIE W SZUFLADZIE BIURKA MIAŁEM JUŻ GOTOWY NOWY POMYSŁ, WIĘC USIADŁEM I ZACZĄŁEM PISAĆ.

W TYM SAMYM CZASIE MIAŁEM ZAPLANOWANE REŻYSEROWANIE PIERWSZYCH UJEĆ CONTEST, WIĘC JEDNOCZEŚNIE ZAJMOWAŁEM SIĘ FILMEM I WYGŁADZAŁEM OBIE POWIEŚCI: HELL ISLAND I SIEDEM CUDÓW STAROŻYTNOŚCI. DO TEJ PORY NIE WIEM, JAK DAŁEM SOBIE Z TYM RADĘ. WMÓWIŁEM SOBIE, ŻE WYŚPIĘ SIĘ PÓZNIJ. WIERZCIE MI, DOPIERO TERAZ NAPRAWDĘ WYPOCZYWAM.

W HELL ISLAND POJAWIA SIĘ POSTAĆ SHANE'A SCHOFIELDA. CZY STANIE SIĘ ON BOHATEREM KTÓREJŚ Z KOLEJNYCH KSIĄŻEK?

KILKA SŁÓW NA TEMAT HELL ISLAND, ZWŁASZCZA ŻE NA JEJ KOŃCU NIE ZAMIESZCZONO TAKIEGO WYWIADU JAK TEN.

Z PRZYJEMNOŚCIĄ PISAŁEM HELL ISLAND, CZYNIĄC JEJ GŁÓWNYM BOHATEREM SCHOFIELDA. SĄDZĘ, ŻE JEST TO ŚWIETNA POWIEŚĆ - ŚMIAŁA I O WARTKIEJ AKCJI, A POZA TYM KRÓTKA. Z ZAŁOŻENIA MIAŁA STAĆ SIĘ JAKBY DODATKOWĄ PRZYGODĄ SCHOFIELDA, ZADANIEM, JAKIE WYKONAŁ „POMIĘDZY”

DWIEMA POWIEŚCIAMI (CHOĆ DZIEJE SIĘ TO PO WYPADKACH OPISANYCH W NIEUCHWYTNYM CELU). MUSICIE TAKŻE PAMIĘTAĆ, ŻE MOI CZYTELNICY W STANACH ZJEDNOCZONYCH I INNYCH KRAJACH NIE BĘDĄ MOGLI KUPIĆ HELL ISLAND. TA KSIĄŻKA BYŁA ROZDAWANA ZA DARMO WYŁĄCZNIE W AUSTRALII, KRAJU, KTÓRY NAPRAWDĘ LUBIĘ.

CZY POJAWI SIĘ PONOWNIE? SĄDZĘ, ŻE TAK. TO ZABAWNA POSTAĆ, CZŁOWIEK, KTÓRY WIECZNIE WPADA W KŁOPOTY, A O TAKICH WŁAŚNIE LUDZIACH LUBIĘ PISAĆ. PYTANIE TYLKO, KOGO OPISZĘ W NASTĘPNEJ KSIĄŻCE - SCHOFIELDA CZY JACKA WESTA.

A JAKIE SĄ WIEŚCI Z PLANU FILMOWEGO?

HOVER CAR RACER JEST W WYTWÓRNI DISNEYA. OSTATNIO SŁYSZAŁEM, ŻE AL GOUGH I MILES MILLAR NADAL PRACUJĄ NAD SCENARIUSZEM. A JA INTENSYWNIIE PRACUJĘ NAD REALIZACJĄ FILMU NA PODSTAWIE POWIEŚCI CONTEST.

NA POCZĄTKU ROKU CIĘŻKO PRACOWAŁEM NAD ODCINKIEM PILOTAŻOWYM CONTEST, CZYLI PIERWSZYMI DWUNASTOMA MINUTAMI KSIĄŻKI. MUSIELIŚMY STWORZYĆ RUCHOMĄ GŁOWĘ KARANADONA I SFILMOWAĆ JĄ POMIĘDZY REGAŁAMI BIBLIOTEKI STANOWEJ NOWEJ POŁUDNIOWEJ WALII. KRĘCILIŚMY TAKŻE W NIECZYNNYM TUNELU KOLEJOWYM POD SYDNEY, W ROYAL NORTH SHORE HOSPITAL, A NAWET W PIWNICY MOJEGO DOMU. ACH, FILM TO MAGIA.

CO TERAZ BĘDZIE ROBIŁ MATTHEW REILLY?

SPAŁ. I WYPOCZYWAŁ. MOŻE JESZCZE GRAŁ W GOLFA. TO BYŁ CIĘŻKI ROK, MUSZĘ TERAZ TROCHĘ ZWOLNIĆ TEMPO. ZAMIERZAM USIAŚĆ WYGODNIE NA KANAPIE I PRZECZYTAĆ CAŁY STOS KSIĄŻEK. A KIEDY FILM CONTEST BĘDZIE GOTOWY, BĘDĘ MÓGŁ SPAĆ CAŁY NASTĘPNY ROK.

CO PAN POWIE NAM NA KONIEC?

JAK ZAWSZE MAM NADZIEJĘ, ŻE PODOBAŁA SIĘ PAŃSTWU MOJA KSIĄŻKA. PISANIE JEJ SPRAWIŁO MI DUŻO RADOŚCI, MAM NADZIEJĘ, ŻE TYLE SAMO RADOŚCI DAŁO PAŃSTWU JEJ PRZECZYTANIE.

MATTHEW REILLY  
SYDNEY, AUSTRALIA  
PAŹDZIERNIK 2005